

LAUREAT NAGRÓD HUGO I NEBULA

# Robert J. Sawyer

## FUTUROŚPEKKA

NA PODSTAWIE TEJ POWIEŚCI POWSTAŁ  
POPULARNY SERIAL TELEWIZYJNY

**FLASHFORWARD**

(PRZEBYSK JUTRA)

SOLARIS

ROBERT J. SAWYER

# FUTUROSPEKCJA

(FLASH FORWARD)

Przełożyła: Anna Klimasara



Wydawnictwo: Solaris 2011

# Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

PODZIĘKOWANIA

## CZĘŚĆ I

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

## CZĘŚĆ II

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

### **CZĘŚĆ III**

28.

29.

30.

31.

32.

33.

### **Przypisy**

Dla Richarda M. Gotliba

Richarda poznałem w liceum w 1975 roku. Mieliśmy wówczas wiele różnych pomysłów na to, co spotka nas w przyszłości. Ale jedna rzecz wydawała się całkowicie pewna — bez względu na to, ile upłynie lat, zawsze będziemy przyjaciółmi. Od tamtego czasu minęło ćwierć wieku i z przyjemnością stwierdzam, że przynajmniej to jedno założenie spełniło się co do joty.

## PODZIĘKOWANIA

Chciałbym złożyć najszczerze podziękowania takim osobom, jak: mój agent Ralph Vicinanza i jego wspólnik Christopher Lotts; mój redaktor w wydawnictwie Tor, David G. Hartwell oraz jego asystent James Minz; Chris Dao i Linda Quinton również z Tora, wydawca Tora Tom Doherty, Rob Howard, Suzanne Hallsworth, Heidi Winter, a także Harold i Sylvia Fenn z mojego kanadyjskiego dystrybutora, firmy H.B. Fenn and Company, Ltd; Neil Calder, rzecznik prasowy Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych (CERN), dr John Cramer, profesor fizyki na Uniwersytecie w Waszyngtonie, doktor Shaheen Hussain Azmi, Asbed Bedrossian, Ted Bleaney, Alan Bostick, Michael A. Burstein, Linda C. Carson, David Livingstone Clink, James Alan Gardner, Richard M. Gotlib, Terence M. Green, John-Alien Price, dr Ariel Reich, Alan B. Sawyer, Tim Slater, Masayuki Uchida oraz Edo van Belkom. Dziękuję mojemu ojcu, Johnowi A. Sawyerowi za to, że cały czas użyczał mi swojego domku letniskowego w Bristol Harbour Village, gdzie powstała znaczna część niniejszej powieści; ale przede wszystkim dziękuję mojej czarującej żonie, Carolyn Clink.

# CZEŚĆ I

## KWIECIEŃ 2009

*Ten, kto przewiduje nieszczęścia, przeżywa je dwukrotnie.*

*/Beilby Porteus/*

# 1.

Dzień pierwszy: wtorek, 21 kwietnia 2009 r.

## PRZEKRÓJ PRZEZ CZASOPRZESTRZEŃ...

Budynek centrali Wielkiego Zderzacza Hadronów w CERN-ie był nowy — jego budowę zatwierdzono w 2004, a ukończono w 2006 roku. Budynek otaczał dziedziniec, który siłą rzeczy nazywano „jądrem”. Okna wszystkich biur skierowane były albo do wewnątrz, na jądro, albo na zewnątrz, na pozostałą część rozciągniętego kompleksu CERN-u. Czworokątny budynek otaczający jądro był jednopiętrowy, ale windy główne zatrzymywały się na czterech przystankach: dwóch znajdujących się nad ziemią, jednym w piwnicy mieszczącej kotłownię i magazyny oraz jednym sto metrów pod ziemią, na stacji kolei jednoszynowej służącej do przemieszczania się po dwudziestosiedmiokilometrowym tunelu zderzacza. Tunel ten przebiegał pod polami uprawnymi, obrzeżem lotniska w Genewie oraz pogórzem Jura.

Południowa ściana głównego korytarza budynku podzielona była na dziewiętnaście długich części. Każdą zdobiła mozaika autorstwa artysty z jednego z krajów członkowskich CERN-u. Mozaika grecka przedstawiała Demokryta i narodziny teorii atomowej; niemiecka ukazywała życie Einsteina, a duńska — Nielsa Bohra. Jednak nie wszystkie mozaiki nawiązywały tematyką do fizyki: francuska prezentowała panoramę Paryża,



a włoska winnicę z tysiącami szlifowanych ametystów w roli winogron.

Samo centrum sterowania Wielkiego Zderzacza Hadronów było kwadratowym pomieszczeniem z dwiema parami szerokich, przesuwanych drzwi dokładnie na środku dwóch ze ścian. Sala miała dwa poziomy, z których górny był oszklony, dzięki czemu grupy turystów mogły obserwować pracę na dole; CERN organizował trzygodzinne wycieczki od poniedziałku do soboty, o dziewiątej i czternastej. Pod oknami wisiało dziewiętnaście flag państw członkowskich, po pięć na każdej ze ścian; dwudzieste miejsce zajmowała niebiesko-złota flaga Unii Europejskiej.

W centrali stały dziesiątki pulpity sterowniczych. Jeden z nich sterował iniektorami cząstek, czyli służył do rozpoczynania eksperymentów. Obok stał inny, o nachylnym blacie z dziesięcioma wbudowanymi monitorami, które wyświetlały dane z detektorów ALICE i CMS, ogromnych podziemnych systemów rejestrujących i próbujących zidentyfikować cząstki powstałe w wyniku eksperymentów w LHC. Monitory trzeciego pulpitu pokazywały fragmenty łagodnie zakręcającego podziemnego tunelu zderzacza z dwuteową szyną kolei jednoszynowej podwieszoną pod sufitem.

Lloyd Simcoe, naukowiec urodzony w Kanadzie, siedział przy pulpicie wtryskiwaczy. Był to wysoki, gładko ogolony czterdziestopięciolatek. Miał niebieskie oczy, a jego przycięte na jeża brązowe włosy były tak ciemne, że spokojnie można by je

nazwać czarnymi, może za wyjątkiem włosów na skroni, częściowo pokrytych siwizną.

Fizycy cząstek elementarnych nie słynęli z wybitnej elegancji ubioru i Lloyd do niedawna nie był wyjątkiem. Ale kilka miesięcy wcześniej zgodził się przekazać całą swoją garderobę genewskiemu oddziałowi Armii Zbawienia i pozwolił swojej narzeczonej wybrać dla siebie nowe rzeczy. Prawdę mówiąc, wybrane ubrania były nieco zbyt krzykliwe jak na jego gust, ale musiał przyznać, że nigdy wcześniej nie wyglądał tak szykownie. Tego dnia miał na sobie beżową koszulę, koralową kurtkę, brązowe spodnie z kieszeniami zewnętrznymi zamiast wewnętrznych i — jako ukłon w stronę tradycji mody — włoskie buty z czarnej skóry. Lloyd zdecydował się również na kilka uniwersalnych symboli statusu, nawiązujących do kolorytu lokalnego: pióro wieczne Mont Blanc, które trzymał w wewnętrznej kieszeni marynarki i szwajcarski zegarek analogowy.

Na prawo od niego, przy pulpicie detektorów siedziała mistrzyni przemiany stylistycznej we własnej osobie, jego narzeczone, inżynier Michiko Komura. Młodsza od Lloyd'a o dziesięć lat, trzydziestopięcioletnia Michiko miała mały, zadarty nos i lśniące czarne włosy, przycięte zgodnie z obowiązującą modą na pazia.

Za nią stał Theo Procopides, partner naukowy Lloyd'a, o osiemnaście lat od niego młodszy. Niejeden dowcipniś porównywał konserwatywnego Lloyd'a w średnim wieku i jego ognistego, greckiego współpracownika do zespołu Cricka i Watsona. Theo miał gęste, ciemne, kręcone włosy, szare oczy i

wydatną szczękę. Niemal zawsze nosił czerwone dżinsy — Lloydowi się to nie podobało, ale nikt poniżej trzydziestki nie nosił już niebieskich dżinsów — i jedną ze swych niezliczonych koszulek z bohaterami kreskówek z całego świata. Tego dnia był to sędziwy Tweety. Kilkunastu innych naukowców i inżynierów zajmowało miejsca przy pozostałych pulpitych.

### *Unoszenie kostki.*

W centrum sterowania nie było słycać nic prócz delikatnego szumu klimatyzacji i miękkiego warkotu wentylatorów sprzętu. Wszyscy byli podenerwowani i spięci po całym dniu przygotowań do eksperymentu. Lloyd rozejrzał się po sali i wziął głęboki oddech. Jego tętno galopowało i miał wrażenie, jakby chmara motyli wirowała mu w żołądku.

Zegar na ścianie był analogowy, ten na pulpicie — cyfrowy. Obydwa szybko zbliżały się do godziny siedemnastej, którą Lloyd — nawet po dwóch latach w Europie — nadal nazywał piątą po południu.

Lloyd był szefem grupy niemal tysiąca fizyków korzystających z detektora ALICE (od A Large Ion Collider Experiment — eksperyment przy wielkim zderzaczach jonów). Razem z Theo poświęcili dwa lata na przygotowanie dzisiejszego zderzenia cząstek — dwa lata na zadanie, które równie dobrze mogłoby zabrać dwa życia. Ich celem było odtworzenie poziomu energii, który wcześniej istniał tylko nanosekundy po Wielkim Wybuchu, kiedy to temperatura wszechświata wynosiła 10 000 000 000 000 000 stopni Celsjusza. Jednocześnie mieli nadzieję na odkrycie świętego Graala fizyki

wysokich energii, długo poszukiwanego bozonu Higgsa — cząstki, która miała obdarzyć inne cząstki masą. Jeżeli eksperyment by się powiódł, Higgs, a także Nobel prawdopodobnie przyznany jego odkrywcom, należałoby właśnie do nich.

Cały eksperyment był zautomatyzowany i niezwykle precyzyjnie zaplanowany. Nie było żadnej dźwigni do pociągnięcia, ani włącznika ukrytego pod sprężynową klapką, który trzeba by było nacisnąć. Owszem, Lloyd zaprojektował, a Theo zakodował zasadnicze moduły programu obsługującego eksperyment, ale teraz już wszystko pozostawało pod kontrolą komputera.

Gdy zegar cyfrowy wskazał 16:59:55, Lloyd rozpoczął głośne odliczanie.

— Pięć.

Spojrzał na Michiko.

— Cztery.

Uśmiechnęła się do niego pokrzepiająco. Boże, jak on ją kochał...

— Trzy.

Przeniósł wzrok na młodego Theo, *wunderkind* — młodą gwiazdę, którą Lloyd niegdyś miał nadzieję zostać, ale mu się nie udało.

— Dwa.

Zawsze pewny siebie Theo uniósł oba kciuki w górę.

— Jeden.

Proszę, Boże, pomyślał Lloyd. Proszę.

— Zero.

I wtedy...

I wtedy nagle wszystko uległo zmianie.

W jednej chwili zmieniło się oświetlenie — przyćmione światła centrum sterowania zastąpiły promienie słoneczne wpadające przez okno. Zabrakło jednak chwili przystosowania, czy uczucia dyskomfortu; Lloyd nie odczuł też zwężenia źrenic. Zupełnie jak gdyby był już nastawiony na jaśniejsze światło.

Problem w tym, że Lloyd nie miał żadnej władzy nad oczami. Chciał się rozejrzeć, by sprawdzić, co się dzieje, ale jego oczy poruszały się jak gdyby z własnej woli.

Leżał w łóżku i najwyraźniej był nagi. Poczuł na skórze dotyk bawełnianej pościeli, gdy podpierał się na łokciu. Jego głowa poruszyła się i kątem oka dostrzegł mansardowe okna, znajdujące się najwyraźniej na piętrze domu na wsi. Widział za nimi drzewa i...

Nie, to niemożliwe. Liście były żółte niczym zastygły ogień. A był przecież dwudziesty pierwszy kwietnia... wiosna, nie jesień.

Wzrok Lloyda nadal się przesuwiał i nagle z zaskoczeniem odkrył, że nie jest w łóżku sam. Ktoś leżał obok.

Wzdrygnął się.

Nie... nie, nie do końca. Nie nastąpiła żadna fizyczna reakcja, jak gdyby jego ciało nie było w ogóle połączone z umysłem. Zaledwie poczuł wzdrygnięcie.

Osoba obok była kobietą, ale...

Co do cholery?

Była stara, pomarszczona, miała półprzezroczystą skórę i cienkie jak pajęczyna siwe włosy. Kolagen, który niegdyś musiał wypełniać jej policzki, zebrał się w fałdkach skóry zwisających

przy jej ustach, które właśnie się uśmiechały; zmarszczki mimiczne niemal zupełnie ginęły pośród tych będących wynikiem wieku.

Lloyd spróbował odwrócić się od staruchy, ale jego ciało odmówiło współpracy.

*Co się na litość boską dzieje?*

Jest wiosna, nie jesień.

Chyba że...

Chyba że znajdował się na półkuli południowej. Przeniesiony w jakiś sposób ze Szwajcarii do Australii...

Nie. Za oknem widział klony i topole, to musiała być Ameryka Północna lub Europa.

Wyciągnął rękę. Kobieta miała na sobie granatową koszulę. Nie była to jednak góra od pizamy — miała zapinane na guziki naramienniki i kilka kieszeni. Był to strój z płótna bawełnianego dla osób aktywnych, jaki można kupić w sklepach L.L. Bean lub Tilley i jaki praktyczna kobieta zakłada do prac w ogrodzie. Lloyd poczuł, że jego palce przesuwają się po materiale; czuł jego miękkość i sprężystość. A potem...

A potem jego palce odnalazły twarde, plastikowy guzik rozgrzany jej ciałem i półprzezroczysty jak jej skóra i bez namysłu chwyciły go, pociągnęły i precyzyjnie bokiem przez dziurkę. Nim koszula została odpięta, spojrzenie Lloyda — nadal wędrujące z własnej inicjatywy — powróciło na twarz kobiety i zatrzymało się na jej jasnoniebieskich oczach, których tęczę otaczały nieregularne pierścienie bieli.

Poczuł, jak policzki naciągają mu się w uśmiechu. Jego dłoń wsunęła się pod ubranie kobiety i odnalazła pierś. Ponownie

chciał się wzdrygnąć z odrazą i natychmiast cofnąć rękę. Pierś była miękka, wysuszona i pokryta luźno zwisającą skórą; przypominała zwiędnięty owoc. Palce złączyły się, podążając za konturem piersi i docierając do sutka.

Lloyd poczuł nagle ucisk w dole brzucha. Przez chwilę przerażony myślał, że to erekcja, jednak się mylił. Zrozumiał, że jego pęcherz jest pełny i musi oddać mocz. Wysunął dłoń i zobaczył, jak brwi staruszki unoszą się w niemym pytaniu. Lloyd poczuł, że wzrusza ramionami, które nieznacznie uniosły się i opadły. Kobieta uśmiechnęła się do niego ciepłym, pełnym zrozumienia uśmiechem, jakby było to coś najzwyklejszego w świecie; jak gdyby często musiał przerywać na samym początku. Jej zęby były nieco żółkłe — żółcią charakterystyczną dla wieku — ale prócz tego były w doskonałym stanie.

W końcu jego ciało zrobiło to, do czego przez cały czas próbował je zmusić: odwróciło się od kobiety. W tej samej chwili Lloyd poczuł ostre ukłucie w kolanie. Bolało, ale wyraźnie to ignorował. Zwiesił nogi z łóżka, a jego stopy opadły miękko na chłodną podłogę z twardego drewna. Kiedy wstawał, dostrzegł nieco więcej światła za oknem. Był środek dnia lub popołudnia, gdyż cień rzucany przez jedno drzewo ostro nachodził na drugi. Na jednej z gałęzi siedział ptak, który odleciał przestraszony nagłym ruchem w sypialni. Drozd wędrowny — duży, północnoamerykański drozd, a nie drobny rudzik; to zdecydowanie Stany Zjednoczone lub Kanada. W zasadzie bardzo przypominało to Nową Anglię, Lloyd uwielbiał tamtejsze kolory jesieni.

Poczuł, że porusza się wolno, niemal szurając nogami po deskach podłogowych. Uświadomił sobie, że pokój nie znajduje się w domu, ale raczej w wiejskim domku, gdyż umeblowanie stanowiło miszmasz typowy dla domków letniskowych. Udało mu się przynajmniej rozpoznać stolik nocny — niski mebel z płyty wiórowej, pokryty cieniątką okleiną o fakturze drewna, który kupił jeszcze będąc studentem i który ostatecznie wylądował w pokoju gościnnym domu w Illinois. Co robił tutaj, w tym obcym miejscu?

Szedł dalej. Prawe kolano dokuczało mu przy każdym kroku; zastanawiał się, co mu się stało. Na ścianie wisiało lustro w ramie z sosny sękatej pokrytej bezbarwnym lakierem. Naturalnie gryzło się to z ciemniejszym „drewnem” stolika, ale...

Jezu.

Jezu Chryste.

Oczy same spojrzały w lustro, gdy je mijał, i pozwoliły mu się zobaczyć...

Przez ułamek sekundy sądził, że to jego ojciec. Ale to był on. Reszta włosów, jaka została mu na głowie była całkowicie siwa, a włosy na klatce piersiowej były białe jak śnieg. Miał obwisłą, pomarszczoną skórę i zgarbioną sylwetkę.

Czy to efekt promieniowania? Czy został naświetlony w wyniku eksperymentu? Czy...

Nie. To nie tak. Czuł to w kościach... w swoich artretycznych kościach. To nie tak.

Naprawdę był stary.



Zupełnie jakby postarzał się o dwadzieścia lat lub więcej, jak gdyby...

Dwie dekady życia minęły, wycięte z pamięci.

Chciał krzyczeć, wrzeszczeć, zaprotestować przeciwko niesprawiedliwości, przeciwko swej stracie, domagać się od wszechświata wyjaśnienia...

Ale nie mógł zrobić nic, nad niczym nie panował. Jego ciało kontynuowało swoją powolną, bolesną wędrówkę do łazienki.

Gdy odwrócił się, by wejść do środka, zerknął za siebie na kobietę w łóżku; leżała teraz na boku z głową opartą na ramieniu, uśmiechając się figlarnie i uwodzicielsko. Wzrok miał nadal dobry, widział błysk złota na serdecznym palcu jej lewej ręki. Nie dość, że spał ze starą babą, to jeszcze mężatką...

Gładkie drewniane drzwi były uchylone, ale i tak pchnął je ręką, by otworzyły się na całą szerokość i w tym momencie mignęła mu przed oczami identyczna obrączka na jego własnej lewej ręce.

I nagle zrozumiał. Ta jędza, ta nieznajoma, ta kobieta, której nigdy wcześniej nie widział na oczy, która w niczym nie przypominała jego ukochanej Michiko, była jego żoną.

Lloyd chciał się jeszcze raz odwrócić w jej stronę i spróbować ją sobie wyobrazić o kilkadziesiąt lat młodszą, odtworzyć piękno, które być może niegdyś w sobie miała, ale...

Ale wszedł do łazienki, odwrócił się w stronę sedesu, pochylił się, by podnieść deskę i...

...i nagle, niewiarygodnie, szczęśliwie, zdumiewająco, Lloyd Simcoe znalazł się z powrotem w CERN-ie, w centrum sterowania LHC. Nie wiedzieć czemu, osunął się w swym

wyłożonym winylem krześle. Natychmiast się wyprostował i obciągnął koszulę na swoje miejsce.

Jakże niesamowitej halucynacji doświadczył! Naturalnie ktoś za to drogo zapłaci. Sto metrów ziemi, jakie dzieliło ich od pierścienia zderzacza, miało zapewnić im pełne bezpieczeństwo. Ale już kiedyś słyszał, że wyładowania wysokoenergetyczne mogą powodować halucynacje i to właśnie musiało się zdarzyć.

Chwilę trwało, nim w pełni odzyskał orientację. Nie było żadnego przejścia pomiędzy „tu” a „tam”; żadnego błysku światła, żadnego zawrotu głowy, żadnego zatkania uszu. W jednej chwili był w CERN-ie, w następnej znalazł się gdzieś indziej na... ile? Jakieś dwie minuty. A teraz, równie gładko powrócił do centrum sterowania.

Oczywiście wcale stąd nie wychodził. Oczywiście było to tylko złudzenie.

Rozejrzał się wokoło, próbując wyczytać coś z twarzy pozostałych. Michiko wyglądała, jakby była w szoku. Czy przyglądała mu się, gdy miał halucynacje? Co wtedy robił? Wymachiwał bezradnie rękoma jak epileptyk? Wyciągał rękę przed siebie, jakby gładził niewidzialną pierś? Czy po prostu osunął się w fotelu, tracąc przytomność? Jeśli tak, to nie mogło trwać długo... z pewnością nie aż dwie minuty, jak mu się zdawało... gdyby minęło aż tyle, Michiko i pozostali staliby teraz nad nim, sprawdzając mu tętno i odpinając kołnierzyk. Zerknął na analogowy zegar na ścianie — faktycznie wskazywał dwie minuty po piątej.

Spojrzał na Theo Procopidesa. Wyraz twarzy młodego Greka był bardziej stonowany niż Michiko, ale zupełnie jak Lloyd Theo zdradzał oznaki niepewności, przyglądając się każdej z osób obecnych na sali po kolei i odwracając wzrok, gdy tylko obserwowany odwzajemnił spojrzenie.

Lloyd otworzył usta, by coś powiedzieć, ale sam nie wiedział, co by to miało być. Zrezygnował, gdy usłyszał jęki dochodzące z najbliższych otwartych drzwi. Michiko najwyraźniej też je usłyszała, gdyż wstała razem z nim, ale że znajdowała się bliżej, zdążyła wyjść na korytarz przed Lloydem.

— Mój Boże! — wykrzyknęła. — Wszystko w porządku?

Jeden z techników, Sven, próbował się podnieść. Prawą ręką trzymał się za obficie krwawiący nos. Lloyd natychmiast wrócił do centrum, zdjął apteczkę z wieszaka na ścianie i wybiegł z powrotem na korytarz. Otworzył białe, plastikowe pudełko i odpakował bandaż.

Sven zaczął mówić coś po norwesku, ale po chwili się zreflektował i przeszedł na francuski.

— Musiałem zemdleć.

Korytarz wyłożony był twardymi płytami. Lloyd zauważył czerwoną plamę krwi w miejscu, gdzie twarz technika spotkała się z podłogą. Podał bandaż Svenowi, który skinął z wdzięcznością, zwinął opatrunek i przycisnął go do nosa.

— Wariactwo — powiedział. — Jakbym usnął na stojąco. — Zaśmiał się cicho. — Nawet miałem sen.

Lloyd poczuł, że jego brwi wędrują w górę.

— Sen? — zapytał również po francusku.

— Bardzo realistyczny — odparł Sven. — Byłem w Genewie... w Le Rozzel. — Lloyd dobrze znał tę naleśnikarnię w bretońskim stylu przy Grand Rue. — Ale wszystko wyglądało jak w filmie science-fiction. Samochody unosiły się nad ziemią i...

— O właśnie! — odezwał się kobiecy głos, jednak słowa nie były skierowane do Svena. Ich źródłem było centrum sterowania. — Mnie przytrafiło się to samo!

Lloyd wrócił do słabo oświetlonego pomieszczenia.

— Co się stało, Antonio?

Korpulentna Włoszka, rozmawiająca z dwiema innymi osobami, odwróciła się w stronę Lloyda.

— To było tak, jakbym nagle znalazła się gdzieś indziej. Perry mówi, że jemu przytrafiło się to samo.

Michiko i Sven stanęli w drzwiach tuż za Lloydem.

— Mnie też — przyznała Michiko, a jej głos zdradzał ulgę, że nie była jedyna.

Theo stojący obok Antonii zmarszczył brwi. Lloyd spojrzał na niego.

— Theo? A ty?

— Nic.

— Nic?

Theo pokręcił głową.

— Wszyscy musieliśmy stracić przytomność — stwierdził Lloyd.

— Ja na pewno — powiedział Sven. Odsunął bandaż od twarzy, po czym ponownie dotknął nosa, by sprawdzić, czy przestał krwawić. Nie przestał.

— Jak długo byliśmy nieprzytomni? — spytała Michiko.

— I na Boga, co z eksperymentem? — zapytał Lloyd. Rzucił się do pulpitu sterowniczego ALICE i nacisnął kilka klawiszy.

— Nic — rzucił. — Cholera.

Michiko westchnęła wyraźnie rozczarowana.

— Powinno się było udać — stwierdził Lloyd, uderzając dłonią o pulpit. — Powinniśmy mieć Higgsa.

— Jednak coś się wydarzyło — stwierdziła Michiko. — Theo, naprawdę nic nie widziałeś, podczas gdy cała reszta miała... wizje?

Theo pokręcił głową.

— Nic. Myślę... myślę, że naprawdę straciłem przytomność. Tylko że nawet na chwilę nie zrobiło się ciemno. Patrzyłem, jak Lloyd odliczał: pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, zero. A potem był tylko przeskok, wiecie, jak w filmach. Nagle pojawił się Lloyd, półleżący na fotelu.

— Widziałeś, jak się osuwam?

— Nie, nie. Jak powiedziałem: w jednej chwili siedziałeś, a w następnej już leżałeś, bez żadnego ruchu pomiędzy tymi fazami. Myślę... myślę, że naprawdę straciłem przytomność. Ledwo zauważyłem, że się zsunąłeś, a ty już zdążyłeś się poprawić i...

Nagle rozległo się wycie syren którejś ze służb ratowniczych. Lloyd wypadł z centrum sterowania i wszyscy pobiegli za nim. Sala naprzeciwko miała okno. Michiko, która dotarła tam pierwsza, już podnosiła żaluzje; do środka wlało się popołudniowe słońce. Zobaczyli wóz straży pożarnej CERN-u,

jeden z trzech dostępnych na miejscu, pędzący w stronę głównego budynku administracji.

Nos Svena najwidoczniej przestał w końcu krwawić, gdyż Sven trzymał zakrwawiony bandaż w ręku.

— Ciekawe, czy ktoś jeszcze upadł? — rzucił.

Lloyd spojrział w jego stronę.

— Wozy strażackie służą również jako karetki pierwszej pomocy — wyjaśnił Sven.

Michiko uświadomiła sobie wagę sugestii Svena.

— Powinniśmy przeszukać wszystkie pomieszczenia i sprawdzić, czy nikomu nic się nie stało.

Lloyd skinął głową i wyszedł na korytarz.

— Antonia, sprawdź wszystkich w centrum sterowania. Michiko, idź z Jakiem i Svenem w tę stronę, a Theo i ja pójdziemy w tamtą. — Poczul ukłucie poczucia winy, że rozstaje się z Michiko, ale potrzebował chwili na poukładanie sobie tego, co zobaczył i czego doświadczył.

W pierwszym pomieszczeniu, do którego wszedł z Theo znaleźli leżącą na podłodze kobietę. Lloyd nie pamiętał, jak się nazywa, ale wiedział, że pracuje w dziale public relations. Płaski ekran monitora przed nią wyświetlał znajomy, trójwymiarowy pulpit Windows 2009. Nadal była nieprzytomna. Ogromny siniak na czole wskazywał, że poleciała do przodu i uderzyła się o metalową krawędź biurka, tracąc przytomność. Lloyd zrobił to, co widział w niezliczonej ilości filmów: chwycił prawą dłoń jej lewą dłoń, przytrzymując ją wewnętrzną stroną do góry, i poklepał ją delikatnie drugą dłoń, żeby się ocknęła.

Co w końcu nastąpiło.

— Doktor Simcoe? — spytała, patrząc na Lloyda. — Co się stało?

— Nie wiem.

— Miałam taki... sen — oznajmiła. — Byłam w jakiejś galerii sztuki i oglądałam obraz.

— Już wszystko w porządku?

— Nie wiem. Głowa mnie boli.

— To może być wstrząśnienie mózgu. Powinna pani trafić do szpitala.

— Co to za syreny?

— Wozy strażackie. — Chwila ciszy. — Muszę już iść. Innym ludziom też mogło się coś stać.

Skinęła głową.

— Nic mi nie będzie.

Theo zdążył już ruszyć dalej korytarzem. Lloyd wyszedł z sali i zrobił to samo. Minął Theo, który opatrywał inną ofiarę upadku. Korytarz skręcał w prawo, Lloyd udał się w tamtym kierunku. Dotarł do drzwi biura, które cicho rozsunęły się, gdy podszedł, ale tutaj najwyraźniej nikomu nic się nie stało. Wszyscy prowadzili ożywioną dyskusję na temat różnych wizji, jakich doświadczyli. W środku znajdowały się trzy osoby: dwie kobiety i mężczyzna. Jedna z kobiet dostrzegła Lloyda.

— Co się stało? — spytała po francusku.

— Jeszcze nie wiem — odpowiedział także po francusku.

— Nikomu nic się nie stało?

— Nie, wszystko w porządku.

— Niechcący podsłuchałem — oznajmił Lloyd. — Wszyscy troje też mieliście wizje?

Przytaknęli.

— Które były niesamowicie realistyczne?

Druga z kobiet wskazała mężczyznę.

— U Raoula nie. On doświadczył czegoś psychodelicznego. — Zabrzmiało to, jakby tego właśnie należało się spodziewać, biorąc pod uwagę jego tryb życia.

— Nie do końca nazwałbym to „psychodelicznym” — stwierdził Raoul, przyjmując postawę obronną. Miał długie blond włosy, związane w imponujący kucyk. — Ale na pewno nie było realistyczne. Widzicie, był tam taki facet z trzema głowami...

Lloyd skinął, odnotowując tę informację.

— Jeśli nikomu nic się nie stało, chodźcie z nami... niektórzy się poturbowali upadając podczas tego zdarzenia. Musimy znaleźć wszystkich rannych.

— To może skorzystajmy z interkomu i wezwijmy wszystkich do holu? — zaproponował Raoul. — Policzymy tych, co przyjdą i zobaczymy, kogo brakuje.

Lloyd musiał przyznać, że to najlepsze rozwiązanie.

— Szukajcie dalej, niektórzy mogą potrzebować natychmiastowej pomocy. A ja pójdę do sekretariatu. — Wyszedł z sali, a chwilę potem pozostali udali się za nim. Lloyd wybrał najkrótszą drogę do biura, przebiegając wzdłuż szeregu mozaik. Gdy dotarł na miejsce, część pracowników administracyjnych opatrywała mężczyznę, który podczas



upadku najwyraźniej złamał rękę. Jakaś kobieta oparzyła się, upadając na kubek gorącej kawy.

— Co się stało, doktorze Simcoe? — zapytał jeden z mężczyzn. Lloyd zaczynał mieć dość tego pytania.

— Nie wiem. Potrafi pan używać PA?

Mężczyzna odpowiedział tylko spojrzeniem. Najwyraźniej Lloyd użył amerykańskiego określenia, którego tamten nie znał.

— PA — powtórzył Lloyd. — Systemu nagłaśniającego.

Wzrok mężczyzny nadal nie zdradzał oznak zrozumienia.

— Interkomu!

— Aha, no pewnie — odpowiedział w końcu po angielsku z twardym niemieckim akcentem. — To tutaj — zaprowadził Lloyd do pulpitu i wcisnął kilka przycisków. Lloyd uniósł cienki, plastikowy pałak zakończony mikrofonem.

— Mówi Lloyd Simcoe. — Słyszał swój głos dochodzący z głośnika na korytarzu, ale filtry systemu eliminowały tło.

— Wszystko wskazuje na to, że coś się wydarzyło. Kilka osób odniosło obrażenia. Wszystkich w stanie ambulatoryjnym... — przerwał. Angielski był dla większości pracowników drugim językiem. — Jeśli możecie chodzić oraz jeśli ludzie, z którymi jesteście mogą chodzić lub przynajmniej można ich zostawić bez opieki, przyjdźcie do holu głównego. Ktoś mógł upaść w jakimś niewidocznym miejscu, musimy się dowiedzieć, kogo brakuje. — Oddał mikrofon mężczyźnie. — Czy może pan to powtórzyć po niemiecku i francusku?

— *Jawohl* — odparł mężczyzna, już przestawiony mentalnie. Zaczął mówić do mikrofonu, a Lloyd odszedł od pulpitu PA i wyprowadził wszystkich w pełni sił z biura do holu,

udekorowanego długą, mosiężną tablicą ocalałą z jednego ze starszych budynków, które zburzono, robiąc miejsce dla centrali LHC. Tablica objaśniała pochodzenie skrótu CERN: *Conseil Européenne pour la Recherche Nucléaire*. Obecnie akronim w zasadzie już nic nie znaczył, ale w ten sposób oddano hołd korzeniom.

Twarze zgromadzonych w holu w większości należały do osób białych z kilkoma... Lloyd powstrzymał się przed pomyśleniem o nich jako Melanizmoamerykanach, który to termin był aktualnie uznawany za poprawny w Stanach Zjednoczonych. Choć obecny tu Peter Carter był ze Stanford, większość czarnoskórych pochodziła bezpośrednio z Afryki. Było też kilkoro Azjatów, w tym naturalnie Michiko, która przyszła do holu na wezwanie przez interkom. Lloyd podszedł i przytulił ją. Dzięki Bogu, przynajmniej jej się nic nie stało.

— Czy ktoś jest poważnie ranny? — zapytał.

— Kilka siniaków i jeszcze jeden krwotok z nosa — powiedziała Michiko. — Nic poważnego. A u ciebie?

Lloyd rozejrzał się w poszukiwaniu kobiety, która uderzyła się w głowę. Jeszcze tu nie dotarła.

— Jedno podejrzenie wstrząśnienia mózgu, złamana ręka i paskudne oparzenie. — Przerwał na chwilę. — Naprawdę powinniśmy wezwać pogotowie... powinni zabrać ich do szpitala.

— Zajmę się tym — powiedziała Michiko i zniknęła w biurze.

W holu zbierało się coraz więcej osób, już było ich około dwustu.

— Uwaga! — krzyknął Lloyd. — Proszę o uwagę! *Votre attention, s'il vous plait!* — Poczekał, aż wszystkie oczy zwrócić się w jego stronę. — Rozejrzyjcie się i poszukajcie swoich współpracowników, kolegów z biura lub laboratorium. Jeżeli brakuje kogokolwiek, kogo widzieliście dzisiaj w pracy, proszę o wiadomość. Jeżeli ktoś z osób tu obecnych wymaga natychmiastowej pomocy medycznej, również proszę mi to zgłosić. Wezwaliśmy już karetki.

W momencie, gdy to powiedział, pojawiła się Michiko. Jej skóra przybrała jeszcze bledszy odcień niż zazwyczaj, a gdy się odezwała jej głos drżał.

— Karetka nie przyjadą — oznajmiła. — A przynajmniej nie w najbliższym czasie. Pracownik pogotowia powiedział mi, że cała Genewa stoi. Najwyraźniej wszyscy kierowcy na drogach również stracili przytomność. Trudno nawet zacząć zliczać ofiary.

## 2.

CERN założono pięćdziesiąt pięć lat wcześniej, w 1954 roku. Jego personel liczył trzy tysiące ludzi, z czego około jedną trzecią stanowili fizycy bądź inżynierowie, jedną trzecią — technicy, a pozostała część obejmowała pracowników administracyjnych i rzemieślników.

Wielki Zderzacz Hadronów kosztował pięć miliardów amerykańskich dolarów. Zbudowano go w tym samym kolistym tunelu podziemnym na szwajcarsko-francuskiej granicy, w którym nadal znajdował się starszy, wyłączony z użytkowania Wielki Zderzacz Elektronowo-Pozytonowy; LEP wykorzystywano w latach 1989-2000. LHC rozpędzał cząstki dookoła ogromnego pierścienia dzięki dziesięciotesłowemu, nadprzewodzącym elektromagnesom dipolowym. CERN posiadał największy i najpotężniejszy układ kriogeniczny na świecie, który schładzał magnesy do temperatury 1,8 stopnia Kelwina.

Tak naprawdę, na Wielki Zderzacz Hadronów składały się dwa akceleratory: jeden przyspieszał cząstki zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a drugi w stronę przeciwną. Wiązkę cząstek, poruszającą się w jedną stronę, można było zderzyć z inną wiązką poruszającą się w przeciwnym kierunku, a wówczas...

Wówczas  $E=mc^2$ , wielka chwila.

Równanie Einsteina mówi zasadniczo o tym, że materia i energia są równoważne. Jeżeli zderzy się cząstki z wystarczająco dużą prędkością, energia kinetyczna zderzenia może zostać przetworzona na cząstki egzotyczne.

LHC uruchomiono w 2006 roku i przez pierwszy rok przeprowadzano w nim zderzenia protonów, których rezultatem była energia o wartości do czternastu bilionów elektronowoltów.

Ale teraz nadszedł czas, by przejść do etapu drugiego i właśnie Lloyd Simcoe i Theo Procopides stali na czele zespołu przygotowującego pierwszy eksperyment. W etapie drugim zamiast protonów planowano zderzyć jądra ołowiu, z których każde miało masę dwieście siedemnaście razy większą niż proton. W wyniku takiego zderzenia miała powstać energia o wartości tysiąca stu pięćdziesięciu bilionów elektronowoltów, czyli porównywalna do tej obecnej we wszechświecie tylko przez miliardową część sekundy po Wielkim Wybuchu. Przy tym poziomie energii Lloyd i Theo liczyli na uzyskanie bozonu Higgsa — cząstki, której fizycy poszukiwali od pół wieku.

Zamiast tego doprowadzili do śmierci i zniszczeń na niewyobrażalną skalę.

Gaston Béranger, dyrektor generalny CERN-u, był krępy, owłosionym mężczyzną z ostrym, orlim nosem. W chwili wystąpienia zjawiska siedział w swoim gabinecie. Był to największy gabinet w całym CERN-ie, z długim drewnianym stołem konferencyjnym ustawionym przed dyrektorskim biurkiem oraz dużym, dobrze wyposażonym barkiem z lustrem na tylnej ścianie. Béranger nie pił, już nie; nie istniało nic

trudniejszego od bycia alkoholikiem we Francji, gdzie wino lało się strumieniami przy każdym posiłku, a Gaston nim trafił do CERN-u, mieszkał w Paryżu. Lecz gdy przyjeżdżali ambasadorowie, by sprawdzić, na co wydaje się ich miliony, musiał ich częstować, nawet przez chwilę nie okazując tego, jak bardzo chciałby się do nich przyłączyć.

Naturalnie, Lloyd Simcoe i jego pomagier Theo Procopides przeprowadzali dziś po południu swój wielki eksperyment; mógłby odwołać wszystkie zajęcia i iść popatrzeć, ale tu zawsze działo się coś ważnego i gdyby chciał obejrzeć każde uruchomienie akceleratorów, na nic innego nie miałby czasu. Poza tym, musiał się przygotować do jutrzejszego spotkania z zespołem z GEC Alstom i...

— Podnieś to!

Gaston Béranger nie miał wątpliwości, gdzie się znajduje — to był jego dom w prawobrzeżnej Genewie. Poznawał regały Billy z Ikei, a także kanapę i głęboki fotel. Zniknął natomiast telewizor Sony wraz ze swoim stolikiem. Zamiast tego, na ścianie powyżej miejsca, gdzie wcześniej stał telewizor, wisiał monitor z płaskim ekranem. Akurat leciał mecz lacrosse. Jedną z drużyn była z pewnością Hiszpania, ale nie potrafił rozpoznać drugiej, ubranej w zielono-fioletowe koszulki.

Do pokoju wszedł młody mężczyzna. Jego Gaston też nie rozpoznał. Ubrany był w coś, co wyglądało jak czarna skórzana kurtka, którą następnie zdjął i rzucił w kąt kanapy, skąd zsunęła się i spadła na dywan. Nieduży robot, niewiele większy od pudełka na buty, wyjechał spod ławy i ruszył w kierunku leżącej rzeczy. Gaston wycelował palec w robota i warknął:

„*Arrét!*”. Maszyna zastygła w bezruchu, a po chwili wycofała się pod ławę.

Młody mężczyzna się obrócił. Mógł mieć dziewiętnaście lub dwadzieścia lat. Na prawym policzku miał coś, co wyglądało jak animowany tatuaż przedstawiający błyskawicę; przesywała zygzakiem twarz mężczyzny w pięciu dyskretnych przeskokach, po czym cały cykl się powtarzał.

Gdy się obracał, odsłonił też lewą stronę twarzy... była przerażająca, widoczne tam były wszystkie mięśnie i naczynia krwionośne, jak gdyby ktoś oblał mu skórę środkiem, po którym stała się przezroczysta. Prawą dłoń krył egzozkielet rękawicy, wydłużający palce w mechaniczne struktury zakończone lśniącymi, chirurgicznie ostrymi, srebrnymi szpikulcami.

— Powiedziałem, podnieś to! — warknął po francusku Gaston... a przynajmniej jego głos, gdyż on sam w żaden sposób nie przyczynił się do wypowiedzenia tych słów. — Póki płacę za twoje ubrania, będziesz je szanował.

Młody mężczyzna obrzucił Gastona gniewnym spojrzeniem. Gaston był pewien, że go nie zna, ale był nieco podobny do... kogo? Ciężko było stwierdzić przez tę upiorną, półprzezroczystą twarz, ale wysokie czoło, wąskie usta, chłodne szare oczy, orli nos...

Ostre końcówki przedłużonych palców wsunęły się z warkotem i chłopak podniósł kurtkę mechanicznym kciukiem i palcem wskazującym; trzymając ją tak, jakby była czymś odrażającym. Wzrok Gastona śledził go, gdy szedł przez salon, jednocześnie zauważając, jak wiele innych szczegółów się nie

zgadzało: znajomy układ książek na półkach zmienił się całkowicie, jak gdyby w pewnej chwili ktoś wszystko porządkował. W zasadzie odniósł wrażenie, że książek było znacznie mniej niż powinno, jakby w rodzinnej bibliotece przeprowadzono czystkę. Inny robot, wyglądający jak pająk wielkości rozpostartej ludzkiej dłoni, przemieszczał się po półkach, najwyraźniej odkurzając.

W jednej ze ścian, na której powinna wisieć reprodukcja „Le Moulin de la Galette” Renoira, znajdowała się wnęka z czymś, co wyglądało jak rzeźba Henry’ego Moore’a, chociaż nie, nie mogło tam być żadnej wnęki — to była ściana dzielona z domem sąsiadów. Musiało to być coś płaskiego, hologram lub coś w tym stylu, wiszący na ścianie i dający złudzenie głębi, a jeśli tak, było to złudzenie doskonałe.

Drzwi do szafy również były inne — same się odsunęły, gdy tylko chłopak się do nich zbliżył. Sięgnął do środka, wyjął wieszak i powiesił na nim kurtkę. Następnie odwiesił wieszak do szafy... a kurtka zsunęła się z niego na podłogę.

Ponownie odezwał się ostry głos Gastona:

— Marc, do diabła, nie mógłbyś bardziej uważać?

Marc...

Marc!

*Mon Dieu!*

Dlatego wyglądał znajomo.

Rodzinne podobieństwo.

Marc. Imię, które wybrał z Marie-Claire dla dziecka, które właśnie nosiła.

Marc Béranger.



Gaston nie zdążył nawet wziąć dziecka na ręce, nie czekał, aż mu się odbije, nie zmienił mu ani jednej pieluchy, a oto i ono jako dorosły mężczyzna... przerażający, wrogo nastawiony mężczyzna.

Policzek Marca nawet na chwilę nie przestał mrugać, gdy ten spojrzął na leżącą kurtkę, po czym odszedł od szafy, a drzwi za nim zasunęły się z sykiem.

— Szlag by cię trafił, Marc — rzucił głos Gastona. — Mam już dość twojej postawy. W życiu nie znajdziesz pracy, jeśli się będziesz tak zachowywać.

— Spierdalaj — powiedział chłopak głębokim głosem, w którym pobrzmiwało szyderstwo.

To było pierwsze słowo jego dziecka... nie „mama”, nie „tata” tylko „spierdalaj”.

Wtedy, jakby dla rozwiania wszelkich wątpliwości, w polu widzenia Gastona pojawiła się Marie-Claire, która weszła przez przesuwne drzwi z innego pokoju.

— Nie mów tak do ojca — powiedziała.

Gaston był całkowicie zaskoczony: bez wątpienia była to Marie-Claire, ale przypominała bardziej swoją matkę niż siebie. Miała siwe włosy, twarz poznaczoną zmarszczkami i przybyło jej dobre piętnaście kilo.

— Ty też spierdalaj — oznajmił Marc.

Gaston spodziewał się, że jego głos zaprotestuje mówiąc: „Nie mów tak do matki”. Nie zawiódł się.

Nim Marc się odwrócił, Gaston dostrzegł wygolony tył głowy syna i wszczepione tam metalowe gniazdko.

To musiała być halucynacja. Musiała. Ale jakże okropna! Marie-Claire miała rodzić lada dzień. Długie lata starali się o dziecko... Gaston zarządzał ośrodkiem, w którym z pełną precyzją łączono elektrony z pozytonami, ale jakoś nie potrafił z Marie-Claire doprowadzić do zagnieżdżenia się w jajeczku plemnika, osiem milionów razy większego od cząstek subatomowych. Ale w końcu to nastąpiło; w końcu Bóg się do nich uśmiechnął i w końcu jego żona była w ciąży.

A teraz, po dziewięciu miesiącach byli blisko porodu. Wszystkie zajęcia w szkole rodzenia, wszystkie plany, urządzenie pokoiku dla dziecka... wszystko to miało się wkrótce przydać w rzeczywistości.

A teraz ten sen, bo to musiał być tylko sen. Zły sen. Był tchórzem — najgorsze koszmary w życiu nawiedzały go tuż przed ślubem. Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

Ale było. To było o wiele bardziej rzeczywiste niż którykolwiek z jego snów. Pomyślał o gniazdku z tyłu głowy syna; pomyślał o obrazach wpompowywanych bezpośrednio do mózgu... narkotyk przyszłości?

— Zejdź ze mnie — rzucił Marc. — Miałem ciężki dzień.

— Czyżby? — spytał ociekający sarkazmem głos Gastona. — Ty miałeś ciężki dzień, co? Ciężki dzień spędzony na terroryzowaniu turystów na Starym Mieście, co? Powinienem pozwolić ci zgnić w więzieniu, ty niewdzięczny gnojku...

Gaston był zszokowany tym, jak bardzo przypomina własnego ojca... a przecież zarzekał się, że jego dzieci nigdy nie usłyszą rzeczy, które słyszał od niego, gdy był w wieku Marca.

— Spokojnie, Gaston... — powiedziała Marie-Claire.

— Jeśli on nie docenia tego, co ma...

— Nie potrzebuję tego gówna — parsknął Marc.

— Dość tego! — krzyknęła Marie-Claire. — Dość.

— Nienawidzę was — powiedział Marc. — Nienawidzę was obojga.

Usta Gastona otworzyły się, by odpowiedzieć i wtedy...

...i wtedy nagle znalazł się z powrotem w swoim gabinecie w CERN-ie.

Po przekazaniu informacji o zgonach Michiko Komura natychmiast wróciła do sekretariatu centrali LHC. Chciała się dodzwonić do genewskiej szkoły, do której chodziła jej ośmioletnia córka Tamiko; Michiko była po rozwodzie z pierwszym mężem, dyrektorem z Tokio. Niestety cały czas było zajęte, a szwajcarska firma telekomunikacyjna z jakiegoś powodu nie oferowała automatycznego powiadomienia o zwolnieniu się linii.

Lloyd stał cały czas za nią, aż w końcu odwróciła się w jego stronę ze wzrokiem przepełnionym rozpaczą.

— Nie mogę się dodzwonić — oznajmiła. — Muszę tam jechać.

— Pojadę z tobą — natychmiast odparł Lloyd. Wybiegli z budynku na ciepłe, kwietniowe powietrze. Czerwone słońce już muskało horyzont, a w oddali majaczyły góry.

Choć samochód Michiko, toyota, też stał na parkingu, wzięli wynajętego fiata Lloyda; Lloyd prowadził. Wyjechali z kompleksu CERN-u mijając wysokie, cylindryczne pojemniki z ciekłym helem i znaleźli się na Route de Meyrin, która to ulica poprowadziła ich przez Meyrin, miasteczko na wschód od

CERN-u. Choć widzieli samochody na poboczach, nie wyglądało to gorzej niż po jednej z nieczęstych zimowych burz, oczywiście za wyjątkiem tego, że teraz na ziemi nie leżał śnieg.

Szybko przejechali przez miasto, za którym znajdowało się genewskie lotnisko Cointrin. Słupy czarnego dymu sięgały nieba — duży odrzutowiec Swissair runął na jeden z pasów.

— Mój Boże — powiedziała Michiko i dotknęła knykciami ust.  
— Mój Boże.

Wjechali do samego miasta, znajdującego się na zachodnim krańcu Jeziora Genewskiego. Genewa była bogatą metropolią z dwustoma tysiącami mieszkańców, znaną z eleganckich restauracji i kosmicznie drogich sklepów.

Znaki, które normalnie by się paliły, były ciemne, a wiele samochodów — w większości mercedesy lub inne drogie marki — zjechało z dróg i wbiło się w budynki. Przeszkłone witryny kilku sklepów były rozbite, ale nie widać było szabrowników. Najwyraźniej nawet turyści byli zbyt oszołomieni tym, co się stało, by wykorzystać sytuację.

Widzieli jedną karetkę, której załoga opatrywała staruszka na skraju drogi; słyszeli też syreny wozów strażackich, czy też innych pojazdów ratunkowych. W pewnej chwili dostrzegli nawet helikopter wbity w szklaną ścianę niewielkiego biurowca.

W towarzystwie mew, krążących nad głowami, przejechali most na Rodanie, opuszczając tym samym prawy brzeg z jego patrycjuszowskimi hotelami i wkraczając na historyczny lewy brzeg. Droga przez Vieille Ville — Stare Miasto — była zablokowana przez cztery samochody, które się ze sobą

zderżyły, więc musieli wybrać drogę wąskimi, krętymi uliczkami jednokierunkowymi. Pojechali Rue de la Cité i skręcili w Grand Rue. Jednak i ta ulica była zablokowana — kierowca autobusu genewskiego Przedsiębiorstwa Transportu Publicznego musiał stracić panowanie nad pojazdem, który stanął w poprzek obu pasów. Michiko z każdą minutą była coraz bardziej zdenerwowana. Pojechali inną drogą, ale i tę blokowały uszkodzone samochody.

— Jak daleko do szkoły? — spytał Lloyd.

— Niecały kilometr — odpowiedziała Michiko.

— Chodźmy pieszo. — Wrócił na Grand Rue i zatrzymał samochód na poboczu. Co prawda nie wolno tam było parkować, ale Lloyd uznał, że w zaistniałej sytuacji raczej nikt nie zwróci na to uwagi. Wysiedli z fiata i ruszyli biegiem stromymi, brukowanymi uliczkami. Michiko po chwili zatrzymała się i zdjęła szpilki, by biec szybciej, ale wkrótce musiała założyć je z powrotem, żeby bezpiecznie przejść chodnikiem zasypanym potłuczonym szkłem.

Przebiegli obok Muzeum Barbier-Mueller przy Rue Jean-Calvin, po czym skręcili w Rue du Puits St. Pierre, biegiem mijając siedemsetletnią Maison Tavel, najstarszą prywatną kamienicę w Genewie. Nieznacznie zwolnili dopiero przed ascetycznym kościołem Tempie de l’Auditoire, gdzie niegdyś przemawiał Jan Kalwin i John Knox.

Pomimo łomotania serca i urywanego oddechu, przedzierali się dalej. Z prawej strony minęli Katedrę św. Piotra i dom aukcyjny Christie. Pędem przebiegli rozległy rynek Place du Bourg-de-Four z wianuszkami kawiarnianych ogródków i

cukierniami otaczającymi fontannę na środku. Wielu turystów i genewczyków leżało jeszcze na ulicy, inni siedzieli na ziemi samemu opatrując swoje zadrapania i sińce lub korzystając z pomocy przechodniów.

W końcu dotarli do szkoły przy Rue de Chaudronniers. Szkoła im. Éliego Ducommuna była placówką o wieloletniej tradycji, do której uczęszczały dzieci obcokrajowców pracujących w Genewie lub w jej pobliżu. Główne budynki miały ponad dwieście lat, ale na przestrzeni ostatnich dekad dodano kilka nowych. Pomimo tego, że lekcje kończyły się o czwartej po południu, do szóstej organizowano zajęcia dodatkowe, by pracujący rodzice mogli zostawiać tu dzieci na cały dzień. Teraz, choć dochodziła siódma, wielu dzieci jeszcze nie odebrano.

Michiko była jednym z szeregu rodziców, którzy postanowili przyjechać. Teren wokół szkoły poprzecinany był długimi cieniami rzucanymi przez dyplomatów, bogatych biznesmenów i inne osoby, których dzieci chodziły do Ducommuna. Dziesiątki z nich ścisnęły swoje pociechy, płacząc z ulgi.

Budynki wyglądały na nietknięte. Michiko i Lloyd, sapiąc i dysząc przebiegli przez nienagannie utrzymany trawnik. Starą tradycją szkoły było wywieszanie na zewnątrz flag ojczyzn wszystkich uczniów; Tamiko była tu obecnie jedyną Japonką, ale wschodzące słońce i tak powiewało na wiosennym wietrze.

Wpadli do holu, którego podłoga wyłożona była przepięknym marmurem, a ściany pokrywała ciemna boazeria. Sekretariat znajdował się po prawej i Michiko ruszyła w tę właśnie stronę. Drzwi rozsunęły się, odsłaniając długi drewniany kontuar,

który oddzielał sekretarki od petentów. Michiko podeszła do kontuaru i odezwała się między jednym urywanym oddechem a drugim:

— Dzień dobry, jestem...

— Och, pani Komura — przerwała kobieta wychodząca z gabinetu. — Próbowałam się do pani dodzwonić, ale nie dałam rady. — Przerwała z zakłopotaniem. — Proszę wejść.

Michiko i Lloyd przeszli za kontuar i weszli do biura. Na biurku stał komputer, do którego podłączony był datapad.

— Gdzie Tamiko? — spytała Michiko.

— Proszę — powiedziała kobieta. — Proszę usiąść. — Obrzuciła spojrzeniem Lloyda. — Nazywam się Severin, jestem tu dyrektorką.

— Lloyd Simcoe — przedstawił się Lloyd. — Jestem narzeczonym Michiko.

— Gdzie Tamiko? — ponownie spytała Michiko.

— Bardzo mi przykro, pani Komura. Ja... — przerwała, przełknęła ślinę i mówiła dalej. — Tamiko akurat była na zewnątrz. Na parking wjechał samochód i... Tak bardzo mi przykro.

— Jak ona się czuje? — spytała Michiko.

— Tamiko nie żyje, pani Komura. Wszyscy... nie wiem, co się stało; wszyscy straciliśmy przytomność, czy coś takiego. Kiedy ją odzyskaliśmy, znaleźliśmy Tamiko.

Z oczu Michiko popłynęły łzy. Lloyd poczuł straszny ucisk w klatce piersiowej. Michiko doszła do krzesła, opadła na nie bezwładnie i zakryła twarz dłońmi. Lloyd uklęknął przy niej, obejmując ją ramieniem.

— Tak bardzo mi przykro — powiedziała Severin.

Lloyd skinął.

— To nie pani wina.

Michiko szlochala jeszcze przez chwilę, po czym podniosła wzrok. Jej oczy były zaczerwienione.

— Chcę ją zobaczyć.

— Nadal jest na parkingu. Przepraszam... wezwaliśmy policję, ale jeszcze nie przyjechali.

— Proszę mnie tam zaprowadzić — powiedziała Michiko łamiącym się głosem.

Severin skinęła głową i wyprowadziła ich na zewnątrz, za budynek. Stała tam grupa innych uczniów, przyglądających się ciału, przerażonych widokiem, a jednocześnie z niezrozumiałych przyczyn przyciąganych w to miejsce. Personel był zbyt zajęty rannymi dziećmi, by móc zaprowadzić wszystkie pozostałe do szkoły.

Tamiko leżała... po prostu leżała. Nie widać było krwi, a jej ciało wyglądało na nietknięte. Samochód, który prawdopodobnie ją uderzył, stał kilka metrów dalej zaparkowany pod kątem. Miał wgnieciony zderzak.

Michiko podeszła na odległość pięciu metrów, po czym całkiem się załamała i zaniósła głośnym płaczem. Lloyd objął ją i przytrzymał w ramionach. Severin przez chwilę stała w pobliżu, ale wkrótce ktoś zabrał ją na spotkanie z innym rodzicem i innym problemem.

W końcu, na życzenie Michiko, Lloyd zaprowadził ją do ciała. Pochylił się nad nim ze wzrokiem zamglonym łzami i sercem



rozdzieranym bólem i delikatnie odgarnął Tamiko włosy z twarzy.

Lloydowi zabrakło słów; cóż pocieszającego mógłby powiedzieć w takiej chwili? Stał tam może pół godziny, tuląc Michiko, której ciało przez cały czas wstrząsane było płaczem.

## 3.

Theo Procopides chwiejnym krokiem przemierzył wyłożony mozaikami korytarz i dotarł do swojego maleńkiego biura, którego ściany oklejone były plakatami z kreskówek: tu wisiał Asteriks, tam Ren i Stimpy, a nad biurkiem Królik Bugs, Fred Flinstone oraz Gaga z Wagi.

Był w szoku i kręciło mu się w głowie. Sam nie doświadczył żadnej wizji, najwyraźniej w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych. Utrata przytomności w zupełności by wystarczyła do wytrącenia go z równowagi, ale dochodziły do tego obrażenia przyjaciół i współpracowników oraz wieści o zgonach w Genewie i okolicznych miastach. Był całkowicie zdruzgotany.

Zdawał sobie sprawę z tego, że w oczach innych był osobą pewną siebie i arogancką, ale to nie była prawda. W rzeczywistości, w głębi, taki nie był. Po prostu wiedział, że jest dobry w tym, co robi oraz że gdy inni tylko gadali o swoich marzeniach, on dzień w dzień ciężko pracował nad realizacją własnych. Ale to... po czymś takim był oszołomiony i zdezorientowany.

Wciąż napływały nowe doniesienia. Sto jedenaście osób zginęło, gdy Boeing 797 linii Swissair rozbił się na lotnisku w Genewie. W normalnych warunkach być może ktoś przeżyłby katastrofę, ale tym razem nikt nie zdążył opuścić wraku nim ten stanął w płomieniach.

Theo opadł na swój czarny, skórzany fotel obrotowy. Widział unoszący się w oddali dym — jego okno wychodziło na lotnisko. Żeby dostać pokój z widokiem na góry musiałby zajmować znacznie wyższe stanowisko.

Ani on, ani Lloyd nie chcieli, by ktoś ucierpiał. Cholera, Theo nawet nie potrafił sobie wyobrazić, co mogło spowodować utratę przytomności. Gigantyczny impuls elektromagnetyczny? Nie, to z pewnością bardziej by zaszkodziło komputerom niż ludziom, a wszystkie delikatne urządzenia w CERN-ie działały normalnie.

Siadając, Theo obrócił fotel tak, że siedział tyłem do otwartych drzwi. Nie wiedział, że ktoś przyszedł, póki nie usłyszał chrząknięcia jakiegoś mężczyzny. Obrócił fotel. Okazało się, że to Jacob Horowitz, młody magistrant pracujący z Theo i Lloydem. Miał gęstą czuprynę rudych włosów i twarz całą obsypaną piegami.

— To nie wasza wina — oznajmił stanowczo Jake.

— Pewnie, że nasza — odparł Theo, jakby to było oczywiste.

— Widocznie nie uwzględniliśmy jakiegoś ważnego czynnika i...

— Nie — przerwał zdecydowanie Jake. — Nie, naprawdę. To nie wasza wina. To nie miało nic wspólnego z CERN-em.

— Co? — spytał Theo, jakby nie zrozumiał słów Jake'a.

— Zejdź na dół do holu.

— Nie chcę się teraz z nikim widzieć, a...

— Nie, chodź. Włączyli CNN i...

— To CNN już o tym wie?

— Zobaczysz. Chodź.

Theo wstał szybko i wyszedł. Jake cały czas go pospieszał, aż w końcu pobiegli truchtem. Gdy dotarli na miejsce, w holu zgromadzonych było około dwudziestu osób.

— ...mówiła Helen Michaels z Nowego Jorku. Oddaję ci głos, Bernie.

Poważna, poznaczona zmarszczkami twarz Bernarda Shawa wypełniła ekran o dużej rozdzielczości.

— Dziękuję, Helen. Jak państwo widzą — powiedział w stronę kamery — zjawisko to zdaje się mieć zasięg ogólnoswiatowy. Oznacza to, że wstępne analizy mówiące o jakimś rodzaju obcej broni nie wydają się prawdopodobne, choć oczywiście nie można całkowicie wykluczyć zamachu terrorystycznego. Jednak, póki co, żadne wiarygodne ugrupowanie nie wzięło na siebie odpowiedzialności... a teraz obiecywana przed chwilą transmisja z Australii.

Na ekranie pojawiło się Sydney z białymi żaglami budynku opery w tle, wyraźnie odcinającymi się od ciemnego nieba. Centralne miejsce ujęcia zajmował reporter.

— Witaj Bernie, tu w Sydney właśnie minęła czwarta nad ranem. Trudno by było za pomocą jednego obrazu przedstawić, co się tu wydarzyło. Powoli docierają do nas różne relacje, gdyż ludzie dopiero teraz dowiadują się, że ich doświadczenia nie były odosobnionym zjawiskiem. Doszło też do wielu tragedii: dowiedzieliśmy się, że w szpitalu w centrum pewna kobieta zmarła w trakcie operacji, gdyż wszyscy w sali operacyjnej nagle przerwali na kilka minut pracę. Ale dotarła do nas też historia nieudanego napadu na całodobowy sklep spożywczy, w którym wszyscy, łącznie ze złodziejem, o drugiej nad ranem

miejscowego czasu stracili przytomność. Najwyraźniej złodziej uderzył się w głowę upadając, a jeden z klientów, gdy tylko się ocknął, zdążył odebrać mu broń. Nadal trudno stwierdzić, ile osób zginęło tutaj, w Sydney, o reszcie Australii nie wspominając.

— A co z halucynacjami, Paul? Czy w Australii ludzie także ich doświadczyli?

Nastąpiła chwila przerwy, w trakcie której pytanie Shawa docierało drogą satelitarną z Atlanty do Australii.

— Naturalnie, od dyskusji na ten temat aż huczy. Nie wiemy, jaki odsetek populacji doświadczył halucynacji, ale wszystko wskazuje na to, że znaczny. Sam miałem bardzo żywą wizję.

— Dzięki, Paul. — Za Shawem pojawiła się grafika prezentująca herb prezydenta Stanów Zjednoczonych. — Dowiedzieliśmy się, że za piętnaście minut prezydent Boulton wygłosi orędzie do narodu. Oczywiście stacja CNN przeprowadzi transmisję na żywo z tego wydarzenia. A tymczasem przenieśmy się do Stambułu w Turcji. Yusef, słyszysz mnie...?

— Sam widzisz — rzucił Jake półgłosem. — To nie miało nic wspólnego z CERN-em.

Theo przeżył szok, równocześnie odczuwając wielką ulgę. To coś dotknęło całej planety, z pewnością nie był to ich eksperyment.

Ale...

Ale jeśli nie miało to związku z eksperymentem LHC, jaka niby mogłaby być przyczyna? Czy Shaw miał rację... czy była to jakaś broń terrorystów? Od wystąpienia zjawiska minęło

niewiele ponad dwie godziny. Zespół CNN wykazał się ogromnym profesjonalizmem. Sam Theo do tej pory nie odzyskał równowagi.

Ilu ofiar śmiertelnych można się spodziewać po tym, jak cała ludzkość traci przytomność na dwie minuty?

Ile samochodów się rozbiło?

Ile samolotów spadło? Ilu lotniarzy? Ilu spadochroniarzy straciło przytomność przed pociągnięciem za linę?

Ile operacji się nie udało? Ile porodów?

Ile osób spadło z drabin lub schodów?

Naturalnie większość samolotów mogła bez przeszkód kontynuować lot przez minutę lub dwie bez interwencji pilota, chyba że akurat startowały lub lądowały. Na pustych ulicach samochody mogły bezpiecznie się zatrzymać.

A jednak...

— Zaskakujące — odezwał się Bernard Shaw w telewizji — że według naszych ustaleń ludzkość straciła przytomność dokładnie w południe czasu wschodniego. Z początku wydawało się, że w grę wchodzi różne godziny, ale porównaliśmy wszystko z naszymi zegarami w siedzibie CNN w Atlancie, które oczywiście ustawiane są za pomocą sygnału z Narodowego Instytutu Standaryzacji i Technologii w Boulder w Kolorado. Uwzględniając rozbieżności w ustawieniu zegarów poszczególnych osób, doszliśmy do wniosku, że zjawisko to wystąpiło co do sekundy w południe czasu wschodniego, a...

Co do sekundy, pomyślał Theo.

Co do sekundy

Jezu Chryste.

CERN oczywiście korzystał z zegara atomowego. Początek eksperymentu zaplanowano dokładnie na siedemnastą czasu genewskiego, czyli...

...południe w Atlancie.

— Od dwóch godzin towarzyszy nam astronom Donald Poort z Georgia Tech — oznajmił Shaw. — Miał być gościem programu porannego CNN i na szczęście był już z nami w studio. Doktor Poort jest nieco blady, prosimy o wyrozumiałość. Nie zdążyliśmy nałożyć makijażu przed wejściem na antenę. Dziękuję, że zgodził się pan do nas dołączyć, doktorze Poort.

Poort był mężczyzną po pięćdziesiątce o szczupłej, wynędzniałej twarzy. W świetle reflektorów faktycznie wyglądał blado, jak gdyby nie widział słońca od kadencji Clintona.

— Dziękuję, Bernie.

— Proszę powiedzieć nam jeszcze raz, co się stało, doktorze Poort.

— No cóż, jak pan zauważył, zjawisko nastąpiło w samo południe. Każda godzina zawiera trzy tysiące sześćset sekund, tak więc naturalnie szanse na to, że przypadkowe zdarzenie wystąpi dokładnie o pełnej godzinie, używając ulubionego sformułowania prezenterów, są jak jeden do trzech tysięcy sześciuset, czyli inaczej mówiąc, strasznie małe. Co z kolei pozwala mi sądzić, iż faktycznie mamy do czynienia z wydarzeniem spowodowanym przez człowieka, którego wystąpienie zostało zaplanowane. Jednak nie mam pojęcia, co mogło być przyczyną...

Cholera, pomyślał Theo. Jasna cholera. Przyczyną musiał być eksperyment LHC, to nie mógł być przypadek, że zderzenie cząstek o najwyższej energii w historii planety idealnie zbiegło się w czasie z początkiem zjawiska.

Nie. Nie, to nieuczciwe określenie. To żadne zjawisko, tylko katastrofa... najprawdopodobniej największa w historii ludzkości.

I on, Theo Procopides, przyłożył do niej rękę.

W tej chwili do holu wszedł Gaston Béranger, dyrektor generalny CERN-u.

— Tu pan jest! — rzucił, jakby Theo zniknął na kilka tygodni.

Theo wymienił nerwowe spojrzenie z Jakiem, po czym odwrócił się w stronę dyrektora.

— Witam, doktorze Béranger.

— Co żeście do cholery narobili? — wyrzucił z siebie po francusku wściekły Béranger. — I gdzie jest Simcoe?

— Lloyd pojechał z Michiko po jej córkę... do szkoły Ducommuna.

— Co się stało? — zażądał wyjaśnień Béranger.

Theo rozłożył bezradnie ręce.

— Nie mam pojęcia. Nie mam absolutnie żadnego pomysłu, co mogło być przyczyną.

— To... cokolwiek to było, nastąpiło dokładnie w chwili, na którą zaplanowano początek waszego eksperymentu w LHC — stwierdził Béranger.

Theo skinął głową i wskazał kciukiem telewizor.

— Bernard Shaw też tak twierdzi.



— CNN już o tym mówi! — jęknął Francuz, jakby teraz już wszystko było stracone. — Skąd się dowiedzieli o waszym eksperymencie?

— Shaw nie mówił nic o CERN-ie. Tylko...

— Dzięki Bogu! Proszę posłuchać, nikomu ani słowa o tym, co robiliście, rozumie pan?

— Ale...

— Ani słowa. Straty bez wątpienia wynoszą miliardy, jeśli nie biliony. Nasze ubezpieczenie pokryje z tego co najwyżej niewielki odsetek.

Theo nie znał za dobrze Bérangera, ale widocznie wszyscy administratorzy naukowci świata ulepiani byli z tej samej gliny. I słuchając jego wywodu na temat winy, młody Grek spojrział na wszystko trzeźwiejszym okiem.

— Cholera, nijak nie mogliśmy czegoś takiego przewidzieć. Na całym świecie nie znajdzie się ekspert, który stwierdzi, że można było przewidzieć taki rezultat naszego eksperymentu. Niemniej jednak wydarzyło się coś, czego nikt nigdy wcześniej nie doświadczył i tylko my mamy jakieś pojęcie na temat przyczyny. Musimy to zbadać.

— Oczywiście, że zbadamy — stwierdził Béranger. — Już wysłałem ponad czterdziestu inżynierów do tunelu. Ale musimy zachować ostrożność, nie tylko dla dobra CERN-u. Sądzi pan, że nie pojawią się indywidualne i zbiorowe pozwy przeciwko każdemu z członków waszego zespołu projektowego? Bez względu na to, jak nieprzewidywalny był rezultat, znajdą się tacy, którzy powiedzą, że jest to wynik

poważnego zaniedbania karanego sędownie i że powinniśmy zostać pociągnięci do odpowiedzialności.

— Pozwy?

— Zgadza się. — Béranger podniósł głos. — Uwaga! Proszę wszystkich o uwagę!

Twarze obecnych zwróciły się w jego stronę.

— Oto jak podejmiemy do tej sprawy — oznajmił. — Nikomu spoza placówki nie wolno wspomnieć o ewentualnym związku CERN-u z zaistniałą sytuacją. W razie maili lub telefonów z zapytaniami o eksperyment w LHC, który miał zostać dziś przeprowadzony, proszę odpowiadać, że planowany początek został przesunięty na siedemnastą trzydzieści z powodu awarii komputera, a w związku z wiadomym wydarzeniem zderzacz w ogóle nie został dziś uruchomiony. Czy to jasne? Ponadto, zabraniam jakichkolwiek kontaktów z prasą, wszelkie informacje mają przejść przez biuro prasowe, jasne?

I na litość boską, nikomu nie wolno uruchamiać LHC bez mojej pisemnej zgody. Czy wszystko jasne?

Odpowiedziały mu skinięcia.

— Poradzimy sobie z tym jakoś — powiedział Béranger.

— Obiecuję. Ale będziemy musieli współpracować. — Zniżył głos i zwrócił się do Theo. — Żądam codziennych raportów z ustaleń. — Odwrócił się w stronę wyjścia.

— Chwileczkę — zawołał Theo. — Czy mógłby pan wyznaczyć jedną z sekretarek do oglądania CNN? Ktoś powinien kontrolować media, w razie gdyby pojawiło się coś ważnego.

— Odrobinę zaufania — powiedział Béranger. — Wyznaczę ludzi do oglądania nie tylko CNN, ale i BBC World Service,

wszystkich francuskich stacji informacyjnych, CBC Newsworld i wszystkich innych kanałów, które da się odebrać przez satelitę. I wszystko nagramy. Będę oczekiwał dokładnych sprawozdań ze wszystkich transmisji na bieżąco; nie chcę, żeby potem ktoś zawyżył wartość roszczeń.

— Bardziej interesują mnie pomysły dotyczące przyczyn tego zjawiska — stwierdził Theo.

— Tym oczywiście także się zajmiemy — powiedział Béranger. — Proszę pamiętać o składaniu raportów o każdej pełnej godzinie.

Theo skinął i Béranger wyszedł. Theo przez chwilę pocierał sobie skronie. Cholera, szkoda, że Lloyda nie ma.

— Cóż — odezwał się w końcu do Jake'a. — Chyba czas na pełną diagnostykę wszystkich systemów w centrum sterowania; musimy sprawdzić, czy coś nie nawaliło. I zbierzmy całą grupę, zobaczymy, co się da wyciągnąć z halucynacji.

— Pozbieram ludzi — powiedział Jake.

— Dobrze — zgodził się Theo. — Skorzystamy z dużej sali konferencyjnej na drugim piętrze.

— OK — rzucił Jake. — Postaram się tam dotrzeć jak najszybciej.

Theo skinął i Jake wyszedł. Theo wiedział, że też powinien natychmiast przystąpić do działania, ale przez chwilę nie był w stanie ruszyć się z miejsca, nadal oszołomiony tym, co się stało.

Michiko zdołała się zebrać w sobie na tyle, by spróbować dodzwonić się do ojca Tamiko w Tokio, choć nie było tam jeszcze czwartej rano. Niestety linie telefoniczne były zajęte. Nie była to wiadomość, jaką chciałoby się przekazywać mailem, ale

jeśli jakikolwiek system komunikacji międzynarodowej jeszcze działał, był to Internet, dziecko Zimnej Wojny zaprojektowane z myślą o całkowitej decentralizacji, by istniała możliwość przekazywania informacji bez względu na to, ile węzłów zniszczą bomby wroga. Na jednym ze szkolnych komputerów napisała krótką wiadomość po angielsku... w mieszkaniu miała japońską klawiaturę, ale tu taka nie była dostępna. W zasadzie to Lloyd musiał wysłać wiadomość, gdyż Michiko załamała się tuż przed naciśnięciem ostatniego klawisza.

Lloyd nie wiedział, co powiedzieć, czy zrobić. W normalnych warunkach śmierć dziecka była największą tragedią, jaka mogła spotkać rodzica, ale dziś Michiko z pewnością nie była jedyną matką, która tego doświadczyła. Dookoła było tyle śmierci, tyle szkód, tyle zniszczeń. Naturalnie horror rozgrywający się na świecie nie sprawiał, że śmierć Tamiko łatwiej było znieść, ale...

...ale było kilka rzeczy do zrobienia. Być może Lloyd w ogóle nie powinien był opuszczać CERN-u. W końcu to eksperyment jego i Theo najprawdopodobniej był przyczyną wszystkich wydarzeń. Bez wątplenia pojechał z Michiko nie tylko ze względu na swoją miłość do niej i troskę o Tamiko; częściowo chciał po prostu uciec od tego, co poszło nie tak.

Ale teraz...

Teraz musieli wrócić do CERN-u. Jeżeli ktokolwiek mógł ustalić, co się stało... nie tylko tu, ale zgodnie z doniesieniami radiowymi i relacjami innych rodziców, które słyszał, na całym świecie... to tylko ludzie z CERN-u. Nie mogli czekać, aż karetka przyjedzie zabrać ciało, bo mogło to potrwać całe godziny lub

nawet dni. Poza tym, zgodnie z prawem zapewne nie wolno było zabrać ciała, póki nie zezwoli na to policja, choć było mało prawdopodobne, by kierowca mógł zostać pociągnięty do odpowiedzialności.

W końcu wróciła Severin i zaoferowała, że razem z personelem zajmą się ciałem Tamiko do przyjazdu policji.

Twarz Michiko była spuchnięta i zaczerwieniona, a jej oczy przekrwione. Płakała tak długo, że brakło jej łez, ale i tak co kilka minut jej ciałem targały wstrząsy, jakby nadal szlochała.

Lloyd także kochał małą Tamiko, która miała być jego pasierbicą. Tak długo pocieszał Michiko, że sam nie miał jeszcze chwili, by się rozplakać; wiedział, że ta chwila w końcu nadejdzie... ale póki co, musiał być silny. Palcem wskazującym delikatnie uniósł brodę Michiko. Był gotowy użyć słów takich jak obowiązek, odpowiedzialność, zadanie do wykonania, musimy iść, ale Michiko na swój sposób również była silna, mądra i cudowna, a on kochał ją bezgranicznie... i ostatecznie słowa okazały się zbędne. Zdobyła się na nieznaczne skinienie, a jej usta drżały.

— Wiem — powiedziała po angielsku cichutkim, surowym głosem. — Musimy wracać do CERN-u.

Pomógł jej iść, obejmując ją ramieniem w pasie i przytrzymując za łokieć. Wycie syren nie ustawało... karetki, wozy strażacki i policyjne to szczebiotwały, to wyły, zgodnie z efektem Dopplera, nieustannie dźwięcząc w tle od chwili wystąpienia zjawiska. Wrócili do samochodu Lloyda w przyćmionym, wieczornym świetle, gdyż wiele latarni nie działało, a następnie zaśmieconymi ulicami dojechali do CERN-

u. Michiko przez całą drogę obejmowała się kurczowo ramionami.

W drodze powrotnej Lloyd przypomniał sobie pewne wydarzenie, o którym opowiadała mu matka. Sam był wówczas dzieckiem zbyt małym, by to pamiętać: noc, gdy zgasły światła podczas wielkiej awarii energetycznej w północno-wschodniej Ameryce w 1965 roku. Prądu nie było przez kilka godzin. Tamtej nocy matka siedziała z nim sama w domu; powiedziała mu, że ktokolwiek przeżyje takie zaciemnienie, do końca życia będzie pamiętał, gdzie znajdował się w chwili, gdy wyłączyli prąd.

W tym przypadku będzie podobnie. Wszyscy będą pamiętali, gdzie byli w chwili utraty przytomności, którą również można by nazwać swego rodzaju zaciemnieniem.

To znaczy wszyscy, którzy przeżyli.

## 4.

Do powrotu Lloyda i Michiko, Jake i Theo zdążyli zgromadzić grupę pracowników LHC w sali konferencyjnej na pierwszym piętrze centrali.

Większość personelu CERN-u mieszkała w szwajcarskim Meyrin (które graniczyło ze wschodnim krańcem kompleksu), dwanaście kilometrów dalej w Genewie lub we francuskim St. Genis lub Thoiry, na północny zachód od CERN-u. Ale pochodzili z krajów całej Europy, jak również reszty świata. Twarze wpatrzone teraz w Lloyda były przeróżne. Dołączyła do nich także Michiko, choć myślami błędziła daleko, a jej oczy były przeszkłone. Siedziała tylko na krześle, kiwając się powoli w przód i w tył.

Spotkanie prowadził Lloyd jako szef projektu. Wodził wzrokiem od jednej osoby do drugiej.

— Theo przekazał mi, co mówią w CNN. Wygląda na to, że na całym świecie wystąpiły przeróżne halucynacje. — Wziął głęboki oddech. Skupienie, konkretny cel... tego teraz najbardziej potrzebował. — Spróbujmy ustalić, co dokładnie się wydarzyło. Możemy mówić po kolei? Nie wchodźcie w szczegóły, spróbujcie jednym zdaniem opisać, co widzieliście. Jeśli wam to nie przeszkadza, będę robił notatki. Olafie, możemy zacząć od ciebie?

— Chyba tak — zgodził się umięśniony blondyn. — Byłem w domku letniskowym moich rodziców, mają taki niedaleko

Sundsvall.

— Innymi słowy — wtrącił Lloyd — było to miejsce, które znasz?

— Zdecydowanie.

— A jak wierna była wizja?

— Bardzo. Domek wyglądał dokładnie tak, jak go pamiętam.

— Czy prócz ciebie był tam ktoś jeszcze?

— Nie... co akurat mnie dziwi. Jeżdżę tam tylko po to, by spotkać się z rodzicami, a ich tam nie było.

Lloyd przypomniał sobie swoją pomarszczoną twarz widzianą w lustrze.

— Czy... widziałeś siebie?

— Na przykład w lustrze? Nie.

— OK — rzucił Lloyd. — Dzięki.

Sąsiadką Olafa była czarnoskóra kobieta w średnim wieku. Lloyd poczuł się niezręcznie; wiedział, że powinien znać jej imię, ale nie znał. W końcu po prostu się uśmiechnął i powiedział:

— Idźmy dalej.

— Myślę, że byłam w centrum Nairobi — powiedziała kobieta. — Była noc. Ciepły wieczór. Wydawało mi się, że ta ulica to Dinesen Street, ale była za bardzo zabudowana. I stał tam McDonalds.

— W Kenii nie ma McDonaldsów? — spytał Lloyd.

— Pewnie, że są, ale... chodzi o to, że był tam napis „McDonald’s”, ale logo wyglądało inaczej. Zamiast złotych łuków mieli wielkie M, w którym wszystkie linie były proste... bardzo nowoczesne.



— Czyli Olaf w swojej wizji był w miejscu, które dobrze znał, a ty w miejscu, w którym nigdy nie byłaś, a przynajmniej którego nigdy nie widziałaś?

Kobieta skinęła głową.

— Na to wygląda.

Michiko siedziała cztery osoby dalej. Lloyd nie potrafił stwierdzić, czy cokolwiek do niej dociera.

— A ty, Franco? — zapytał Lloyd.

Franco Della Robbia wzruszył ramionami.

— Byłem w Rzymie, w nocy. Ale... sam nie wiem... to musiała być jakaś gra komputerowa, serio. Jakaś rzeczywistość wirtualna.

Lloyd pochylił się w jego stronę.

— Dlaczego tak uważasz?

— No bo z jednej strony to był Rzym. Byłem tuż przy Koloseum. I jechałem samochodem, choć tak naprawdę go nie prowadziłem. Samochód jakby sam sobą kierował. Nie wiem, jak to wyglądało w przypadku samochodu, w którym siedziałem, ale wiele innych unosiło się jakieś dwadzieścia centymetrów nad ziemią. — Kolejne wzruszenie ramionami. — Jak powiedziałem, to pewnie jakiś symulator.

Sven i Antonia, którzy już wcześniej mówili o latających samochodach, pokiwali energicznie głowami.

— Widziałem to samo — powiedział Sven. — To znaczy, nie Rzym... ale widziałem samochody unoszące się w powietrzu.

— Ja też — rzuciła Antonia.

— Fascynujące — stwierdził Lloyd. Odwrócił się do swojego magistranta, Jacoba Horowitza. — A co ty widziałeś, Jake?

Jake miał wysoki, piskliwy głos. Nerwowo przeczesał rude włosy piegowatymi dłońmi.

— Byłem w jakimś laboratorium, całkiem nijakim. Z żółtymi ścianami. Na jednej ze ścian wisiał układ okresowy po angielsku. Była tam też Carly Tompkins.

— Kto? — spytał Lloyd.

— Carly Tompkins. A przynajmniej wydaje mi się, że to ona. Wyglądała znacznie starszej niż kiedy ostatnio ją widziałem.

— Kim jest Carly Tompkins?

Za Jake'a odpowiedział Theo Procopides, siedzący kilka miejsc dalej.

— Powinieneś ją znać, Lloyd... to kanadyjska badaczka. Zajmuje się mezonami. Z tego co wiem, pracuje w TRIUMF-ie.

Jake przytaknął.

— Zgadza się. Spotkałem ją tylko kilka razy, ale jestem raczej pewien, że to była ona.

Następna w kolejce Antonia uniosła brwi.

— Jeśli Carly pojawiła się w wizji Jake'a, to ciekawe, czy Jake pojawił się w jej wizji?

Wszyscy rzucili Włoszce zaintrygowane spojrzenia. Lloyd wzruszył ramionami.

— Jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić. Możemy do niej zadzwonić. — Spojrzał na Jake'a. — Masz do niej numer?

Jake pokręcił głową.

— Jak powiedziałem, ledwo ją znam. Byliśmy razem na kilku seminariach na ostatnim spotkaniu APS-u<sup>[1]</sup> i byłem na jej wykładzie o chromodynamice.

— Jeśli należy do APS-u — powiedziała Antonia — to będzie w książce telefonicznej. — Przedreptała przez salę i przeszukała półkę, zdejmując z niej cienką książkę w gładkiej kartonowej okładce. Przerzuciła strony. — Jest — stwierdziła. — Numer do domu i do pracy.

— Ale... nie chcę do niej dzwonić — oznajmił Jake.

Lloyd był zaskoczony jego niechęcią, ale nie drążył tematu.

— W porządku. Zresztą nie powinieneś z nią rozmawiać. Sprawdzimy, czy sama wpadnie na twoje nazwisko.

— Poza tym możesz się nie dodzwonić — stwierdził Sven.

— Linie są zablokowane, bo ludzie próbują skontaktować się z rodziną i znajomymi... nie mówiąc o wszystkich liniach zerwanych przy drogach.

— Zawsze warto spróbować — powiedział Theo. Wstał, przeszedł na drugi koniec sali i zabrał Antonii książkę telefoniczną. Następnie spojrzął na telefon i z powrotem na numer w książce. — Jak się stąd dzwoni do Kanady?

— Tak samo, jak do Stanów — wyjaśnił Lloyd. — Kierunkowy kraju jest ten sam: zero jeden.

Palec Theo zatańczył na klawiaturze, wprowadzając długi ciąg cyfr. Następnie specjalnie dla zgromadzonych wokół pokazywał na palcach, ile dzwonek już wybrzmiało. Jeden. Dwa. Trzy. Cztery...

— Witam. Chciałbym rozmawiać z Carly Tompkins. O, witam doktor Tompkins. Dzwonię z Genewy, z CERN-u. Jest tutaj kilka osób, czy nie będzie pani przeszkadzało, jeśli włączę głośnik?

Odpowiedział mu zaspany głos:

— ...jak pan sobie życzy. Co się stało?

— Chcielibyśmy się dowiedzieć, co pani zobaczyła po utracie przytomności.

— Słucham? Czy to jakiś dowcip?

Theo rzucił spojrzenie Lloydowi.

— Ona nic nie wie.

Lloyd odchrząknął i zabrał głos.

— Doktor Tompkins, mówi Lloyd Simcoe. Też jestem z Kanady, choć do 2007 roku byłem członkiem grupy D-Zero w Fermilabie, a od dwóch lat pracuję w CERN-ie. — Przerwał, niepewny, co jeszcze powiedzieć. W końcu zdecydował się na:

— Która jest u pani godzina?

— Prawie południe. — Dźwięk stłumionego ziewnięcia.

— Mam dzisiaj wolne i odsypiam. O co chodzi?

— Więc dziś jeszcze pani nie wstała?

— Nie.

— Czy ma pani w pobliżu telewizor? — zapytał Lloyd.

— Tak.

— Proszę go włączyć i obejrzeć wiadomości.

Sprawiła wrażenie poirytowanej.

— Kiepsko odbieramy szwajcarskie wiadomości w Kolumbii Brytyjskiej.

— Nie muszą być szwajcarskie. Proszę włączyć dowolną stację informacyjną.

Cała sala usłyszała, jak Tompkins wzdycha do słuchawki.

— Dobrze. Chwileczkę.

W tle usłyszeli stłumioną stację CBC Newsworld. Po ciągnącej się w nieskończoność chwili Tompkins wróciła do telefonu.

— O mój Boże — powiedziała. — O mój Boże.

— Ale pani całe to wydarzenie przespała? — spytał Theo.

— Obawiam się, że tak — powiedział głos oddalony o pół świata. Sekunda ciszy — Dlaczego do mnie dzwonicie?

— Czy w wiadomościach mówili już o wizjach?

— Joel Gotlib rozwodzi się właśnie na ten temat — odpowiedziała, prawdopodobnie mając na myśli jakiegoś kanadyjskiego prezentera. — To brzmi jak jakieś szaleństwo. Zresztą nic takiego mi się nie przytrafiło.

— Rozumiem — powiedział Lloyd. — Przepraszamy, że panią obudziliśmy, doktor Tompkins. Będziemy...

— Chwila — przerwał Theo.

Lloyd spojrział na młodszego kolegę.

— Doktor Tompkins, nazywam się Theo Procopides. Zdaje się, że spotkaliśmy się raz, czy dwa na konferencjach.

— Skoro pan tak twierdzi — powiedział głos Tompkins.

— Doktor Tompkins — kontynuował Theo. — Jestem w podobnej sytuacji... też niczego nie doświadczyłem. Żadnej wizji, snu, niczego.

— Snu? — spytał głos Tompkins. — Teraz, jak pan wspomniał, to przypomniał mi się sen. Nieco dziwny, bo w kolorach... a ja nigdy nie miewam kolorowych snów. Pamiętam, że był w nim taki rudy facet.

Na twarzy Theo odmalowało się rozczarowanie... przez chwilę cieszył się, że nie jest sam. Tymczasem wszyscy pozostali unieśli brwi i zwrócili się w stronę Jake'a.

— Ale to nie koniec — dodała Carly. — Miał białiznę czerwoną jak jego włosy.

Młody Jake oblał się rumieńcem we wspomnianym kolorze.

— Bieliznę? — spytał Lloyd.

— Zgadza się.

— Czy zna pani tego mężczyznę? — zapytał Lloyd.

— Nie, nie sędzę.

— Nie przypominał nikogo znajomego?

— Raczej nie.

Lloyd przysunął się do telefonu.

— A może... może ojca kogoś, kogo pani zna? Czy wyglądał, jak czyjś ojciec?

— Do czego pan zmierza? — zdziwiła się Tompkins.

Lloyd westchnął i rozejrzał się po sali sprawdzając, czy nikt nie chce mu przerwać. Nikt nie chciał.

— Czy mówi pani coś nazwisko Jacob Horowitz?

— Nie... zaraz. Racja. No pewnie. To jego mi przypominał. Tak, to był Jacob Horowitz, ale... o rany... powinien się za siebie wziąć. Wyglądał, jakby postarzał się o kilkadziesiąt lat od kiedy ostatni raz go widziałam.

Antonia wydała stłumiony okrzyk zdziwienia. Lloyd czuł, jak wali mu serce.

— Przepraszam — rzuciła Carly — ale chciałabym sprawdzić, czy nikomu z rodziny nic się nie stało. Moi rodzice są w Winnipeg, muszę się zbierać.

— Czy możemy zadzwonić jeszcze raz za jakiś czas? — spytał Lloyd. — Bo widzi pani, jest tu Jacob Horowitz i wygląda na to, że jego wizja pokrywa się z pani... przynajmniej częściowo. Mówił, że był w laboratorium, ale...

— Zgadza się. To było laboratorium.

Do głosu Lloyd'a wkradło się niedowierzanie.

— I był w samej bieliźnie?

— No nie do samego końca wizji. Przepraszam, naprawdę muszę kończyć.

— Dziękuję — powiedział Lloyd. — Do widzenia.

— Do widzenia.

W głośniku pojawił się szwajcarski sygnał zgłoszenia. Theo sięgnął do telefonu i odłożył słuchawkę.

Jacob Horowitz nadal wyglądał na zdecydowanie zażenowanego. Lloyd chciał powiedzieć, że prawdopodobnie połowa fizyków, których zna, robiła to kiedyś w laboratorium, ale młody mężczyzna wyglądał, jakby miał się kompletnie załamać, jeśli tylko ktoś się do niego odezwie. Lloyd wrócił do osób siedzących w kole.

— No dobrze — powiedział. — Dobrze. Powiem to, bo wiem, że wszyscy już o tym myślicie. Cokolwiek się tu wydarzyło, spowodowało jakiś efekt czasowy. Wizje nie były halucynacjami, ale fragmentami prawdziwej przyszłości. Silnym dowodem na poparcie tej tezy jest fakt, że Jacob Horowitz i Carly Tompkins najwyraźniej widzieli to samo.

— Ale wizja Raoula była psychodeliczna, tak słyszałem — powiedział Theo.

— Tak — potwierdził Raoul. — Coś jak sen.

— Jak sen — powtórzyła Michiko. Jej oczy nadal były zaczerwienione, ale reagowała na to, co działo się dookoła.

Nic więcej nie powiedziała, a do Antonii dopiero po chwili dotarło znaczenie tych słów i rozwinęła myśl.

— Michiko ma rację — powiedziała włoska fizyk. — Nic w tym tajemniczego... najwidoczniej w chwili, której dotyczyły

wizje, Raoul spał i coś mu się śniło.

— Ale to szaleństwo — oburzył się Theo. — Ja na przykład nie miałem żadnej wizji.

— A czego doświadczyłeś? — spytał Sven, który nie słyszał, jak Theo opowiadał o tym wcześniej.

— To było... nie wiem, chyba jakaś przerwa. Nagle okazało się, że minęły dwie minuty, a w żaden sposób nie odczułem upływu czasu, ani nie miałem żadnej wizji. — Theo wyzywająco skrzyżował ręce na szerokiej piersi. — Jak niby to wyjaśnicie?

Sala zamilkła. Zbolały wyraz na wielu twarzach utwierdził Lloyda w przekonaniu, że wszyscy inni też już zrozumieli, ale nikt nie chciał wypowiedzieć tego na głos. W końcu Lloyd wzruszył ramionami.

— To proste — powiedział patrząc na swojego genialnego, aroganckiego, dwudziestosiedmioletniego kolegę. — Za dwadzieścia lat, czy też w czasie, który pokazały wizje... — zawiesił głos i rozłożył bezradnie ręce. — Przykro mi, Theo, ale za dwadzieścia lat będziesz martwy.



## 5.

Lloyda najbardziej interesowała wizja Michiko. Ale jego narzeczona wciąż była jakby nieobecna, który to stan z pewnością jeszcze długo miał się utrzymywać. Gdy przyszła jej kolej, po prostu ją ominął. Z jednej strony chciałby już ją zabrać do domu, ale z drugiej, lepiej żeby nie zostawała teraz sama, a w tej chwili ani Lloyd, ani nikt inny nie mógł się stąd wyrwać, by się nią zająć.

Żadne z pozostałych wizji opisanych przez osoby obecne w sali konferencyjnej nie pokrywały się... nie było żadnych przesłanek świadczących o tym, że dotyczyły tej samej chwili lub rzeczywistości, choć wszystko wskazywało na to, że niemal dla wszystkich był to dzień wolny lub święto. Pozostawała kwestia Jake'a Horowitza i Carly Tompkins, którzy pomimo tego, że dzielili ich niemal pół planety, najwyraźniej widzieli siebie nawzajem. Naturalnie mógł to być przypadek. Niemniej jednak, jeśli wizje się pokrywały nie tylko w ogólnym zarysie, ale i w szczegółach, to mogło mieć znaczenie.

Lloyd udał się wraz z Michiko do swojego biura. Michiko skuliła się na jednym z foteli, a Lloyd przykrył ją swoją kurtką jak kocem. Następnie podniósł słuchawkę telefonu stojącego na biurku i wybrał numer. — *Bonjour* — powiedział. — *La Police de Genève? Je m'appelle Lloyd Simcoe; je suis avec CERN.*

— *Oui, Monsieur Simcoe* — odpowiedział mu głos mężczyzny, który natychmiast przeszedł na angielski. Szwajcarzy często tak

reagowali słysząc akcent Lloyda. — W czym mogę pomóc?

— Wiem, że musicie być bardzo zajęci...

— Mało powiedziane, *monsieur*. Jak to mówicie, topimy się w zgłoszeniach.

Toniemy, pomyślał Lloyd.

— Mam jednak nadzieję, że chociaż jeden z waszych śledczych jest wolny. Mamy pewną teorię na temat wizji i potrzebujemy pomocy kogoś, kto zna się na zbieraniu zeznań.

— Przełączę pana do odpowiedniego wydziału — powiedział głos.

Gdy czekał, aż ktoś się zgłosi, w drzwiach biura pojawiła się głowa Theo.

— Na BBC World Service mówią, że wizje wielu osób się pokrywały — powiedział. — Na przykład wiele małżeństw zgłasza podobne doświadczenia, nawet jeśli nie znajdowało się w tym samym pokoju w chwili wystąpienia zjawiska.

Lloyd skinął, przyjmując tę informację do wiadomości.

— I tak sądzę, że z jakiegoś powodu, może znowy, nawet pomimo Carly i Jake'a, nadal możliwe jest, iż synchronizacja wizji to zjawisko lokalne. Ale...

Nie dokończył. W końcu rozmawiał z Theo, który wizji nie doświadczył. Ale jeśli Carly Tompkins i Jacob Horowitz — ona w Vancouver, a on w Genewie — naprawdę widzieli dokładnie to samo, wówczas bez wątpienia wszystkie wizje dotyczyły tej samej przyszłości, tworząc mozaikę z fragmentów jutra... jutra, w którym nie było już Theo Procopidesa.

— Proszę opowiedzieć mi o pomieszczeniu, w którym się pan znajdował — powiedziała oficer śledcza, Szwajcarka w średnim

wieku, przed którą leżał datapad. Ubrana była w luźną koszulkę polo, jakie były modne pod koniec lat 80. i znów stawały się popularne.

Jacob Horowitz zamknął oczy, próbując odciąć się od wszystkiego, co mogłoby go rozproszyć i przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów.

— To było jakieś laboratorium. Z żółtymi ścianami. Fluorescencyjnym oświetleniem. Z blatami z laminatu. I tablicą okresową pierwiastków na ścianie.

— Czy w tym laboratorium był ktoś prócz pana?

Jake skinął głową. Na Boga, czemu musi rozmawiać akurat z kobietą?

— Tak. Była tam kobieta... biała kobieta z ciemnymi włosami. Wyglądała na około czterdzieści pięć lat.

— Co miała na sobie?

Jake przełknął ślinę.

— Nic...

Szwajcarska oficer śledcza wyszła, a Lloyd i Michiko zajęli się porównywaniem sprawozdań z wizji Jacoba i Carly. Carly zgodziła się na podobne przesłuchanie przeprowadzone przez policję w Vancouver, a raport z niego został przesłany mailem do CERN-u.

Przez ostatnich kilka godzin Michiko odzyskała nieco sił. Bardzo starała się skoncentrować, zająć czymś, pomóc przy większych problemach, ale co kilka minut i tak milkła, a jej oczy wypełniały się łzami. Niemniej jednak udało jej się przeczytać zapisy dwóch przesłuchań, nie mocząc zbytnio papieru.

— Nie ma żadnej wątpliwości — stwierdziła. — Zgadzą się w najdrobniejszych szczegółach. Byli w tym samym pomieszczeniu.

Lloyd zmusił się do uśmiechu.

— Dzieciaki — rzucił. Znał Michiko zaledwie od dwóch lat; nigdy nie kochali się w laboratorium, ale gdy był studentem rozgrzał kilka blatów w Harwardzie ze swoją ówczesną dziewczyną, Pamelą Ridgley. Po chwili jednak pokręcił głową w zamyśleniu. — Podgląd przyszłości. Fascynujące... — zawiesił głos. — Pewnie niektórzy się na tym wzbogacą.

Michiko wzruszyła ramionami.

— Pewnie kiedyś. Ci, którzy w przyszłości akurat czytali raporty giełdowe mogą się obłowić, ale dopiero za kilkadziesiąt lat. A to za dużo czekania, żeby się opłaciło.

Lloyd milczał przez chwilę i w końcu powiedział:

— Nie powiedziałaś mi jeszcze, co widziałaś... jaką ty miałaś wizję.

Michiko odwróciła wzrok.

— Nie — przyznała. — Nie powiedziałam.

Lloyd delikatnie dotknął jej policzka, ale się nie odezwał.

— W trakcie tej... wizji, wydawała mi się cudowna — zaczęła. — To znaczy byłam zdezorientowana i miałam mętlik w głowie, bo nie wiedziałam, co się dzieje. Ale sama wizja była radosna. — Zdobyła się na nikły uśmiech. — Ale teraz, po tym, co się stało...

Lloyd nadal nie naciskał. Siedział, próbując wyglądać jak uosobienie cierpliwości.

— Był późny wieczór — powiedziała w końcu Michiko.

— Byłam w Japonii; jestem pewna, że to był japoński dom. Byłam w sypialni małej dziewczynki i siedziałam na brzegu łóżka. Ta dziewczynka, siedmio— lub ośmioletnia, siedziała w łóżku i ze mną rozmawiała. To było śliczne dziecko, ale to nie była... to nie była...

Jeżeli wizje pokazywały świat za kilkadziesiąt lat, to naturalnie nie mogła być Tamiko. Lloyd skinął nieznacznie głową, zwalniając ją z obowiązku kończenia zdania. Michiko pociągnęła nosem.

— Ale... to musiała być moja córka. Córka, której jeszcze nie mam. Trzymała mnie za rękę i nazywała mnie „oka asan”, a to po japońsku znaczy „mama”. Wyglądało, jakbym kładła ją spać i życzyła dobrych snów.

— Twoja córka... — powiedział Lloyd.

— No, na pewno nasza — stwierdziła Michiko. — Twoja i moja.

— Co robiłaś w Japonii? — spytał Lloyd.

— Nie wiem, pewnie odwiedzałam rodzinę. Mój wujek Masayuki mieszka w Kioto. Poza tym, że mieliśmy córkę, w ogóle nie odniosłam wrażenia, że to się dzieje w przyszłości.

— To dziecko, czy ona...

Lloyd ugryzł się w język. Pytanie, które chciał zadać było prostackie i ordynarne. Czy miała skośne oczy? Czy też może w porę by się zorientował i zgrabniej to ujął: Czy miała zmarszczki nakątne? Ale Michiko by nie zrozumiała. Pomyślałaby, że pytanie Lloyda to wynik jakichś uprzedzeń, czy głupich obaw związanych z krzyżowaniem ras. A nie o to chodziło. Lloyd miał gdzieś, czy ich ewentualne dzieci będą

wyglądały okcydentalnie, czy orientalnie. Równie dobrze mogły wyglądać tak, albo inaczej lub ich cechy mogły stanowić połączenie obu ras, a on kochałby je tak samo, pod warunkiem...

Pod warunkiem, że będą to jego dzieci.

Wszystko wskazywało na to, że wizje wybiegały około dwudziestu lat w przyszłość. W swojej wizji, której nie dzielił z Michiko, przebywał najprawdopodobniej w Nowej Anglii z inną kobietą. Białą kobietą. A Michiko była w Kioto w Japonii z córką, która mogła mieć azjatyckie, kaukaskie bądź mieszane rysy twarzy, w zależności od tego, kto był jej ojcem.

To dziecko, czy ona...

— Czy ona co? — spytała Michiko.

— Nic — odparł Lloyd, odwracając wzrok.

— A twoja wizja? — zapytała Michiko. — Co widziałeś?

Lloyd wziął głęboki oddech. Kiedyś i tak pewnie będzie musiał jej powiedzieć, a...

— Lloyd, Michiko... powinniście zejść do holu — usłyszeli głos Theo, którego głowa właśnie ponownie pojawiła się w drzwiach. — Właśnie nagraliśmy z CNN coś, co na pewno was zainteresuje.

Lloyd, Michiko i Theo weszli do holu, gdzie były już cztery inne osoby. Obraz siwego Lou Watersa skakał w górę i w dół ekranu; magnetowid w holu był starym urządzeniem, przyniesionym przez któregoś z pracowników i funkcja pauzy nie działała w nim idealnie.

— Dobrze, że jesteście — powiedział Raoul, gdy się pojawili.  
— Patrzcie. — Wcisnął przycisk pauzy na pilocie i Waters wrócił

do życia.

— ...David Houseman powie nam więcej na ten temat. David?

Na ekranie pojawił się David Houseman z CNN, stojący przed ścianą pełną antycznych zegarów... nawet w przypadku sensacyjnych wieści telewizja dbała o ciekawą oprawę wizualną.

— Dziękuję, Lou — powiedział Houseman. — Choć oczywiście w wizjach większości ludzi nie było żadnych wskazówek dotyczących czasu, to sporo osób znalazło się w pomieszczeniach, gdzie wisiały zegary lub kalendarze, albo czytało gazety elektroniczne, jako że papierowe najwyraźniej już wyszły z użycia. Dzięki temu jesteśmy w stanie podać datę. Wygląda na to, że wizje przedstawiały świat za dwadzieścia jeden lat, sześć miesięcy, dwa dni i dwie godziny od chwili ich wystąpienia, czyli dokładnie okres od 14:21 do 14:23 czasu wschodniego w środę, dwudziestego trzeciego października dwa tysiące trzydziestego roku. Łatwo można wytłumaczyć również pewne odchylenia od tych wyliczeń, gdyż niektórzy czytali gazety z dwudziestego drugiego października dwa tysiące trzydziestego roku lub nawet wcześniejsze, ale zakładamy, że po prostu czytali stare wydania. Należy również pamiętać, iż rozbieżności czasowe zależą w głównej mierze od strefy czasowej, w której dana osoba przebywała. Zakładamy, że większość osób za dwie dekady będzie mieszkać w tych samych strefach czasowych, co dziś, a ci, którzy zgłaszają kilkugodzinne przesunięcie, po prostu znajdą się w innych.

Raoul ponownie wcisnął pauzę.

— Sami widzicie — powiedział. — Konkretna data. To, co zrobiliśmy na dwie minuty wysłało świadomość ludzkości o dwadzieścia jeden lat w przyszłość.

Theo wrócił do swojego biura, przez którego okna zaglądała ciemność nocy. Całe to gadanie o wizjach go niepokoiło, szczególnie że sam niczego nie doświadczył. Czy Lloyd mógł mieć rację? Czy Theo już za dwadzieścia jeden lat mógł nie żyć? Na litość boską, miał dopiero dwadzieścia siedem lat, za dwie dekady nie będzie miał na karku nawet pięćdziesiątki. Nie palił... co może nie było niczym szczególnym w Ameryce Północnej, ale w przypadku Greka to spore osiągnięcie. Regularnie ćwiczył. Niby czemu miał umrzeć tak szybko? Musiało być inne wyjaśnienie braku wizji.

Zadzwoił telefon, Theo podniósł słuchawkę.

— Słucham?

— Witam — powiedział damski głos po angielsku. — Czy to... Theodosios Procopides? — zacięła się nieco przy nazwisku.

— Tak.

— Nazywam się Kathleen DeVries — przedstawiła się kobieta. — Tak się zastanawiałam, czy w ogóle się odezwać. Dzwonię z Johannesburga.

— Z Johannesburga? To znaczy z RPA?

— Póki co tak — powiedziała. — Jeśli wierzyć wizjom, w przeciągu najbliższych dwudziestu jeden lat kraj zmieni oficjalnie nazwę na Azania.

Theo w milczeniu czekał na ciąg dalszy. Po chwili kobieta kontynuowała.



— Dzwonię właśnie w sprawie wizji. Bo widzi pan, moja dotyczyła pana.

Theo poczuł, jak serce mu przyspiesza. Wspaniała wiadomość! Z jakiegoś powodu nie miał wizji, ale ta kobieta widziała go za dwadzieścia jeden lat. Czyli oczywiście będzie wtedy żył, a Lloyd mylił się mówiąc, że Theo będzie martwy.

— Tak? — spytał Theo, nie mogąc złapać tchu.

— Hmm... przepraszam za kłopot — powiedziała DeVries.

— Czy mogę spytać, co widział pan w swojej wizji?

Theo wypuścił powietrze.

— No właśnie nie miałem wizji — wyznał.

— Och. Tak mi przykro. Ale... w takim razie to chyba nie pomyłka.

— Co nie jest pomyłką?

— Moja wizja. Byłam tutaj, u siebie w domu w Johannesburgu i czytałam przy obiedzie gazetę... tylko że nie na papierze. Wyglądało to jak taka plastikowa kartka, pewnie był to jakiś rodzaj czytnika elektronicznego. W każdym bądź razie artykuł, który czytałam opisywał... przepraszam, ale nie da się tego inaczej ująć. Opisywał pana śmierć.

Theo czytał kiedyś opowiadanie Lorda Dunsany'ego o mężczyźnie, który niczego tak nie pragnął jak tego, by przeczytać gazetę z następnego dnia, a gdy wreszcie jego marzenie się spełniło, z przerażeniem odkrył tam swój nekrolog. Szok był tak wielki, że mężczyzna zmarł, a wiadomość o jego śmierci naturalnie pojawiła się następnego dnia w gazecie. I już, to wszystko... koniec, puenta. Ale w tym

przypadku nie była to jutrzejsza gazeta, tylko gazeta wydana za dwie dekady.

— Moją śmierć — powtórzył Theo, jak gdyby te dwa słowa umknęły mu na zajęciach z angielskiego.

— Zgadza się.

Theo zebrał się w sobie.

— Skąd mam wiedzieć, że to nie jakiś kant albo dowcip?

— Przepraszam, wiedziałam, że nie powinnam dzwonić. Będę...

— Nie, nie, nie. Proszę się nie rozłączać. Niech mi pani poda swoje nazwisko i numer telefonu. Wyświetla mi się tutaj „rozmowa pozastrefowa”. Powinna mi pani pozwolić do siebie oddzwonić, ten telefon musi kosztować majątek.

— Jak już mówiłam, nazywam się Kathleen DeVries. Jestem pielęgniarką w domu starców. — Podała mu swój numer telefonu. — Ale naprawdę z przyjemnością zapłacę. Proszę mi wierzyć, niczego od pana nie chcę i nie próbuję pana oszukać. Ale wie pan... ciągle widzę, jak ktoś umiera. W domu starców odchodzi od nas średnio jedna osoba tygodniowo, ale najczęściej to ludzie po osiemdziesiątce, dziewięćdziesiątce, a niektórzy mają nawet ponad sto lat. A pan... pan będzie miał tylko czterdzieści osiem lat, a to o wiele za mało, by umrzeć. Pomyślałam, że jeśli do pana zadzwonię, powiadomię, to może jakoś uda się panu uniknąć śmierci.

Theo milczał przez kilka sekund.

— A czy w nekrologu napisali, na co umrę? — przez krótką, dziwaczną chwilę Theo był na swój sposób zadowolony z faktu, iż jego śmierć warta była odnotowania w prasie

międzynarodowej. Niemal wymknęło mu się pytanie, czy przypadkiem artykuł nie zaczynał się od słów „laureat nagrody Nobla”. — Wiem, że mam za wysoki poziom cholesterolu... czy to był atak serca?

Jego rozmówczyni przez kilka sekund milczała.

— Cóż, doktorze Procopides, przykro mi, chyba powinnam się była wyrazić jaśniej. Nie czytałam nekrologu, tylko artykuł. — Usłyszał, jak przełyka ślinę. — Artykuł o morderstwie.

Theo zamilkł. Mógłby co najwyżej powtórzyć ostatnie słowo z niedowierzaniem. Ale jaki by to miało sens?

Miał dwadzieścia siedem lat, był w dobrej formie. Kilka chwil wcześniej sądził co prawda, że za zaledwie dwadzieścia jeden lat nie umrze z przyczyn naturalnych, ale... morderstwo?

— Doktorze Procopides? Jest pan tam?

— Tak. — Póki co.

— Przykro mi, doktorze. Wiem, że to musi być dla pana duży szok.

Theo nie odzywał się przez kilka kolejnych chwil, aż w końcu zapytał:

— A czy w tym artykule, który pani czytała, było napisane, kto mnie zabił?

— Obawiam się, że nie. Najwyraźniej to nierozwiązana sprawa.

— Dobrze, a co dokładnie było napisane?

— Zapisałam sobie tyle, ile udało mi się zapamiętać, mogę to panu przesłać mailem, albo chwila, przeczytam. Tylko proszę wziąć pod uwagę, że odtwarzałam to z pamięci. Wydaje mi się, że dobrze zapamiętałam, ale nie gwarantuję, że wszystko

zgadza się co do słowa. — Przerwała, odchrząknęła i kontynuowała. — Tytuł to „Zastrzelony fizyk”.

Zastrzelony, pomyślał Theo. O Boże.

DeVries czytała dalej.

— W nagłówku jako miejsce podano Genewę, a w samym artykule napisali: „Dzisiaj znaleziono ciało zastrzelonego Theodosiosa Procopidesa, greckiego fizyka zatrudnionego w CERN-ie (Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych). Procopides, który uzyskał tytuł doktora na uniwersytecie w Oxfordzie, był dyrektorem zderzacza tachionowo-tardionowego w...

— Proszę powtórzyć — wtrącił Theo.

— Zderzacza tachionowo-tardionowego — powiedziała DeVries. Słowo „tachion” wymawiała niewłaściwie i brzmiało jak „tachijon”. — Nigdy wcześniej nie spotkałam się z tymi słowami.

— Nie ma takiego zderzacza — stwierdził Theo. — Przynajmniej na razie. Proszę mówić dalej.

— ...dyrektorem zderzacza tachionowo-tardionowego w CERN-ie. Doktor Procopides pracował w CERN-ie przez dwadzieścia trzy lata. Nie ustalono żadnego konkretnego motywu zbrodni, ale wyklucza się motyw rabunkowy, jako że portfel doktora Procopidesa znaleziono przy jego ciele. Fizyk najprawdopodobniej został zastrzelony wczoraj między godziną dwunastą a pierwszą po południu czasu lokalnego. Śledztwo trwa. Doktor Procopides pozostawił...

— Tak? Kogo?

— Przykro mi, to wszystko.

— To znaczy wizja skończyła się nim skończyła pani czytać artykuł?

Kobieta po drugiej stronie przez chwilę milczała.

— Niezupełnie. Reszta artykułu nie zmieściła się na ekranie i zamiast przewinąć... widziałam wyraźnie przycisk do przewijania na tym urządzeniu... przeszłam do innego artykułu.

— Przerwała. — Przykro mi, doktorze Procopides. Ja... to znaczy ja z 2009 roku byłam ciekawa dalszej części, ale moja wersja z roku 2030 najwyraźniej nie była nią zainteresowana. Próbowałam ją... to znaczy siebie zmusić do przewinięcia strony, ale mi się nie udało.

— Więc nie wie pani ani kto mnie zabił, ani dlaczego?

— Naprawdę mi przykro.

— A ta gazeta, którą pani czytała... jest pani pewna, że był to najnowszy numer? To znaczy z dwudziestego trzeciego października 2030 roku?

— W zasadzie to nie. Był tam... jak by to nazwać? Wiersz statusu? Na górze czytnika był wiersz statusu, który wyraźnie podawał datę i nazwę gazety: „The Johannesburg Star”, wtorek, 22 października 2030 roku. Więc domyślałam się, że była to wczorajsza gazeta, jeśli można to tak ująć. — Przerwała. — Przykro mi, że przynoszę złe wieści.

Theo milczał przez chwilę, próbując przetrwać wszystko, co usłyszał. Wystarczająco ciężko było pogodzić się z faktem, że za niewiele ponad dwadzieścia lat będzie martwy, ale informacja, że ktoś go zabije... tego było już za wiele.

— Dziękuję, pani DeVries — powiedział. — Jeśli tylko przypomni sobie pani coś jeszcze... cokolwiek... to bardzo proszę o wiadomość. I proszę przefaksować mi to, co pani zapisała.

— Podał jej numer faksu.

— Dobrze — rzuciła. — Przykro mi, naprawdę. Sprawia pan wrażenie miłego, młodego człowieka. Mam nadzieję, że uda się panu ustalić, kto to zrobił, czy raczej zrobi i że znajdzie pan sposób, by temu zapobiec.

## 6.

Dochodziła północ. Lloyd szedł z Michiko korytarzem do swojego biura, ale zatrzymał ich głos Jake'a Horowitza, dochodzący z jednej z sal.

— Lloyd, chodź zobacz.

Weszli do środka. Młody Jake stał przed telewizorem, którego ekran śnieżył.

— Śnieżenie — zauważył Lloyd uprzejmie, podchodząc bliżej.

— Właśnie.

— A który program chcesz złapać?

— Nie chodzi o żaden program. Odtwarzam kasetę.

— Jaką?

— To nagranie z kamery przemysłowej przy głównej bramie kompleksu. — Nacisnął przycisk, po którym kasetka wysunęła się z urządzenia. Następnie włożył inną kasetę. — A to nagranie z kamery przemysłowej w Microcosm. — Włączył odtwarzanie, ale ekran nadal tylko śnieżył.

— Jesteś pewien, że to dobry odtwarzacz? — W Szwajcarii korzystano z systemu nagrywania PAL i choć powszechnie stosowano urządzenia wielosystemowe, w CERN-ie było też kilka magnetowidów odtwarzających tylko w systemie NTSC.

Jake skinął głową.

— Jestem pewien. I nie od razu znalazłem taki, który w ogóle pokazuje, co jest na kasecie... gdy nie ma sygnału obrazu większość magnetowidów wyświetla po prostu niebieski ekran.

— Jeśli to dobry magnetowid, to coś musi być nie tak z kasetami — Lloyd zmarszczył brwi. — Może temu... temu czemuś towarzyszył impuls elektromagnetyczny. To mogło wykasować taśmy.

— Też tak najpierw pomyślałem — powiedział Jake. — Ale patrz dalej. — Wcisnął na pilocie przycisk przewijania do tyłu. Śnieg przyspieszył swój migoczący taniec na ekranie, a w prawym górnym rogu pojawił się skrót REV, używany w wielu językach europejskich. Minęło pół minuty i nagle pojawił się obraz wystawy Microcosm, galerii CERN-u, która objaśniała turystom fizykę cząstek. Jake jeszcze trochę cofnął taśmę i puścił przycisk. — Widzisz? — spytał. — To jest na kasecie wcześniej... zwróć uwagę na licznik. — Pośrodku u dołu ekranu na obraz nałożony był cyfrowy licznik, wyświetlający czas: 16h58m22s, 16h58m23s, 16h58m24s...

— Około półtorej minuty przed wystąpieniem zjawiska — powiedział Jake. — Jeśli faktycznie byłby to impuls, wcześniej na kasecie też by nic nie było.

— Co niby chcesz powiedzieć? — spytał Lloyd. — Taśma zaczyna śnieżyć dopiero w chwili rozpoczęcia zjawiska? — podobało mu się określenie użyte przez Jake'a.

— Właśnie... i przestaje śnieżyć dokładnie minutę i czterdzieści trzy sekundy później. I tak jest na wszystkich kasetach, które obejrzałem: minuta i czterdzieści trzy sekundy zakłóceń.

— Lloyd, Jake, szybko! — usłyszeli głos Michiko. Mężczyźni odwrócili się i zobaczyli, jak stojąc w drzwiach przywołuje ich



gestem. Pobiegli za nią do sali obok, w której stał telewizor nadal ustawiony na CNN.

— ...i oczywiście w chwili, gdy świadomość ludzkości znajdowała się gdzie indziej, powstały setki tysięcy nagrań — powiedziała Petra Davies. — Nagrania z kamer przemysłowych, kamer domowych, które pozostały włączone, nagrania telewizyjne... łącznie z naszymi taśmami archiwalnymi, które powstają na życzenie Federalnej Komisji Łączności, a także wiele innych. Sądziliśmy, że zapisana została na nich chwila, gdy wszyscy tracą przytomność i upadają...

Lloyd i Jake wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— Ale — kontynuowała Davies — na żadnym z nagrań nic nie ma. Czy raczej nie ma nic prócz śnieżenia... biało-czarnych zakłóceń skaczących po ekranie. Z tego, co udało się nam ustalić, wszystkie nagrania, które powstały na świecie w trakcie Futurospekji śnieżą przez dokładnie minutę i czterdzieści trzy sekundy. Podobnie inne urządzenia rejestrujące, jak na przykład te połączone z instrumentami meteorologicznymi, z których korzystamy przygotowując prognozy, nic nie zarejestrowały w czasie zbiorowej utraty przytomności. Jednak jeżeli którykolwiek z naszych widzów posiada nagranie powstałe w tym czasie, które zarejestrowało obraz, prosimy o kontakt pod bezpłatnym numerem telefonu...

— Niewiarygodne — stwierdził Lloyd. — To naprawdę daje do myślenia, co dokładnie działo się w tym czasie.

Jake skinął głową.

— Fakt.

— „Futurospekcja”, co? — rzucił Lloyd, smakując termin, którego użyła prezydentka. — Nie najgorsza nazwa.

Jake ponownie skinął.

— Na pewno lepsza niż „katastrofa w CERN-ie”, czy coś w tym stylu.

Lloyd zmarszczył brwi.

— Fakt.

Theo odchylił się na swoim fotelu, założył ręce za głowę i wbił wzrok w konstelację otworów akustycznych w płytkach na suficie, trawiając słowa DeVries.

Nie można było tego porównać do wiedzy, że zginie się w wypadku. W przypadku ostrzeżenia, że na tej i na tej ulicy, o tej i o tej godzinie zostanie się potrąconym przez samochód, wystarczy uniknąć znalezienia się w danym miejscu o danym czasie i... *voilà!* Kłopot z głowy. Ale jeśli ktoś jest zdecydowany cię zabić, prędzej czy później mu się uda. Omijanie miejsca, w którym miało dojść do morderstwa — artykuł w „Johannesburg Star” nie podawał dokładnej lokalizacji — dwudziestego pierwszego października, dwa tysiące trzydziestego roku mogło nie wystarczyć, by ocalić Theo.

Doktor Procopides pozostawił...

Kogo? Rodziców? Tata miałby osiemdziesiąt dwa lata, a mama siedemdziesiąt dziewięć. Ojciec Theo przeszedł kilka lat wcześniej zawał serca, ale od tamtego czasu pilnował poziomu cholesterolu, rezygnując z saganaki i sałatek z fetą, które tak uwielbiał. Z pewnością rodzice mogą jeszcze wtedy żyć.

Jak przyjmie to tata? Rodzice nie powinni żyć dłużej niż ich dzieci. Czy tata uzna, że żył już wystarczająco długo, a jego

życie było dobre? Czy machnie ręką na życie i odejdzie po kilku miesiącach, zostawiając mamę całkiem samą? Theo miał szczerą nadzieję, że jego rodzice będą żyć za dwadzieścia jeden lat, ale...

Doktor Procopides pozostawił...

...żonę i dzieci?

Tak zazwyczaj pisali w nekrologach. Żonę... być może żonę Anthoulę, jakąś fajną Greczynkę. Tata by się ucieszył.

Problem w tym...

Problem w tym, że Theo nie znał żadnych fajnych Greczynek... ani żadnych innych fajnych dziewczyn, żadnej narodowości. Przynajmniej — pojawiła się myśl, którą natychmiast stłumił — przynajmniej żadnych wolnych dziewczyn.

Poświęcił się swojej pracy. Najpierw skupił się na zdobywaniu ocen, które pozwoliły mu się dostać na Oxford. Potem na doktoracie. Potem na dostaniu się tutaj. Oczywiście przez jego życie przewijały się kobiety... amerykańskie uczennice w Atenach, przelotne romanse z koleżankami ze studiów, a raz nawet dziwka w Danii. Zawsze sądził, że wreszcie przyjdzie czas na miłość, żonę, dzieci.

Ale kiedy miał ten czas nadejść?

Zastanawiał się, czy artykuł zaczynał się słowami „laureat Nagrody Nobla”. Tak nie było, ale przeszło mu to przez myśl... a jeśli miał być ze sobą szczerzy, była to całkiem poważna myśl. Nobel oznaczał nieśmiertelność, zapisanie się w ludzkiej pamięci na zawsze.

Eksperyment w LHC, który przygotowywał z Lloydem latami, powinien był doprowadzić do powstania Higgsa; gdyby im się udało, z pewnością dostaliby Nobla. Ale przełom nie nastąpił.

Przełom... jakby mógł go zadowolić tylko jeden.

Za dwadzieścia jeden lat umrze. Kto go zapamięta?

To wszystko było zwariowane. Nieprawdopodobne.

Był Theodosiosem Procopidesem, na litość boską. Był nieśmiertelny.

Naturalnie, że tak. Naturalnie. Który dwudziestosiedmiolatek nie był?

Żona. Dzieci. Nekrolog z pewnością o nich wspominał. Gdyby tylko pani DeVries przewinęła stronę, zobaczyłaby ich imiona, a może i wiek.

Ale... chwileczkę!

Ile stron ma typowa gazeta w dużym mieście? Powiedzmy, że dwieście. Ilu czytelników? Standardowy nakład dużego dziennika może wynosić pół miliona egzemplarzy. Oczywiście DeVries wspomniała, że czytała wczorajszą gazetę. Niemniej jednak nie mogła być jedyną osobą czytającą ten artykuł w trakcie dwuminutowego przebłyску przyszłości.

Poza tym, wszystko wskazywało na to, że Theo zginął w Szwajcarii — w nagłówku podana była Genewa — a i tak informacja o jego śmierci trafiła do południowoafrykańskiej gazety. A to znaczy, że musiała trafić również do innych gazet i grup dyskusyjnych na całym świecie, zapewne z różnymi wersjami wydarzeń. Na pewno w „Tribune de Genève” zamieścili obszerniejszy materiał. Musiały być setki, a może nawet tysiące osób, które czytały o jego śmierci.

Mógłby zamieścić ogłoszenie w Internecie i większych gazetach. Dowiedzieć się więcej... ale przede wszystkim upewnić się, czy to, co mówiła DeVries było prawdą.

— Patrz — rzucił Jake Horowitz, kładąc na biurku Lloyda datapada wyświetlającego jakąś stronę internetową.

— Co to?

— Dane z United States Geological Survey. Odczyty sejsmograficzne.

— Tak?

— Spójrz na odczyty z dzisiaj — powiedział Jake.

— O kurczę.

— Właśnie. Przez niemal dwie minuty, poczynając od siedemnastej naszego czasu, instrumenty zupełnie nic nie zarejestrowały. Albo nie odnotowały żadnych zakłóceń, co jest niemożliwe, bo Ziemia zawsze lekko się trzęsie, choćby w wyniku interakcji z Księżycem, albo nie odnotowały niczego. Zupełnie jak kamery. Nie ma żadnych danych na temat tego, co działo się w przeciągu tych dwóch minut. Sprawdziłem też różne krajowe serwisy pogodowe. Ich instrumenty meteorologiczne, kontrolujące prędkość wiatru, temperaturę, czy ciśnienie powietrza, nie zarejestrowały w trakcie Futurospekcji absolutnie nic. NASA i ESA również zgłaszają dwuminutowy martwy okres w teledetekcji satelitarnej.

— Jak to możliwe? — spytał Lloyd.

— Nie wiem — odparł Jake, przeczesując ręką rudą czuprynę.  
— Ale najwyraźniej wszystkie kamery, czujniki i instrumenty pomiarowe na całym świecie po prostu przestały cokolwiek rejestrować w trakcie Futurospekcji.

Theo siedział przy swoim biurku pod czujnym okiem plastikowego kaczora Donalda, który stał na monitorze. Zastanawiał się, jak sformułować tekst. Chciał, by treść była prosta i bezpośrednia. W końcu zamierzał zamieścić ogłoszenie w setkach gazet na całym świecie; zapłaciłby majątek, gdyby było za długie. Miał przed sobą trzy klawiatury — francuską AZERTY, angielską QWERTY oraz grecką. Korzystał z angielskiej:

*Pochodzący z Aten Theodosios Procopides, pracownik CERN-u, zostanie zamordowany w poniedziałek, 21 października 2030 r. Jeśli Twoja wizja dotyczyła tej zbrodni, napisz: [procopidescern.ch](mailto:procopidescern.ch).*

W pierwszej chwili chciał na tym poprzestać, ale po namyśle dodał jeszcze jedno zdanie: „Mam nadzieję, że uda mi się zapobiec własnej śmierci”.

Sam potrafił przetłumaczyć tekst na grecki i francuski; teoretycznie mógł przełożyć go na inne języki przy użyciu komputera, ale jedną z rzeczy, których nauczył się pracując w CERN-ie było to, że tłumaczenia komputerowe często były niedokładne... do tej pory pamiętał straszny incydent związany z przyjęciem bożonarodzeniowym. Nie, lepiej poprosić o pomoc pracowników CERN-u, którzy mogli również wskazać najważniejsze gazety w swoich krajach.

Ale było coś, co mógł zrobić od razu: wysłać ogłoszenie do różnych grup dyskusyjnych. I tak też zrobił nim wyszedł do domu.

Lloyd i Michiko opuścili wreszcie CERN o pierwszej w nocy. Znowu zostawili toyotę Michiko na parkingu — w CERN-ie nikogo nie dziwiło, że ktoś zostaje na noc.

Michiko pracowała dla Sumitomo Electric. Była inżynierem specjalizującym się w technologii akceleratorów nadprzewodzących, przydzielonym do pracy w CERN-ie, który zakupił od Sumitomo kilka części do LHC. Pracodawca zapewnił jej i Tamiko cudowne mieszkanie w prawobrzeżnej Genewie. Lloyd zarabiał mniej i nie dostawał zasiłku mieszkaniowego; mieszkał w St. Genis. Podobało mu się życie we Francji i praca przez większość czasu w Szwajcarii; CERN miał własne przejście graniczne dla pracowników, którzy mogli przechodzić z jednego kraju do drugiego bez paszportu.

Lloyd wynajął umeblowane mieszkanie i pomimo dwóch lat pracy w CERN-ie, nie traktował go jak domu. Sądził też, że kupowanie mebli, które potem musiałby zabrać ze sobą do Ameryki Północnej nie ma sensu. Te, które zastał w mieszkaniu, były dla niego nieco staromodne i zbyt bogato zdobione, ale przynajmniej wszystko do siebie pasowało: ciemne drewno, ciemnopomarańczowy dywan, ciemnoczerwone ściany. Stwarzało to przytulną, ciepłą atmosferę za cenę optycznego zmniejszenia przestrzeni. Nie był jednak przywiązany do tego mieszkania emocjonalnie... nigdy nie był żonaty, ani nigdy nie mieszkał z żadną partnerką, a na przestrzeni dwudziestu pięciu lat od kiedy wyprowadził się z domu, jedenaście razy zmieniał adres. Niemniej jednak, tego dnia bez wątplenia powinni iść do niego, a nie do niej. W mieszkaniu w Genewie zbyt wiele

przypominało o Tamiko, a było jeszcze za wcześnie, by Michiko była w stanie to znieść.

Mieszkanie Lloyda znajdowało się w czterdziestoletnim budynku ogrzewanym elektrycznie. Usiedli na kanapie. Lloyd objął Michiko ramieniem, próbując ją pocieszyć.

— Przykro mi — powiedział.

Michiko nadal miała spuchniętą twarz. Okresy względnego spokoju przerywane były nagłymi wybuchami płaczu, który zdawał się nie mieć końca. Skinęła.

— W żaden sposób nie można było tego przewidzieć — stwierdził Lloyd. — Ani temu zapobiec.

Michiko pokręciła głową.

— Co ze mnie za matka? — spytała. — Wywiozłam swoją córkę pół świata od jej dziadków i domu.

Lloyd milczał. Co mógłby powiedzieć? Że był to doskonały pomysł? Nauka w Europie musiała się dziecku wydawać czymś cudownym, nawet jeśli miało tylko osiem lat. Zabranie Tamiko do Szwajcarii było bez wątpienia właściwą decyzją.

— Powinnam spróbować dodzwonić się do Hiroshiego — stwierdziła Michiko. Mówiła o byłym mężu. — Dowiem się, czy dostał maila.

Lloydowi przeszła przez myśl uwaga, że Hiroshi prawdopodobnie nie będzie przejawiał większego zainteresowania córką po jej śmierci, niż za życia. Choć nigdy go nie poznał, nienawidził go na wielu poziomach. Nienawidził Hiroshiego za to, że unieszczęśliwiał jego Michiko... i to nie raz, czy dwa razy, ale całymi latami. Lloyda bolała sama myśl o tym, że brnęła przez życie z uśmiechem na twarzy pomimo braku



radości w sercu. A jeśli miałby być brutalnie szczery wobec siebie samego, nienawidził Hiroshiego również za to, że miał Michiko przed nim. Ostatecznie jednak nic nie powiedział, gładząc tylko jej czarne, lśniące włosy.

— Nie chciał, żeby tu ze mną przyjechała — powiedziała Michiko, pociągając nosem. — Chciał, żeby została w Tokio i chodziła do japońskiej szkoły. — Wytarła oczy. — „Do właściwej szkoły”, jak to ujął. — Przerwała na chwilę. — Gdybym tylko go posłuchała...

— Zjawisko objęło cały świat — zauważył łagodnie Lloyd. — W Tokio nie byłaby wcale bezpieczniejsza niż w Genewie. Nie możesz się obwiniać.

— Nie obwiniam siebie — odparła Michiko. — Tylko...

Przerwała. Lloyd nie mógł pozbyć się wrażenia, że zamierzała powiedzieć: „Tylko ciebie”.

Michiko nie zatrudniła się w CERN-ie, by być z Lloydem, ale żadne z nich nie miało wątpliwości, że to dla niego postanowiła zostać. Zwróciła się do Sumitomo z prośbą o to, by mogła kontynuować pracę w Szwajcarii już po instalacji sprzętu, za który była odpowiedzialna. Przez pierwsze dwa miesiące Tamiko mieszkała w Japonii, ale gdy Michiko zdecydowała się przedłużyć swój pobyt w Europie, ściągnęła córkę do siebie.

Lloyd także kochał Tamiko. Wiedział, że rola ojczyma zawsze jest trudna, ale jakoś od razu się polubili. Nie wszystkie dzieci są zadowolone, gdy rodzice po rozwodzie znajdują nowych partnerów; na przykład siostra Lloyd'a rozstała się z chłopakiem, ponieważ jej dwóm synom nie spodobał się nowy

mężczyzna w jej życiu. Ale Tamiko powiedziała kiedyś Lloydowi, że lubi go, bo dzięki niemu mama się uśmiecha.

Lloyd spojrział na swoją narzeczoną. Była tak smutna, że zaczął się zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy jej uśmiech. Sam miał ochotę się rozplakać, ale coś głupiego, męskiego nie pozwalało mu na to póki ona płakała. Stłumił w sobie tę chęć.

Zastanawiał się, jaki wpływ będzie to miało na ich małżeństwo. Całe jego oświadczenia sprowadzały się do stwierdzenia, że kocha Michiko w pełni i bezwarunkowo. Nie wątpił, że ona też go kocha, ale musiał istnieć i inny powód, dla którego chciała za niego wyjść. Bez względu na to, jak nowoczesną i wyzwoloną kobietą była, a według standardów japońskich Michiko była wyjątkowo nowoczesna, musiała w pewnym stopniu szukać ojca dla swojego dziecka — kogoś, kto pomógłby jej wychować Tamiko, kto zająłby w jej życiu miejsce mężczyzny.

Czy Michiko naprawdę interesowało posiadanie męża? Fakt, było im z Lloydem cudownie, ale wielu parom tak jest bez ślubu, czy innych długoterminowych zobowiązań. Czy teraz nadal będzie chciała za niego wyjść?

No i oczywiście pozostawała kwestia tamtej kobiety z wizji: żywego, dobitnego dowodu...

Dowodu na to, że tak jak związek jego rodziców, planowane małżeństwo z Michiko zakończy się rozwodem.

# 7.

Dzień drugi: środa, 22 kwietnia 2009 r.

## PRZEGLĄD WIADOMOŚCI

Rośnie liczba ofiar wczorajszej Futurospekcji. W Caracas w Wenezueli, Guillermo Garmendia (l. 36), niemogący pogodzić się ze śmiercią swojej żony Marii (l. 34) zastrzelił swych dwóch synów — Ramona (l. 7) i Salvadora (l. 5), a następnie popełnił samobójstwo.

.

Władze stanu Queensland w Australii ogłosiły oficjalnie stan wyjątkowy, będący następstwem Futurospekcji.

.

Firma Bondplus z San Rafael w Kalifornii uległa całkowitej dezorganizacji. Dyrektor naczelny, dyrektor ds. finansów oraz cały zarząd zginęli w katastrofie firmowego odrzutowca, który rozbił się podczas startu w wyniku Futurospekcji. Firma była w trakcie obrony przed wrogim przejęciem ze strony swojego największego konkurenta, Jasmine Adhesives.

.

W imieniu pasażerów rannych lub zabitych w trakcie Futurospekcji wniesiono pozew zbiorowy o odszkodowanie w wysokości miliarda dolarów kanadyjskich przeciwko Toronto Transit Commission, przedsiębiorstwu komunikacji miejskiej z Toronto. W pozwie zarzuca się TTC zaniedbania w postaci braku wyściełanych posadzek w klatkach schodowych i windach, które ochroniłyby ludzi w razie upadku.

.

Masowa wyprzedaż jenów japońskich doprowadziła do kolejnego kryzysu w japońskiej gospodarce. Jest to wynik futurospekcyjnych wizji, według których w 2030 roku wartość jena w stosunku do dolara amerykańskiego będzie o połowę niższa niż obecnie.

Wyścig trwał.

Theo z pochyloną głową siedział nad porozrzucanymi na biurku logami komputerowymi. Musiała istnieć jakaś odpowiedź, racjonalne wyjaśnienie tego, co się stało. Fizycy w całym CERN-ie badali, zgłębiali i debatowali nad prawdopodobnym wyjaśnieniem.

Drzwi biura Theo otworzyły się i do środka weszła Michiko Komura z jakimiś kartkami w rękę.

— Słyszałam, że szukasz informacji o swoim morderstwie — powiedziała.

Theo poczuł, jak przyspiesza mu serce.

— A wiesz coś na ten temat?

— Ja? — Michiko zmarszczyła brwi. — Nie, przykro mi.

— Aha. — Uderzenie serca. — Zatem co cię sprowadza?

— Nic, po prostu się nad tym zastanawiałam. Na pewno nie jesteś jedyną osobą, która rozpaczliwie próbuje dowiedzieć się więcej na temat swojej przyszłości.

— Pewnie nie.

— I w związku z tym wydaje mi się, że przydałaby się jakaś centralna koordynacja. Widziałam twoje wiadomości w grupach dyskusyjnych, pojawiło się wiele podobnych ogłoszeń.

— Tak?

— Masa ludzi szuka informacji o swojej przyszłości. Oczywiście nie wszyscy szukają czegoś na temat własnej śmierci, ale... poczekaj, przeczytam ci kilka wpisów.

Usiadła i zaczęła czytać z przyniesionych kartek.

— „Ktokolwiek posiada informacje o przyszłym miejscu pobytu Marcusa Whyte’a proszony jest o kontakt...”, „Student prosi o rady dotyczące wyboru zawodu: jeśli twoja wizja dotyczyła zapotrzebowania na rynku pracy w 2030 r., proszę o wiadomość”. „Poszukiwane informacje na temat przyszłości Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża...”

— Fascynujące — stwierdził Theo. Wiedział, co kierowało Michiko. Próbowała się czymś zająć, byle tylko nie myśleć o utracie córki.

— No nie? — rzuciła. — Pojawiło się już sporo reklam internetowych... taki chwyt reklamowy dużych korporacji, szukających informacji, które mogłyby im pomóc. Nie wiedziałam, że można załatwić banery tak szybko, ale pewnie

wszystko jest możliwe, jeśli się odpowiednio dużo zapłaci. — Przerwała i uciekła wzrokiem. Niewątpliwie pomyślała o Tamiko... niestety są rzeczy niemożliwe bez względu na cenę. Po chwili mówiła dalej. — W zasadzie to nie powinieneś być ujawniać informacji o swoim morderstwie. Rozmawiałam rano z Lloydem o tym, że firmy ubezpieczeniowe pewnie już zbierają dane o ludziach, którzy umrą w przeciągu najbliższych dwudziestu jeden lat, żeby odrzucać ich wnioski o polisy.

Theo poczuł skurcz w żołądku. O tym nie pomyślał.

— Więc mówisz, że ktoś to powinien koordynować? — spytał.

— Nie te firmowe sprawy... nie chciałabym, żeby moi szefowie z Sumitomo to usłyszeli, ale mam gdzieś, które firmy się wzbogacą. Myślałam o sprawach osobistych... ludziach chcących dowiedzieć się, co ich czeka w przyszłości albo próbujących zrozumieć swoje wizje. Myślę, że powinniśmy im pomóc.

— Ty i ja?

— No, nie tylko my. Cały CERN.

— Béranger nigdy na to nie pójdzie — stwierdził Theo, kręcąc głową. — Nie chce, żebyśmy przyznawali się do jakiegokolwiek związku z tym, co się stało.

— Nie musimy. Możemy po prostu zgłosić się na ochotnika do zarządzania bazą danych. Z pewnością mamy odpowiedni sprzęt, a poza tym CERN już wcześniej zajmował się charytatywnie podobnymi akcjami. W końcu to tu powstał system informacyjny WWW.

— Co więc proponujesz? — spytał Theo.

Michiko wzruszyła ramionami.

— Coś w stylu repozytorium. Stronę internetową z formularzem, w którym można opisać swoją wizję w... ja wiem, dwustu słowach. Można by wszystkie teksty opatrzyć indeksami, co umożliwi wyszukiwanie na podstawie słów kluczowych i operatorów logicznych. No wiesz, wszystkie wizje związane z Aberdeen, ale nie imprezami sportowymi. Tego typu rzeczy. Naturalnie program indeksujący automatycznie opatrzy odnośnikami hokej, baseball i tak dalej, aż po ogólne terminy, na przykład „zawody sportowe”. To pomogłoby nie tylko tobie, ale i wielu innym osobom.

Theo bezwiednie pokiwał głową.

— To ma sens. Ale po co ograniczać długość opisów? Wiesz, pamięć przechowująca dane jest tania. Zachęcałbym ludzi do tego, by opisywali możliwie jak najwięcej szczegółów. W końcu to, co wydaje się nieistotne dla osoby, która miała wizję, może mieć kluczowe znaczenie dla kogoś innego.

— Słusznie — zgodziła się Michiko. — Dopóki obowiązuje moratorium Bérangera na korzystanie z LHC, naprawdę nie mam nic lepszego do roboty, więc chętnie się tym zajmę. Ale potrzebna mi będzie pomoc. Lloyd kompletnie nie zna się na programowaniu, więc pomyślałam, że może ty mógłbyś się tym zająć. — Lloyd i Theo zaczęli współpracować, gdyż Lloyd potrzebował kogoś lepiej radzącego sobie z programowaniem do przekładania jego pomysłów fizycznych na eksperymenty przeprowadzane przy użyciu ALICE.

Theo już myślał nad ewentualnymi korzyściami. Mogli zamieścić ogłoszenie w prasie... tamta kobieta z działu public relations, która potłukła się w trakcie wizji, mogłaby je rozesłać

tam, gdzie wysyła się takie rzeczy. A w tekście do gazet przypadek Theo mógłby posłużyć jako przykład... w ten sposób zapewniłby swojemu problemowi ogólnoświatową uwagę.

— Jasne — rzucił Theo. — Jak najbardziej.

Gdy Michiko wyszła, Theo wrócił do swojego komputera i sprawdził pocztę, gdzie znalazł w zasadzie to, co zazwyczaj, łącznie ze spamem jakiejś mauretańskiej firmy. Tamtejszy rząd dokonał nie lada sztuki; będąc jednym z niewielu krajów, które nie zakazały rozsyłania spamu przez krajowe firmy, Mauretania ściągnęła do siebie tysiące przedsiębiorstw.

Theo przejrzał pozostałe wiadomości. Mail od znajomego z Sorrento. Prośba o kopię artykułu, którego Theo był współautorem, od jakiegoś badacza z MIT. Był to przynajmniej jakiś powrót do normalności. A poza tym...

Tak! Więcej informacji na temat morderstwa.

Wiadomość przysłała kobieta z Montrealu. Była Francuzką, urodzoną we Francji, nie w Kanadzie, dlatego też śledziła wiadomości z ojczyzny. CERN co prawda leżał na granicy szwajcarsko-francuskiej i choć najbliższym miastem była Genewa, morderstwo w ośrodku było wiadomością w takim samym stopniu francuską, co szwajcarską.

W swojej wizji kobieta czytała artykuł o śmierci Theo w „Le Monde”. Wszystkie fakty pokrywały się z tym, co przekazała mu Kathleen DeVries i było to pierwsze potwierdzenie tego, że kobieta z RPA nie próbowała go nabrać. Niemniej jednak przytoczona treść raportu była zupełnie inna, czyli DeVries nie czytała jedynie tłumaczenia, ale całkiem inny artykuł. Ponadto, ta wersja zawierała jeden istotny szczegół, którego nie podano



w gazecie z Johannesburga. Według Francuzki śledztwo w sprawie morderstwa Theo prowadził detektyw Helmut Drescher z genewskiej policji.

Kobieta zakończyła swój mail: „*Bonne chance!*”.

*Bonne chance*. Powodzenia. Tak, z pewnością będzie go potrzebował.

Theo znał numer alarmowy genewskiej policji na pamięć: 1-1-7. W zasadzie numer ten wydrukowany był na naklejkach znajdujących się na wszystkich telefonach w CERN-ie. Nie miał jednak pojęcia, jaki może być numer ogólny. Znalazł go w swoim telefonie.

— *Allo* — powiedział Theo. — *Detective Helmut Drescher, sil vous plaît*.

— Nie pracuje u nas detektyw o takim nazwisku — odpowiedział policjant po drugiej stronie.

— Może ma inny stopień. Jakiś niższy.

— W ogóle nie mamy tu nikogo o takim nazwisku — odparł głos.

Theo myślał przez chwilę.

— A czy macie może książkę telefoniczną z numerami innych wydziałów policji w Szwajcarii? Czy można to jakoś sprawdzić?

— Nie mamy nic takiego, trzeba by było poszukać.

— Mógłby pan to zrobić?

— A o co chodzi?

Theo uznał, że prawda, a przynajmniej półprawda, będzie najlepszym rozwiązaniem.

— Drescher prowadzi sprawę o morderstwo i mam pewne informacje na ten temat.

— Dobrze, sprawdzę to. Jak mogę się z panem skontaktować?

Theo zostawił swoje nazwisko i numer telefonu, podziękował policjantowi i odłożył słuchawkę. Zdecydował się na bardziej bezpośrednie podejście i wklepał nazwisko Dreschera na klawiaturze telefonu.

Opłaciło się. W Genewie był tylko jeden Helmut Drescher, który mieszkał na Rue Jean-Dassier.

Theo wybrał numer.

# 8.

## PRZEGLĄD WIADOMOŚCI

Strajkujący pracownicy szpitali w Polsce jednogłośnie przegłosowali dziś powrót do pracy. — Walczymy w słusznej sprawie i podejmiemy jeszcze akcję strajkową, ale póki co pierwszeństwo mają nasze zobowiązania wobec społeczeństwa — powiedział szef Związku Marek Wyszyński.

.

Duża sieć kin Cineplex/Odeon ogłosiła, iż widzowie, którzy doświadczyli Futurospekcji na salach kinowych, otrzymają darmowe bilety. Wszystko wskazuje na to, że seansy nie zostały przerwane w czasie tego wydarzenia i publiczność prócz przytomności straciła dwie minuty filmów. Można się spodziewać, iż inne sieci kin postąpią podobnie.

.

Po rekordowej liczbie wniosków złożonych w przeciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin w Amerykańskim Biurze Patentowym podjęto decyzję o zamknięciu Biura do odwołania, w oczekiwaniu na ustawę Kongresu dotyczącą patentowania wynalazków pochodzących z wizji.

Komitet Naukowego Badania Rzekomych Zjawisk Paranormalnych wydał oświadczenie prasowe, w którym zaznacza, że choć nie pojawiło się jeszcze wyjaśnienie Futurospekcji, nie ma powodów, by doszukiwać się przyczyn nadprzyrodzonych.

European Mutual, największa firma ubezpieczeniowa w Unii Europejskiej, ogłosiła upadłość.

Rozwiązanie przyszło wcześniej niż sądzili. Szok, spowodowany wydarzeniami dnia poprzedniego, przyspieszył poród Marie-Claire Béranger. Gaston zabrał swoją żonę do szpitala w Thoiry. Co prawda Bérangerowie mieszkali w Genewie, ale obojgu zależało na tym, by ich syn przyszedł na świat na francuskiej ziemi.

Jako dyrektor generalny CERN-u Gaston dobrze zarabiał, a Marie-Claire będąca prawniczką, również nie mogła narzekać na pensję. Niemniej jednak woleli mieć pewność, że bez względu na ich dochody, Marie-Claire otrzyma możliwie najlepszą opiekę medyczną w trakcie ciąży. Gaston słyszał, że w Stanach Zjednoczonych wiele ciężarnych kobiet pierwszy kontakt z lekarzem miało w dniu porodu. Nic dziwnego, że w USA umieralność noworodków była wielokrotnie wyższa niż w Szwajcarii, czy Francji. Nie, oni zapewnią swojemu synowi wszystko, co najlepsze. Wiedzieli, że będzie to chłopiec, nie tylko dzięki wizji. Marie-Claire miała czterdzieści dwa lata, więc

ich lekarz zlecił w trakcie ciąży szereg badań USG; zdążyli już całkiem wyraźnie obejrzeć małego swojego małego.

Naturalnie nie miał jak ukryć swojej wizji przed Marie-Claire. Gaston nie był facetem, który by miał tajemnice przed swoją żoną, ale w tym przypadku było to po prostu niemożliwe. Widziała to samo — tę samą kłótnię z Markiem, tylko że ze swojej perspektywy. Gaston cieszył się, że Lloyd Simcoe udowodnił synchronizację wizji dzięki rozmowie ze swoim studentem i tą kobietą z Kanady, gdyż przyrzekli sobie z Marie-Claire zachować swoje wizje w tajemnicy.

Niemniej jednak pozostawało jeszcze kilka kwestii do wyjaśnienia, choć brali udział w tej samej scenie. Marie-Claire poprosiła Gastona, by opisał, jak wyglądała za dwadzieścia lat. Gaston pominął kilka szczegółów, takich jak jej waga; całymi miesiącami narzekała na to, jak utyła podczas ciąży i jak bardzo zależy jej na szybkim odzyskaniu figury.

Gastona z kolei zaskoczyła informacja, że w 2030 roku będzie miał brodę; nawet w młodości nie zapuszczał brody, a teraz baczki mu już siwiały, więc zakładał, że w przyszłości również jej nie zapuści. Ale przynajmniej dowiedział się, że nie wyłysieje, choć nie potrafił stwierdzić, czy była to prawda, zwykła uprzejmość ze strony żony, czy też dowód na to, że pod koniec trzeciej dekady wieku będzie istniała prosta, powszechnie stosowana kuracja zwalczająca łysienie.

Szpital był pełen pacjentów, wielu z nich leżało na łóżkach na korytarzu; najwyraźniej trafili tam na skutek wczorajszych wydarzeń, choć większość obrażeń albo od razu okazywała się być śmiertelna, co nie wymagało wizyty w szpitalu, albo były to

złamania i oparzenia; stosunkowo niewielu pacjentów wymagało hospitalizacji. Na szczęście oddział położniczy miał niewiele więcej roboty niż zazwyczaj. Marie-Claire trafiła tam na wózku pchanym przez pielęgniarkę. Gaston szedł obok, trzymając żonę za rękę.

Gaston był oczywiście fizykiem... czy też niegdyś nim był; szereg zadań administracyjnych skutecznie uniemożliwiał mu zajmowanie się prawdziwą nauką już od kilkunastu lat. Nie miał pojęcia, co spowodowało wizje. Prawdopodobnie były związane z eksperymentem LHC, takiej zbieżności czasowej nie można ignorować. Jednak bez względu na przyczynę oraz fakt, jak nieprzyjemna była jego własna wizja, Gaston jej nie żałował. Było to ostrzeżenie, przebudzenie, znak, który weźmie pod uwagę i nie dopuści do tego, by życie potoczyło się w ten sposób. Będzie dobrym ojcem i spędzi z synem mnóstwo czasu.

Ścisnął dłoń żony.

A potem weszli na salę porodową.

To był ładny, duży dom, a biorąc pod uwagę lokalizację tuż nad jeziorem, zapewne również drogi. Z zewnątrz wyglądał jak dom letniskowy, ale z pewnością były to tylko pozory: mieszkanie w kosmopolitycznej Genewie było równie odległe od szwajcarskich domów letniskowych, jak mieszkanie na Manhattanie od atmosfery domków na wsi. Theo zadzwonił do drzwi i z rękoma w kieszeni zaczął czekać, aż ktoś otworzy.

— Pan pewnie z CERN-u — stwierdziła kobieta. Mówiła z niemieckim akcentem, choć Genewa znajdowała się we francuskojęzycznej części Szwajcarii. Jako siedziba wielu

organizacji międzynarodowych Genewa przyciągała ludzi z całego świata.

— Zgadza się — potwierdził Theo, zgadując, że ma przed sobą Frau Drescher. Wyglądała na jakieś czterdzieści pięć lat i była szczupłą, bardzo ładną i, jak domyślał się Theo, naturalną blondynką. — Nazywam się Theo Procopides. Dziękuję, że pozwoliła mi pani przyjechać.

Frau Drescher wzruszyła szczupłymi ramionami.

— Normalnie bym się nie zgodziła, gdyby ktoś obcy nagle zadzwonił. Ale ostatnio wydarzyło się tyle dziwnych rzeczy...

— Faktycznie — zgodził się Theo. — Czy zastałem Herr Dreschera?

— Jeszcze go nie ma. Czasem musi zostać w pracy dłużej.

Theo uśmiechnął się z pobłażaniem.

— Domyślam się, że praca w policji może być bardzo wymagająca.

Kobieta zmarszczyła brwi.

— Praca w policji? Co według pana robi mój mąż?

— Jest policjantem, prawda?

— Helmut? Sprzedaje buty. Ma sklep na Rue du Rhône.

Przez dwadzieścia lat pewnie można zmienić zawód, ale od sprzedawcy butów do detektywa? Może to jeszcze nie jest historia godna prozy Horatio Algera, ale i tak cholernie mało prawdopodobna. Poza tym, modne sklepy przy Rue du Rhône były kosmicznie drogie; Theo stać tam było co najwyżej na oglądanie witryn. Trzeba by było naprawdę poważnych cięć pensji, żeby po pracy w tej dzielnicy zdecydować się na posadę gliniarza.

— Przepraszam. Po prostu założyłem... bo pani mąż jest jedynym Helmutem Drescherem w książce telefonicznej Genewy. Czy zna pani kogoś jeszcze o tym nazwisku?

— Tylko mojego syna.

— Syna?

— Wołamy na niego Moot, ale tak naprawdę to Helmut Junior.

Oczywiście... ojciec pracował w sklepie obuwniczym, a syn był gliną. A gliniarze mieli zastrzeżone numery.

— Mój błąd. Musi o niego chodzić. Czy może mi pani powiedzieć, jak się z nim skontaktować?

— Jest w swoim pokoju na górze.

— To on nadal tu mieszka?

— Naturalnie. Ma dopiero siedem lat.

Theo dał sobie w myślach kopa; wciąż trudno mu było pogodzić się z faktem wystąpienia wizji przyszłości, a być może brak wizji w jego przypadku tłumaczył, czemu nie do końca obejmował ich wymiar czasowy. Ale i tak poczuł się jak idiota.

Jeśli młody Moot miał teraz siedem lat, to w chwili śmierci Theo będzie miał lat dwadzieścia osiem, czyli o rok więcej niż Theo obecnie. Nie było chyba sensu pytać, czy chce zostać policjantem, kiedy dorośnie... każdy siedmiolatek chce.

— Nie chciałbym się narzucać — powiedział Theo — ale jeśli nie miałaby pani nic przeciwko, to chciałbym się z nim zobaczyć.

— No nie wiem. Może powinnam zaczekać na męża.

— Jak sobie pani życzy — zgodził się Theo.



Wyglądała, jakby spodziewała się, że będzie naciskał. Jego gotowość, by poczekać, najwyraźniej rozwiąła jej obawy.

— No dobrze — powiedziała. — Proszę wejść. Ale muszę pana ostrzec... od czasu tego wczorajszego... wydarzenia, czymkolwiek było, Moot bardzo się w sobie zamknął. I nie spał za dobrze w nocy, więc jest nieco rozdrażniony.

Theo skinął głową.

— Rozumiem.

Wprowadziła go do środka. Był to jasny, przestronny dom z niesamowitym widokiem na Jezioro Genewskie. Helmut Senior musiał sprzedawać sporo butów

Schody nie miały barierki. Frau Drescher stanęła u ich podnóża i zawołała:

— Moot! Moot! Ktoś chce z tobą porozmawiać. — Odwróciła się do Theo. — Może pan usiądzie?

Wskazała mu ręką niskie drewniane krzesło wyściełane na białym. Obok stała kanapa do kompletu. Theo usiadł. Kobieta ponownie podeszła do schodów za nim i krzyknęła: — Moot! Chodź tu! Ktoś na ciebie czeka. — Cofnęła się tak, by pozostać w zasięgu wzroku Theo i przepaszająco wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „co ja poradzę”.

Wreszcie dało się słyszeć na schodach lekkie kroki. Chłopiec szybko znalazł się na dole. Może i niewiele robił sobie z nawoływań matki, ale jak większość dzieci z przyzwyczajenia zbiegł na dół.

— O, Moot — rzuciła jego matka — to jest Herr Proco...

Theo odwrócił się, by spojrzeć przez ramię na chłopca, a ten gdy tylko go dostrzegł, wrzasnął i biegiem wrócił na górę w

takim tempie, że otwarta konstrukcja schodów wyraźnie się zatrzęsła.

— Co się stało? — zawołała za nim matka.

Gdy dotarł na górę, z hukiem zatrzasnął za sobą drzwi.

— Bardzo przepraszam — powiedziała Frau Drescher, zwracając się do Theo. — Nie wiem, co w niego wstąpiło.

Theo zamknął oczy.

— Myślę, że ja wiem — stwierdził. — Nie powiedziałem pani wszystkiego, Frau Drescher. Za dwadzieścia jeden lat zginę. A pani syn, Helmut Drescher, będzie detektywem w genewskiej policji, prowadzącym sprawę mojego morderstwa.

Twarz Frau Drescher przybrała kolor śnieżnej pokrywy Mont Blanc.

— *Mein Gott* — powiedziała. — *Mein Gott*.

— Musi mi pani pozwolić porozmawiać z Mootem — stwierdził Theo. — Rozpoznał mnie, a to znaczy, że jego wizja miała coś wspólnego ze mną.

— To tylko dziecko.

— Wiem. Ale wie coś na temat mojej śmierci. A ja muszę dowiedzieć się tego samego.

— Dziecko nie rozumie takich rzeczy.

— Proszę, Frau Drescher. Proszę... tu chodzi o moje życie.

— Nie chciał powiedzieć nic o swojej... wizji — powiedziała kobieta. — Musiała go wystraszyć, ale nie chciał o tym rozmawiać.

— Proszę. Muszę się dowiedzieć, co zobaczył.

Zastanawiała się kilka chwil, a następnie, zupełnie jakby robiła to wbrew rozsądkowi, powiedziała:

— Proszę pójść za mną.

Weszła na schody, a Theo ruszył za nią. Na piętrze były cztery pomieszczenia: łazienka widoczna za otwartymi drzwiami; dwie sypialnie, również otwarte oraz czwarte pomieszczenie, na którego zamkniętych drzwiach wisiał plakat filmowy z „Rocky’ego”. Frau Drescher nakazała Theo gestem, by cofnął się o kilka kroków. Gdy to zrobił, zastukała do drzwi.

— Moot! Moot, to ja, mama. Mogę wejść?

Odpowiedź nie nadeszła.

Kobieta sięgnęła do mosiężnej gałki i powoli ją obróciła, a następnie ostrożnie uchyliła drzwi.

— Moot?

Ze środka dobiegł stłumiony głos, jak gdyby chłopiec miał twarz wtuloną w poduszkę.

— Czy ten pan jeszcze tu jest?

— Nie wejdzie tu, obiecuję. — Chwila ciszy. — Znasz go skądś?

— Widziałem tę twarz. Tę brodę.

— Gdzie?

— W pomieszczeniu. Leżał na łóżku. — Cisza. — Tylko że to było takie metalowe łóżko. I miało w środku takie coś, jak ten talerz, na którym kładziesz pieczeń.

— Korytko? — spytała Frau Drescher.

— Miał zamknięte oczy, ale to on i...

— I co?

Cisza.

— Możesz powiedzieć, Moot. Mnie możesz powiedzieć.

— Nie miał koszulki, ani majtek. I był tam taki pan w białym fartuchu, takim jaki zakładamy na plastyce. Ale ten pan miał nóż i...

Stojący na korytarzu Theo wstrzymał oddech.

— Miał nóż i on... on nim...

Rozcinał mnie, pomyślał Theo. To autopsja, detektyw widział lekarza sądowego przeprowadzającego autopsję.

— To było takie obrzydliwe — stwierdził chłopiec.

Theo cicho podszedł bliżej, stając w drzwiach za Frau Drescher. Chłopak faktycznie leżał na brzuchu.

— Moot... — odezwał się łagodnie Theo. — Przykro mi, że to widziałeś, ale... muszę wiedzieć. Muszę wiedzieć, co mówił do ciebie tamten pan.

— Nie chcę o tym rozmawiać — oznajmił chłopiec.

— Wiem... rozumiem. Ale to dla mnie bardzo ważne. Proszę cię, Moot. Proszę. Tamten pan w białym fartuchu to lekarz. Powiedz mi, co mówił, proszę.

— Muszę? — chłopiec zwrócił się do matki.

Theo widział emocje malujące się na jej twarzy. Z jednej strony chciała chronić syna przed nieprzyjemnymi przeżyciami, ale z drugiej wiedziała, że stawką jest coś znacznie poważniejszego. W końcu powiedziała:

— Nie, nie musisz... ale to by bardzo pomogło. — Przeszła przez pokój, usiadła na brzegu łóżka i przeczesła krótkie blond włosy dziecka. — Bo widzisz, Herr Procopides ma duży kłopot. Ktoś będzie próbował go zabić. A dzięki tobie może uda się temu zapobiec. Chciałbyś mu pomóc, Moot, prawda?

Teraz to chłopiec walczył z myślami.

— No chyba — powiedział w końcu. Uniósł nieco głowę, spojrzał na Theo, ale natychmiast odwrócił wzrok.

— Moot? — rzuciła jego matka, delikatnie go ponaglając.

— Farbuje sobie włosy — stwierdził chłopiec, jakby było to coś haniebnego. — Tak naprawdę jest siwy.

Theo skinął głową. Młody Helmut nic nie rozumiał. Nic dziwnego. Siedmiolatek zabrany nagle z miejsca, w którym się znajdował... może placu zabaw, klasy, czy też bezpiecznej przystani swojego pokoju. Zabrany do kostnicy, gdzie patrzył, jak ktoś rozcina ciało, z którego wypływa gęsta ciemna krew, po czym spływa kanałem stołu sekcyjnego.

— Proszę. Obiecuję, że... nie będę więcej farbować włosów.

Chłopiec przez dłuższą chwilę milczał, a następnie zaczął mówić niepewnie, jakby z wahaniem.

— Używali wielu trudnych słów. Większości nie rozumiałem.

— Mówili po francusku?

— Nie, po niemiecku. Ten drugi nie miał akcentu, zupełnie jak ja.

Theo uśmiechnął się nieznacznie; akcent Moota był akurat bardzo wyraźny. Ale dwie trzecie mieszkańców Szwajcarii zazwyczaj mówiło po niemiecku, podczas gdy tylko osiemnaście procent regularnie używało francuskiego. Zgoda, Genewa znajdowała się we francuskojęzycznej części kraju, ale nie było nic nadzwyczajnego w tym, że dwie niemieckojęzyczne osoby rozmawiały między sobą w tym języku.

— Czy mówili coś o ranie wlotowej? — spytał Theo.

— O czym?

— O ranie wlotowej. — W tej chwili Moot i Theo rozmawiali po francusku; Theo miał nadzieję, że użył odpowiedniego określenia. — No wiesz, to miejsce, gdzie kula weszła w ciało.

— Kule — poprawił chłopiec.

— Słucham?

— Kule. Były trzy. — Spojrzał na matkę. — Tak powiedział ten pan w fartuchu.

Trzy kule, pomyślał Theo. Ktoś naprawdę chciał się upewnić, że zginie.

— A rany wlotowe? — spytał Theo. — Czy mówili, gdzie trafiły kule?

— W klatkę piersiową.

Więc widziałem mordercę, pomyślał Theo.

— Czy możesz powiedzieć coś jeszcze?

— Powiedziałem coś — stwierdził chłopiec.

— Co?

— To znaczy, wydawało mi się, że to ja mówię. Ale to nie był mój głos. Był taki niski, rozumie pan?

Byłeś dorosły To oczywiste, że głos był niski.

— A co powiedziałeś?

— Że strzały padły z bliskiej odległości.

— A skąd wiedziałeś?

— Nie wiem... nie wiem, czemu tak powiedziałem. Słowa jakby same mi się wyrwały.

— A czy lekarz sądowy... ten pan w fartuchu powiedział coś potem?

Chłopiec siedział już na łóżku, zwrócony twarzą w ich stronę.

— Nie, tylko pokiwał głową. Jakby się ze mną zgadzał.

— W takim razie, czy powiedział coś, po czym stwierdziłeś, że strzały padły z bliskiej odległości?

— Nie rozumiem — powiedział chłopiec. — Czy muszę to robić, mamo?

— Proszę — odezwała się Frau Drescher. — Na deser dostaniesz lody. Tylko porozmawiaj z tym miłym panem jeszcze kilka minut, proszę.

Chłopiec zmarszczył brwi, jak gdyby oceniał atrakcyjność lodów. W końcu oznajmił:

— Powiedział, że zabili pana podczas walki bokserskiej.

To było dla Theo kompletne zaskoczenie. Może i był arogancki, czy bezczelny, ale jako dorosły człowiek nigdy nikogo nie uderzył. W zasadzie uważał się za pacyfistę, a po zrobieniu dyplomu odrzucił nawet kilka lukratywnych ofert firm produkujących broń. W życiu nie był na walce bokserskiej; w ogóle nie uważał boksu za sport, a raczej za jakiś zwierzęcy pokaz.

— Na pewno tak powiedział? — spytał Theo. Ponownie spojrzał na plakat z „Rocky’ego” na drzwiach, a potem na ścianę nad łóżkiem Moota, gdzie wisiał plakat mistrza wagi ciężkiej Evandera Holyfielda. Może dzieciak mieszał swoje sny z wizją?

— Mhm — potwierdził Moot.

— Ale dlaczego ktoś miałby mnie zastrzelić podczas walki bokserskiej?

Chłopiec wzruszył ramionami.

— Czy pamiętasz coś jeszcze?

— Powiedział, że coś było bardzo małe.

— Coś było małe?

— No. Miało tylko dziewięć milimetrów.  
Theo spojrział w stronę matki.  
— To kaliber broni. Myślę, że określa średnicę lufy.  
— Nienawidzę broni — stwierdziła Frau Drescher.  
— Ja też — powiedział Theo. Ponownie spojrział na chłopca.  
— Co jeszcze mówili?  
— „Glock”. Ten pan ciągle powtarzał „glock”.  
— To rodzaj pistoletu. Czy mówili coś jeszcze?  
— Coś tam o dalisyce...  
— Da... Chodzi ci o balistykę?  
— Może. Mieli wysłać pociski do dalisyki. To jakieś miasto?  
Theo pokręcił głową.  
— Czy mówili coś jeszcze o pociskach?  
— Że są amerykańskie. Ten pan powiedział, że na łuskach jest napisane „Remington”, a ja powiedziałem: „amerykańskie”, jakbym wiedział, o co chodzi. I tamten pan pokiwał głową.  
— Mówili coś jeszcze? Kiedy patrzyli na moją klatkę piersiową?  
Chłopiec zbladł.  
— Tam było tyle krwi. I wnętrzności. Ja...  
Frau Drescher przyciągnęła syna do siebie.  
— Przepraszam, Herr Procopides, ale chyba wystarczy.  
— Ale...  
— Nie. Powinien już pan iść.  
Theo westchnął. Sięgnął do kieszeni po jedną ze swoich wizytówek i wyciągnął ją w stronę chłopca.  
— Moot, tak możesz się ze mną skontaktować. Zachowaj tę wizytówkę. Bardzo proszę o telefon w dowolnej chwili... nawet



za kilka lat, jeśli tylko przyjdzie ci do głowy coś, co według ciebie powinienem wiedzieć. To dla mnie bardzo ważne.

Chłopiec spojrzał na niewielki prostokąt. Zapewne nigdy wcześniej nie otrzymał od nikogo wizytówki.

— Weź ją. Weź wizytówkę. To dla ciebie.

Moot z wahaniem przyjął kartonik od Theo.

Theo wręczył drugą wizytówkę matce chłopca, podziękował obojgu Drescherom i wyszedł.

# 9.

## PRZEGLĄD WIADOMOŚCI

Darren Sunday, gwiazda serialu telewizyjnego stacji NBC „Dale Rice” zmarł dzisiaj na skutek obrażeń odniesionych podczas upadku w trakcie zjawiska. Produkcja serialu, która póki co trwała bez udziału Sundaya, została wstrzymana.

.

Zarząd Dróg stanu Nowy Jork poinformował, iż karambol z okolic zjazdu nr 44 (Canandaigua), obejmujący siedemdziesiąt dwa samochody, jeszcze nie został usunięty; droga szybkiego ruchu prowadząca na zachód jest tam nadal zablokowana. Kierowców prosi się o wybieranie innych tras.

.

W Londynie grupa dziesięciu tysięcy muzułmanów, których modlitwy przerwała Futurospekcja, zebrała się dziś na Piccadilly Circus, by pogrążyć się w zbiorowej modlitwie z twarzami skierowanymi w stronę Mekki.

.

Papież Benedykt XVI ogłosił szczegółowy harmonogram swoich wizyt międzynarodowych. Zaprasza katolików, a także wyznawców innych religii do udziału w mszach mających nieść pocieszenie wszystkim, którzy utracili swych najbliższych w trakcie Futurospekcji. Pytany o to, czy Futurospekcja była cudem, papież wstrzymał się od odpowiedzi.

Fundusz Narodów Zjednoczonych na Rzecz Dzieci zgłosił chęć pomocy przeciążonym krajowym agencjom adopcyjnym w szukaniu domów dla dzieci osieroconych w wyniku Futurospekcji.

Choć w CERN-ie wrzało — każdy z naukowców miał bowiem swoją ulubioną teorię na wyjaśnienie tego, co się stało — Lloyd i Michiko wyszli do domu wcześniej. I nikt nie miał im tego za złe po tym, co stało się z Tamiko. „Domem” znów bezdyskusyjnie zostało mieszkanie Lloyd’a w St. Genis.

Michiko nadal płakała co kilka godzin, a Lloyd w końcu znalazł w pracy czas, by zamknąć drzwi swojego biura, położyć głowę na biurku i też się wypłakać. Czasem łązy pomagały zwalczyć ból, ale nie w tym przypadku.

Zjedli wczesną kolację; Lloyd przygotował kotlety, które znalazł w lodówce. Michiko, najwyraźniej szukając czegoś, czym mogła zająć myśli, wzięła się za przemeblowanie mieszkania Lloyd’a.

Kiedy już skończyli jeść i usiedli — Michiko przy herbacie, a Lloyd przy kawie — znów padło pytanie, którego Lloyd tak się

obawiał.

— A co ty widziałaś? — spytała Michiko.

Lloyd otworzył usta, by odpowiedzieć, ale zaraz je zamknął.

— Daj spokój — rzuciła Michiko, bezbłędnie odczytując wyraz jego twarzy — Nie mogło być aż tak źle.

— Było — powiedział Lloyd.

— Co widziałaś? — spytała jeszcze raz.

— Ja... — zamknął oczy. — Byłem z inną kobietą.

Michiko mrugnęła kilka razy. Wreszcie odezwała się lodowatym głosem:

— Zdradzałeś mnie?

— Nie... skąd.

— To o co chodzi?

— Byłem... o Boże, kochanie, tak bardzo mi przykro... byłem mężem innej kobiety.

— Skąd wiesz, że byliście małżeństwem?

— Byliśmy w łóżku, mieliśmy takie same obrączki. I byliśmy w domku w Nowej Anglii.

— Może to jej dom.

— Nie. Poznałem niektóre meble.

— Byłeś mężem kogoś innego — powiedziała Michiko, jakby próbując przetrwać tę myśl. Ostatnio przeżyła tak wielki szok, że prawdopodobnie trudno było jej znieść inne przeżycia.

Lloyd skinął głową.

— My... to znaczy ja i ty... musieliśmy się rozwieść. Albo...

— Albo co?

Wzruszył ramionami.

— Albo wcale się nie pobraliśmy.

— Już mnie nie kochasz? — spytała Michiko.

— Pewnie, że Kocham. Naturalnie. Ale... zrozum, nie prosiłem o tę wizję. I w ogóle mi się nie podobała. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o słowach przysięgi? Pamiętasz dyskusję o tym, czy zostawić fragment „póki śmierć nas nie rozłączy”? Twierdziłaś, że to staromodne i że nikt już tak nie mówi. Nie wspominając o tym, że ty już raz byłaś zamężna. Ale ja powiedziałem, że powinniśmy zostawić te słowa. Chciałem tego. Oczekiwałem małżeństwa na zawsze. Nie takiego, jak małżeństwo moich rodziców... i nie takiego, jak twój pierwszy związek.

— Byłaś w Nowej Anglii — powiedziała Michiko, nadal próbując się z tym oswoić. — A ja... byłam w Kioto.

— Z jakąś dziewczynką — dodał Lloyd i zawiesił głos, nie do końca pewny, czy powinien zadać dręczące go pytanie. W końcu się przełamał, choć nie potrafił spojrzeć jej w oczy pytając:

— Jak wyglądała?

— Miała długie czarne włosy — odpowiedziała Michiko.

— I...

Michiko uciekła wzrokiem.

— I cechy azjatyckie. Wyglądała jak Japonka. — Przerwała. — Ale to nic nie znaczy. Wiele dzieci mieszanych rodziców jest bardziej podobne do jednego z nich.

Lloyd poczuł, jak serce skacze mu w piersi.

— Myślałem, że jesteśmy sobie przeznaczeni — powiedział łagodnie. — Myślałem... — zamilkł, nie potrafiąc powiedzieć: „Myślałem, że jesteś moją bratnią duszą”. Oczy go zapiekły. Ona

najwyraźniej miała ten sam problem, gdyż przetarła oczy wierzchem dłoni.

— Kocham cię, Lloyd — oznajmiła.

— Ja ciebie też, ale...

— Właśnie — powiedziała. — Ale...

Dotknął jej dłoni, którą położyła na stole. Ścisnęła jego palce. A potem bardzo długo siedzieli w milczeniu.

Theo przez jakiś czas siedział w samochodzie przed domem Drescherów, intensywnie myśląc. Zastrzelono go z glocka kalibru 9 mm; dzięki serialom policyjnym, które oglądał był raczej pewien, że glock to półautomatyczny pistolet często używany przez policję na całym świecie. Ale amunicja pochodziła z Ameryki, więc być może za spust pociągnął Amerykanin. Naturalnie Theo mógł jeszcze nie poznać tego, kto pewnego dnia będzie chciał jego śmierci. Zapewne obecna grupa jego przyjaciół, znajomych i współpracowników nie będzie się prawie wcale pokrywać z tą za dwie dekady.

Co nie zmieniało faktu, że Theo znał wielu Amerykanów.

Choć żadnego dobrze. Za wyjątkiem Lloyda Simcoe.

Fakt, Lloyd nie był Amerykaninem, urodził się w Kanadzie. A Kanadyjczycy nie lubili broni... nie mieli drugiej poprawki, czy innego cholerstwa, dzięki któremu Amerykanie sądzili, iż wolno im się bezkarnie zbroić.

Ale Lloyd, nim trafił do CERN-u, przez siedemnaście lat mieszkał w USA, najpierw w Harvardzie, następnie jako tevatronowski badacz w Fermilabie niedaleko Chicago. I, jak sam twierdził, w chwili, którą pokazały wizje, ponownie

mieszkał w Stanach. Na pewno nie miałby problemu z załatwieniem sobie pistoletu.

Ale nie... Lloyd miał alibi. Był w Nowej Anglii, gdy Theo został... jak to mówią Amerykanie? Gdy Theo został sprzątnięty.

Tylko że...

Tylko że Theo został zabity dwudziestego pierwszego października, a wizja Lloyda, tak jak i wszystkich innych, dotyczyła dwudziestego trzeciego.

Lloyd opowiedział Theo o swojej wizji... mówił też, że Michiko jeszcze nie wie, ale Theo nalegał, a Lloyd ustąpił, zmuszając wpierw młodego Greka, by obiecał, że zachowa to w tajemnicy. Lloyd powiedział, że wizja zastała go w chwili, gdy kochał się z jakąś starą kobietą, prawdopodobnie jego ówczesną żoną.

Starsi ludzie pewnie nie kochają się tak często, pomyślał Theo. Pewnie robią to tylko, gdy trafi się jakaś specjalna okazja. Na przykład, gdy jedno z nich wraca po dłuższej nieobecności. Z Nowej Anglii do Szwajcarii leci się tylko sześć godzin... i to w obecnych czasach. Za dwadzieścia lat lot może być jeszcze krótszy.

Pewnie, Lloyd bez problemu mógł być w poniedziałek w CERN-ie i wrócić do domu w New Hampshire, czy gdzie to do cholery było, w środę. Nie żeby Theo potrafił sobie wyobrazić powód, dla którego Lloyd chciałby go zabić.

No może oczywiście za wyjątkiem tego, że w roku dwa tysiące trzydziestym to Theo, a nie Lloyd będzie w CERN-ie szefem urządzenia, które wyglądało na niezwykle

zaawansowany przyspieszacz cząstek: zderzacz tachionowo-tardionowego.

Akademicka i zawodowa zazdrość doprowadziła na przestrzeni lat do wielu morderstw.

Znaczenie miał również fakt, że Lloyd i Michiko nie będą już razem. Theo nie mógł zaprzeczyć, że i jemu Michiko się podobała. Któremu mężczyźnie mogłaby się nie podobać? Była olśniewająca, błyskotliwa, ciepła i zabawna. No i... cóż... wiekiem bliżej jej było to Theo niż do Lloyd'a. Czy mógłby mieć swój udział w ich rozstaniu?

Tak samo jak namówił Lloyd'a do podzielenia się z nim swoją wizją, namówił i Michiko: Theo był żądny informacji z pierwszej ręki, pośrednio próbując doświadczyć tego, co inni mieli szczęście zobaczyć. Michiko w swojej wizji znajdowała się chyba w Kioto, jak twierdziła, odwiedzając ze swoją córką wuja. Czy Lloyd mógł czekać, aż Michiko na jakiś czas opuści Genewę, by tu przyjechać i wyrównać rachunki?

Theo nienawidził się za te rozważania. Lloyd był jego mentorem, partnerem. Zawsze mówili o wspólnej nagrodzie Nobla. Ale...

Ale żaden z dwóch znanych mu artykułów opisujących jego śmierć nie wspominał o Noblu. Oczywiście nie znaczyło to, że Lloyd nie dostanie nagrody, ale...

Matka Theo była diabetyczką i gdy tylko postawiono diagnozę, Theo przestudiował historię cukrzycy. Nieustannie przewijały się przez nią nazwiska Bantinga i Besta — dwóch kanadyjskich naukowców, którzy odkryli insulinę. Była to inna para, do której ludzie czasem porównywali Lloyd'a i Theo: tak



jak w przypadku Cricka i Watsona, między Bantingiem i Bestem była spora różnica wieku... Banting był starszym naukowcem. Ale choć Crick i Watson zostali nagrodzeni Noblem wspólnie, Banting dzielił swoją nagrodę nie ze swoim faktycznym partnerem naukowym, młodym Bestem, ale z J.R.R. Macleodem, swoim szefem. Być może Lloyd otrzyma Nobla... nie za odkrycie Higgosa, który się nie pojawił, ale na przykład za objaśnienie mechanizmu przeniesienia czasowego. I być może nie będzie go dzielić ze swoim młodszym partnerem, ale z szefem... Bérangerem lub kimś innym wysoko postawionym w hierarchii CERN-u. Jaki miałoby to wpływ na ich przyjaźń i współpracę? Jaka zazdrość i nienawiść może się wykluc do dwa tysiące trzydziestego roku?

Szaleństwo. Paranoja. Choć z drugiej strony...

Z drugiej strony, jeśli został zabity na terenie CERN-u... sugestia Moota Dreschera, jakoby była to hala sportowa nadal wydawała mu się wątpliwą propozycją... musiał to zrobić ktoś, kto miał dostęp do kompleksu. CERN ciężko byłoby nazwać pilnie strzeżonym ośrodkiem, ale nie znaczy to, że każdy mógł tak po prostu wejść do środka.

Nie, najpewniej zabił go ktoś, kto miał dostęp do CERN-u. Ktoś, z kim Theo spotkałby się twarzą w twarz. I na dodatek ktoś, kto nie tylko chciał go zabić, ale kto dał ujście długo tłumionej złości, pakując w Theo jedną kulę za drugą.

Lloyd i Michiko przenieśli się na kanapę w salonie; naczynia mogły poczekać.

Cholera, pomyślał Lloyd, czemu musiało się to wydarzyć? Wszystko szło tak dobrze, a teraz...

Teraz wyglądało na to, że wszystko się rozpadnie. Lloyd nie był już młody. Nigdy nie sądził, że przyjdzie mu czekać na małżeństwo aż tyle, ale...

Ale praca zawsze stawała mu na drodze i...

Nie. Nie o to chodziło. Bądźmy szczerzy. Spójrzmy prawdzie w oczy.

Uważał się za dobrego człowieka, miłego, spokojnego, ale...

Ale prawdę mówiąc, nie był ani szczególnie elegancki, ani wygadany; łatwo było Michiko wprowadzić pozytywne zmiany w jego garderobie, ponieważ jakakolwiek zmiana w tym przypadku musiała wyjść na lepsze.

Pewnie, kobiety — zresztą mężczyźni również — twierdzili, że był dobrym słuchaczem, ale Lloyd doskonale wiedział, że to nie wynik jego wyjątkowej mądrości, a raczej tego, że po prostu najczęściej brakowało mu słów. Siedział więc tylko i absorbował wszystko: wzloty i upadki innych ludzi, sukcesy i porażki, wyzwania i kłopoty osób, w których życiu więcej się działo, którzy przeżywali więcej radości i zmartwień niż on sam.

Lloyd Simcoe nie był bawidamkiem ani gawędziarzem. Nie był znany jako doskonały mówca. Był po prostu naukowcem, specjalizującym się w plazmie kwarkowo-gluonowej, typowym kujonem, który zaczynał jako dzieciak nie potrafiący rzucić porządnie piłką i który spędził okres dojrzewania z nosem w książkach, gdy inni w jego wieku doskonalili umiejętności interpersonalne na tysiąc i jedną okazję.

I lata jakoś mijały... dwadzieścia, trzydzieści, a teraz już i kilka po czterdziestce. Naturalnie osiągnął sukces zawodowy, od

czasu do czasu umawiał się na randki, a wiele lat temu była w jego życiu Pam, ale nic nie było na stałe, żaden związek nie wyglądał, jakby mógł znieść próbę czasu.

Aż do związku z Michiko.

W tym przypadku wszystko zdawało się być na miejscu. To, jak śmiała się z jego żartów, a on z jej. To, że pomimo dorastania w dwóch diametralnie różnych społeczeństwach — on w konserwatywnej, wiejskiej Nowej Szkocji, a ona w kosmopolitycznym, przytłaczającym Tokio — podzielali poglądy polityczne i moralne oraz przekonania i opinie, jak gdyby... określenie to znów pojawiło się nieproszone: jak gdyby byli bratnimi duszami, którym pisane jest wspólne życie. I choć Michiko była rozwódką i ma, czy raczej miała, dziecko, i tak byli niesamowicie zgraną, idealnie dobraną parą.

Ale teraz...

Teraz to również zaczęło przypominać iluzję. Może i świat nadal zastanawiał się, którą — jeżeli w ogóle jakąś — rzeczywistość odzwierciedlały wizje, ale Lloyd już pogodził się z myślą, że to faktyczny, prawdziwy obraz jutra, jedyne, niezmiennego kontinuum czasoprzestrzennego, w którym żył wedle swojej wiedzy.

A jednak musiał wyjaśnić jej, co czuje... on, Lloyd Simcoe, człowiek, któremu zawsze brakowało słów, dobry słuchacz, równy gość, do którego wszyscy przychodzili ze swoimi wątpliwościami. Musiał wyjaśnić jej, nad czym rozmyśla, czemu wizja nieudanego małżeństwa za dwadzieścia jeden lat — aż dwadzieścia jeden lat! — tak go teraz paraliżuje i tak bardzo zatruwa mu to, w co wierzył, że stworzyli.

Spojrzał na Michiko, uciekł wzrokiem, ponownie spróbował spojrzeć jej w oczy, aż w końcu skupił się na fragmencie ściany w ciemnym kolorze wina.

Nigdy o tym z nikim nie rozmawiał, nawet ze swoją siostrą Dolly, a przynajmniej nie od czasu, gdy byli dziećmi. Wziął głęboki wdech, a potem zaczął mówić ze wzrokiem nadal utkwionym w ścianie.

— Kiedy miałem osiem lat, moi rodzice zawołali mnie i moją siostrę do salonu na dole. — Przełknął. — Było sobotnie popołudnie. W domu od tygodni atmosfera była napięta. Tak określają to dorośli: „napięta atmosfera”. Jako dziecko wiedziałem tylko, że mama i tata ze sobą nie rozmawiają. Choć niby rozmawiali, kiedy musieli, ale zawsze ostrym tonem. I często rozmowy te kończyły się takimi urwanymi zdaniami: „No jeśli tak...!”, „Nie zamierzam...!”, „Nie próbuj nawet...!”. I tak dalej. Próbowali zachować pozory grzeczności, gdy wiedzieli, że ich słyszemy, ale słyszeliśmy o wiele więcej niż myśleli.

Rzucił Michiko przelotne spojrzenie i ponownie przeniósł wzrok na ścianę.

— W każdym bądź razie zawołali nas na dół. „Lloyd, Dolly... zejdźcie tu!” To były słowa ojca. A wiesz, jeśli krzyczał, żebyśmy przyszli, zazwyczaj oznaczało to kłopoty. Nie schowaliśmy zabawek, któryś z sąsiadów poskarżył się na nas, wszystko jedno. No więc wyszedłem ze swojego pokoju, a Dolly ze swojego i wymieniliśmy spojrzenia, wiesz, wystarczył rzut oka, chwila dzielonego lęku. — Spojrzał na Michiko zupełnie tak, jak

wiele lat wcześniej patrzył na swoją siostrę. A potem mówił dalej:

— Zeszliśmy na dół, a tam czekali na nas oboje, mama i tata. Oboje stali, więc i my stanęliśmy. Przez cały czas wyglądaliśmy, jakbyśmy czekali na pieprzony autobus. Przez chwilę nic nie mówili, jakby nie wiedzieli, co powiedzieć. Aż w końcu odezwała się mama i oznajmiła: „Wasz tata się wyprowadza”. I tyle. Żadnego wstępu, czy próby złagodzenia ciosu: „Wasz tata się wyprowadza”.

— A potem on się odezwał. „Zamieszkam niedaleko. Będziemy się spotykać w weekendy”.

— A mama dodała, jakby to było konieczne: „Wasz tata i ja ostatnio nie bardzo się dogadujemy”.

Lloyd zamilkł.

Na twarzy Michiko odmalowało się współczucie.

— Często się z nim spotykaliście po tym, jak się wyprowadził? — spytała w końcu.

— Nie wyprowadził się.

— Ale twoi rodzice się rozwiedli.

— Tak... sześć lat później. Ale nie wyprowadził się po tym wielkim oświadczeniu. Nie odszedł.

— Więc twoi rodzice się pogodzili?

Lloyd wzruszył ramionami.

— Nie. Nadal się kłócili. Ale już nie mówili o tym, że tata się wyprowadza. Razem z Dolly nieustannie czekaliśmy na spełnienie zapowiedzi, na jego wyprowadzkę. Całymi miesiącami, a tak naprawdę przez całe sześć lat, jakie przetrwało jeszcze ich małżeństwo, spodziewaliśmy się, że lada

moment odejście. W końcu nigdy nie podali nam daty, nigdy nie powiedzieli, kiedy to nastąpi. Gdy się w końcu rozeszli, niemal nam ulżyło. Kocham swojego tatę, mamę również, ale kiedy tak długo to nad nami wisiało... to było zdecydowanie ponad nasze siły. — Przerwał na chwilę. — Takie nieudane małżeństwo... przykro mi, Michiko, ale nie chciałbym już nigdy przez coś takiego przechodzić.

# 10.

Dzień trzeci: czwartek, 23 kwietnia 2009 r.

## PRZEGLĄD WIADOMOŚCI

Biuro prokuratora okręgowego Los Angeles zarzuciło wszystkie prowadzone sprawy o wykroczenia, by umożliwić personelowi zajęcie się wnoszonymi nieustannie oskarżeniami o szabrowanie, będącymi następstwem Futurospekcji.

.

Wydział Filozofii Uniwersytetu Witwatersrand w Republice Południowej Afryki odnotował rekordową liczbę zgłoszeń.

.

Przedsiębiorstwo Amtrak w USA, Via Rail w Kanadzie i British Rail ogłosiły wzrost liczby pasażerów. W trakcie Futurospekcji nie doszło do wykolejenia żadnego z pociągów tych linii.

.

Utworzony wczoraj w Sztokholmie Kościół Świętych Wizji ma już dwanaście tysięcy wiernych na całym świecie, tym samym stając się najszybciej rozwijającą się religią na Ziemi.

Stowarzyszenie Prawników Amerykańskich odnotowało ogromny wzrost liczby wniosków o spisanie testamentu bądź wprowadzenie poprawek do już istniejących dokumentów.

Następnego dnia Theo i Michiko zajęli się tworzeniem strony internetowej, na której ludzie mogliby opisywać swoje wizje. Zdecydowali się nazwać przedsięwzięcie Projektem Mozaikowym, by upamiętnić zarówno pierwszą znaną (choć już od dawna nieużywaną) przeglądarkę internetową, jak również dla uczczenia już potwierdzonego dzięki pracy badaczy i dziennikarzy na całym świecie faktu, iż wizja każdej z osób stanowi niewielki fragment mozaiki, składający się na obraz roku dwa tysiące trzydziestego.

Theo pociągnął z kubka łyk kawy, po czym zapytał:

— Czy mogę ci zadać pytanie dotyczące twojej wizji?

Michiko wyjrzała przez okno na góry.

— Pewnie.

— Czy myślisz, że ta dziewczynka, z którą byłaś, to twoja córka? — Niemal wymsknęło mu się „twoja nowa córka”, ale na szczęście w ostatniej chwili powstrzymał te słowa.

Michiko wzruszyła swymi szczupłymi ramionami.

— Najwyraźniej.

— I to córka Lloyda?

Michiko wyglądała na zaskoczoną pytaniem.

— Oczywiście — odparła, choć jej głos zdradzał wahanie.

— Bo Lloyd...

Michiko zeszywniała.

— Opowiedział ci o swojej wizji, tak?



Theo zrozumiał, że popełnił gafę.

— Nie, niezupełnie. Mówił tylko, że był w Nowej Anglii...

— Z inną kobietą. Wiem.

— Nie jestem wcale przekonany, że to coś znaczy. A nawet jestem pewien, że te wizje się nie sprawdzą.

Michiko znów wyjrzała na góry; Theo przyłapał się na tym, że również często to robi. Było w nich coś... coś stałego, trwałego, niezmiennego. Patrzenie na nie uspokajało. Dobrze było wiedzieć, że istnieją rzeczy, które przetrwały nie tylko dekady, ale całe wieki.

— Słuchaj — powiedziała. — Mam już za sobą jeden rozwód. Nie jestem na tyle naiwna, by sądzić, że wszystkie małżeństwa trwają wiecznie. Być może faktycznie rozstaniemy się kiedyś z Lloydem. Kto wie?

Theo odwrócił wzrok, nie potrafiąc spojrzeć jej w oczy, gdyż nie wiedział, jak zareaguje na jego następne słowa.

— Byłby idiotą, gdyby pozwolił ci odejść — stwierdził.

Nagle poczuł, jak dłoń Michiko dotyka jego dłoni, leżącej na stole i czule go poklepuje.

— Dziękuję — powiedziała. Gdy wreszcie na nią spojrział, uśmiechała się. — To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam — stwierdziła, po czym przez kilka cudownych sekund nie cofnęła swej dłoni.

Lloyd Simcoe przeszedł z centrali LHC do głównego budynku administracji. Zazwyczaj zabierało mu to najwyżej piętnaście minut, ale tym razem trwało pół godziny, gdyż trzy razy został zatrzymany przez fizyków idących w przeciwnym kierunku. Chcieli dowiedzieć się czegoś o eksperymencie LHC, który mógł

stać za przeniesieniem czasowym lub zaproponować własne modele teoretyczne wyjaśniające Futurospekcję. Był piękny, wiosenny dzień — chłodny, ale z ogromną górą cumulonimbusów na błękitnym niebie, sięgającą szczytów na wschód od CERN-u.

W końcu Lloyd dotarł na miejsce i udał się do gabinetu Bérangera. Naturalnie wcześniej umówił się na spotkanie (na które był już kwadrans spóźniony). CERN było ogromnym ośrodkiem i nie było mowy, by ot tak, bez zapowiedzi wpaść do dyrektora generalnego.

Sekretarka Bérangera powiedziała Lloydowi, że może od razu wejść, co też zrobił. Okno gabinetu na trzecim piętrze wychodziło na kompleks CERN-u. Béranger wstał zza biurka i usiadł przy długim stole konferencyjnym, który prawie w całości zarzucony był raportami z eksperymentów związanych z Futurospekcją. Lloyd usiadł po przeciwnej stronie.

— *Oui?* — zaczął Béranger. Tak? O co chodzi?

— Chcę się ujawnić — oznajmił Lloyd. — Chcę powiadomić cały świat o naszej roli w tym, co się wydarzyło.

— *Absolument pas* — odparł Béranger. — Nie ma mowy.

— Do diabła, Gaston, w końcu będziemy musieli się przyznać.

— Nie wiesz, czy to nasza wina, Lloyd. Nie możesz tego udowodnić, nikt nie może. Naturalnie ciągle ktoś próbuje się do nas dodzwonić. Pewnie do wszystkich naukowców świata wydzwaniamy media z prośbą o opinię na temat tego, co się stało. Ale nikt tego jeszcze z nami nie powiązał i mam nadzieję, że nie powiąże.

— Daj spokój! Theo mówi, że wpadłeś do centrali LHC zaraz po Futurospekcji i od razu wiedziałeś, że to ma związek z nami.

— Bo wtedy myślałem, że to zjawisko lokalne. Ale kiedy dowiedziałem się, że wystąpiło na całym świecie, zmieniłem zdanie. Myślisz, że jesteśmy jedynym ośrodkiem, w którym działo się wtedy coś ciekawego? Sprawdziłem. KEK prowadził eksperyment, który rozpoczął się zaledwie pięć minut przed Futurospekcją; w SLAC-u również zderzali cząstki. Obserwatorium Neutrinowe w Sudbury zarejestrowało erupcję chwilę przed siedemnastą; w tym samym czasie, tuż przed siedemnastą, we Włoszech wystąpiło trzęsienie ziemi o sile trzy i cztery dziesiąte w skali Richtera. Dokładnie o siedemnastej naszego czasu uruchomiono nowy reaktor termojądrowy w Indonezji. A w Boeingu prowadzono serię testów silników rakietowych.

— Ani KEK, ani SLAC nie mogą wytworzyć poziomów energii choćby zbliżonych do tych z LHC — stwierdził Lloyd. — A reszta to raczej powszechne zdarzenia. Chwytasz się brzytwy.

— Nie — odparł Béranger. — Prowadzę porządne dochodzenie. Nie możesz stwierdzić, przynajmniej nie ze stuprocentową pewnością, że to my, a dopóki tej pewności mieć nie będziesz, nikomu nic nie powiesz.

Lloyd pokręcił głową.

— Wiem, że całymi dniami zajmujesz się papierkową robotą, ale sądziłem, że w głębi serca pozostałeś naukowcem.

— Jestem naukowcem — oznajmił stanowczo Béranger. — I chodzi mi właśnie o naukę... prawdziwą naukę, taką, jaka powinna być. Chciałbyś wydawać oświadczenia przed

ustaleniem wszystkich faktów. Ja nie chcę. — Przerwał i wziął głęboki oddech. — Zrozum, na przestrzeni lat ludzka wiara w naukę i tak już została zachwiana. O wiele za dużo naukowych opowieści okazało się być oszustwem lub chwytem reklamowym.

Lloyd zaczął mu się przyglądać z zainteresowaniem.

— Percival Lowell, któremu wystarczyłyby lepsze soczewki i mniej bujna wyobraźnia, twierdził, że widzi na Marsie kanały, których tam oczywiście nie ma.

— Nadal nie uporaliśmy się z następstwami tego, że jakiś idiota w Roswell postanowił ogłosić, iż widział szczątki statku kosmitów, a nie balonu meteorologicznego.

— A pamiętasz Tasaday? Plemię rzekomo z epoki kamienia, odkryte w Nowej Gwinei w latach 70., które nie miało w swym języku słowa na określenie wojny? Antropolodzy wychodzili z siebie, by móc ich zbadać. Problem w tym, że była to mistyfikacja. Ale naukowcy woleli jak najszybciej pokazać się w talk showach, zamiast zająć się szukaniem dowodów.

— Nie interesuje mnie żaden talk show — stwierdził Lloyd.

— Potem ogłosiliśmy światu odkrycie metody przeprowadzania zimnej fuzji — kontynuował Gaston, ignorując go. — Pamiętasz? Koniec kryzysu energetycznego, koniec biedy! Więcej energii niż ludzkość może kiedykolwiek potrzebować. Ale to też nie była prawda, tylko falstart Fleischmanna i Ponsa.

— Później zaczęło się gadanie o życiu na Marsie, a wszystko przez jakiś antarktyczny meteoryt z rzekomymi mikroskamieniałościami dowodzącymi, że ewolucja rozpoczęła

się również poza Ziemią. Tylko że naukowcy po raz kolejny za szybko się wygadali, a skamieniałości w ogóle nie były skamieniałościami, tylko naturalnymi formacjami skalnymi.

Gaston zaczerpnął powietrza.

— W tym przypadku też musimy zachować ostrożność, Lloyd. Słyszałeś kiedyś kogoś z Instytutu Badań Kreacjonistycznych? Opowiadają niewyobrażalne bzdury na temat początków życia, a ludzie na widowni kiwają głowami i przytakują... według kreacjonistów naukowcy nie wiedzą, o czym mówią i mają rację, bo w połowie przypadków nie wiemy. Za szybko kłapiemy dziobami, za wszelką cenę chcąc wszystkich prześcignąć i zdobyć uznanie. Ale za każdym razem, gdy się mylimy... za każdym razem, gdy ogłaszamy przełom w poszukiwaniu leku na raka lub rozwiązanie zasadniczej tajemnicy wszechświata, a za miesiąc, czy rok zmieniamy zdanie i mówimy: „ojej, pomyliliśmy się, nie sprawdziliśmy wszystkich danych, nie wiedzieliśmy, o czym mówimy”, to w każdym takim przypadku robimy tylko reklamę astrologom, kreacjonistom, wyznawcom New Age i wszystkim innym naciągaczom, szarlatanom i zwykłym czubkom. Jesteśmy naukowcami, Lloyd i powinniśmy być ostatnim bastionem racjonalnej myśli i potwierdzonych, powtarzalnych, niezbitych dowodów, a tymczasem sami najwięcej sobie szkodzimy. Chcesz się ujawnić i oświadczyć wszystkim, że to wina CERN-u, że to my przenieśliśmy świadomość wszystkich ludzi w czasie, że mamy wgląd w przyszłość i możemy obdarzyć wszystkich darem jutra. Ale ja nie jestem tego taki pewien, Lloyd. Sądzisz, że jestem tylko urzędnikiem, który próbuje chronić własny

tyłek, a w zasadzie to zbiorowy tyłek nas i naszych ubezpieczycieli. Ale nie w tym rzecz, czy też szczerze mówiąc, nie tylko w tym. Do cholery, Lloyd... mnie też przykro i to bardziej niż potrafisz sobie wyobrazić z powodu tego, co stało się córce Michiko. Marie-Claire urodziła wczoraj, w ogóle nie powinno mnie tu być, na szczęście jej siostra przyjechała. Ale tyle jest do zrobienia. Mam teraz syna i choć jest z nami zaledwie od kilkunastu godzin, nie wyobrażam sobie, że mógłbym go stracić. To, przez co przechodzicie z Michiko nie mieści mi się w głowie. Ale chciałbym, by mój syn żył w lepszym świecie. W takim, w którym szanuje się naukę, naukowcy wypowiadają się na podstawie sprawdzonych danych, a nie spekulacji, w którym gdy ktoś ogłasza wiadomości naukowe ludzie na widowni okazują zainteresowanie, gdyż ogłaszane jest coś o fundamentalnym znaczeniu na temat funkcjonowania wszechświata, a nie tylko przewracają oczami i rzucają: „o rany, ciekawe co wymyślili w tym tygodniu”. Nie wiem na pewno, na sto procent, że CERN miał cokolwiek wspólnego z tym, co się stało i dopóki nie będziemy mieli tej pewności, nikt nie zwoła żadnej konferencji prasowej. Jasne?

Lloyd otworzył usta, by zaprotestować, po czym je zamknął i otworzył ponownie.

— A jeśli udowodnię, że CERN miał z tym coś wspólnego?

— Nikt nie uruchomi ponownie LHC, a przynajmniej nie na poziomie 1150 TeV. Cały czas zmieniam kolejność eksperymentów. Jeśli ktoś chce wykorzystać LHC do zderzenia protonów, robi to dopiero, gdy skończymy diagnostykę, ale

nikt nie odpali akceleratora do zderzeń nuklearnych póki mu nie pozwolę.

— Ale...

— Żadnych ale, Lloyd — przerwał mu Béranger. — Przepraszam, ale mam mnóstwo pracy. Coś jeszcze...?

Lloyd pokręcił głową i wyszedł z gabinetu, po czym opuścił budynek administracji i ruszył z powrotem do centrali LHC.

W drodze powrotnej Lloyda zatrzymało jeszcze więcej osób. Wyglądało na to, że co kilka minut pojawia się nowa teoria i równie często obalane są stare. W końcu udało mu się dotrzeć do swojego biura. Na biurku czekał na niego wstępny raport zespołu inżynieryjnego, który przeczesał całe dwadzieścia siedem kilometrów tunelu LHC w poszukiwaniu jakiegokolwiek nieprawidłowości, która mogłaby być odpowiedzialna za przemieszczenie czasowe; póki co, niczego nie znaleziono. Również detektory ALICE i CMS pomyślnie przeszły badania i wszystkie testy diagnostyczne.

Obok raportu leżała jeszcze kserokopia strony tytułowej „Tribune de Genčve”, na której ktoś zakreślił jeden z tekstów:

ŚMIERĆ CZŁOWIEKA, KTÓRY MIAŁ WIZJĘ

WEDŁUG PROFESORA PRZYSZŁOŚĆ NIE JEST PEWNA

MOBILE, ALABAMA (AP): James Punter (l. 47) zginął dzisiaj w wypadku samochodowym na drodze I-65. Punter opowiadał wcześniej swojemu bratu, Dennisowi Punterowi (l. 44) o swojej wizji przyszłości.

— Jim mówił mi o swojej wizji — twierdzi Dennis. — Był w niej w domu, tym samym, w którym mieszka teraz. Golił się i prawie umarł ze strachu, kiedy zobaczył swoją starą, pomarszczoną twarz w lustrze.

Według Jasmine Rose, profesor filozofii na Uniwersytecie Stanowym Nowego Jorku w Brockport, śmierć Puntera pociąga za sobą szeroko idące konsekwencje.

— Od chwili wystąpienia wizji prowadzono spór, czy przedstawiały one faktyczną przyszłość, jedną z jej możliwych wersji, czy też w ogóle były tylko halucynacjami — wyjaśnia profesor Rose.

— Śmierć Puntera wyraźnie wskazuje na to, że przyszłość nie jest wcale pewna, gdyż pomimo wystąpienia wizji człowiek ten nie doczekał jej spełnienia.

Lloyd jeszcze nie ochłonął po spotkaniu z Bérangerem, więc tylko zwinął kartkę w kulkę i cisnął nią przez całe biuro.

Profesor filozofii!

Śmierć Puntera niczego nie dowodziła. Jego opowieści w żaden sposób nie można potwierdzić. Nie było na nią żadnych dowodów... w żadnej gazecie ani stacji telewizyjnej nie pokazano relacji z przyszłości, które można by porównać z relacjami innych, a wszystko wskazywało na to, że nikt inny nie widział go w swojej wizji. W przypadku czterdziestosiedmiolatka nie byłoby nic dziwnego, gdyby za dwadzieścia jeden lat nie żył. Równie dobrze mógł wymyślić sobie wizję, która nawiasem mówiąc wcale nie była wyjątkowo oryginalna, żeby tylko się nie przyznać, że nic nie zobaczył. Jak powiedziała Michiko, ujawniając swój brak wizji Theo



prawdopodobnie zaprzepaścił swoje szanse na ubezpieczenie na życie; Punter mógł uznać, że lepiej udawać, iż miało się wizję niż pogodzić się z własną śmiercią.

Lloyd westchnął. Nie mogli zapytać o zdanie naukowca? Kogoś, kto rozumie, czym są prawdziwe dowody?

Profesor filozofii. Niezły, kurwa, żart.

Większość prac związanych z przygotowaniem strony wykonywała Michiko; Theo, na innym komputerze w tym samym pokoju, przeprowadzał symulacje zderzeń w LHC, pomagając Michiko, gdy tylko tego potrzebowała. Naturalnie w CERN-ie dostępne były najnowsze narzędzia autorskie, ale i tak wiele trzeba było zrobić samemu, w tym przygotować różnej długości opisy do przeglądarek używanych na całym świecie. Doszła do wniosku, że na przygotowanie wszystkiego potrzebny jej będzie jeszcze jeden dzień.

Na ekranie Theo wyskoczyło okienko z informacją o nowej wiadomości. Normalnie odłożyłby czytanie jej na jakiś czas, ale temat natychmiast przykuł jego uwagę: „Betreff: Ihre Ermordung”, co po niemiecku znaczyło „Dot. : Pańskiego morderstwa”.

Theo otworzył wiadomość. Całość była po niemiecku, ale nie miał problemu ze zrozumieniem treści. Jednak Michiko, czytająca mu przez ramię, nie znała niemieckiego, więc przetłumaczyła dla niej maila.

— To od jakiejś kobiety z Berlina — wyjaśnił Theo. — Wygląda to mniej więcej tak: „Widziałam pana wiadomość wysłaną do grupy dyskusyjnej, do której należę. Szuka pan ludzi, którzy mogą coś wiedzieć o pana morderstwie. Pewna

osoba z mojego bloku wie coś na ten temat. Wszyscy...”, zgromadziliśmy się, zebraliśmy się, coś takiego, „... zebraliśmy się w holu po tym, co się stało i opowiadaliśmy o swoich wizjach. I jeden facet, którego nie znam za dobrze, ale wiem, że mieszka piętro wyżej, w swojej wizji oglądał wiadomości, w których mówiono o zamordowanym fizyku w Lucernie, tak na początku myślałam, ale jak przeczytałam pana wiadomość, to zrozumiałam, że powiedział w CERN-ie, o którym, przyznaję, nigdy nie słyszałam. W każdym bądź razie przesłałam mu ukrytą kopię tego maila, ale nie wiem, czy się z panem skontaktuje. Nazywa się Wolfgang Rusch, a jego numer telefonu to...” Tyle napisała.

— I co zrobisz? — spytała Michiko.

— A mam jakieś wyjście? Zadzwonię do niego. — Podniósł słuchawkę, wystukał swój kod opłaty dla rozmów międzynarodowych, a następnie numer wyświetlony na monitorze.

# 11.

## PRZEGLĄD WIADOMOŚCI

Na Filipinach ogłoszono dzień żałoby narodowej dla upamiętnienia prezydenta Maurice'a Maunga oraz wszystkich pozostałych Filipińczyków, którzy zginęli w trakcie Futurospekcji.

.

Grupa, określająca się mianem Kolacji 21 Kwietnia, już wywiera naciski na Kongres, by zatwierdzona została budowa pomnika w centrum Waszyngtonu D.C., upamiętniającego Amerykanów, którzy zginęli podczas Futurospekcji. Proponują, by była to gigantycznych rozmiarów mozaika przedstawiająca Times Square w Nowym Jorku, gdyż tak właśnie wyglądał pomnik w dwa tysiące trzydziestym roku według relacji tysięcy osób, które w swych wizjach widziały to właśnie miejsce. Na każdej płytce, wchodzącej w skład mozaiki, laserem wypisane miałyby być nazwisko jednej z ofiar.

.

Wytwórnia Castle Rock Entertainment ogłosiła, iż premiera długo oczekiwanego wakacyjnego hitu pt.:

„Katastrofa” zostanie przesunięta „na bardziej odpowiedni termin”.

.

Według badania opinii magazynu „Maclean” nastroje separatystyczne w Quebecu osiągnęły najniższy poziom w historii: „Rzekomo pewna informacja, jakoby za dwadzieścia jeden lat Quebec nadal był częścią Kanady sprawiła, że wielu zatwardziałych separatystów po prostu się poddało” — podaje artykuł wstępny „Maclean”.

.

Jednym ze środków nadzwyczajnych, podjętych przez Amerykańską Agencję ds. Żywności i Leków, który ma odciążyc lekarzy, umożliwiając im zajęcie się pacjentami rannymi w trakcie Futurospekcji, jest umieszczenie na okres dwunastu miesięcy jedenastu leków antydepresyjnych na liście środków wydawanych bez recepty.

Wieczorem Lloyd i Michiko ponownie usiedli na kanapie w mieszkaniu Lloyd'a, a na ławie przed nimi leżał pięciocentymetrowej grubości stos wydruków i raportów przyniesiony przez Lloyd'a. Michiko nie płakała od kiedy dotarli do domu, ale Lloyd był pewien, że wypłacze się jeszcze przed snem, tak jak dzień i dwa dni wcześniej. Starał się postępować właściwie: nie chciał unikać rozmów o Tamiko, gdyż byłoby to równoznaczne z twierdzeniem, że nigdy nie istniała, ale zamierzał mówić o tym tylko gdy Michiko sama zacznie temat.

Naturalnie wolał też unikać rozmów o ślubie i wizjach oraz wszystkich wątpliwościach chodzących mu po głowie. Usiedli zatem, trzymając się za ręce, gdy tylko Michiko tego potrzebowała i rozmawiając o innych rzeczach.

— Gaston Béranger rozwodził się dzisiaj nad rolą nauki — oznajmił Lloyd. — Cholera, zacząłem się zastanawiać, czy nie ma racji. My, to znaczy naukowcy, wygadywaliśmy czasem skandaliczne rzeczy. Celowo używaliśmy tendencyjnie dobranych słów, by ludzie myśleli, że robimy coś innego niż w rzeczywistości.

— Zgadzam się, że nie zawsze dobrze przedstawiamy ludziom prawdy naukowe — stwierdziła Michiko. — Ale jeśli CERN faktycznie jest odpowiedzialny... jeśli ty...

Jeśli ty jesteś odpowiedzialny...

Z pewnością to właśnie chciała powiedzieć, ale ugryzła się w język. Jeśli to ty jesteś odpowiedzialny...

Tak, jeśli był odpowiedzialny... jeśli jego — jego i Theo — eksperyment był w jakikolwiek sposób odpowiedzialny za śmierć tych wszystkich ludzi, całe to zniszczenie, śmierć Tamiko...

Przysiągł sobie kiedyś, że nigdy nie zasmuci Michiko, że nigdy nie zrobi jej tego, co Hiroshi. Ale jeśli to właśnie eksperyment doprowadził — choćby nieumyślnie, czy pośrednio — do śmierci Tamiko, to skrzywdził Michiko o wiele bardziej niż obojętność, czy którekolwiek z zaniedbań Hiroshiego.

Wolfgang Rusch niezbyt chętnie rozmawiał przez telefon i Theo ostatecznie zdecydował się pojechać do niego do Niemiec.

Berlin dzieliło od Genewy zaledwie osiemset siedemdziesiąt kilometrów. Był to dzień jazdy samochodem, ale stwierdził, że najpierw zadzwoni do biura podróży na wypadek, gdyby dostępne były tanie miejsca w samolocie.

Okazało się, że dostępnych jest całe mnóstwo miejsc.

Owszem, światowa flota samolotów została nieco uszczuplona, gdyż kilka maszyn się rozbiło, ale zdecydowana większość z trzech i pół tysiąca samolotów, które w czasie Futurospekcji były w powietrzu, beztrąsko leciała dalej bez interwencji pilota. Faktem był również wzrost liczby osób podróżujących ze względu na nagłe sprawy rodzinne.

Jednak według pracownika biura wszyscy pozostali woleli zostać w domu. Setki tysięcy ludzi na całym świecie bało się wsiąść do samolotu i prawdę mówiąc nie powinno to nikogo dziwić. W przypadku kolejnej utraty świadomości na pasach startowych doszłoby do kolejnych katastrof. Linie Swissair zrezygnowały ze wszystkich standardowych ograniczeń, takich jak wcześniejsza rezerwacja, czy minimalna długość pobytu, a ponadto przyznawały poczwórną liczbę punktów w programach lojalnościowych oraz miejsca w pierwszej klasie na zasadzie kto pierwszy, ten lepszy, bez żadnych dodatkowych kosztów. Inne linie lotnicze oferowały podobne warunki. Theo zarezerwował miejsce i w niecałe dziewięćdziesiąt minut później był już w Niemczech, a czas spędzony w samolocie wykorzystał do przeprowadzenia na laptopie kolejnych symulacji kolizji jąder ołowiu.

Do mieszkania Ruscha dotarł kilka minut po dwudziestej.

— Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać — powiedział na wstępie Theo.

Rusch miał około trzydziestu pięciu lat i był blondynem o oczach w kolorze grafitu. Odsunął się, by wpuścić Theo do swojego niewielkiego mieszkania, ale nie wyglądał na zachwyconego odwiedzinami.

— Muszę panu powiedzieć — odezwał się po angielsku — że wolałbym, żeby pan nie przyjeżdżał. To dla mnie bardzo trudny okres.

— Och?

— Straciłem żonę podczas tego... jak tam na to mówicie. W niemieckich gazetach określają to jako „Der Zwischenfall”, „incydent”. — Pokręcił głową. — Według mnie to wyjątkowo nietrafiona nazwa.

— Przykro mi.

— Byłem w domu, kiedy to się stało. Nie mam zajęć we wtorki.

— Zajęć?

— Wykładam chemię. A moja żona... zginęła w drodze do domu.

— Bardzo mi przykro — Theo szczerze mu współczuł.

Rusch wzruszył ramionami.

— To jej nie wróci życia.

Theo skinął głową, przyznając mu rację. Mimo wszystko cieszył się, że Béranger póki co nie pozwalał Lloydowi na ujawnienie związku CERN-u z tamtymi wydarzeniami... Rusch raczej by nie chciał z nim rozmawiać, gdyby się o tym dowiedział.

— Jak mnie pan znalazł?

— Dostałem wiadomość, dużo ich ostatnio przychodzi. Ludzi najwyraźniej intrygują moje... moje poszukiwania. Ktoś przysłał mi maila z informacją, że według pana relacji w swojej wizji oglądał pan wiadomości, w których mówiono o mojej śmierci.

— Kto?

— Jedna z pana sąsiadek. To chyba nie ma znaczenia która. — W zasadzie Theo nie obiecywał, że zachowa to w tajemnicy, ale ujawnianie swojego informatora nie wydawało mu się rozsądnym posunięciem. — Proszę — powiedział — przyleciałem z daleka i sporo zapłaciłem za to, by móc z panem porozmawiać. Na pewno nie powiedział mi pan wszystkiego przez telefon.

Wyglądało na to, że Rusch nieco zmiękł.

— Pewnie nie. Ale proszę mnie zrozumieć. Nie potrafi pan sobie wyobrazić, jak bardzo kochałem żonę.

Theo obrzucił spojrzeniem pokój. Na niskiej biblioteczce stało zdjęcie, przedstawiające na oko o dziesięć lat młodszego Ruscha z piękną, ciemnowłosą kobietą.

— To ona? — spytał Theo.

Rusch wyglądał, jakby na chwilę zamarło mu serce... jakby myślał, że Theo wskazuje jego cudem przywróconą do życia żonę we własnej osobie. Ale wtedy jego wzrok padł na zdjęcie.

— Tak — potwierdził.

— Jest bardzo ładna.

— Dziękuję — wymamrotał Rusch.

Theo odczekał kilka chwil, a potem po prostu kontynuował.



— Rozmawiałem z kilkoma osobami, które czytały gazety albo wiadomości w Internecie opisujące moje... moje morderstwo, ale pan jest pierwszą osobą, o której wiem, że widziała coś na ten temat w telewizji. Co mógłby mi pan powiedzieć?

Rusch w końcu poprosił Theo, by usiadł, a ten wybrał miejsce obok zdjęcia świętej pamięci Frau Rusch. Na ławie stała miska z winogronami... była to zapewne jedna z tych nowych, genetycznie modyfikowanych odmian, które pozostawały soczyste nawet jeśli nie trzymało się ich w lodówce.

— Nie mam zbyt wiele do powiedzenia — stwierdził Rusch. — Choć jak teraz o tym myślę, przypomina mi się coś dziwnego. Wiadomości nie były po niemiecku, tylko po francusku. A tu, w Niemczech, nie ma zbyt wiele francuskojęzycznych programów.

— A widział pan może jakiś sygnał wywoławczy albo logo kanału?

— Pewnie tak... ale nie zwróciłem na to uwagi.

— A prezenter... rozpoznał go pan?

— Ją. Nie. Ale wyglądała na kompetentną. I bardzo rzeczową. Zresztą nic dziwnego, że jej nie rozpoznałem, z pewnością była jeszcze przed trzydziestką, a to znaczy, że teraz nie ma nawet dziesięciu lat.

— A czy wyświetlili jej nazwisko? Gdybym ją odnalazł, to w swojej wizji czytałyby wiadomości i może pamiętałyby coś więcej.

— Nie oglądałem tych wiadomości na żywo, były nagrane. Na początku wizji je przewijałem, choć nie używałem do tego pilota. Odtwarzacz reagował na mój głos. Przewijałem do

przodu. Ale nie kasetę, przyspieszony obraz był idealnie płynny, nic nie śnieżyło, ani nie skakało. — Przerwał na chwilę. — W każdym bądź razie, gdy tylko pojawiła się prezydentka, a za nią zdjęcie... pewnie pana, choć wyglądał pan wtedy starzej, to przerwałem przewijanie i zacząłem oglądać. Pod grafiką pojawił się napis „Un Savant tué”, „śmierć naukowca”. Musiało mnie to zaintrygować, bo jak pan wie, sam jestem naukowcem.

— I obejrzał pan całą relację?

— Tak.

Coś przyszło Theo do głowy. Jeśli Rusch obejrzał całą relację, musiała trwać mniej niż dwie minuty. Fakt, że trzy minuty w telewizji to niemal wieczność, ale...

Ale zmieścić całe jego życie w czasie krótszym niż minuta i czterdzieści trzy sekundy...

— Co mówiła reporterka? — spytał Theo. — Wszystko, co pan sobie przypomni może mi pomóc.

— Naprawdę niewiele pamiętam. W przyszłości mogłem być zaintrygowany, ale cóż, moja obecna wersja chyba spanikowała. To znaczy... nie wiedziałem, co się do cholery dzieje. Siedziałem sobie tam, przy stole w kuchni, piłem kawę i czytałem prace studentów, kiedy nagle wszystko się zmieniło. Ostatnie, co mnie interesowało to zapamiętywanie szczegółów wiadomości o kimś, kogo nie znam.

— Rozumiem, że mógł się pan poczuć dezorientowany — powiedział Theo, choć podejrzewał, że skoro sam nie miał wizji, to tak naprawdę nie może tego rozumieć. — Ale jak mówiłem, każda informacja może mi się przydać.

— No... ta kobieta powiedziała, że był pan naukowcem, chyba fizykiem. Zgadza się?

— Tak.

— I powiedziała, że miał pan... będzie pan miał... czterdzieści osiem lat.

Theo skinął.

— I powiedziała, że został pan zastrzelony.

— A powiedziała gdzie?

— Chyba w klatkę piersiową.

— Nie. Gdzie zostałem zastrzelony... chodzi mi o miejsce.

— Obawiam się, że nie wiem.

— W CERN-ie?

— Powiedziała, że pracował pan w CERN-ie, ale... nie przypominam sobie, by mówiła, że tam pan zginął. Przykro mi.

— A czy wspominała coś o hali sportowej? Walce bokserskiej?

Rusch wyglądał na zaskoczonego pytaniem.

— Nie.

— Czy pamięta pan coś jeszcze?

— Przykro mi, ale nie.

— A o czym mówili potem? — Nie wiedział, czemu o to zapytał... być może chciał wiedzieć, jak jego śmierć uplasowała się w hierarchii ważności.

— Przykro mi, nie wiem. Nie widziałem reszty wiadomości. Gdy fragment dotyczący pana się skończył, puścili reklamę firmy pomagającej ludziom w projektowaniu własnych dzieci. To naprawdę mnie zafascynowało... to znaczy mnie z dwa tysiące dziewiątego roku, ale ja z dwa tysiące trzydziestego

najwyraźniej nie byłem zainteresowany. I po prostu wyłączyłem... może nie do końca telewizor, tylko taki płaski ekran wiszący na ścianie. Po prostu to wyłączyłem, powiedziałem „wyłącz” i wszystko zgasło, tak od razu, bez żadnego powolnego zanikania. A potem on, to znaczy ja... odwróciliśmy się i okazało się, że jesteśmy w pokoju hotelowym, w którym stały dwa duże łóżka. Poszedłem i położyłem się na jednym z nich, nie zdejmując ubrania. I przez resztę czasu po prostu gapiłem się w sufit, a potem moja wizja się skończyła i z powrotem siedziałem przy stole w kuchni. — Przerwał na chwilę. — Solidnie uderzyłem się w głowę, bo na początku wizji upadłem na blat. I rozlałem sobie gorącą kawę na dłoń. Upadając musiałem przewrócić kubek. Miałem szczęście, że oparzenie nie było poważne. Trochę to trwało nim zebrałem myśli, a potem dowiedziałem się, że wszyscy w bloku też mieli takie halucynacje. A potem próbowałem się dodzwonić do żony i dowiedziałem się, że... że... — Głośno przełknął ślinę. — Nie tak od razu ją znaleźli i też nie od razu udało im się ze mną skontaktować. Wychodziła akurat po stromych schodach ze stacji metra. Prawie dotarła na górę, tak mówią ci, którzy ją widzieli, ale wcześniej niestety straciła przytomność, upadła do tyłu i spadła o sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt stopni w dół. W trakcie upadku skrzyła kark.

— Mój Boże — powiedział Theo. — Tak mi przykro.

Tym razem Rusch skinął głową, po prostu przyjmując do wiadomości te słowa.

Mężczyźni nie mieli sobie już nic do powiedzenia, a poza tym Theo musiał wracać na lotnisko, gdyż wolał nie dodawać do

wydatków kosztów noclegu w Berlinie.

— Jeszcze raz ogromnie panu dziękuję — powiedział Theo, po czym wyjął z kieszeni wizytówkę. — Jeżeli przypomni pan sobie coś, co mogłoby mi pomóc, będę niezmiernie wdzięczny za telefon lub e-mail. — Wręczył Ruschowi wizytówkę.

Tamten przyjął kartonik, ale nawet na niego nie spojrział. Theo wyszedł.

Lloyd wrócił do gabinetu Gastona Bérangera następnego dnia. Tym razem droga zajęła mu jeszcze więcej czasu: zatrzymała go grupa zajmująca się jednolitą teorią pola, która akurat zmierzała w stronę Centrum Komputerowego. Gdy w końcu dotarł do gabinetu dyrektora, od samego progu przeszedł do rzeczy:

— Przykro mi, Gaston, możesz mnie zwolnić, jeśli chcesz, ale zamierzam się ujawnić.

— Myślałem, że jasno się wyraziłem...

— Musimy się ujawnić. Właśnie rozmawiałem z Theo. Wiesz, że wczoraj był w Niemczech?

— Trudno żebym śledził poczynania trzech tysięcy pracowników.

— Poleciał do Niemiec ot tak, po prostu i jeszcze dostał zniżkę. A wiesz czemu? Bo ludzie boją się latać. Cały świat jest nadal sparaliżowany, Gaston. Wszyscy boją się, że przeniesienie czasowe się powtórzy. Poczytaj gazety, obejrzyj wiadomości, jeśli mi nie wierzysz, sam sprawdziłem. Ludzie unikają uprawiania sportów, jazdy samochodem, chyba że jest to konieczne, no i nie latają samolotami. Zupełnie jakby czekali na ciąg dalszy — Lloyd ponownie pomyślał o wiadomości, że jego

ojciec się wyprowadza. — Ale on nie nastąpi, prawda? Póki nie powtórzymy naszego eksperymentu nie ma szans, by przeniesienie czasowe wystąpiło ponownie. Nie możemy pozwolić, by świat trwał w takim zawieszeniu. Narobiliśmy już dość szkód. Nie możemy pozwolić, by ludzie bali się żyć normalnie i wrócić, przynajmniej na tyle, na ile to możliwe, do wcześniejszych zajęć.

Béranger wyglądał, jakby się nad tym poważnie zastanawiał.

— Daj spokój, Gaston. I tak prędzej czy później ktoś się wygada.

Béranger głośno wypuścił powietrze.

— Myślisz, że nie wiem? Nie chcę grać roli obstrukcjonisty. Ale musimy myśleć o konsekwencjach... również tych prawnych.

— Na pewno lepiej będzie, jeśli z własnej woli się przyznamy, nie czekając aż ktoś na nas doniesie.

Béranger przez chwilę wpatrywał się w sufit.

— Wiem, że mnie nie lubisz — stwierdził, nie patrząc Lloydowi w oczy. Lloyd otworzył usta, by zaprotestować, ale Béranger podniósł rękę. — Nie zaprzeczaj. Nigdy się nie dogadywaliśmy, nigdy nie byliśmy przyjaciółmi. Częściowo jest to całkiem naturalne... dzieje się tak w każdym laboratorium na świecie.

Naukowcy uważają, że dyrektorzy są po to, by utrudniać im pracę. Dyrektorzy zachowują się, jakby naukowcy byli tylko kłopotem, a nie sercem placówki. Ale w tym przypadku to coś więcej, prawda? Bez względu na to, gdzie byśmy pracowali i tak byś mnie nie polubił. Nigdy wcześniej nie zastanawiały mnie

takie rzeczy. Zawsze zdawałem sobie sprawę z tego, że niektórzy ludzie mnie nie lubią i nic tego nie zmieni, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że to mogłaby być moja wina.

— Przerwał na chwilę i wzruszył ramionami. — Ale może to jednak moja wina. Nie powiedziałem ci, co zobaczyłem w swojej wizji... i nie zamierzam teraz tego robić. Ale to sprawiło, że zacząłem się nad niektórymi rzeczami zastanawiać. Może faktycznie za bardzo z tobą walczę. Sądzisz, że powinniśmy się ujawnić? Chryste, nie wiem, czy to słuszna decyzja. Nie wiem też, czy nieujawnianie się jest właściwym wyjściem.

Ponownie przerwał.

— Tak przy okazji, mamy gotowe pewne porównanie... coś dla prasy, jeśli nasz udział wycieknie, analogiczną sytuację, która dowodzi, że nie jesteśmy winni.

Lloyd uniósł brwi.

— Katastrofa mostu Tacoma — oznajmił Béranger.

Lloyd skinął głową. Rankiem siódmego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego roku nawierzchnia mostu wiszącego Tacoma Narrows w stanie Waszyngton zaczęła się marszczyć. Wkrótce cały most zaczął falować w górę i w dół, porządnie się kołysząc, aż w końcu się zawalił. Na całym świecie uczniowie liceów oglądają na lekcjach fizyki film z tego wydarzenia, a przez całe lata wyjaśnienie katastrofy opierało się na domyśle, że prawdopodobnie wiatr wprowadził most w rezonans, którego wynikiem było falowanie.

Na początku ludzie mówili, że budowniczy mostu powinni byli to przewidzieć, w końcu zjawisko rezonansu znano od kiedy powstał kamerton. Ale wyjaśnienie przyczyny rezonansu

było niewłaściwe, gdyż wymaga on niezwyklej precyzji, inaczej każdy śpiewak potrafiłby swym głosem doprowadzić do pęknięcia kieliszka. Przypadkowy wiatr niemal na pewno nie mógł być jego przyczyną. Dowiedziono tego w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym, gdy ustalono, że most Tacoma Narrows zawalił się z powodu zasadniczej nieliniowości mostów wiszących, będącej skutkiem teorii chaosu — gałęzi nauki, która nawet nie istniała w chwili budowy mostu. Inżynierowie, którzy go zaprojektowali, nie byli niczemu winni, gdyż absolutnie niemożliwe było przewidzenie lub zapobieżenie katastrofie w świetle ówczesnej wiedzy.

— Gdyby chodziło tylko o wizje — powiedział Béranger — nie musielibyśmy chronić tyłków, a pewnie większość ludzi byłaby ci wdzięczna. Ale miało miejsce tyle wypadków, tyle osób spadło z drabin i tak dalej. Jesteś gotowy wziąć winę na siebie? Bo oskarżony nie będę ani ja, ani CERN. Jak przyjdzie co do czego, to nieważne, ile będziemy opowiadać o Tacoma Narrows i niemożliwych do przewidzenia konsekwencjach, ludzie będą chcieli konkretnego kozła ofiarnego i dobrze wiesz, że padnie na ciebie, Lloyd. To był twój eksperyment.

Dyrektor generalny zamilkł. Lloyd zastanawiał się chwilę nad tym, co usłyszał, po czym stwierdził:

— Poradzę sobie.

Béranger kiwnął głową.

— *Bien*. Zwołamy konferencję prasową. — Wyjrzał przez okno. — Chyba faktycznie czas się ujawnić.



# CZEŚĆ II

## WIOSNA 2009

*Wolna wola to złudzenie.*

*Jest równoznaczna z niepełną percepcją.*

*/Walter Kubilius/*

# 12.

Dzień piąty: sobota, 25 kwietnia 2009 r.

Budynek administracji CERN-u mieścił szereg sal seminaryjnych i miejsc zebrań. W przypadku konferencji prasowych korzystano z sali wykładowej z dwustoma miejscami, z których tego dnia żadne nie pozostało wolne. Wystarczyło, że pracownicy działu PR powiadomili media, iż CERN zamierza wydać istotne oświadczenie na temat przyczyny przeniesienia czasowego, a zjechali się dziennikarze z całej Europy oraz jeden z Japonii, jeden z Kanady i sześcioro ze Stanów Zjednoczonych.

Béranger dotrzymał słowa i pozwolił Lloydowi skupić na sobie całą uwagę. Jeśli potrzebny byłby kozioł ofiarny, zostałby nim Lloyd, który właśnie podszedł do katedry i odchrząknął.

— Witam wszystkich — zaczął. — Nazywam się Lloyd Simcoe. — Jeden ze specjalistów od PR poradził mu, by przeliterował nazwisko, co też zrobił: — Pisze się S-I-M-C-O-E, a na początku imienia jest dwa razy „1”. — Wszyscy dziennikarze mieli dostać płyty DVD z komentarzami Lloyd'a i jego biografią, ale wielu z nich zapewne zamierzało przesłać swoje relacje od razu, więc nie mieli czasu na zapoznawanie się z materiałami dla prasy. Lloyd kontynuował: — Specjalizuję się w badaniach nad plazmą kwarkowo-gluonową. Pochodzę z Kanady, ale przez wiele lat pracowałem w Stanach Zjednoczonych w

Państwowym Laboratorium Przyspieszania Cząstek Elementarnych im. Enrico Fermiego. A przez ostatnie dwa lata przygotowywałem tu, w CERN-ie, eksperyment w Wielkim Zderzaczu Hadronów.

Przerwał, chcąc zyskać na czasie. Czekał, aż uspokoi mu się żołądek. Nie chodziło o żaden strach przed publicznymi wystąpieniami. Zbyt długo pracował jako wykładowca akademicki, by mieć z tym problem. Po prostu nie miał pojęcia, z jaką reakcją spotkają się jego słowa.

— Oto mój współpracownik, doktor Theodosios Procopides — powiedział Lloyd.

Theo uniósł się nieco z krzesła stojącego obok katedry.

— Theo — rzucił z nikłym uśmiechem w stronę zgromadzonych na sali. — Mówcie mi Theo.

Wielka, szczęśliwa rodzina, pomyślał Lloyd. Powoli przeliterował imię i nazwisko Theo, po czym wziął głęboki oddech i mówił dalej.

— Dwudziestego pierwszego kwietnia, dokładnie o szesnastej czasu Greenwich przeprowadziliśmy tu pewien eksperyment.

Ponownie przerwał, przyglądając się wpatrzonym w siebie twarzom. Nie musiał długo czekać, by do wszystkich dotarło znaczenie jego słów. Dziennikarze natychmiast zaczęli przekrzykiwać się pytaniami, a flesze aparatów bezlitośnie zaatakowały oczy Lloyd'a. Uniósł ręce w obronnym geście i poczekał, aż sala ucichnie.

— Tak — stwierdził. — Sądzę, że macie rację. Mamy powody przypuszczać, że zjawisko przeniesienia czasowego miało coś

wspólnego z tym, co wydarzyło się tu, w Wielkim Zderzaczu Hadronów.

— Jak to możliwe? — spytał Klee, niezależny dziennikarz współpracujący z CNN.

— Jesteście pewni? — krzyknął Jonas, korespondent BBC.

— Czemu wcześniej tego nie ogłosiliście? — zawołał reporter Reutersa.

— Zacznę od pierwszego pytania — oznajmił Lloyd. — Czy też, gwoli ścisłości, pozwolę, by odpowiedział na nie doktor Procopides.

— Dzięki — rzucił Theo, wstając i podchodząc do mikrofonu. — Tak więc, wcześniej nie wydaliśmy żadnego oświadczenia, gdyż nie mieliśmy modelu teoretycznego, który wyjaśniałby, co się stało. — Zrobił krótką przerwę. — I prawdę mówiąc, nadal go nie mamy, gdyż od Futurospekcji minęły dopiero cztery dni. Faktem natomiast jest, że przeprowadziliśmy zderzenie cząstek o najwyższej energii w historii tej planety co do sekundy w chwili wystąpienia wiadomego zjawiska. Choć nie można oczywiście wykluczyć przypadkowej zbieżności.

— Jaką macie pewność, że te dwa zdarzenia są ze sobą powiązane? — spytała kobieta z „Tribune de Genčve”.

Theo wzruszył ramionami.

— Nie potrafimy stwierdzić, w jaki sposób nasz eksperyment mógł spowodować Futurospekcję. Ale też nie potrafimy znaleźć niczego poza naszym eksperymentem, co mogłoby być jej przyczyną. Wygląda na to, że nasza praca jest najbardziej prawdopodobnym kandydatem.

Lloyd spojrział w stronę doktora Bérangera, którego twarz o jastrzębich rysach pozostawała niewzruszona. Podczas próby przed konferencją Theo powiedział „najbardziej prawdopodobnym winowajcą”, za co nieźle mu się dostało od dyrektora. Okazało się jednak, że zmiana słowa nie miała znaczenia.

— Więc przyznajecie się do odpowiedzialności? — spytał Klee. — Przyznajecie, że wszyscy ci ludzie zginęli przez was?

Lloyd poczuł, jak żołądek mu się ściska. Zauważył też, że twarz Bérangera marszczy się w grymasie niezadowolenia. Dyrektor generalny wyglądał, jakby gotowy był sam wkroczyć do akcji i przejąć konferencję.

— Przyznajemy, że nasz eksperyment jest najbardziej prawdopodobną przyczyną Futurospekcji — powiedział Lloyd, stając obok Theo. — Stwierdzamy również, iż w żaden sposób nie można było przewidzieć wystąpienia w następstwie naszego eksperymentu zjawiska choćby dalece przypominającego to, co się stało. Było to całkowicie nieprzewidziane... i nie do przewidzenia. Było to coś, co firmy ubezpieczeniowe określają mianem siły wyższej.

— Ale tyle ofiar... — krzyknął jeden z reporterów.

— Tyle zniszczonego mienia... — krzyknął ktoś inny.

Lloyd ponownie uniósł rękę.

— Tak, zdajemy sobie z tego sprawę. Proszę mi wierzyć, łączymy się w bólu ze wszystkimi, którzy zostali ranni bądź stracili kogoś bliskiego. Sam straciłem bardzo bliskie mi dziecko, zabite przez samochód, nad którym kierowca stracił

panowanie. Oddałbym wszystko, by je odzyskać, ale w żaden sposób nie można było temu zapobiec...

— Oczywiście, że można było — wrzasnął Jonas. — Jeśli nie byłoby eksperymentu, nigdy by do tego nie doszło.

— Z całym szacunkiem, to dość irracjonalne podejście — stwierdził Lloyd. — Naukowcy nieustannie przeprowadzają eksperymenty z uwzględnieniem wszelkich możliwych środków ostrożności. Jak zapewne wszyscy wiedzą, CERN cieszy się doskonałą opinią, jeżeli chodzi o bezpieczeństwo. Nie można tak po prostu zaprzestać wszelkich działań... nauka nie może stanąć w miejscu. Nie wiedzieliśmy, że coś takiego się wydarzy, bo i nie mogliśmy tego wiedzieć. A jednak przyznajemy się i informujemy o wszystkim cały świat. Wiem, że wiele osób obawia się, że to może się powtórzyć, że w każdej chwili ich świadomość może zostać ponownie przeniesiona w przyszłość. Ale tak się nie stanie, gdyż my to spowodowaliśmy i mogę państwa... mogę wszystkich zapewnić, iż nic podobnego już się nie zdarzy.

Naturalnie pojawiły się w prasie głosy oburzenia... artykuły o naukowcach eksperymentujących z rzeczami, które powinny pozostać dla ludzi tajemnicą. Ale pomimo usilnych starań, nawet najbardziej szmatławe dzienniki nie były w stanie znaleźć wiarygodnego fizyka, który by stwierdził, że istniały przesłanki pozwalające przewidzieć, iż eksperyment w CERN-ie przeniesie świadomość ludzkości w czasie. Oczywiście w rezultacie pojawiły się nieśmiałe komentarze, jak to fizycy kryją się nawzajem, aż wreszcie opinia publiczna przestała winić zespół CERN-u, przyjmując do wiadomości fakt, iż Futurospekcja

była całkowicie nowym zjawiskiem, którego w żaden sposób nie można było przewidzieć.

Dla Lloyd'a i Michiko był to nadal trudny okres. Michiko poleciała do Tokio z ciałem Tamiko. Lloyd oczywiście zaproponował swoje towarzystwo, ale nie znał japońskiego. W normalnych okolicznościach osoby mówiące po angielsku z grzeczności próbowałyby zająć się Lloydem, ale w obliczu tak tragicznego zdarzenia najprawdopodobniej zostałyby wyłączone z niemal wszystkich rozmów. Ponadto cała sytuacja była dość niewygodna: Lloyd nie był ojczymem Tamiko, nie był mężem jej matki. To powinien być czas dla Michiko i Hiroshiego, gdyż bez względu na wszystko, co poróżniło ich w przeszłości, powinni wspólnie opłakiwać i pochować córkę. Choć sam również był zdruzgotany tym, co się stało, Lloyd musiał przyznać, że jego pomoc na niewiele zdałaby się w Japonii.

I tak, gdy Michiko poleciała na wschód do ojczyzny, Lloyd został w CERN-ie, próbując wyjaśnić zaskoczonemu światu fizyczne aspekty tego, co się zdarzyło.

— Doktorze Simcoe — powiedział Bernard Shaw — czy mógłby nam pan wyjaśnić, co się stało?

— Oczywiście — odpowiedział Lloyd, rozsiadając się w fotelu. Znajdował się w pokoju telekonferencyjnym CERN-u i siedział przed kamerą nie większą niż napałek, umieszczoną na cienkim trójnogu. Shaw oczywiście znajdował się w studio CNN w Atlancie. Na ten dzień Lloyd miał zaplanowanych jeszcze pięć podobnych wywiadów, w tym jeden po francusku.

— Większość z nas spotkała się zapewne z terminem „czasoprzestrzeń” lub „kontinuum czasoprzestrzenne”. Chodzi

tu o połączenie trzech wymiarów: długości, szerokości i wysokości oraz czwartego wymiaru — czasu.

Lloyd skinął w stronę technik stojącej za kamerą i na monitorze za nim pojawiło się zdjęcie ciemnowłosego mężczyzny.

— To Hermann Minkowski — wyjaśnił Lloyd. — To on jako pierwszy wprowadził pojęcie kontinuum czasoprzestrzennego. — Pauza. — Trudno jest bezpośrednio zilustrować cztery wymiary, ale można to uprościć, rezygnując z jednego wymiaru przestrzennego.

Ponownie skinął głową i pojawiła się nowa ilustracja.

— Oto mapa Europy. Europa jest oczywiście trójwymiarowa, ale wszyscy jesteśmy przyzwyczajeni do korzystania z map dwuwymiarowych. Hermann Minkowski urodził się w tysiąc osiemset sześćdziesiąt czwartym roku tutaj, w Kownie, które obecnie znajduje się na Litwie.

Na terenie Litwy zapaliła się lampka.

— Dokładnie tu. Choć w zasadzie założmy, że lampka nie oznacza Kowna, ale samego Minkowskiego w chwili narodzin w tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym roku.

Na dole, z prawej strony mapy pojawił się podpis „1864 r.”.

— Jeśli cofniemy się o kilka lat, Minkowskiego naturalnie tu nie będzie.

Na mapie wyświetlono kolejno daty: „1863 r.”, „1862 r.”, „1861 r.” i zdecydowanie były to lata bezminkowskie.

— A teraz wróćmy do roku 1864.

Mapa wykonała polecenie i lampka Minkowskiego rozbłysła na szerokości i długości geograficznej Kowna.



— W 1878 roku — kontynuował Lloyd — Minkowski przeniósł się do Berlina na studia.

Mapa z roku 1864 odfrunęła niczym kartka z kalendarza. Mapa, która znajdowała się pod nią podpisana była „1865 r.”. Następnie szybko pospadały kolejne mapy, od tej określonej jako „1866 r.”, aż po tę z datą „1877 r.”. Na wszystkich lampka Minkowskiego znajdowała się w Kownie lub w jego okolicach, ale gdy pojawiła się mapa z roku 1878, lampka przeniosła się o czterysta kilometrów na zachód do Berlina.

— Minkowski nie został długo w Berlinie — stwierdził Lloyd.  
— W 1881 roku przeniósł się do Królewca, niedaleko obecnej polskiej granicy.

Spadły trzy kolejne mapy, a gdy pojawiła się ta oznaczona „1881 r.”, lampka Minkowskiego ponownie zmieniła położenie.

— Przez kolejnych dziewiętnaście lat nasz drogi Hermann skakał z uniwersytetu na uniwersytet, wracając w 1894 roku do Królewca, następnie w 1896 roku przyjeżdżając do Zurychu w Szwajcarii, aż w końcu w 1902 roku trafił na Uniwersytet w Getyndze w środkowych Niemczech.

Zmieniające się mapy odzwierciedliły te podróże.

— I właśnie w Getyndze pozostał aż do swej śmierci dwunastego stycznia 1909 roku.

Spadło kilka kolejnych map, ale lampka już nie ruszyła się z miejsca.

— Naturalnie po roku 1909 już go nie było.

Pojawiły się mapy „1910 r.”, „1911 r.”, „1912 r.”, ale na żadnej nie świeciła się lampka.

— A teraz — powiedział Lloyd — co się stanie, gdy weźmiemy wszystkie nasze mapy, ułożymy z nich stos w kolejności chronologicznej i przechylimy je tak, by spojrzeć na nie pod kątem?

Grafika komputerowa wyświetlana za jego plecami posłusznie wykonała to polecenie.

— Jak widać, światełko oznaczające podróżę Minkowskiego tworzy pewien ślad w czasie. Jego początek znajduje się tu, na dole, na Litwie, następnie przemieszcza się przez Niemcy i Szwajcarię, aż w końcu gaśnie tutaj, w Getyndze.

Mapy ułożone były jedna na drugiej, tworząc sześcian, a przebiegająca przez niego ścieżka życia Minkowskiego wyglądała jak podświetlony tunel gofra, przekopującego się w górę zbocza.

— Taki właśnie sześcian, ukazujący ścieżkę czyjegoś życia w czasoprzestrzeni, nazywany jest kostką Minkowskiego: stary Hermann jako pierwszy narysował coś takiego. Naturalnie taki wykres może powstać dla każdego. Oto moje życie.

Pojawiła się nowa mapa, pokazująca cały świat.

— Urodziłem się w Nowej Szkocji, w Kanadzie, w 1964 roku, potem przeniósłem się do Toronto, potem na studia do Harvardu, kilka lat pracowałem w Fermilabie w Illinois, a teraz jestem tu, na szwajcarsko-francuskiej granicy w CERN-ie.

Mapy ułożyły się w stosik, tworząc sześcian, we wnętrzu którego widać się podświetlona droga życia.

— Można oczywiście nanieść ścieżki żyć innych osób na ten sam sześcian.

Pojawiło się pięć innych linii w różnych kolorach, kierujących się w górę sześcianu. Niektóre rozpoczynały się wcześniej od linii Lloyda, a niektóre kończyły się nim dotarły na szczyt.

— Na samej górze sześcianu — wyjaśnił Lloyd — mamy dzisiejszą datę, czyli dwudziesty piąty kwietnia 2009 roku. I naturalnie wszyscy zgadzamy się, że dzisiaj jest właśnie dzisiaj. To znaczy, wszyscy pamiętamy dzień wczorajszy, ale uznajemy, że on już przeminął. Wszyscy także nie wiemy nic o dniu jutrzejszym. Wspólnie patrzymy na konkretny wycinek sześcianu. — Górna powierzchnia bryły rozbłysła światłem.

— Proszę sobie wyobrazić zbiorowe oko świadomości ludzkości wpatrzone w ten fragment. — Nad górną płaszczyzną sześcianu zawisło ludzkie oko, oddane w szczegółach aż po same rzęsy. — A oto, co wydarzyło się w trakcie Futurospekcji: oko przeniosło się w górę sześcianu, w przyszłość i zamiast patrzeć na fragment przedstawiający rok 2009, spojrzało na rok 2030.

Bryła rozciągnęła się w górę, a większość różnokolorowych ścieżek życia podążyła za nią. Dryfujące oko przeniosło się wyżej i podświetlona została płaszczyzna blisko szczytu przedłużonego bloku.

— Przez kilka minut patrzyliśmy na inny punkt dróg naszego życia.

Bernard Shaw poprawił się na krześle.

— Więc twierdzi pan, że czasoprzestrzeń to coś jak zbiór klatek filmowych ułożonych jedna na drugiej, a „teraźniejszość” to obecnie wyświetlany kadr?

— To dobre porównanie — przyznał Lloyd. — Nawet pomoże mi wyjaśnić następną kwestię. Otóż wyobraźmy sobie, że oglądamy mój ulubiony film, „Casablancę”. I powiedzmy, że na ekranie w tej chwili mamy ten konkretny fragment.

Za Lloydem pojawił się Humphrey Bogart, mówiący: „Zagrałeś to dla niej, to zagraj i dla mnie<sup>[2]</sup>”.

Dooley Wilson nie spojrział Bogeyowi w oczy. „Nie pamiętam”.

Bogart wycedził przez zęby: „Graj”.

Wilson spojrział w sufit i jego palce zatańczyły na klawiszach, grając „As Time Goes By”.

— Chodzi o to — powiedział Lloyd siadając przed ekranem — że choć w tej chwili patrzymy akurat na ten kadr — przy słowie „ten” obraz zatrzymał się na Dooleyu Wilsonie — nie znaczy to, że ten oto fragment jest mniej stały lub rzeczywisty.

Obraz za nim uległ zmianie. Teraz pokazywał samolot znikający we mgle. Wytworny Claude Rains spojrział na Bogarta. — „Może powinieneś zniknąć na trochę z Casablanki” — powiedział. — „W Brazzaville jest garnizon Wolnych Francuzów. Mógłbym zorganizować przerzut”.

Bogey uśmiechnął się nieznacznie. — „Wystawisz mi wizę tranzytową? To ciekawa wycieczka. Ale zakład wygrałem. Mam u ciebie dziesięć tysięcy franków”.

Rains uniósł brwi. — „Powinny pokryć nasze wydatki”.

„Nasze?” — powtórzył zaskoczony Bogart.

„Mhm” — potwierdził Rains.

Lloyd popatrzył, jak odchodzą razem w noc. W końcu odezwał się Louis, którego głos, z tego co wiedział Lloyd, został

dograny w postprodukcji: — „Myślę, że to początek wspaniałej przyjaźni”.

— Widzicie państwo? — rzucił Lloyd, odwracając się w stronę kamery i Shawa. — Można oglądać Sama grającego Rickowi „As Time Goes By”, ale koniec i tak jest już ustalony. Gdy ogląda się „Casablanke” po raz pierwszy, nie można spokojnie usiedzieć na miejscu z ciekawości, czy lisa odejdzie z Victorem Laszlo, czy też zostanie z Rickiem Blainem. Ale odpowiedź zawsze była i będzie taka sama: problemy dwóch maluczkich ludzi naprawdę nic nie znaczą wobec całego, zwariowanego świata.

— Więc twierdzi pan, że przyszłość jest równie niezmienna co przeszłość? — spytał Shaw, nieco bardziej powątpiewająco niż zazwyczaj.

— Dokładnie tak.

— Z całym szacunkiem, doktorze Simcoe, ale to chyba nie ma sensu. Na przykład co z wolną wolą?

Lloyd skrzyżował ręce na piersi.

— Wolna wola nie istnieje.

— Oczywiście, że istnieje — zaprotestował Shaw.

Lloyd się uśmiechnął.

— Wiedziałem, że pan to powie. Czy raczej, każdy obserwujący nasze kostki Minkowskiego z zewnątrz wiedział, że pan to powie... gdyż to już zostało ustalone, jakby ktoś wyrył to w granicie.

— Ale jak to możliwe? Codziennie podejmujemy miliony decyzji, z których każda ma wpływ na naszą przyszłość.

— Wczoraj również podjął pan milion decyzji i są one nieodwołalne... nie ma możliwości, by je zmienić, bez względu na to, jak byśmy niektórych żalowali. I jutro też podejmie pan milion decyzji. To niczego nie zmienia. Sądzi pan, że ma pan wolną wolę, ale w rzeczywistości tak nie jest.

— Sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałem, doktorze Simcoe. Twierdzi pan, że wizje nie pokazały jednego z możliwych wariantów przyszłości, ale faktyczną przyszłość, jedyną, jaka istnieje.

— Absolutnie! Naprawdę żyjemy we wszechświecie blokowym Minkowskiego, a pojęcie terażniejszości jest jedynie złudzeniem. Przyszłość, terażniejszość i przeszłość są równie prawdziwe i niezmiennie.

# 13.

— Doktor Simcoe?

Był wczesny wieczór; Lloyd wreszcie skończył ostatni z zaplanowanych wywiadów i choć czekał na niego stos raportów do przeczytania przed snem, szedł właśnie jedną z ponurych ulic St. Genis. Wybrał się do piekarni i sklepu serowarskiego, by kupić chleb i kawałek Appenzellera na śniadanie.

Podszedł do niego krępy mężczyzna wyglądający na jakieś trzydzieści pięć lat. Nosił okulary, co było dość niezwykle w świecie doskonale rozwiniętej keratotomii, a ubrany był w granatową bluzę. Tak jak Lloyd, miał krótko przystryżone włosy, zgodnie z obowiązującą modą.

Lloyd poczuł ukłucie paniki. Musiał oszaleć, by samotnie wyjść na ulicę po tym, jak pół świata widziało jego twarz w telewizji. Rozejrzał się na boki, szukając możliwych dróg ucieczki. Nie znalazł żadnej.

— Tak? — spytał z wahaniem.

— Doktor Lloyd Simcoe? — mężczyzna mówił po angielsku z francuskim akcentem.

Lloyd przełknął głośno ślinę.

— Tak, to ja. — Jutro porozmawia z Bérangerem o przydzieleniu ochrony.

Mężczyzna nagle chwycił dłoń Lloyda i zaczął nią energicznie potrząsać.

— Doktorze Simcoe, chciałbym panu podziękować! — Uniósł lewą dłoń, jakby chciał uprzeczyć wszelkie protesty. — Tak, ja wiem, że nie planował pan tego, co się stało i tak wiele osób zostało poszkodowanych. Ale muszę panu powiedzieć, że ta wizja to najlepsze, co mnie w życiu spotkało. Wywróciła całe moje życie do góry nogami.

— Aha — rzucił Lloyd, uwalniając dłoń. — To miło.

— Tak, proszę pana, przed wizją byłem innym człowiekiem. Nigdy nie wierzyłem w Boga, przenigdy, nawet jako dziecko. Ale w mojej wizji byłem w kościele i modliłem się z innymi wiernymi.

— W kościele w środę wieczorem?

— Właśnie tak zareagowałem, doktorze Simcoe! No, nie w chwili wizji, ale później, kiedy ogłosili w wiadomościach datę. Modliłem się w środę wieczorem! Ja! Tego bym się po sobie nie spodziewał. No więc nie mogłem udawać, że to się nie dzieje, gdyż wiedziałem, że w którymś momencie między teraz a wtedy odnajdę swoją drogę. Zabrałem się za Biblię... poszedłem do księgarni i ją kupiłem. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest tyle rodzajów Biblii! Tyle różnych przekładów! No, w każdym razie kupiłem wydanie, w którym słowa Jezusa wydrukowane są na czerwono i zacząłem czytać. Pomyślałem, no dobra, prędzej, czy później i tak mnie to spotka, równie dobrze mogę od razu sprawdzić, o co chodzi. I tak po prostu sobie czytałem... nawet wszystkie te „zaprawdy” i te cudowne imiona brzmiące niczym muzyka: Abdiasz, Jebediasz, cóż za wspaniałe imiona! Pewnie gdybym nie miał wizji, przez najbliższych dwadzieścia jeden lat i tak bym w końcu do tego doszedł, ale dzięki panu,



doktorze Simcoe, zacząłem już teraz, w 2009 roku. Nigdy nie czułem takiego spokoju, miłości. Naprawdę wyświadczył mi pan ogromną przysługę.

Lloyd nie wiedział, co powiedzieć.

— Dziękuję.

— Ależ nie, to ja dziękuję! — I ponownie potrząsnął ręką Lloyda, a potem ruszył w swoją stronę.

Lloyd dotarł do domu około dwudziestej pierwszej. Bardzo tęsknił za Michiko i pomyślał, by do niej zadzwonić, ale w Tokio była dopiero piąta rano, zbyt wcześnie na telefon. Schował ser i chleb i usiadł przed telewizorem, by trochę odpocząć przed zabraniem się za najnowsze raporty.

Przeskakiwał po kanałach, aż jego uwagę przykuł szwajcarski program informacyjny, w którym omawiano Futurospekcję. Jakaś dziennikarka prowadziła połączenie satelitarne ze Stanami Zjednoczonymi. Lloyd rozpoznał jej rozmówcę po charakterystycznej, bujnej grzywie rudobrązowych włosów; był to Zdumiewający Aleksander, mistrz iluzji i zdecydowany przeciwnik wszelkich teorii o rzekomych zjawiskach paranormalnych. Lloyd wielokrotnie widział go w telewizji, między innymi w „The Tonight Show”. Naprawdę nazywał się Raymond Alexander i był profesorem na uniwersytecie Duke’a.

Wywiad najwyraźniej przeszedł już postprodukcję, bo dziennikarka mówiła po francusku, Alexander odpowiadał po angielsku, a głos spoza wizji tłumaczył jego wypowiedzi na francuski. Samego Alexandra ledwo było słychać w tle.

— Z pewnością widział pan — powiedziała dziennikarka — wystąpienie przedstawiciela CERN-u, który twierdzi, że wizje pokazywały jedyną istniejącą wersję przyszłości.

Lloyd aż się wyprostował na swoim miejscu.

— *Oui* — powiedział głos tłumacza. — Ale to naturalnie absurd. W bardzo prosty sposób można dowieść tego, że przyszłość można samemu kształtować. — Alexander poprawił się na krześle. — W mojej wizji znajdowałem się w swoim mieszkaniu, a na biurku, tak jak i teraz, stało to. — Alexander podniósł ze stołu w studio przycisk do papieru. Kamera zrobiła na niego najazd, by wszyscy mogli zobaczyć bryłkę malachitu z małym, złotym triceratopsem.

— Może to tandeta — stwierdził Alexander — ale jestem dość przywiązany do tego przedmiotu, gdyż to pamiątka z bardzo miłej wycieczki do Dinosaur National Monument. Niemniej jednak zdecydowanie bardziej jestem przywiązany do racjonalności.

Spod stołu wyciągnął kawałek grubego płótna i rozłożył go na blacie, po czym umieścił na nim przycisk do papieru, wziął młotek i na oczach kamer rozbił pamiątkę na kawałeczki, rozłupując i rozkruszając całkowicie malachit oraz miażdżąc małą figurkę dinozaura, która musiała być pusta w środku.

Alexander uśmiechnął się triumfalnie do kamery: rozsądek po raz kolejny zwyciężył.

— Choć widziałem ten oto przycisk do papieru w swojej wizji, on już nie istnieje. Dlatego też, bez względu na to, co pokazywały wizje, z pewnością nie była to przyszłość, której nie można zmienić.

— A jednak — stwierdziła prowadząca — w kwestii tego, że przycisk do papieru wystąpił w wizji możemy polegać tylko na pana słowie.

Alexander wyglądał na poirytowanego tym, że ktoś kwestionuje jego uczciwość, ale po krótkiej chwili skinął głową:

— Ma pani rację zachowując sceptycyzm... świat byłby znacznie lepszym miejscem, gdybyśmy wszyscy byli nieco mniej łatwowierni. Jednak każdy z nas może przeprowadzić podobny eksperyment. Jeśli w swojej wizji ktoś widział znajomy mebel, wystarczy go zniszczyć lub sprzedać. Jeśli ktoś widział własną dłoń, niech sobie zrobi na niej tatuaż. Jeżeli inni widzieli w wizji kogoś z brodą, niech ten ktoś zrobi sobie elektrolizę twarzy i już nigdy nie będzie miał zarostu.

— Elektroliza twarzy! — wykrzyknęła prowadząca. — To chyba dość drastyczny środek.

— Jeśli zaniepokoiły państwa wizje i chcą mieć pewność, że nigdy się nie spełnią, to właśnie jedna z rzeczy, które można zrobić. Naturalnie najskuteczniejszym sposobem na obalenie wizji na szeroką skalę byłoby wybranie jakiegoś charakterystycznego obiektu, widzianego przez tysiące ludzi, na przykład Statuy Wolności i rozebranie go. Ale pewnie Służba Parków Narodowych się nie zgodzi.

Lloyd rozsiadł się na kanapie. Co za bzdury. Nic z tego, o czym mówił Alexander nie było prawdziwym dowodem, wszystko było subiektywne i zależało od tego, jak ludzie opisywali własne wizje. No i co za genialny sposób na dostanie się do telewizji, nie tylko dla Alexandra, ale dla każdego, kto

chciał udzielić wywiadu. Wystarczy nie zgodzić się z niezmiennością przyszłości.

Lloyd spojrział na zegar stojący na jednej z półek wiszących na czerwonych ścianach mieszkania. Była dwudziesta pierwsza trzydzieści, co oznaczało dopiero trzynastą trzydzieści na granicy między Kolorado i Utah, gdzie znajdował się Dinosaur National Monument; Lloyd też tam kiedyś był. Zastanawiał się jeszcze kilka minut, wziął telefon i po chwili rozmowy z biurem numerów dodzwonił się do sklepu z pamiątkami przy Dinosaur Monument; odebrała kobieta.

— Dzień dobry — powiedział. — Szukam konkretnego przedmiotu... malachitowego przycisku do papieru.

— Malachitowego?

— To taki zielony minerał, no wie pani, kamień ozdobny.

— Ach, tak, oczywiście. Mamy takie z małymi dinozaurami. Z T.rexem, stegozaurem i triceratopsem.

— Ile kosztuje triceratops?

— Czternaście dziewięćdziesiąt pięć.

— A czy prowadzicie sprzedaż wysyłkową?

— Oczywiście.

— To chciałbym kupić taki przycisk i wysłać go do... — zawiesił głos; gdzie do cholery znajdował się Duke? — Do Północnej Karoliny.

— OK. A konkretny adres?

— Nie jestem pewien. Proszę napisać: „Profesor Raymond Alexander, Uniwersytet Duke’a, Durham, Północna Karolina”. Na pewno dotrze.

— Kurier UPS?

— Jak najbardziej.

Kilka stuknięć w klawiaturę.

— Koszt wysyłki to osiem pięćdziesiąt. Jak chciałby pan zapłacić?

— Kartą Visa.

— Poproszę numer.

Wyciągnął z kieszeni portfel i odczytał ciąg cyfr, a następnie podał swoje nazwisko i datę ważności karty. Potem się rozłączył, wrócił na kanapę i skrzyżował ramiona na piersi, wyraźnie z siebie zadowolony.

*Drogi doktorze Simcoe!*

*Przepraszam, że zawracam Panu głowę swoim mailem; mam nadzieję, że nie zostanie uznany za spam. Domyślam się, że od wywiadu w telewizji jest Pan zasypywany listami, ale po prostu muszę napisać, by wiedział Pan, jak wpłynęła na mnie moja wizja.*

*Mam osiemnaście lat i jestem w ciąży. Nie jest jeszcze zaawansowana, to dopiero drugi miesiąc. Jeszcze nie powiedziałam o tym ani mojemu chłopakowi, ani rodzicom. Sądziłam, że zajście w ciążę to najgorsze, co może mi się przytrafić — chodzę jeszcze do liceum, a mój chłopak jesienią zaczyna studia. Oboje nadal mieszkamy z rodzicami i nie mamy pieniędzy. Sądziłam, że pod żadnym pozorem nie powinniśmy mieć teraz dziecka i zamierzałam usunąć ciążę. Nawet już umówiłam się na wizytę.*

*A potem pojawiła się wizja... i była niesamowita! Byłam w niej z Bradem (moim chłopakiem) i naszą córką. Za dwadzieścia jeden lat będziemy mieszkać w ślicznym domu. Moja córka już*

*była dorosła, starsza nawet niż ja teraz i była taka piękna. Opowiadała nam o chłopaku ze szkoły, z którym się spotykała i pytała, czy może przyprowadzić go któregoś dnia na kolację. Była pewna, że go polubimy. Oczywiście się zgodziliśmy, bo to nasza córka i było to dla niej takie ważne, a...*

*Chyba trochę się rozpisalam. Chodzi o to, że dzięki wizji wiem, że wszystko się jakoś ułoży. Odwołałam aborcję, szukamy z Bradem jakiegoś małego mieszkania, a moi rodzice o dziwo się nie wkurzyli i nawet obiecali, że trochę nam pomogą finansowo.*

*Wiem, że wiele osób powie panu, że wizje zrujnowały im życie. Ja chciałam tylko poinformować, że niezwykle pomogły mi w życiu, a nawet ocaliły życie maleńkiej dziewczynki, którą w sobie noszę.*

*Dziękuję panu... za wszystko.*

*Jean Alcott*

*Doktorze Simcoe!*

*W wiadomościach ciągle mówią o ludziach, którzy mieli fascynujące wizje. Ja nie miałem. W mojej wizji mieszkałem dokładnie w tym samym domu, co dzisiaj. Byłem sam, co akurat mnie nie zdziwiło... mam dorosłe dzieci, a moja żona najczęściej jest zajęta pracą. Gdyby nie to, że było kilka drobnych różnic: meble były nieco inaczej ustawione, a na jednej ze ścian wisiał nowy obraz, nijak nie mógłbym poznać, że widziałem przyszłość.*

*I wie pan co? Podoba mi się to. Jestem szczęśliwym człowiekiem, dobrze mi się żyje. Bardzo uspokaja mnie myśl, że przez kilka kolejnych dekad nic się w moim życiu nie zmieni. Wielu ludziom te wszystkie wizje powywracały życie do góry*

*nogami, ale w moim przypadku jest inaczej. Po prostu chciałem, by pan o tym wiedział.*

*Serdecznie pozdrawiam,  
Tony DiCiccio*

#### WPISY NA STRONIE PROJEKTU MOZAIKA

Brooklyn, Nowy Jork: No dobra, w tym moim śnie była amerykańska flaga. I chyba miała pięćdziesiąt dwie gwiazdki: w pierwszym rzędzie siedem, potem sześć, potem siedem, znów sześć i tak dalej, aż w sumie wychodziło ich pięćdziesiąt dwie. Tak sobie myślę, że pięćdziesiąta pierwsza to musi być Puerto Rico, nie? Ale szalu dostaję próbując zgadnąć, co oznacza pięćdziesiąta druga. Jeśli ktoś wie, proszę o maila...

.

Edmonton, Alberta: Nie jestem mądry. Mam zespół Downa, ale jestem dobrym człowiekiem. W swojej wizji używałem trudnych słów, więc musiałem być mądry. Chcę znów być mądry.

.

Indianapolis, Indiana: Przestańcie przysyłać mi maile z wiadomością, że w 2030 roku będę prezydentem, zapychacie mi tylko skrzynkę. Wiem, że będę prezydentem, a kiedy dojdę do władzy, naślę kontrolę z urzędu skarbowego na każdego, kto mi to jeszcze raz powie...

.

Islamabad, Pakistan (automatyczny przekład z arabskiego): W swojej wizji miałem dwie ręce, a dzisiaj mam jedną (jestem weteranem wojny indyjsko-pakistańskiej). W wizji nie czułem się, jakbym miał protezę. Czekam na wszelkie informacje od osób, które wiedzą coś o sztucznych kończynach lub regeneracji kończyn za dwadzieścia jeden lat.

.

Changzhou, Chiny (automatyczny przekład z mandaryńskiego): Wszystko wskazuje na to, że za dwadzieścia jeden lat już nie będę żyć, co mnie wcale nie zaskoczyło, bo już jestem w sędziwym wieku. Ale bardzo proszę o wszelkie informacje na temat sukcesów moich dzieci, wnuków lub prawnuków. Oto ich nazwiska

.

Buenos Aires, Argentyna: Niemal wszyscy, z którymi rozmawiałem, mają wolne w dniu Futurospekcji. A z tego co wiem, trzecia środa października nie jest dniem wolnym w żadnym miejscu w Ameryce Południowej, więc może oznacza to, że przejdziemy na czterodniowy tydzień pracy, w którym środy będą wolne? Jak dla mnie



mógłby być nawet trzydniowy. Ktoś wie coś na ten temat?

.

Auckland, Nowa Zelandia: Znam cztery ze zwycięskich numerów w losowaniu nowozelandzkiej superósemki z dziewiętnastego października 2030 roku... w swojej wizji właśnie odbierałam pieniądze za te cztery trafienia (200 \$). Jeśli znacie pozostałe cztery liczby, możemy wymienić się informacjami.

.

Genewa, Szwajcaria (wiadomość w czternastu językach): Jeżeli ktokolwiek posiada jakiegokolwiek informacje o morderstwie Theodosiosa („Theo”) Procopidesa, proszę o kontakt...

# 14.

Dzień szósty: niedziela, 26 kwietnia 2009 r.

Lloyd i Theo jedli lunch w dużej stołówce centrali LHC. Dookoła inni fizycy debatowali nad teoriami wyjaśniającymi przyczyny Futurospekcji... w przeciągu ostatniej godziny storpedowany został obiecujący trop związany z rzekomą awarią jednego z magnesów kwadrupolowych. Według obecnie obowiązującej wersji magnes był w pełni sprawny, a zawiódł sprzęt testujący...

Lloyd jadł sałatkę, a Theo kebab, który przygotował sobie wieczorem i odgrzał w mikrofalówce.

— Chyba ludzie radzą sobie lepiej, niżbym się spodziewał — stwierdził Lloyd. Okna wychodziły na dziedziniec jądro, gdzie kwitły wiosenne kwiaty. — Wszystkie te ofiary, wszystkie zniszczenia. A ludzie otrzepują się z pyłu, wracają do pracy i żyją dalej.

Theo skinął głową.

— Słyszałem rano w radiu faceta, który mówił, że jest znacznie mniejsze zapotrzebowanie na usługi doradcze niż wszyscy przewidywali. A wiele osób od czasu Futurospekcji nawet odwołuje zaplanowane sesje terapeutyczne.

Zaskoczony Lloyd uniósł brwi.

— Dlaczego?

— Według niego to za sprawą katharsis. — Theo się uśmiechnął. — Mówię ci, stary dobry Arystoteles dokładnie

wiedział, co mówi: wystarczy dać ludziom szansę na oczyszczenie emocji, a tylko wyjdzie im to na zdrowie. Wiele osób straciło kogoś bliskiego w trakcie Futurospekcji, a wylew żalu był niezwykle pożyteczny z psychologicznego punktu widzenia. Według tego gościa w radiu coś podobnego zdarzyło się dwanaście lat temu, gdy zginęła księżniczka Diana; przez następnych kilka miesięcy na całym świecie odnotowano spadek zainteresowania usługami terapeutów. Naturalnie największe katharsis dotyczyło Anglii, ale tuż po śmierci lady Di aż dwadzieścia siedem procent Amerykanów czuło się, jakby straciło kogoś znajomego. — Przerwał. — Naturalnie, niełatwo jest się pogodzić ze śmiercią małżonka lub dziecka, ale wuja? Odległego kuzyna? Ulubionego aktora? Jednego ze współpracowników? To wielka ulga.

— Ale jeśli wszyscy przez to przechodzą...

— I w tym tkwi sedno — stwierdził Theo. — Bo widzisz, normalnie, gdy stracisz kogoś w wypadku, całkowicie się załamujesz i to może trwać miesiącami, a nawet latami... a wszyscy dookoła tylko umacniają cię w przekonaniu, że masz prawo się smucić. „Nie spiesz się”, mówią. Wspierają cię emocjonalnie. Ale jeśli wszyscy inni również borykają się ze stratą, brakuje tego oparcia, nie ma kto cię pocieszać. Nie masz wyjścia, musisz się pozbierać i wrócić do pracy. Coś jak w przypadku ludzi, którzy przeżyli wojnę... każda wojna jest o wiele bardziej wyniszczająca w szerszej perspektywie niż jakakolwiek indywidualna tragedia, ale gdy wojna się kończy, większość ludzi po prostu żyje dalej. Wszyscy przeszli przez to

samo, trzeba się od tego po prostu odgrodzić, zapomnieć i żyć dalej. W tym przypadku najwyraźniej dzieje się to samo.

— Nie sądzę, by Michiko kiedykolwiek pozbiierała się po utracie Tamiko. — Michiko miała wrócić z Japonii wieczorem.

— Nie, naturalnie, że nie. To nigdy nie przestanie jej boleć. Ale ona już żyje dalej, bo co innego ma robić? Tak naprawdę nie ma wyboru.

W tej chwili przy ich stoliku pojawił się Franco della Robbia, brodaty fizyk w średnim wieku, z tacką w ręku.

— Mogę się przysiąc?

Lloyd podniósł wzrok.

— Cześć, Franco. Proszę.

Theo przesunął swoje krzesło w prawo i della Robbia usiadł.

— Nie masz racji z tym Minkowskim, wiesz? — rzucił della Robbia, patrząc na Lloyda. — Wizje nie mogą pokazywać faktycznej przyszłości.

Lloyd nabrał sałatki na widelec.

— Dlaczego nie?

— Weźmy to twoje założenie. Za dwadzieścia jeden lat od dziś dojdzie do połączenia ówczesnego mnie ze mną z przeszłości. A zatem moja wcześniejsza wersja zobaczy dokładnie to, co będzie robić wersja przyszła. Oczywiście, moja przyszła wersja może nie odnotować w żaden sposób rozpoczęcia połączenia, ale to bez znaczenia; będę wiedział, kiedy połączenie się rozpocznie i zakończy, co do sekundy. Nie wiem, co widziałeś w swojej wizji, Lloyd, ale ja w swojej byłem chyba w Sorrento i siedziałem na balkonie wychodzącym na Zatokę Neapolitańską. Bardzo sympatyczne i miłe zajęcie, ale

wiedząc, że dwudziestego trzeciego października 2030 roku będę miał połączenie ze sobą z przeszłości, robiłbym coś zupełnie innego. Siedziałbym w jakimś pomieszczeniu, w którym nie byłoby nic, co mogłoby rozproszyć uwagę mojej wersji z przeszłości... w pustym pokoju na przykład albo po prostu przed ścianą. A dokładnie o dziewiętnastej dwadzieścia jeden czasu Greenwich, zacząłbym recytować informacje, które chciałbym przekazać sobie z przeszłości: „Jedenastego marca 2012 roku uważaj w Via Colombo, bo inaczej się potkniesz i złamiesz nogę”; „w twoich czasach udziały koncernu Bertelsmann kosztują czterdzieści dwa euro za sztukę, ale do dwa tysiące trzydziestego cena wyniesie sześćset dziewięćdziesiąt, więc kup jak najwięcej, zafundujesz sobie emeryturę”; „oto wszyscy zwycięzcy mistrzostw świata między twoimi a moimi czasami”. Coś takiego. Miałbym to wszystko zapisane na kartce i po prostu to przeczytał, starając się upchnąć jak najwięcej przydatnych informacji w minutę i czterdzieści trzy sekundy. — Włoski fizyk przerwał na chwilę. — Fakt, że nikt nie wspominał o wizji, w której właśnie coś takiego miało miejsce oznacza, że to, co widzieliśmy nie może być rzeczywistą przyszłością linii czasowej, w ramach której obecnie się znajdujemy.

Lloyd zmarszczył brwi.

— A może niektórzy właśnie tak zrobili? Tak naprawdę powszechnie znana jest treść tylko niewielkiego odsetka miliardów wizji, które musiały wystąpić. Gdybym planował przekazanie sobie wskazówek giełdowych, a nie wiedziałbym, czy przyszłość jest niezmienna, pierwszą rzeczą, jaką bym sobie

powiedział to: „nie mów o tym nikomu”. Może ci, którzy zrobili, jak mówisz, po prostu się tym nie chwala.

— Jeśli wizje dotyczyłyby kilkudziesięciu osób — powiedział della Robbia — to byłoby możliwe. Ale przy miliardach? Ktoś by się wygadał. Szczerze mówiąc, sądzę, że niemal wszyscy próbowaliby się skontaktować ze sobą z przeszłości.

Lloyd spojrział na Theo, a następnie na della Robbię.

— Nie, jeśli wiedzieliby, że na nic się to nie zda; nie, jeśli wiedzieliby, że nic, co powiedzą nie może zmienić rzeczy, które już zostały wykute w granicie.

— Albo wszyscy zdążyli zapomnieć — rzucił Theo. — Może do roku 2030 pamięć o wizjach zblednie. W końcu przecież zapominamy sny. Tuż po przebudzeniu jeszcze je pamiętamy, ale po kilku godzinach nic z nich nie zostaje. Może przez dwadzieścia jeden lat wizje same się wymażą z naszej pamięci.

Della Robbia zdecydowanie pokręcił głową.

— Nawet jeśli tak by się stało, a nie mamy żadnych przesłanek pozwalających tak sądzić, wszystkie zarejestrowane relacje z wizji przetrwają do 2030 roku. Wszystkie programy informacyjne, relacje telewizyjne, wszystkie zapisy w pamiętnikach i listach do przyjaciół. Psychologia to nie moja dziedzina, nie będę dyskutować na temat zawodności pamięci. Ale ludzie z pewnością będą wiedzieli, co stanie się dwudziestego trzeciego października 2030 roku i wielu z nich będzie próbować porozumieć się z przeszłością.

— Chwileczkę — powiedział Theo, unosząc brwi. — Chwileczkę! — Lloyd i della Robbia odwrócili się w jego stronę.

— Nie rozumiecie, co to? Prawo Nivena.

— Co? — spytał Lloyd.

— Kto to jest Niven? — spytał della Robbia.

— Amerykański pisarz science-fiction. Powiedział kiedyś, że w żadnym uniwersum, w którym możliwe są podróże w czasie, nie powstanie nigdy wehikuł czasu. Napisał nawet opowiadanie, by to zilustrować: naukowiec buduje wehikuł czasu i w chwili, gdy kończy pracę, podnosi wzrok i widzi wybuchające słońce. Wszechświat woli go zniszczyć, niż dopuścić do paradoksów właściwych dla podróży w czasie.

— No i? — wtrącił Lloyd.

— No a komunikacja ze sobą z przeszłości to też forma podróży w czasie... a konkretnie wysyłania wiadomości w przeszłość. Wszechświat mógł po prostu zablokować próby tych, którzy się na to zdecydowali... może nie w tak spektakularny sposób, jak wysadzenie słońca, ale po prostu zapobiegając komunikacji. — Przeniósł wzrok z Lloyda na della Robbię i z powrotem. — Nie rozumiecie? W 2030 roku musiałem próbować zrobić coś takiego... chciałem porozumieć się ze sobą z przeszłości i właśnie dlatego nie miałem żadnej wizji.

Lloyd bardzo się starał, by jego głos zabrzmiał jak najłagodniej:

— Wydaje mi się, że istnieje dość dowodów z wizji innych osób na to, że w 2030 roku naprawdę zginąłeś, Theo.

Theo otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale zaraz potem je zamknął. Po chwili stwierdził:

— Masz rację. Masz rację. Przepraszam.

Lloyd skinął głową; wcześniej nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, jak trudna była ta cała sytuacja dla Theo. Odwrócił się w stronę della Robbii.

— Cóż, Franco, jeśli wizje nie pokazywały naszej przyszłości, to co?

— Alternatywną linię czasową, to oczywiste. To ma sens w świetle teorii MWI. — Według wieloświatowej interpretacji mechaniki kwantowej, jeśli jakieś wydarzenie może potoczyć się na dwa sposoby, nie dochodzi do urzeczywistnienia tylko jednego z nich, ale obu jednocześnie, z których każdy należy do osobnego wszechświata. — Konkretnie rzecz ujmując, wizje pokazują wszechświat, który oderwał się od naszego w chwili przeprowadzenia eksperymentu w LHC; pokazują przyszłość wszechświata, w którym nie nastąpiło przemieszczenie czasowe.

Lloyd pokręcił głową na te słowa.

— Chyba nie wierzysz ciągle w MWI? Interpretacja transakcyjna obala ją na całej linii.

Standardowym argumentem przemawiającym za interpretacją wieloświatową jest eksperyment myślowy z kotem Schrödingera: wystarczy włożyć kota do szczelnego pojemnika z fiolką trucizny, która ma pięćdziesiąt procent szans na uwolnienie w przeciągu godziny. Po tym czasie należy otworzyć pudełko i sprawdzić, czy kot nadal żyje. Według interpretacji kopenhaskiej, czyli standardowej wersji mechaniki kwantowej, dopóki ktoś nie zajrzy do środka, kot nie jest ani żywy, ani martwy, występuje tak zwana superpozycja stanów; zajrzenie do środka, czyli obserwacja, burzy funkcję



liniową, zmuszając kota do przyjęcia jednego z dwóch możliwych stanów. Problem w tym, że skoro obserwacja może mieć dwa różne wyniki, według zwolenników MWI wszechświat w chwili dokonania obserwacji rozwidła się. W jednym z powstałych wszechświatów kot jest żywy, a w drugim martwy.

John G. Cramer, fizyk z Uniwersytetu Waszyngtońskiego w Seattle, często współpracujący z CERN-em, potępiał nacisk na obserwatora w interpretacji kopenhaskiej. W latach 80. zaproponował inne wyjaśnienie: interpretację transakcyjną, TI. W latach 90. i po roku 2000 interpretacja ta cieszyła się coraz większą popularnością wśród fizyków.

Należy wziąć pod uwagę bezbronno zamkniętego w pudełku kota Schrödingera, oko obserwatora godzinę później, gdy patrzy na kota. Według TI kot wysyła rzeczywistą, fizyczną „falę ofertę”, podróżującą do przodu, w przyszłość i jednocześnie do tyłu, w przeszłość. Gdy fala oferta dociera do oka, oko wysyła „falę potwierdzenie”, która przemieszcza się do tyłu, w przeszłość i do przodu, w przyszłość. Fala oferta i fala potwierdzenie wygaszają się w całym wszechświecie za wyjątkiem linii bezpośrednio łączącej kota z okiem, gdzie się wzmacniają, zawierając transakcję. Jako że kot i oko przeprowadzili komunikację w czasie, nie ma żadnej dwuznaczności, ani potrzeby burzenia fal: kot w pudełku znajduje się dokładnie w takim stanie, w jakim został w końcu zaobserwowany. Nie ma tu też miejsca na rozwidlenie wszechświata, gdyż transakcja obejmuje cały okres, o którym

mowa, więc i nie ma potrzeby podziału: oko widzi kota takiego, jaki był przez cały czas: żywy bądź martwy.

— Tobie by odpowiadała ta interpretacja — stwierdził della Robbia. — Demoluje wolną wolę. Każdy wyemitowany foton wie od razu, co go pochłonie.

— Pewnie — zgodził się Lloyd. — Przyznaję, że TI umacnia koncepcję blokową wszechświata, ale to twoja interpretacja wieloświatowa tak naprawdę niszczy wolną wolę.

— Na jakiej podstawie tak twierdzisz? — spytał della Robbia, rozłoszczony typowo po włosku.

— Pomiędzy wieloma wszechświatami nie jest ustalona żadna hierarchia — oznajmił Lloyd. — Powiedzmy, że idę drogą i dochodzę do rozwidlenia. Mogę skręcić w lewo lub w prawo. Co wybieram?

— Co chcesz! — zakrzyknął triumfalnie della Robbia.

— Oto wolna wola!

— Bzdura — rzucił Lloyd. — Według MWI wybieram to, czego nie wybrała druga wersja mnie. Jeśli ona pójdzie w prawo, ja muszę iść w lewo; jeśli ja pójdę w prawo, ona musi iść w lewo. Prawdziwą arogancją byłoby sądzić, że to zawsze ja, w tym wszechświecie podejmuję liczącą się decyzję, a druga opcja zawsze jest tylko alternatywą, która musi znaleźć odzwierciedlenie w drugiej rzeczywistości. Interpretacja wieloświatowa daje złudzenie wyboru, a w rzeczywistości jest całkowicie deterministyczna.

Della Robbia odwrócił się w stronę Theo i rozłożył ręce, apelując o zdrowy rozsądek.

— Ale w TI wszystko zależy od fal cofających się w czasie.

Theo odpowiedział łagodnie:

— Sądzę, że aż nadto wyjaśniliśmy już, jak wygląda cofanie się w czasie informacji, Franco — oznajmił. — Poza tym, według Cramera transakcja zachodzi atemporalnie, czyli poza czasem.

— Poza tym — wtrącił Lloyd rozentuzjasmowany wizją pojedynku, szczególnie gdy miał już sojusznika — to w twojej wersji wydarzeń konieczna jest podróż w czasie.

Della Robbia wyglądał na zszokowanego.

— Co? Jak? Wizje po prostu pokazują równoległą rzeczywistość.

— Według MWI każde istniejące równoległe uniwersum byłoby w pełni zsynchronizowane z naszym: gdybyśmy mieli wgląd w taką równoległą rzeczywistość, zobaczylibyśmy dzień dzisiejszy, dwudziestego szóstego kwietnia 2009 roku; w zasadzie cała koncepcja informatyki kwantowej opiera się na idealnej synchronizacji wszechświatów równoległych z naszym. Zatem gdybyś miał wgląd we wszechświat równoległy, mógłbyś zobaczyć rzeczywistość, w której usiadłeś tam, przy stoliku Michaela Burra, a nie ze mną i z Theo, ale byłaby to chwila obecna. A ty sugerujesz niejako dodanie kontaktu z wszechświatami równoległymi do wglądu w przyszłość; wystarczająco trudno jest zaakceptować jeden z tych pomysłów, a oba naraz...

Przy stoliku pojawił się Jake Horowitz.

— Przepraszam, że przeszkadzam — powiedział — ale ktoś do ciebie dzwoni, Theo. Mówi, że chodzi o twoją wiadomość na stronie Mozaiki.

Theo pospiesznie oddalił się od stolika, porzucając na wpół zjedzony kebab.

— Linia trzecia — rzucił Jacob, ruszając za nim. Tuż przy stołówce znajdowało się puste biuro, do którego skierował się Theo. Na wyświetlaczu telefonu widniała informacja „rozmowa zamiejscowa”. Podniósł słuchawkę.

— Słucham — powiedział. — Theo Procopides.

— Mój Boże — odezwał się po angielsku męski głos po drugiej stronie. — To takie dziwne... rozmawiać z kimś, kiedy się wie, że on zginie.

Theo nie wiedział, jak zareagować, więc stwierdził tylko:

— Czy ma pan jakieś informacje na temat morderstwa?

— Tak sądzę. Czytałem coś o tym w swojej wizji.

— I co tam było napisane?

Mężczyzna streścił to, co udało mu się przeczytać, ale nie dostarczył żadnych nowych informacji.

— A było coś o tych, którzy przeżyli? — spytał Theo.

— Co ma pan na myśli? Nie chodziło o katastrofę samolotu.

— Nie, nie, nie. Chodzi mi o tych, którzy mnie przeżyli... no wie pan, czy miałem żonę lub dzieci.

— A tak. Chwileczkę, niech sobie przypomnę...

Chwileczkę, niech sobie przypomnę, jego przyszłość była w pełni marginalna; nikogo tak naprawdę nie obchodziła. Nie miała znaczenia, była nierzeczywista. Był tylko jakimś facetem, o którym czytali.

— A tak — stwierdził głos. — Tak, pozostawił pan syna i żonę.

— Czy w gazecie podali ich imiona?

Zastanawiając się, mężczyzna głośno wydmuchiwał powietrze prosto do słuchawki.

— Syn miał na imię... Constantin, tak mi się wydaje. Constantin. Imię po jego ojcu; tak, Theo zawsze myślał, że tak nazwie swojego syna.

— A imię matki? Mojej żony?

— Przepraszam, ale nie pamiętam.

— Proszę spróbować sobie przypomnieć.

— Nie, przykro mi. Po prostu nie pamiętam.

— Mógłby się pan poddać hipnozie...

— Oszalał pan? Nic z tego. Zadzwońłem, żeby pomóc; tak sobie pomyślałem, że wyświadczę panu przysługę. Wydawało mi się to po prostu miłe. Ale nie dam się zahipnotyzować, naszpikować prochami, ani nic takiego.

— Ale moja żona... wdowa po mnie... muszę wiedzieć, kto to.

— Dlaczego? Ja nie wiem, kto będzie moją żoną za dwadzieścia jeden lat, niby czemu pan musi?

— Może mieć jakieś informacje na temat tego, dlaczego ktoś mnie zabił.

— No, w sumie. Być może. Ale zrobiłem już, co mogłem.

— Ale widział pan jej imię! Zna je pan!

— Jak mówiłem, nie pamiętam. Przykro mi.

— Proszę... zapłacę.

— Serio, facet, nie pamiętam. Dobra, jeśli tylko mi się przypomni, dam znać. Ale to wszystko, co mogę zrobić.

Wiele sił kosztowało Theo powstrzymanie się przed kolejnym protestem. Zacisnął wargi, a potem ponuro skinął głową.

— Dobrze. Dziękuję. Dziękuję za pana czas. Czy może mi pan podać nazwisko, tylko do mojej wiadomości?

— Przykro mi. Jak powiedziałem, jeśli coś mi się jeszcze przypomni, zadzwonię.

W telefonie zaległa martwa cisza.

# 15.

Wieczorem Michiko wróciła z Tokio. Może nie wyglądała, jakby odzyskała spokój, ale przynajmniej nie sprawiała już wrażenia, jakby za chwilę miała się całkiem załamać.

Lloyd, który spędził popołudnie nad kolejną turą symulacji komputerowych odebrał ją z lotniska w Genewie i zawiózł do oddalonego o kilkanaście kilometrów mieszkania w St. Genis, a potem...

Potem kochali się po raz pierwszy od pięciu dni, jakie minęły od Futurospekcji. Był wczesny wieczór; lampy w pokoju były zgaszone, ale mnóstwo światła przesączało się z zewnątrz przez żaluzje. Lloyd zawsze był od niej śmielszy, choć trzeba przyznać, że szybko się rozkręcała. Być może jego upodobania były z początku nieco zbyt dzikie, nieco zbyt zachodnie jak na jej gust, ale z czasem przekonała się do jego propozycji, a on zawsze starał się być troskliwym kochankiem. Jednak tego dnia wszystko odbyło się dość zdawkowo: nic poza pozycją misjonarską. Zazwyczaj gdy kończyli pościel była wilgotna od potu, ale tym razem pozostała praktycznie sucha. Z jednej strony nawet nadal byli przykryci.

Lloyd leżał na plecach, wpatrując się w ciemny sufit. Michiko leżała obok, obejmując bladym ramieniem jego nagą, owłosioną klatkę piersiową. Długo milczeli, pogrążeni we własnych myślach.

W końcu odezwała się Michiko:

— Kiedy byłam w Tokio widziałam cię w CNN. Naprawdę wierzysz, że wolna wola nie istnieje?

Lloyd był zaskoczony.

— Cóż — powiedział w końcu — myślimy, że ją mamy, co chyba sprowadza się do tego samego. Tak mi się wydaje. Ale nieuchronność to element wielu systemów wiary. Weźmy taką Ostatnią Wieczerzę. Jezus powiedział Piotrowi, który, zwróć uwagę, był skałą, na której miał budować swój kościół... powiedział mu, że ten trzykrotnie się go wyprze. Piotr zarzekał się, że niemożliwe, by doszło do czegoś takiego, ale oczywiście to zrobił. A Judasz Iskariota, którego zawsze uważałem za postać tragiczną, skazany był na wydanie Chrystusa władzom, czy tego chciał, czy nie. Cała idea roli do odegrania, przeznaczenia, które musi się dopełnić jest znacznie starsza niż pojęcie wolnej woli. — Przerwał na chwilę. — Tak, naprawdę wierzę, że przyszłość jest równie niezmienna, co przeszłość. A Futurospekcja tylko to potwierdza; gdyby bowiem przyszłość nie była już ustalona, jak to możliwe, że wizje wszystkich ludzi były tak spójne? Czy inaczej wszyscy nie mieliby zupełnie różnych wizji, a raczej czy jakiegokolwiek wizje w ogóle byłyby możliwe?

Michiko zmarszczyła brwi.

— Nie wiem. Nie jestem pewna. Po prostu nie rozumiem, jaki sens w ogóle żyć, skoro i tak wszystko jest z góry ustalone?

— A jaki sens w czytaniu książki, której koniec został już napisany?

Przygryzła dolną wargę.



— Blokowa koncepcja wszechświata to jedyna sensowna teoria dla wszechświata relatywistycznego — stwierdził Lloyd.

— W zasadzie to relatywność wielkimi literami: według względności żaden z punktów przestrzeni nie jest ważniejszy od innych; nie ma ustalonych ram odniesienia, które pozwoliłyby określić inne pozycje. Według koncepcji blokowej żaden z czasów nie jest ważniejszy od innych... „teraz” jest całkowitym złudzeniem, a jeśli nie istnieje coś takiego, jak uniwersalne teraz, jeśli przyszłość jest już ustalona, wolna wola oczywiście również jest złudzeniem.

— Nie jestem tego tak pewna, jak ty — oznajmiła Michiko. — Sądzę, że mam wolną wolę.

— Nawet po czymś takim? — spytał Lloyd, a ton jego głosu stał się ostrzejszy. — Nawet po Futurospekcji?

— Istnieją inne wyjaśnienia na spójność wizji przyszłości — odparła Michiko.

— Czyżby? Na przykład jakie?

— Na przykład takie, że to tylko jedna z możliwych przyszłości, jeden rzut kostką. A gdyby Futurospekcja została powtórzona, moglibyśmy zobaczyć zupełnie inną przyszłość.

Lloyd pokręcił głową, szorując włosami po poduszce.

— Nie — rzucił. — Nie, istnieje tylko jedna przyszłość, tak jak i jedna przeszłość. Każda inna interpretacja jest nie do przyjęcia.

— Ale życie bez wolnej woli...

— Tak po prostu jest, rozumiesz? — warknął Lloyd. — Nie ma wolnej woli. Nie ma żadnego wyboru.

— Ale...

— I żadnych ale...

Michiko zamilkła. Klatka piersiowa Lloyda unosiła się i opadała gwałtownie; Michiko z pewnością czuła, jak mocno wali mu serce. W końcu Michiko przerwała milczenie:

— Aha.

Lloyd uniósł brwi, a choć Michiko nie widziała jego twarzy, musiała jakoś zarejestrować ruch mięśni.

— Rozumiem — stwierdziła.

Lloyd był poirytowany i nie starał się tego ukryć.

— Co?

— Rozumiem, czemu tak obstajesz przy niezmiennej przyszłości. Czemu wierzysz, że wolna wola nie istnieje.

— Niby czemu?

— Przez to, co się stało. Przez tych wszystkich ludzi, którzy zginęli i wszystkich rannych. — Przerwała, jakby czekając, aż za nią dokończy. Ponieważ jednak się nie odezwał, mówiła dalej. — Gdybyśmy mieli wolną wolę, musiałbyś się winić za to, co się stało; musiałbyś wziąć na siebie odpowiedzialność.

I miałbyś całą tę krew na rękach. Ale jeśli nie mamy wolnej woli, nie jest to twoja wina. *Que sera est*. Co ma być, już jest. Wcisnąłeś przycisk uruchamiający eksperyment, bo zawsze tak było i będzie; chwila, gdy wciskasz przycisk jest zamrożona w czasie, jak wszystkie pozostałe.

Lloyd nie odpowiedział. Nie miał nic do dodania. Naturalnie miała rację. Poczul, że się rumieni.

Czy był aż tak płytki? Tak zdesperowany?

Żadna z teorii fizycznych nie dawała absolutnie żadnych podstaw do przewidzenia Futurospekcji. Nie był jakimś tam

lekarzem, który nie uzupełnił wiedzy na temat efektów ubocznych; nie był to żadnego rodzaju błąd w sztuce fizycznej. Nikt... ani Newton, ani Einstein, ani Hawking nie mogliby przewidzieć rezultatu eksperymentu w LHC.

Nie popełnił żadnego błędu.

Żadnego.

A jednak...

A jednak oddałby wszystko, by móc zmienić to, co się stało. Wszystko.

Wiedział też, że gdyby choć przez sekundę dopuścił do siebie myśl, że można by to było zmienić, że wszystko mogło potoczyć się inaczej, że można było uniknąć wszystkich wypadków, katastrof, nieudanych operacji i upadków ze schodów, że mógłby zapobiec śmierci małej Tamiko, spędziłby resztę życia pod ciężarem winy z powodu tego, co się stało. Minkowski go rozgrzeszał.

A on potrzebował tego rozgrzeszenia. Było mu potrzebne, jeśli miał żyć dalej, jeśli miał podążać swoją ścieżką przez kostkę bez przeżywania nieustannych katuszy.

Theo, który chciał wierzyć, że wizje nie pokazywały faktycznej przyszłości, miał nadzieję, że będą niespójne: że w jednej wizji prezydentem Stanów Zjednoczonych był demokrat, a w innej w Gabinetcie Owalnym zasiadał republikanin. W jednej wszędzie widać było latające samochody, a w innej wszystkie indywidualne środki transportu były zakazane na rzecz transportu publicznego. Może w jednej Ziemię odwiedzili kosmici, a w innej było już wiadomo, że naprawdę jesteśmy sami we wszechświecie.

Ale projekt Michiko „Mozaika” okazał się strzałem w dziesiątkę, dziennie pojawiało się ponad sto tysięcy wpisów, składających się na logiczny i przekonujący portret roku 2030, a każda z wizji dokładała maleńki element do obrazu całości.

W roku 2017, w wieku dziewięćdziesięciu jeden lat odeszła Elżbieta II, Królowa Anglii, Szkocji, Irlandii Północnej, Kanady, Bahamów i niezliczonej liczby innych miejsc. Jej syn Karol, który miał wówczas sześćdziesiąt dziewięć lat i kompletnego bzika, za namową swoich doradców zrezygnował z wstąpienia na tron. Starszy syn Karola, William, następny w kolejce do tronu, zszokował świat nie tylko zrzeczeniem się korony, ale i doprowadzeniem do rozwiązania przez Parlament monarchii.

Quebec nadal był częścią Kanady; secesjoniści stanowili już tylko nieliczną, aczkolwiek nadal śmiało protestującą mniejszość.

W 2019 roku w RPA zakończyły się wreszcie postapartheidowskie procesy o zbrodnie przeciw ludzkości; skazanych zostało ponad pięć tysięcy osób. Osiemdziesięcioośmioletni prezydent Desmond Tutu wszystkich ułaskawił, przy czym nie był to według niego akt chrześcijańskiego przebaczenia, ale raczej zamknięcie pewnego rozdziału.

Nikt jeszcze nie dotarł na Marsa... z początku niektóre wizje sugerowały coś innego, ale okazało się, że pokazywały symulacje wirtualne w Disneylandzie.

Prezydentem Stanów Zjednoczonych był czarnoskóry mężczyzna i wszystko wskazywało na to, że na kobietę w

Białym Domu przyjdzie jeszcze poczekać. Za to Kościół Katolicki zaczął wyświęcać kobiety na księży.

Kuba nie była już krajem komunistycznym; Chiny nim pozostały, a według wizji za dwadzieścia jeden lat trzymały swych obywateli w równie żelaznym uścisku, co teraz. Populacja Chin w 2030 roku wynosiła niemal dwa miliardy.

Ubytek warstwy ozonowej był znaczny — ludzie w wizjach mieli na sobie kapelusze i okulary przeciwsłoneczne, nawet przy dużym zachmurzeniu.

Samochody nie latały, ale mogły unosić się około dwóch metrów nad ziemią. Z jednej strony, w większości krajów zdecydowanie ograniczono budowę nowych dróg. Samochodom nie były już potrzebne równe, twarde nawierzchnie; w niektórych miejscach nawet rozbierano drogi i zastępowano je pasami zieleni. Z drugiej strony, drogi zużywały się o wiele mniej, tak więc zmniejszyła się liczba koniecznych napraw.

Chrystus nie zstąpił ponownie na ziemię.

Stworzenie sztucznej inteligencji nadal pozostawało w sferze marzeń. Choć istniało mnóstwo mówiących komputerów, żaden z nich nie przejawiał jakichkolwiek oznak świadomości.

Liczba plemników w spermie nadal ostro spadała na całym świecie; w krajach rozwiniętych powszechne było sztuczne zapłodnienie, refundowane przez społeczno-medyczne programy w Kanadzie, Unii Europejskiej, a nawet w Stanach Zjednoczonych. W krajach Trzeciego Świata po raz pierwszy w historii spadała liczba urodzeń.

Szóstego sierpnia 2030 roku, w osiemdziesiątą piątą rocznicę zrzucenia bomby atomowej na Hiroszimę, odbyła się w tym mieście ceremonia z okazji wprowadzenia na świecie zakazu produkcji broni jądrowej.

Pomimo zakazu polowania na kaszaloty, do roku 2030 zwierzęta te wyginęły. W 2022 roku ponad stu przedstawicieli tego gatunku popełniło samobójstwo, wychodząc na plażę na całym świecie; nie wiadomo, co było przyczyną tego wydarzenia.

Jednym z przejawów zwycięstwa zdrowego rozsądku na świecie było jednoczesne zaprzestanie drukowania horoskopów w czternastu największych dziennikach Ameryki Północnej. Według oficjalnego oświadczenia zamieszczanie na łamach tego typu bzdur kłóciło się z podstawowym zadaniem prasy, jakim jest rozpowszechnianie prawdy.

W roku 2014 lub 2015 wynaleziono lekarstwo na AIDS. Szacuje się, że na całym świecie zmarło na tę chorobę siedemdziesiąt pięć milionów osób, czyli trzy razy więcej ofiar, niż zebrała siedemset lat wcześniej epidemia Czarnej Śmierci. Nadal nie istniało lekarstwo na raka, ale większość rodzajów cukrzycy diagnozowano i leczono w łonie matki, jeszcze przed narodzinami.

Nanotechnologia nadal była w powijakach.

George Lucas nadal nie skończył „Gwiezdnych wojen”, swej dziewięćczęściowej epopei.

W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie zakazano palenia we wszystkich miejscach publicznych, łącznie z tymi na wolnym powietrzu. Koalicja krajów Trzeciego Świata złożyła w Sądzie

Światowym w Hadze pozew przeciwko Stanom Zjednoczonym o umyślne propagowanie tytoniu w krajach rozwijających się.

Bill Gates stracił swój majątek: wartość akcji Microsoftu spadła gwałtownie w 2027 roku, w wyniku nowej wersji problemu roku 2000. Starsze oprogramowanie firmy Microsoft przechowywało daty w formacie 32-bitowym, zapisując liczbę sekund, jakie minęły od pierwszego stycznia 1970 roku; w 2027 pamięć się przepełniła. Najważniejsi pracownicy Microsoftu próbowali pozbyć się akcji, co tylko jeszcze bardziej obniżyło ich cenę. W 2029 roku firma wystąpiła o ogłoszenie bankructwa w oparciu o rozdział jedenasty amerykańskiego prawa upadłościowego.

Średni dochód w Stanach Zjednoczonych wynosił sto pięćdziesiąt siedem tysięcy dolarów rocznie. Bochenek chleba kosztował cztery dolary.

Najbardziej dochodowym filmem w historii był remake „Wojny światów” z 2026 roku.

Wszyscy studenci na studiach magisterskich w Harvard Business School obowiązkowo uczyli się języka chińskiego.

Najmodniejszymi kolorami w roku 2030 był jasnożółty i ciemnopomarańczowy. Kobiety znów zapuszczały włosy.

Nosorożce hodowano na specjalnych farmach ze względu na ich rogi, nadal niezwykle cenione na Wschodzie. Nie był to już gatunek zagrożony.

W Zairze zabicie goryla stało się przestępstwem karanym śmiercią.

Donald Trump budował na pustyni w Nevadzie piramidę, w której spocząć miały jego szczątki. Docelowo budowla miała być

o dziesięć metrów wyższa od Wielkiej Piramidy w Gizie.

Zwycięzcą World Series w 2029 roku została drużyna Honolulu Volcanoes.

W 2023 lub 2024 roku wyspy Turks i Caicos włączono do Kanady.

Po tym, jak testy DNA dowiodły, iż sto kolejnych egzekucji było bezprawnych, Stany Zjednoczone zniosły karę śmierci.

Pepsi wygrała wojnę z Coca-Colą.

Nastąpił kolejny wielki krach giełdowy; osoby znające jego datę najwyraźniej zachowywały tę informację dla siebie.

Stany Zjednoczone wreszcie przeszły na system metryczny.

Indie utworzyły pierwszą stałą bazę na Księżycu.

Toczyła się wojna między Gwatemalą a Ekwadorem.

W 2030 roku populacja świata wyniosła jedenaście miliardów, z czego cztery miliardy osób urodziły się po roku 2009, a więc nie mogły doświadczyć wizji.

Michiko i Lloyd jedli późną kolację w jego mieszkaniu. Lloyd przygotował raclette — żółty ser roztopiony na ziemniakach, tradycyjną potrawę szwajcarską, którą bardzo polubił mieszkając w tym kraju. Do picia mieli butelkę Blauburgunera; Lloyd wcześniej w zasadzie nie pił, ale w Europie wino lało się strumieniami, a poza tym był w wieku, w którym kieliszek lub dwa dziennie miały korzystny wpływ na zdrowie.

— Nigdy nie będziemy mieć pewności, prawda? — powiedziała Michiko, zjadłszy kawałek ziemniaka. — Nigdy się nie dowiemy, kim jest ta kobieta z twojej wizji, ani kto jest ojcem mojego dziecka.



— Oczywiście, że się dowiemy — stwierdził Lloyd. — Ty dowiesz się, kto jest ojcem dziecka prawdopodobnie za jakieś trzynaście, czternaście lat... jeszcze zanim się urodzi. A ja dowiem się, kim jest ta kobieta, gdy tylko ją w końcu spotkam. Z pewnością ją poznam, nawet jeśli będzie o wiele lat młodsza niż w wizji.

Michiko skinęła głową, jakby było to oczywiste.

— Chodzi mi o to, że nie dowiemy się przed naszym ślubem — stwierdziła cichym głosem.

— Fakt — zgodził się Lloyd. — Nie dowiemy się.  
Westchnęła.

— Co chcesz zrobić?

Lloyd przeniósł wzrok na Michiko. Miała zaciśnięte wargi, być może próbując powstrzymać ich drżenie. Na palcu miała pierścionek zaręczynowy... o wiele za skromny na to, co chciał jej ofiarować i o wiele za drogi, biorąc pod uwagę stan jego finansów.

— To nieuczciwe — stwierdził. — Chryste, nawet Elizabeth Taylor pewnie za każdym razem sądziła, że będzie to małżeństwo „póki śmierć nas nie rozłączy”. Nikt nie powinien zawierać małżeństwa wiedząc, że się rozpadnie.

Czuł, że Michiko patrzy na niego, próbując pochwycić jego wzrok.

— Więc to twoja decyzja? — spytała. — Chcesz zerwać zaręczyny?

— Naprawdę cię kocham — powiedział po chwili milczenia Lloyd. — Przecież wiesz.

— Więc w czym problem? — spytała Michiko.

No właśnie, w czym? Czy to rozwód go tak przerażał, czy też ewentualny trudny rozwód, taki jak jego rodziców? Kto by pomyślał, że coś tak prostego, jak podział wspólnego majątku może przerodzić się w wojnę totalną pełną podłych oskarżeń z obu stron? Kto by pomyślał, że dwoje ludzi, którzy odmawiali sobie wszystkiego, oszczędzali i zdobywali się na szereg wyrzeczeń tylko po to, by kupić sobie w dowód miłości drogie prezenty gwiazdkowe, skończy w sądzie, wydrapując je prawniczymi szponami z rąk jedynej osoby na całym świecie, dla której coś znaczyli? Kto by pomyślał, że para, która tak uroczco nazwała swoje dzieci anagramowymi imionami.

— Lloyd i Dolly — zwróci się przeciwko sobie i potraktuje dzieci jak pionki lub broń?

— Przepraszam, kochanie — powiedział Lloyd. — Łamie mi to serce, ale teraz po prostu nie wiem, co robić.

— Twoi rodzice już dawno zarezerwowali bilety do Genewy, moja mama też — stwierdziła Michiko. — Jeśli ślubu nie będzie, musimy wszystkich powiadomić. Musisz podjąć decyzję.

Ona nic nie rozumie, pomyślał Lloyd. Nie rozumie, że decyzja i tak została już podjęta; że to, co zrobi lub zrobił było przez cały czas zapisane we wszechświecie blokowym. Nie miał żadnej decyzji do podjęcia; należało po prostu ujawnić decyzję, która od zawsze była podjęta.

A zatem...

# 16.

Nadszedł czas, by Theo pojechał do domu. Nie do mieszkania w Genewie, które przez ostatnie dwa lata nazywał domem, ale do domu w Atenach. Do swoich korzeni.

Szczerze mówiąc, byłoby też lepiej, gdyby przez jakiś czas nie widywał się z Michiko. Ciągle dręczyły go szalone myśli na jej temat.

Theo nie sądził, by ktokolwiek z jego rodziny miał coś wspólnego z jego śmiercią, choć — jako że zaczął wiele czytać na ten temat — wiedział, że zazwyczaj tak właśnie było od niepamiętnych czasów, kiedy to Kain zabił Abla, Liwia otruła Augusta, od kiedy O.J. zabił swoją żonę, a jakiś astronauta został aresztowany na międzynarodowej stacji kosmicznej za zabójstwo siostry, pomimo, jakby się mogło wydawać, żelaznego alibi.

Nie, Theo nie podejrzewał nikogo z rodziny. Z drugiej strony, jeśli jakiegokolwiek wizje miały rzucić światło na jego śmierć, musiały to być wizje jego najbliższych krewnych. Z pewnością ktoś z nich za dwadzieścia jeden lat będzie prowadzić własne dochodzenie, by dowiedzieć się, kto zabił ich ukochanego Theo.

Do Aten Theo poleciał liniami Olympic Airlines. Wyprzedaże biletów się skończyły, gdyż ludzie latali już jak zawsze, mając pewność, że przeniesienie czasowe się nie powtórzy. Lot upłynął mu na szukaniu słabych punktów w modelu Futurospekcji, który dostał mailem od zespołu DESY,

Niemieckiego Synchronu Elektronowego, innego europejskiego ośrodka z akceleratorem cząstek.

Theo nie odwiedzał domu od czterech lat, czego bardzo żałował. Chryste, za dwadzieścia jeden lat może nie żyć, a dopuścił do tego, by jedna piąta tego czasu minęła bez uścisku mamy, smaku jej potraw, bez spotkania z bratem, czy cieszenia się niesamowitym pięknem ojczyzny. Owszem, Alpy zapierały dech w piersiach, ale otaczała je jakaś sterylna aura jałowości. Tymczasem w Atenach wystarczyło podnieść wzrok, by zobaczyć Akropol górujący nad miastem i południowe słońce rozświetlające odrestaurowany, polerowany marmur Partenonu. Tysiące lat ludzkiej obecności; millenia myśli, kultury i sztuki.

Naturalnie jako nastolatek odwiedził wiele słynnych zabytków. Na przykład, gdy miał siedemnaście lat, był na wycieczce szkolnej w Delfach, gdzie w starożytności mieszkała słynna wyrocznia. Lał deszcz i nie chciało mu się nawet wysiąść z autobusu, ale jego nauczycielka, pani Megas, nalegała. Droga do miejsca, w którym niegdyś rzekomo zasiadała wyrocznia wygłaszająca enigmatyczne przepowiednie na temat przyszłości, wiodła przez gęsty las i wymagała wspinaczki po śliskich, ciemnych skałach.

Taka wyrocznia była o wiele lepsza, pomyślał Theo: przyszłość podlegała interpretacji i dyskusji. Nie była tylko zimną, surową rzeczywistością, którą niedawno miał okazję zobaczyć świat.

Był również w Epidauros, teatrze wkomponowanym w krajobraz, z koncentrycznie ułożonymi rzędami siedzeń.

Obejrzeni tam przedstawienie „Oedipus Tyrannos”... Theo nie zamierzał tytułować go jak turyści: „Oedipus Rex”, gdyż „rex” to słowo łacińskie, nie greckie, które w irytujący sposób bezcześciło tytuł sztuki.

Przedstawienie wystawiane było w starożytnej grece. Dla Theo, który nie zrozumiał ani słowa, równie dobrze mogłoby być po chińsku. Ale na zajęciach omawiali tę opowieść, więc wiedział, co się dzieje. Edypowi też przepowiedziano przyszłość: ożenisz się ze swoją matką i zamordujesz ojca. I tak jak Theo, Edyp sądził, że uda mu się uniknąć przeznaczenia. Uzbrojony w wiedzę, co jest mu przeznaczone, postanowił całkiem uniknąć tematu i żyć długo i szczęśliwie ze swoją królową, Jokastą.

Tylko że...

Tylko okazało się, że to właśnie Jokasta była jego matką, a człowiek, którego Edyp zabił lata wcześniej w starciu na drodze do Teb był jego ojcem.

Sofokles przestawił swoją wersję losów Edypa dwa tysiące czterysta lat temu, a uczniowie nadal poznawali ją jako najdoskonalszy przykład ironii dramatycznej w zachodniej literaturze. A co mogłoby być bardziej ironiczne od młodego Greka, który staje przed dylematami swych starożytnych przodków... przepowiednia przyszłości, zapowiedź tragicznego końca, nieuchronny los? Naturalnie, każdy z bohaterów starożytnych tragedii greckich naznaczony był hamartią, winą tragiczną, przez którą ich upadek był nieunikniony. W przypadku niektórych hamartia była oczywista: chciwość, pożądanie lub nieprzestrzeganie prawa.

Ale jaka była wina tragiczna Edypa? Która z jego cech zrujnowała mu życie?

Długo rozmawiali o tym na lekcji, forma obowiązująca w greckich tragediach nie podlegała żadnym modyfikacjom... zawsze istniała jakaś hamartia.

A w przypadku Edypa chodziło o...?

Nie o chciwość, głupotę, czy tchórzostwo.

Nie, jeżeli w ogóle coś takiego istniało, to jego arogancja. Przekonanie, że może wygrać z wolą bogów. Ale, Theo musiał zaprotestować, było to dość pokrętne wyjaśnienie; Theo zawsze wolał logikę od nauk humanistycznych. Według niego arogancja Edypa przejawiała się wyłącznie w próbie uniknięcia swego losu; gdyby tylko przeznaczony mu los nie był tak surowy, nigdy by się przeciwko niemu nie zbuntował, a co za tym idzie, nigdy nie zostałby uznany za aroganta.

Nie, odparła jego nauczycielka, arogancja była tam wszędzie, w tysiącu drobnych rzeczy, które robił. I jeszcze dodała żartobliwie, że choć Edyp znaczy „spuchnięta stopa”, co jest aluzją do obrażeń odniesionych, gdy jego królewski ojciec związał mu jako dziecku stopy i pozostawił na śmierć, równie dobrze można by to przetłumaczyć jako „spuchnięta głowa”.

Ale Theo nie potrafił się tego doszukać... nie potrafił odnaleźć tej arogancji, ani protekcyjności. Dla niego Edyp, który rozwiązał kłopotliwą zagadkę Sfinksa, był nadzwyczajnym intelektualistą i wielkim myślicielem... czyli dokładnie tym, za kogo Theo sam się uważał.

Zagadka Sfinksa: co to za zwierzę, które rano chodzi na czterech nogach, w południe na dwóch, a wieczorem na trzech?

Oczywiście człowiek, który raczkuje na początku życia, następnie chodzi na dwóch nogach, a na starość podpiera się laską. Jaką przenikliwością wykazał się Edyp!

Theo miał nie dożyć chwili, gdy potrzebna mu będzie trzecia noga, nigdy nie obejrzy jesieni swego życia. Zginie zamordowany w średnim wieku, zupełnie jak ojciec Edypa, król Lajos, którego ciało porzucono przy uczęszczanym trakcie.

No chyba że mógłby zmienić przyszłość; chyba że potrafiłby przechytrzyć bogów i uniknąć przeznaczenia.

Arogancja? Pomyślał Theo. Arogancja? Śmiechu warte.

Samolot zaczął obniżać lot nad spowitymi nocą Atenami.

— Twoi rodzice już dawno zarezerwowali bilety do Genewy, moja mama też — powiedziała Michiko. — Jeśli ślubu nie będzie, musimy wszystkich powiadomić. Musisz podjąć decyzję.

— Co chcesz zrobić? — spytał Lloyd, próbując zyskać na czasie.

— Co ja chcę zrobić? — powtórzyła Michiko, całkiem zszokowana tym pytaniem. — Chcę wyjść za mąż, nie wierzę w niezmiennność przyszłości. Wizje spełnią się tylko jeśli do tego dopuścimy... jeśli zmienimy je w samospełniające się przepowiednie.

Piłka wróciła do gry. Lloyd wzruszył ramionami.

— Bardzo mi przykro, kochanie. Naprawdę mi przykro, ale...

— Posłuchaj — przerwała mu nim wypowiedział słowa, których nie chciała usłyszeć. — Wiem, że twoi rodzice popełnili błąd. Ale z nami tak nie będzie.

— A wizje...

— Tak nie będzie — oznajmiła stanowczo Michiko. — Świetnie do siebie pasujemy. Jesteśmy sobie przeznaczeni.

Lloyd przez chwilę milczał, po czym powiedział:

— Powiedziałaś, że być może zbyt łatwo chwyciłem się teorii niezmiennej przyszłości. Ale tak nie jest. Wcale nie szukam tylko sposobu na uniknięcie poczucia winy, a już na pewno nie na uniknięcie ślubu z tobą, kochanie. Prawdziwość wizji to jedyna możliwa wersja zdarzeń, jaką potrafię przedstawić na podstawie znanej mi fizyki. Cała strona matematyczna jest oczywiście zawiła, ale istnieją doskonale teoretyczne podstawy dla interpretacji Minkowskiego.

— Za dwadzieścia jeden lat fizyka może ulec zmianie — rzuciła Michiko. — Wiele z rzeczy, w które wierzono w 1988 roku, już jest nieaktualnych. Nowy paradygmat, nowy model mógłby wyprzeć Minkowskiego lub Einsteina.

Lloyd nie wiedział, co powiedzieć.

— To możliwe — dodała Michiko z przekonaniem.

Lloyd bardzo starał się, by jego głos brzmiał jak najłagodniej:

— Potrzebuję... potrzebuję czegoś więcej niż tylko twojego gorącego życzenia. Potrzebne mi racjonalne wyjaśnienie; potrzebna mi solidna teoria, która mogłaby wyjaśnić, czemu niby wizje miałyby być czymś innym niż ustaloną już przyszłością. — Przerwał, by po chwili dodać: — Przyszłością, w której nie dane nam być razem.

Do głosu Michiko wdarła się desperacja.

— No dobrze, w porządku, może i wizje przedstawiają faktyczną, prawdziwą przyszłość, ale nie rok 2030.



Lloyd wiedział, że nie powinien naciskać; Michiko była w tej chwili bezradna... do diabła, on przecież też. Ale musiała stawić czoła rzeczywistości.

— Dowody przedstawiane w gazetach wyglądają dość jednoznacznie — powiedział miękko.

— Nie... wcale nie — Michiko brzmiała na coraz bardziej pewną swego zdania. — Naprawdę, to nic nie znaczy. Wizje mogły pokazywać jakąś znacznie odleglejszą przyszłość.

— Co masz na myśli?

— Znasz Franka Tiplera?

Lloyd zmarszczył brwi.

— To jakiś pijak<sup>[3]</sup>?

— Co? A, rozumiem... ale to Tipler przez jedno „p”. Napisał „Fizykę nieśmiertelności”.

— Fizykę czego? — zapytał zdumiony Lloyd.

— Nieśmiertelności. Wiecznego życia. Przecież tego zawsze chciałeś, prawda? Cały czas świata, tyle czasu, ile tylko zapragniesz na to, co chcesz robić. No i według Tiplera w punkcie Omega, czyli w końcu czasu, zostaniemy wskrzeszeni i będziemy żyć wiecznie.

— Co to za bzdury?

— Też sędzę, że to tylko wymysł — przyznała Michiko. — Ale dowiódł słuszności swojej teorii.

— Och? — rzucił Lloyd, a sylaba ta ociekała sceptycyzmem.

— Według niego życie oparte na komputerach w końcu wyprze życie biologiczne, a moc obliczeniowa będzie się zwiększać z każdym rokiem, aż w końcu, w pewnym momencie w odległej przyszłości, nie będzie istniał żaden problem

wymagający obliczeń, którego nie będzie można rozwiązać. Nie będzie istniało nic, czego przyszłe życie maszynowe nie będzie w stanie obliczyć za pomocą dostępnych zasobów.

— No powiedzmy.

— To teraz wyobraź sobie dokładny, szczegółowy opis każdego atomu w ludzkim ciele: jego typu, miejsca położenia, powiązań z innymi atomami ciała. Gdybyś miał takie informacje, mógłbyś wskrzeszać ludzi, tworząc dokładne kopie, łącznie z poszczególnymi wspomnieniami przechowywanymi w mózgu oraz dokładną sekwencją nukleotydów w DNA. Według Tiplera odpowiednio zaawansowany komputer z odległej przyszłości mógłby bez problemu cię odtworzyć, budując twój obraz, zawierający te same informacje... te same atomy znajdujące się w tych samych miejscach.

— Ale nie istnieje żaden zapis mojej osoby. Nie można by było mnie odtworzyć bez, ja wiem, jakiegoś skanu, czy czegoś takiego.

— To nie ma znaczenia. Mógłbyś zostać odtworzony bez konkretnych informacji na twój temat.

— O czym niby mówisz?

— Według Tiplera istnieje około stu dziesięciu tysięcy aktywnych genów obecnych w ludzkim ciele. Oznacza to, że wszystkich możliwych kombinacji tych genów, a co za tym idzie, wszystkich możliwych, biologicznie odrębnych ludzi, którzy kiedykolwiek mogliby zaistnieć, jest mniej więcej dziesięć do dziesiątej do szóstej potęgi. Więc gdyby można było przeprowadzić symulacje wszystkich tych kombinacji...

— Symulacja dziesięciu do dziesiątej i do szóstej potęgi ludzi?  
— wszedł jej w słowo Lloyd. — Daj spokój!

— Wszystko to opiera się na założeniu, że dysponuje się zasadniczo nieskończoną mocą obliczeniową — wyjaśniła Michiko. — Może i jest tych możliwości całe mnóstwo, ale mimo wszystko jest to liczba skończona.

— No ledwo...

— Istnieje również skończona liczba możliwych stanów pamięci. Przy odpowiedniej pojemności pamięci, nie tylko można by było odtworzyć każdego możliwego człowieka, ale także każdy zestaw wspomnień, jaki ci ludzie mogliby mieć.

— Ale potrzebna byłaby jedna symulacja człowieka na każde ze wspomnień — stwierdził Lloyd. — Jedna wersja, w której jadłem wczoraj pizzę, a przynajmniej pamiętam takie wydarzenie. Inna wersja pamiętałaby hamburgera. I tak dalej, i tak dalej, ad nauseam.

— Właśnie tak. Ale Tipler twierdzi, że można by odtworzyć wszystkich możliwych ludzi oraz wszystkie możliwe wspomnienia, jakie mogliby mieć, w liczbie dziesięć do dziesiątej do dwudziestej trzeciej.

— Dziesięć do dziesiątej do...

— Dziesięć do dziesiątej do dwudziestej trzeciej.

— To szaleństwo — oznajmił Lloyd.

— To skończona liczba. I można by ją uzyskać na wystarczająco zaawansowanym komputerze.

— Ale po co ktoś miałby to robić?

— Cóż, według Tiplera punkt Omega nas kocha i...

— *Kocha nas?*

— Naprawdę powinieneś przeczytać tę książkę; tam wygląda to znacznie rozsądniej niż w mojej wersji.

— No mam nadzieję — powiedział Lloyd z udawaną powagą.

— I pamiętaj, że czas będzie płynął tym wolniej, im wszechświat będzie bliższy swego końca, jeśli w końcu ma dojść do Wielkiej Zapaści...

— Wiesz, większość badań wskazuje na to, że jednak nic takiego nie nastąpi; nie ma wystarczającej ilości masy do zapaści wszechświata, nawet wliczając ciemną materię.

Michiko nie odpuszczała.

— Ale jednak jeśli się zapadnie, czas zostanie wydłużony tak, że będzie to sprawiało wrażenie wieczności. A to oznacza, że wskrzeszeni ludzie na pozór będą żyli wiecznie i będą nieśmiertelni.

— Daj spokój. Pewnego dnia, jeśli będę mieć szczęście, dostanę Nobla. Ale to jedyna nieśmiertelność, na jaką ktokolwiek mógłby liczyć.

— Według Tiplera nie — stwierdziła Michiko.

— I ty to kupujesz?

— No... nie do końca. Ale nawet jeśli odrzuci się jego wszelkie podteksty religijne, nie potrafisz sobie wyobrazić odległej, naprawdę odległej przyszłości, w której... no nie wiem, w której jakiś znudzony licealista stwierdza, że przeprowadzi symulację wszystkich możliwych istot ludzkich i wszystkich możliwych stanów pamięci?

— No może. Powiedzmy.

— A w zasadzie nie musiałby symulować wszystkich możliwych stanów... wystarczyłby jeden, losowo wybrany.

— A, teraz rozumiem. Twierdzisz więc, że to, co widzieliśmy... że nasze wizje nie przedstawiają faktycznej przyszłości odległej o dwadzieścia jeden lat od dziś, ale tę z eksperymentu naukowego przeprowadzonego w bardzo odległej przyszłości. Symulację, jedną z możliwości. Tylko jedną z nieskończonej, przepraszam, niemal nieskończonej liczby możliwych przyszłości.

— No właśnie!

Lloyd pokręcił głową.

— Raczej trudno w to uwierzyć.

— Czyżby? Naprawdę? O wiele trudniej niż w to, że widzieliśmy przyszłość, która jest niezmienna i nawet poznanie jej wcześniej nie wystarczy do tego, by jej zapobiec? No proszę cię, jeśli według wizji za dwadzieścia jeden lat będziesz w Mongolii, do jej obalenia wystarczy nie jechać do Mongolii. Bo chyba nie sądzisz, że ktoś cię do tego zmusi i pojedziesz tam wbrew własnej woli? Nasza wola coś jeszcze znaczy.

Lloyd chciał, by jego głos zabrzmiał miękko. Był przyzwyczajony do dyskusji naukowych z innymi, ale nie z Michiko. W tym przypadku nawet debata intelektualna miała aspekt osobisty.

— Jeśli w wizji jesteś w Mongolii, to prędzej czy później tam trafisz. Możesz w ogóle nie mieć zamiaru się tam wybrać, ale tak się stanie i wówczas wyda ci się to całkiem naturalne. Wiesz tak samo dobrze, jak ja, że ludziom kiepsko idzie realizacja własnych pragnień. Możesz sobie dzisiaj obiecać, że przechodzisz na dietę i mieć zamiar jej przestrzegać również za miesiąc od dziś, ale do tego czasu równie dobrze możesz z niej

zrezygnować i nie będzie to wyglądało, jakbyś nie miała wolnej woli.

Michiko wyglądała na zaniepokojoną.

— Sądysz, że powinnam przejść na dietę? — Ale zaraz się uśmiechnęła. — Żartowałam.

— Ale rozumiesz, co chcę powiedzieć. Nie mamy żadnych dowodów na to, że nawet w bliskiej przyszłości potrafimy uniknąć pewnych rzeczy samą siłą woli; czemu mielibyśmy sądzić, że na przestrzeni dekad wystarczy nam samozaparcie?

— Po prostu musimy — oznajmiła Michiko, znów zupełnie poważnie. — Bo jeśli nie będziemy w to wierzyć, nie będziemy mieć żadnego wyjścia. — Spojrzała mu w oczy. — Nie rozumiesz? Tipler musi mieć rację. A jeśli nie ma, musi być jakieś inne wyjaśnienie. Przyszłość nie może tak wyglądać. — Przerwała na chwilę. — Nasza przyszłość nie może tak wyglądać.

Lloyd westchnął. Kochał ją, ale... cholera, szlag by to trafił. Poczul, że cały czas kręci głową, zaprzeczając.

— Tak jak i ty, wcale nie chcę, żeby tak wyglądała przyszłość — powiedział łagodnie.

— Więc do tego nie dopuść — powiedziała Michiko i chwyciła jego dłoń, splatając swoje palce z jego palcami. — Nie pozwól na to.

# 17.

— Halo? — spytał przyjemny, damski głos.

— A, witam, czy to doktor Tompkins?

— Przy telefonie.

— Dzień dobry. Tutaj... tu Jake Horowitz. Pamięta pani, z CERN-u.

Jake nie wiedział, co spodziewał się usłyszeć. Sympatię? Ulgę, że to on skontaktował się pierwszy? Zaskoczenie? Tymczasem głos Carly nie wyrażał żadnego z tych uczuć.

— Tak? — spytała bezbarwnym tonem. Nic więcej, po prostu „tak”.

Jacob stracił cały zapal. Może powinien się po prostu rozłączyć i zostawić ten telefon w cholerę. Nic by go to nie kosztowało, bo jeśli Lloyd miał rację, i tak w końcu ze sobą będą. Ale jakoś nie potrafił się do tego zmusić.

— Ja... przepraszam, że przeszkadzam — wyjąkał. Rozmowy telefoniczne z kobietami nigdy nie szły mu najlepiej. Prawdę mówiąc, nie dzwonił do żadnej w podobnej sprawie od czasów liceum, kiedy to zebrał się na odwagę, by zadzwonić do Julie Cohan i zaprosić ją na randkę. Przygotowywał się do tego całymi dniami i do tej pory pamiętał, jak trzęsły mu się palce, gdy wystukiwał jej numer na telefonie w piwnicy u rodziców. Z góry dobiegał odgłos kroków jego starszego brata. Drewniana podłoga skrzypiała pod jego ciężarem niczym pokład pod

Ahabem. Jake był przerażony myślą, że David zejdzie na dół w trakcie rozmowy.

Telefon odebrał ojciec Julie i krzyknął do niej, by odebrała u siebie... nie zakrył słuchawki, a jego głos brzmiał bardzo ostro. Jacob nigdy by jej tak nie potraktował. Potem Julie podniosła słuchawkę, jej ojciec odłożył swoją na widełki, a ona odezwała się swym cudownym głosem:

— Halo?

— Cześć, Julie. Mówi Jake... no wiesz, Jake Horowitz. — Cisza, żadnej reakcji. — Z lekcji historii Ameryki.

Jej głos zdradzał konsternację, zupełnie jakby poprosił ją o obliczenie ostatniej cyfry pi.

— Tak?

— Tak się zastanawiałem — rzucił, starając się zabrzmieć nonszalancko, a nie tak, jakby zależało od tego całe jego życie; próbując zabrzmieć, jakby serce nie miało mu zaraz eksplodować. — Tak się zastanawiałem, czy nie zechciałabyś, no wiesz, gdzieś się ze mną wybrać, może w sobotę... znaczy się, jeśli nie masz żadnych planów. — Znów cisza. Przypomniało mu się, że kiedy był mały, linie telefoniczne zawsze nieco trzeszczały. Zatęsknił za tym dźwiękiem. — Może do kina — powiedział, by wypełnić pustkę.

Minęło kilka kolejnych uderzeń serca, aż w końcu się odezwała:

— Skąd ci w ogóle przyszło do głowy, że gdziekolwiek bym z tobą poszła?

Oczy zaszyły mu mgłą, żołądek podszedł mu do gardła, jakby go ktoś kopnął. Nie pamiętał, co odpowiedział, ale jakoś udało



mu się zakończyć rozmowę, jakoś udało mu się powstrzymać od płaczu, jakoś udało mu się usiąść w piwnicy, nasłuchując kroków brata.

To był ostatni raz, kiedy zadzwonił do kobiety z zaproszeniem na randkę. Choć nie był prawiczkim... naturalnie, że nie, naturalnie. Ten problem udało mu się rozwiązać pewnego wieczoru w Nowym Jorku za pięćdziesiąt dolarów. Czuł się potem okropnie, tani i nieczysty, ale pewnego dnia będzie z kobietą, którą sobie wybierze i kimkolwiek by była, był jej winien... jeśli nie biegłość w tych sprawach, to przynajmniej jako takie rozeznanie.

A teraz wszystko wskazywało na to, że faktycznie będzie z kobietą, a konkretnie z Carly Tompkins. Pamiętał, że jest piękna, ma kasztanowe włosy i zielone lub szare oczy. Miło wspomina obserwowanie i słuchanie jej podczas prezentacji na konferencji APS. Ale nie potrafił przywołać szczegółów jej wyglądu. Pamiętał piegi... tak, bez wątplenia je miała, choć nie aż tyle, co on, zaledwie kilka na drobnym nosie i pełnych policzkach. Na pewno dobrze pamięta...

W uszach nadal pobrzmiwało mu jej zakłopotane „tak?”. Musi wiedzieć, czemu dzwoni. Musi...

— Będziemy razem — wyrzucił z siebie bezmyślnie, a gdy tylko usłyszał te słowa pożałował, że nie można ich już cofnąć.  
— Za dwadzieścia lat będziemy razem.

Carly milczała przez chwilę, po czym stwierdziła:

— Na to wygląda.

Jake'owi ulżyło; obawiał się, że zaprzeczy wizji.

— Więc tak sobie pomyślałem — rzucił — że może powinniśmy się poznać. No wie pani, może pójść na kawę. — Serce zaczęło mu głośno walić, a żołądek podszedł do gardła. Znów miał siedemnaście lat.

— Jacobie — powiedziała. Zwróciła się do niego po imieniu... nikt nie rozpoczyna dobrych wieści od imienia. Jacobie, przypominam ci, kim tak naprawdę jesteś. Jacobie, skąd ci w ogóle przyszło do głowy... — Jacobie — kontynuowała — jestem teraz z kimś.

No pewnie, pomyślał. No pewnie, że się z kimś spotyka. Ciemnowłosa piękność z piegami. No pewnie.

— Przykro mi — rzucił. Chciał przez to powiedzieć, że nie chciał się narzucać, ale i ta druga interpretacja pasowała do jego uczuć. Naprawdę mu przykro, że z kimś się spotyka.

— Poza tym — dodała Carly — jestem w Vancouver, a ty w Szwajcarii.

— Ale jeszcze w tym tygodniu będę w Seattle; jestem tu magistrantem, ale zajmuję się modelowaniem komputerowym reakcji wysokoenergetycznych i CERN wysłała mnie do Microsoftu na seminarium. Mógłbym... tak pomyślałem, no wiesz, polecieć do Ameryki dzień czy dwa wcześniej, zahaczając o Vancouver. Mam mnóstwo punktów za częste loty, nie będę musiał płacić.

— Kiedy? — spytała Carly.

— No, najwcześniej mógłbym dotrzeć pojutrze. — Starał się nadać głosowi beztroski ton. — Seminarium zaczyna się w czwartek; może i na świecie trwa kryzys, ale Microsoft się nie poddaje. — Przynajmniej póki co, pomyślał.

— Dobrze — rzuciła Carly.

— Dobrze?

— Dobrze. Przyjedź do TRIUMF-u, jeśli chcesz. Z przyjemnością cię poznam.

— A co z twoim chłopakiem?

— A kto powiedział, że to chłopak?

— Aha. — Chwila ciszy. — Aha.

Wtedy usłyszał śmiech Carly.

— Nie, żartuję. To chłopak... ma na imię Bob. Ale to nic bardzo poważnego, a poza tym...

— Tak?

— Poza tym wydaje mi się, że faktycznie wypadaloby się lepiej poznać.

Jacob z radością stwierdził, że uśmiechu od ucha do ucha nie słyhać przez telefon. Ustalili jeszcze godzinę i zakończyli rozmowę.

Serce mu waliło. Zawsze wiedział, że w końcu pojawi się odpowiednia kobieta i nigdy nie stracił na to nadziei. Nie zamierzał kupować jej kwiatów... i tak nie przeszłyby odprawy celnej. Nie, zawiezie jej coś dekadentckiego z Choccolats Micheli; w końcu Szwajcaria to kraj czekolady.

Choć przy jego szczęściu na pewno się okaże, że Carly to cukrzyczka.

Młodszy brat Theo, Dimitros, mieszkał z trzema innymi chłopakami pod Atenami, ale gdy Theo dotarł do niego późnym wieczorem, był w domu sam.

Dim studiował literaturę europejską na Narodowym Kapodistriańskim Uniwersytecie w Atenach; Dim od dziecka

chciał być pisarzem. Opanował alfabet jeszcze nim poszedł do szkoły i nieustannie pisał jakieś opowiesci na rodzinnym komputerze. Lata temu Theo obiecał przenieść wszystkie teksty Dima z dyskietek na płyty; w komputerach domowych nie montuje się już stacji dyskietek, ale w centrum komputerowym CERN-u mieli systemy zastane, które nadal z nich korzystały. Przyszło mu do głowy ponowienie propozycji, ale nie wiedział, czy lepiej, by Dim sądził, że po prostu zapomniał, czy uświadomił sobie, że jego starszy brat przez całe lata nie znalazł trzech minut na to, by poprosić kogoś z działu informatycznego o tak prostą przysługę.

Dim otworzył drzwi w niebieskich dżinsach — zupełnie w stylu retro — i żółtej koszulce z logo „Anageim”, popularnego amerykańskiego serialu; nawet student literatury europejskiej poddał się amerykańskiej popkulturze.

— Cześć, Dim — rzucił Theo. Nigdy nie przytulał swojego młodszego brata, ale w tej chwili poczuł taką potrzebę, choć domyślał się, że stała za tym wyłącznie świadomość własnej śmiertelności. Ale Dim zapewne nie wiedziałby, jak zareagować na taki uścisk; ich ojciec, Constantin, nie był czułym mężczyzną. I nawet gdy ouzo lało się strumieniami, potrafił uszczypnąć kelnerkę w tyłek, ale nigdy nie pogłaskał synów po głowach.

— Hej, Theo — powiedział Dimitrios, jak gdyby widzieli się wczoraj. Odsunął się od drzwi, wpuszczając brata do środka.

Wnętrze wyglądało dokładnie tak, jak można się było spodziewać po domu czterech facetów po dwudziestce. Przypominało chlew: ubrania porozwieszane były na meblach, pudełka po jedzeniu na wynos piętrzyły się na stole w jadalni i

wszędzie były miliony gadżetów, w tym supernowoczesna wieża i konsola VR.

Dobrze było znów porozmawiać z kimś po grecku; miał już dość francuskiego i angielskiego, przy czym pierwszego za wielomówność, a drugiego za ostre, nieprzyjemne głoski.

— Co słytać? — spytał Theo. — Jak tam szkoła?

— Uniwersytet, chciałeś powiedzieć — sprostował Dim.

Theo skinął głową. Zawsze w odniesieniu do własnych studiów używał słowa uniwersytet, ale w przypadku brata, zajmującego się naukami humanistycznymi, zawsze była to tylko szkoła. Być może zniewaga jednak była zamierzona; dzieliło ich osiem lat, to sporo, ale i tak za mało, by wyeliminować braterską rywalizację.

— Przepraszam. Jak tam na uniwersytecie?

— W porządku. — Dim spojrzał Theo w oczy. — Jeden wykładowca zginął w trakcie Futurospekcji, a jeden z moich najlepszych przyjaciół musiał odejść, by zająć się rodziną, gdyż jego rodzice zostali ranni.

Theo nie miał jak tego skomentować.

— Przykro mi — rzucił. — Nie można było tego przewidzieć.

Dim skinął i odwrócił wzrok.

— Widziałeś się już z rodzicami?

— Jeszcze nie. Później ich odwiedzę.

— Wiesz, nie było im łatwo. Wszyscy sąsiedzi wiedzą, że pracujesz w CERN-ie... „mój syn naukowiec”, tak zawsze mówił tata. „Mój chłopak to nowy Einstein”. — Dimitrios przerwał. — Już tak nie mówi. Sporo się nasłuchali od tych, którzy kogoś stracili.

— Przykro mi — powtórzył Theo. Rozejrzał się po zabałaganionym pokoju w poszukiwaniu innego tematu rozmowy.

— Napijesz się czegoś? — spytał Dimitrios. — Piwa? Wody mineralnej?

— Nie, dzięki.

Przez kilka chwil Dimitrios milczał. Przeszedł do salonu, a Theo poszedł za nim. Dim usiadł na kanapie, zrzucając jakieś papiery i ubrania na podłogę, żeby zrobić miejsce. Theo znalazł w miarę wolne krzesło i sam też usiadł.

— Zrujnowałeś mi życie — stwierdził Dimitrios, patrząc bratu w oczy, a zaraz potem odwracając wzrok. — Chcę, żebyś o tym wiedział.

Serce Theo podskoczyło.

— W jaki sposób?

— Te... wizje. Theo, cholera, wiesz, jak ciężko jest codziennie siadać przy klawiaturze? Nie wiesz, jak łatwo się zniechęcić?

— Przecież jesteś genialnym pisarzem, Dim. Czytałem twoje utwory. Pięknie operujesz językiem. Na przykład ten tekst o lecie spędzonym na Krecie... Idealnie opisałeś Knossos.

— To nie ma znaczenia; nic już nie ma znaczenia. Nie rozumiesz? Za dwadzieścia jeden lat nie będę sławny. Nie uda mi się. Za dwadzieścia jeden lat będę pracował w restauracji, podając souvlaki i tzatziki turystom.

— Może to tylko sen... może w 2030 roku akurat spałeś.

Dim pokręcił głową.

— Odnalazłem tę restaurację, jest przy Wieży Wiatrów. Spotkałem się z kierownikiem; za dwadzieścia jeden lat też

będzie prowadzić tę restaurację. Rozpoznał mnie dzięki swojej wizji, a ja rozpoznałem jego.

Theo próbował być delikatny.

— Wielu pisarzy nie zarabia pisaniem na życie. Sam wiesz.

— Ale ilu by tak żyło, rok po roku, nie mając nadziei, że któregoś dnia... może nie dziś, może nie w przyszłym roku, ale kiedyś w końcu się wybiją? Że kiedyś im się uda?

— Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— To marzenia dają artystom siłę. Ilu początkujących artystów teraz, w tej chwili, rezygnuje, gdyż z wizji dowiedzieli się, że nigdy im się nie uda? Ilu malarzy z ulic Paryża wyrzuciło swe palety w tym tygodniu, bo dowiedzieli się, że nawet za dwie dekady nie zostaną docenieni? Ile kapel ćwiczących w garażach rodziców się rozpadło? Odebrałeś marzenia milionom z nas. Niektórzy mieli szczęście i w przyszłości akurat spali. A że wówczas śnili, ich obecne sny nie zostały rozwiane.

— Nie pomyślałem o tym.

— No pewnie, że nie. Masz już taką obsesję na punkcie swojego mordercy, że nie myślisz jasno. Ale mam dla ciebie wieści, Theo. Nie tylko ty nie będziesz żył w 2030 roku. Ja też będę martwy... jako kelner w jakiejś dziurze dla turystów z kosmicznymi cenami! Będę martwy, jak i miliony innych. I to ty ich zabiłeś. Zabiłeś ich nadzieje, marzenia i przyszłość.

# 18.

Dzień ósmy: wtorek, 28 kwietnia 2009 r.

Jake mógł się spotkać z Carly Tompkins w TRIUMF-ie, ale ostatecznie z niego zrezygnowali na rzecz księgarni Chapters w Burnaby pod Vancouver. Połowa sklepu nadal była wypełniona książkami na sprzedaż, pośród których przeważały gwarantowane bestsellery Stephen Kinga, Johna Grishama i Coyote'a Rolfa. W drugiej części znajdowały się pojedyncze egzemplarze przykładowe utworów drukowanych na żądanie. Wydruk jednego egzemplarza dowolnej książki, czy to w miękkiej, czy twardej oprawie, trwał zaledwie kwadrans. Dostępne były również wersje z dużą czcionką, a gdy odczekało się kilka minut dłużej, także przekłady komputerowe na jeden z dwudziestu czterech języków. A co najważniejsze, żadnego z tytułów nigdy nie brakowało w magazynie.

W jakimś genialnym przebłysku jasnowidzenia księgarnie już od dwudziestu lat budowano z kawiarniami, które były doskonałym miejscem oczekiwania na druk zamówionych książek. Jake dotarł na miejsce wcześniej, wszedł do kawiarni Starbucks, zamówił bezkofeinową Sumatrę i usiadł przy stoliku.

Carly zjawiała się dziesięć minut spóźniona. Miała na sobie trencz London Fog z elegancko przewiązanym paskiem, niebieskie spodnie i buty na płaskim obcasie. Jake wstał, by się



z nią przywitać. Gdy podeszła bliżej z zaskoczeniem stwierdził, że nie jest tak ładna, jak zapamiętał.

Ale to bez wątpienia była ona. Przyglądali się sobie przez chwilę i Jake zastanawiał się, jak zapewne i ona, jak przywitać się z osobą, z którą wiadomo, że pewnego dnia pójdzie się do łóżka. Znali się już; Jake spotykał ludzi, których znał gorzej, a i tak na powitanie całowali się w policzki... szczególnie we Francji. Ale Carly rozwiązała ten problem, wyciągając do niego prawą dłoń. Uśmiechnął się i uścisnął jej rękę; miała pewny chwyt, a jej skóra była chłodna w dotyku.

Pojawił się pracownik księgarni z pytaniem, czy Carly zamawia coś do picia; Jake pamiętał czasy, gdy w kawiarniach Starbucks trzeba było zamawiać wszystko przy ladzie, ale teraz przecież ktoś musiał dostarczać wydrukowane książki. Carly zamówiła dużą kawę Ethiopia Sidamo.

Następnie otworzyła torebkę i zaczęła szukać portfela. Jake pozwolił sobie zerknąć do torebki. Naturalnie w całej kawiarni obowiązywał zakaz palenia, jak we wszystkich restauracjach w Ameryce Północnej; zresztą nawet w Paryżu pojawiały się już takie przepisy. Ale i tak z ulgą stwierdził, że nie ma w torebce paczki papierosów; nie wiedział, jak by zareagował, gdyby się okazało, że pali.

— No cóż — rzuciła.

Jake zmusił się do uśmiechu. Sytuacja była naprawdę dziwna. Wiedział, jak Carly wygląda nago. Naturalnie za dwadzieścia lat. Teraz była mniej więcej w jego wieku, mogła mieć dwadzieścia dwa lub trzy lata. Za dwie dekady będzie po

czterdzieście i choć nie wyglądała wówczas jakoś szczególnie źle, czy staro, to jednak...

Za dwadzieścia lat wyglądała uroczo; a teraz niewątpliwie wyglądała jeszcze lepiej. Niewątpliwie...

Tak, pozostawało mnóstwo domysłów, wyobrażeń i pewne napięcie.

Naturalnie ona też widziała go nago za dwadzieścia lat. Wiedział, jak wygląda Carly... kasztanowy to naturalny kolor jej włosów, no chyba że farbowała je wszędzie; miała sutki w kolorze wina, a jej klatkę piersiową zdobiły te same czarujące piegi, co twarz. Ale co z nim? Jak będzie wyglądać za dwadzieścia lat? Nawet teraz nie miał postury sportowca. Co jeśli przybierze na wadze? Albo włosy na klatce piersiowej mu zsiwieją?

Być może jej obecna niechęć była wynikiem tego, co zobaczyła. Nie mógł obiecać, że zacznie ćwiczyć, nie mógł obiecać, że zachowa formę, niczego nie mógł jej obiecać, bo ona dokładnie wiedziała, jak będzie wyglądać w 2030 roku, choć sam tego nie wiedział.

— Miło cię znów widzieć — powiedział Jake, starając się zachować spokój oraz nadać swemu głosowi ciepłą barwę.

— Mnie również — rzuciła Carly A potem się uśmiechnęła.

— O co chodzi?

— O nic.

— Daj spokój. Powiedz.

Znów się uśmiechnęła, po czym spuściła wzrok.

— Właśnie wyobrażałam sobie ciebie nago — oznajmiła.

Poczuł, jak usta same rozciągają mu się w uśmiechu.

— To tak jak ja.

— Dziwna sytuacja — powiedziała. — Wiesz, nigdy nie chodzę do łóżka z facetem na pierwszej randce. To znaczy...

Jake uniósł dłonie.

— Ja też nie — stwierdził.

Skwitowała to uśmiechem. Może jednak była tak piękna, jak ją zapamiętał.

Projekt Mozaikowy nie służył jedynie odkrywaniu przyszłości poszczególnych osób. Dzięki niemu ujawniono również wiele informacji o przyszłości rządów, firm i organizacji... w tym samego CERN-u.

Wyglądało na to, że w 2022 roku zespół CERN-u, w skład którego wchodził Theo i Lloyd, stworzył całkiem nowe narzędzie fizyczne — zderzacz tachionowo-tardionowy. Tachiony to cząsteczki poruszające się z prędkością większą niż prędkość światła; im więcej energii przenoszą, tym bardziej zbliżają się do prędkości światła, a wraz ze spadkiem energii prędkość rośnie do niemal nieskończonych wartości.

Z drugiej strony tardiony to cząsteczki zwykłej materii, przemieszczające się z prędkością niższą od prędkości światła. Im więcej energii przyjmują, tym bardziej ich prędkość wzrasta. Ale, jak stwierdził Einstein, im szybciej się coś porusza, tym większa jest tego masa. W przyspieszaczach cząstek, takich jak Wielki Zderzacz Hadronów w CERN-ie, nadawano energię o wielkiej wartości tardionom, przyspieszając je do dużej prędkości i uderzając, by energia ta została uwolniona. Tego typu urządzenia miały ogromne rozmiary.

Ale wystarczy wziąć nieruchomy tardion, na przykład proton, utrzymywany w jednym miejscu za pomocą pola magnetycznego i zderzyć z nim tachion. Do nadania tachionowi prędkości nie są konieczne ogromne pierścienie akceleratora, on sam z siebie porusza się z prędkościami nadświatelnymi. Wystarczy postawić na jego drodze tardion.

I tak właśnie powstał nowy rodzaj zderzacza.

Nie potrzebował tunelu o obwodzie dwudziestu siedmiu kilometrów, jak LHC.

Nie kosztował miliardów dolarów.

Nie potrzebował tysięcy ludzi do konserwacji i obsługi.

TTC miał wielkość sporej kuchenki mikrofalowej. Pierwsze modele, czyli te dostępne w roku 2030, kosztowały około czterdziestu milionów dolarów amerykańskich i było ich na świecie tylko dziewięć. Ale według przewidywań w końcu miały stanąć na tyle, by każdy uniwersytet mógł sobie na nie pozwolić.

Dla CERN-u miało to druzgocące skutki; ponad dwa tysiące osiemset osób straciło pracę. Bardzo odczuły to również miasta takie jak St. Genis i Thoiry, gdzie nagle opustoszało ponad tysiąc domów i mieszkań. Co prawda LHC nadal utrzymywano w gotowości, ale rzadko z niego korzystano, gdyż znacznie łatwiej było przeprowadzać i powtarzać eksperymenty w TTC.

— Wiesz, że to szaleństwo — stwierdziła Carly Tompkins, upijając łyk swej etiopskiej kawy.

Jake Horowitz spojrział na nią z uniesionymi w zdumieniu brwiami.

— To, co widzieliśmy — powiedziała Carly, spuszcżając wzrok — było wynikiem nagłej namiętności. Tak nie zachowują się ludzie, którzy są ze sobą od dwudziestu lat.

Jake wzruszył ramionami.

— Nie chciałbym się kiedykolwiek wypalić, czy zestarzeć. Ludziom może się dobrze razem żyć przez całe dekady.

— Ale nie tak. Nie zdzierają z siebie ubrań w miejscu pracy.

Jake zmarszczył brwi.

— Skąd wiesz?

Carly milczała przez chwilę.

— Chcesz pojechać do mnie? No wiesz, na kawę...

Jako że siedzieli w kawiarni, oferta zabrzmiała absurdalnie. Serce Jake'a zaczęło bić mocniej.

— Pewnie — rzucił. — Z przyjemnością.

# 19.

Kolejny wieczór w mieszkaniu Lloyda, kiedy to siedzieli z Michiko w milczeniu na kanapie.

Lloyd przygryzł wargi w zamyśleniu. Dlaczego nie może po prostu związać się z tą kobietą? Przecież naprawdę ją kocha. Czemu nie potrafi po prostu zignorować tego, co widział? Miliony ludzi tak robiło, gdyż dla większości z nich pomysł z góry ustalonej przyszłości był niedorzeczny. Widzieli to setki razy w kinie i w telewizji — Jimmy Stewart uświadamiający sobie, że życie jest wspaniałe, po tym, jak zobaczył przyszłość bez siebie; Superman doprowadzony do rozpaczycy śmiercią Lois Lane, okrążający Ziemię tak szybko, iż zaczęła obracać się wstecz, dzięki czemu cofnął się w czasie i ocalił ukochaną; Cezar, syn badaczy szympanów Ziry i Corneliusa, sprowadzający świat na ścieżkę międzygatunkowego braterstwa w nadziei na uniknięcie zagłady w nuklearnym holokauście.

Nawet naukowcy wypowiadali się w kategoriach przypadkowości ewolucji. Stephen Jay Gould, zapożyczając metaforę z filmu z Jimmym Stewartem, oznajmił światu, że jeśli można by było cofnąć czas, z pewnością wszystko potoczyłoby się inaczej i w efekcie końcowym powstałyby stworzenia inne niż ludzie.

Ale Gould nie był fizykiem; proponowany przez niego eksperyment myślowy był niemożliwy do przeprowadzenia.

Najlepszym wyjściem byłoby coś takiego, co wydarzyło się w trakcie Futurospekcji — przeniesienie znacznika dla „teraz” w inne miejsce. Czas był niezmienny; utrwalony po wieczność, a każda z chwil była już znana. Przyszłość nie była tworzona na bieżąco; to zamknięta sprawa i bez względu na to, ile razy Stephen Jay Gould obejrzy „To wspaniałe życie”, Clarence zawsze doczeka się skrzydeł...

Lloyd przeczesał włosy Michiko, zastanawiając się, jak podpisany jest ten konkretny fragment bloku czasoprzestrzeni.

Jake leżał na plecach z jedną ręką pod głową. Carly przytulała się do niego, bawiąc się włosami na jego klatce piersiowej. Oboje byli nadzy.

— Wiesz — odezwała się — mamy szansę na coś naprawdę cudownego.

Jake uniósł brwi.

— Tak?

— Ile par może to o sobie powiedzieć w dzisiejszych czasach? Ile ma gwarancję, że za dwadzieścia lat nadal będzie razem? I nie tylko razem, ale że nadal będzie ich łączyć pełna namiętności... — przerwała. Omawianie przyszłości to jedno, ale przedwcześnie użycie słowa na „m” to najwyraźniej coś zupełnie innego.

Przez jakiś czas milczeli.

— Nie masz nikogo innego, prawda? — spytała w końcu Carly cicho. — W Genewie.

Jake pokręcił głową, a jego rude włosy zaszeleściły na poduszce.

— Nie. — Przełknął ślinę, próbując zebrać w sobie odwagę.

— Ale ty masz kogoś innego, prawda? Masz chłopaka, Boba. Carly powoli wypuściła powietrze.

— Przepraszam — rzuciła. — Wiem, że kłamstwo to fatalny początek znajomości. Ale... zrozum, niczego o tobie nie wiedziałam. A fizycy to prawdziwe psy na baby, serio. Mam nawet starą obrączkę, którą czasem zakładałam na konferencje. Nie ma żadnego Boba. Powiedziałam tak tylko, żeby mieć wygodną wymówkę, no wiesz, gdyby nie poszło tak dobrze.

Jake nie wiedział, czy powinien się czuć urażony, czy nie. Kiedyś, pewnego lipcowego wieczora, gdy miał szesnaście, czy siedemnaście lat, rozmawiał z dziewczyną swojego kuzyna Howiego przed jego domem. Dokoła kręciło się sporo osób, gdyż w ogrodzie urządzali grilla. Było ciemno, pogoda była ładna, a ona odezwała się do niego, gdy spostrzegła, że przygląda się gwiazdom. Nie знаła ich nazw, więc była zdumiona, gdy wskazał jej Gwiazdę Polarną oraz trzy wierzchołki trójkąta letniego, czyli gwiazdy: Wega, Deneb i Altair. Chciał jej pokazać Kasjopeję, ale trudno było ją dostrzec przez drzewa rosnące za domem. Niemniej jednak chciał, żeby zobaczyła ten gwiazdozbiór... wielkie „W” na niebie, jedna z najłatwiejszych do odnalezienia konstelacji, gdy się już wiedziało, gdzie szukać. zaproponował więc, by przeszła z nim na drugą stronę ulicy, skąd mieliby lepszy widok. Była to ładna, podmiejska uliczka, która o tej porze była zupełnie pusta, a jedyną oznaką życia były rozświetlone domy przy schludnie przystrzyżonych trawnikach.

Spojrzała na niego i rzuciła:

— Nie.



Nie rozumiał, dlaczego... przynajmniej przez pierwsze pół sekundy. Pomyślała, że mógłby ją wepchnąć w krzaki i próbować zgwałcić. Zawładnęły nim emocje, sama sugestia była obraźliwa... w końcu był kuzynem Howiego! Ale urazie towarzyszył też smutek i współczucie wobec kobiet, które nieustannie muszą mieć się na baczności i żyją w ciągłym strachu, non stop szukając dróg ucieczki.

Jake wzruszył ramionami i odszedł, tak oszołomiony, że nawet nie wiedział, co powiedzieć. Wkrótce niebo zasnuły chmury, zasłaniając gwiazdy.

— Aha — zwrócił się do Carly. Nie przychodził mu do głowy inny komentarz do kłamstwa o Bobie.

Carly się wzdrygnęła.

— Przepraszam. Kobiety muszą uważać.

Nie myślał o tym, by się ustatkować, ale... po takim prezencie! Oto piękna, inteligentna kobieta, zajmująca się tym samym, co on i jeszcze gwarancja, że za dwie dekady nadal będą w szczęśliwym związku.

— O której musisz być jutro w pracy? — spytał Jake.

— Myślę, że mogę zadzwonić i powiedzieć, że jestem chora — stwierdziła Carly.

Jake odwrócił się w jej stronę.

Dimitrios Procopides siedział na zarzuconej śmieciami kanapie i wpatrywał się w ścianę. Myślał o tym od dwóch dni, od kiedy odwiedził go Theo. Fakt, że tysiące, a może nawet miliony osób myślały o tym samym niczego nie ułatwiał.

To takie proste. Kupił tabletki nasenne bez recepty i bez problemu znalazł w Internecie informację, jaka dawka tego

konkretnego specyfiku jest śmiertelna. Dla osoby ważącej siedemdziesiąt pięć kilogramów, jak Dimitrios, powinno wystarczyć siedemnaście tabletek, dwadzieścia dwie już dają pewność, a z kolei trzydzieści doprowadziłoby do wymiotów, co mijają się z celem.

Tak, mógłby to zrobić. I to bezboleśnie... po prostu zasnąłby snem wiecznym.

Istniał jednak paragraf 22 — to właśnie jedna z niewielu amerykańskich powieści, które przeczytał naprowadziła go na ten pomysł. Popełniając samobójstwo — nie bał się użyć tego słowa — udowodniłby, że przyszłość nie jest z góry ustalona; w końcu nie tylko w swojej wizji, ale i w wizji właściciela restauracji żył za dwadzieścia lat. Zatem jeśli zabiłby się teraz... jeśliby połknął tabletki... ponad wszelką wątpliwość udowodniłby, że przyszłość nie jest niezmienna. Niemniej jednak byłoby to niczym zwycięstwo Pyrrusa nad Rzymianami pod Heraklą i Ausculum, zwycięstwo nadal nazywane od jego imienia, zwycięstwo za ogromną cenę. Gdyby bowiem popełnił samobójstwo, wówczas przyszłość, która tak go przygnębiała nie byłaby nieunikniona... ale naturalnie nie mógłby już dążyć do spełnienia marzeń.

Być może istniały mniej drastyczne sposoby na sprawdzenie niezmienności przyszłości. Mógłby wyłupić sobie oko, odciąć rękę, zrobić tatuaż na twarzy... coś, co zmieniłoby jego wygląd w porównaniu z tym, jak wyglądał w wizjach.

Ale nie. To by nic nie dało.

Nic by to nie dało, gdyż żadna z tych rzeczy nie jest tak naprawdę trwała. Tatuaż można usunąć; rękę można zastąpić

protezą; a w pusty oczodół można wstawić szklane oko.

Nie, nie mógł mieć szklanego oka, gdyż w wizji, w tej okropnej restauracji widział wszystko normalnie. Tak więc wyłupienie oka byłoby przekonującym testem na niezmiennność przyszłości.

Problem w tym, że...

Problem w tym, że protetyka i genetyka nieustannie idą do przodu. Kto może zagwarantować, że za dwie dekady nie będzie można sklonować mu nowego oka lub ręki? I kto powiedział, że odrzuciłby szansę na naprawienie szkód pochoopnie wyrządzonych sobie samemu w młodości?

Jego brat Theo bardzo chciał wierzyć w to, że przyszłość nie jest niezmienna. Ale jego partner, ten wysoki Kanadyjczyk, jak on się nazywał? Simcoe, właśnie. Simcoe twierdził coś zupełnie przeciwnego... Dim widział go w telewizji, jak przekonywał wszystkich, że przyszłość jest niczym wyryta w kamieniu.

A jeśli faktycznie tak było, wówczas Dim nigdy nie zrobi kariery jako pisarz, a zatem naprawdę nie ma już po co żyć. Słowa były jego jedyną miłością i pasją, a jeśli miał być szczery, również jego jedynym talentem. Był beznadziejny z matmy (jakże ciężko było chodzić do tej samej szkoły co Theo, gdzie nauczyciele spodziewali się od niego podobnych uzdolnień!), nie uprawiał żadnego sportu, nie potrafił śpiewać ani rysować i nie radził sobie z komputerami.

Naturalnie, gdyby faktycznie był nieszczęśliwy w przyszłości, równie dobrze mógłby się zabić wtedy.

Ale najwyraźniej tego nie zrobił.

No pewnie, że nie. Dni za łatwo mijają, nie zawsze się zauważa, że życie stoi w miejscu, nie rozwija się, nie staje się spełnieniem marzeń.

Nie, za łatwo byłoby skończyć właśnie tak — prowadząc puste życie, jakie widział w wizji, wystarczyło pozwolić mu się podchodzić, jednego szarego dnia za drugim.

Ale otrzymał dar, dzięki któremu zrozumiał. Ten cały Simcoe mówił o życiu, jakby było już gotowym filmem, w którym kinooperator założył złą taśmę w projektorze i dopiero po dwóch minutach zauważył swój błąd. Wystąpił przeskok, nagle przejście od dzisiaj do odległego jutra, a potem powrót. To zmieniało perspektywę w stosunku do życia, które toczyło się w idealnym porządku. Teraz wyraźnie widział, że życie, jakie go czeka nie jest tym, czego by sobie życzył... że w bardzo dosłownym sensie podając musakę i podpalając saganaki już nie żył.

Dim ponownie spojrział na buteleczkę tabletek. Tak, niezliczenie wiele innych osób na całym świecie z pewnością również zastanawiało się nad własną przyszłością oraz tym, czy warto żyć dalej wiedząc, co przyniesie.

Jeśli choć jedno z nich by to zrobiło, naprawdę odebrało sobie życie, z pewnością dowiodłoby tego, że przyszłość można zmienić. Zapewne innym również przyszło to do głowy. Zapewne wielu z nich czekało, aż zrobi to ktoś inny... czekało na informacje, które z pewnością pojawiłyby się we wszystkich serwisach: „Mężczyzna widziany przez innych w 2030 roku nie żyje”. „Samobójstwo dowodem na niepewność przyszłości”.

Dim podniósł plastikową buteleczkę w kolorze bursztynu i zaczął obracać ją w palcach, wsłuchując się w grzechot tabletek w środku.

To takie proste zdjąć wieczko, przycisnąć buteleczkę do dłoni — właśnie to zrobił — obrócić ją, obchodząc zabezpieczenie i pozwolić, by tabletki się wysypały.

Jakiego są koloru? Zastanawiało go to. To szaleństwo. Rozważał odebranie sobie życia, a nie miał pojęcia, jakiego koloru jest potencjalne narzędzie zbrodni. Zdjął wieczko. W środku było trochę waty, ale za mało, by unieruchomić tabletki. Wyciągnął watę.

A zatem będę...

Tabletki były zielone. Kto by pomyślał? Zielone tabletki, zielona śmierć.

Popukał w dno buteleczki, aż jedna z tabletek wypadła mu na dłoń. Przez jej środek biegł rowek, dzięki któremu łatwo było rozdzielić ją na dwie mniejsze dawki.

Ale on nie potrzebował małej dawki.

Pod ręką miał butelkę z wodą; inaczej niż zazwyczaj kupił niegazowaną, na wypadek gdyby dwutlenek węgla reagował z tabletkami. Wrzucił tabletkę do ust. Częściowo spodziewał się cytrynowego lub miętowego smaku, ale nic nie poczuł. Tabletka była czymś powleczone, jak droższa aspiryna. Podniósł butelkę i wziął łyk wody. Powleczenie zdało egzamin, tabletkę była niezwykle łatwa do przełknięcia.

Ponownie popukał w buteleczkę i wyjął kolejne trzy zielone tabletki, wrzucił je wszystkie do ust i popił dużym łykiem wody mineralnej.

W sumie cztery; według informacji na opakowaniu maksymalna dawka dla osoby dorosłej to dwie tabletki i dodatkowo ostrzegano, by nie stosować ich codziennie.

Trzy bez problemu połykało się na raz. Wysypał więc kolejną trójkę na dłoń, wrzucił je do ust i popił.

Siedem. Szczęśliwa liczba. Tak mówią.

Czy naprawdę chciał to zrobić? Miał jeszcze czas, by się wycofać. Mógł zadzwonić na pogotowie, mógł zmusić się do wymiotów.

Albo...

Albo się jeszcze zastanović. Dać sobie kilka dodatkowych minut na refleksję.

Zapewne siedem tabletek nie mogło mu zaszkodzić. Na pewno nie. Tego rodzaju niewielkie przedawkowania musiały się zdarzać na okrągło. Zresztą w Internecie było napisane, że potrzebne jest co najmniej kolejne dziesięć...

Wysypał kilka tabletek na dłoń i spojrzał na nie: kopczyk małych, zielonych kamyczków.

# 20.

Dzień dziewiąty: środa, 29 kwietnia 2009 r.

— Chcę ci coś pokazać — oznajmiła Carly.

Jake się uśmiechnął i gestem poprosił, by kontynuowała. Byli już w TRIUMF-ie, Tri-University Meson Facility, wiodącym laboratorium fizyki cząstek w Kanadzie.

Ruszyła korytarzem, a Jake podążył za nią. Przeszli przez drzwi obklejone naukowymi komiksami. Minęli kilka osób z cylindrycznymi dozymetrami, które w niczym nie przypominały dawkomierzy osobistych noszonych w CERN-ie.

W końcu Carly zatrzymała się przed jakimiś drzwiami. Na ścianie obok z jednej strony wisiał zwinięty wąż przeciwpożarowy za szkłem, a z drugiej zamontowana była fontanna z wodą pitną. Carly zastukała do drzwi. Nikt nie otworzył, więc przekręciła gałkę i je otworzyła, po czym weszła do środka i gestem nakazała Jake'owi iść za nią. Tak też zrobił, a gdy był już w środku, Carly zamknęła za nim drzwi.

— No i? — spytała.

Jake bezradnie wzruszył ramionami.

— Nie poznajesz? — spytała Carly.

Jake rozejrzał się dookoła. Był w sporym laboratorium pomalowanym na beżowo i...

O Boże!

Owszem, ściany były teraz beżowe, ale na przestrzeni następnych dwudziestu lat zostaną przemalowane na żółto.

Znajdował się w pomieszczeniu z wizji. Nawet tablica pierwiastków była taka sama. I stół... właśnie na nim to robili.

Jake zrobił się czerwony na twarzy.

— Nieźle, nie? — rzuciła Carly.

— Fakt — odpowiedział Jake.

Naturalnie nie mogli skorzystać ze stołu w tej chwili, był środek dnia...

Ale w wizji... jeśli prawidłowo ustalono czas, była siódma dwadzieścia jeden wieczorem czasu genewskiego, czyli... druga dwadzieścia jeden nad ranem w Nowym Jorku, a to oznacza jedenastą dwadzieścia jeden w Vancouver. Jedenasta dwadzieścia jeden rano i to w środę. TRIUMF wtedy również musiał być pełen ludzi. Jakim cudem kochali się tu w środku tygodnia? Z pewnością obyczaje seksualne na przestrzeni dwudziestu lat jeszcze się rozluźnią, jak to miało miejsce w przeciągu minionych pięćdziesięciu, ale z pewnością nawet w odległym roku 2030 nie będą dopuszczalne przerwy w pracy na szybki numer. Może dwudziesty trzeci października to święto, może wszyscy inni mieli wolne. Jake'owi coś się kojarzyło, że kanadyjskie Święto Dziękczynienia wypadało w październiku.

Obszedł całe pomieszczenie, porównując jego obecny wygląd do tego z wizji. Pod sufitem zamontowane były spryskiwacze, jakie często spotyka się w laboratoriach chemicznych.

Prócz tego stały tam szafki ze sprzętem i niewielkie biurko z komputerem. W wizji również stał tam komputer, choć



oczywiście był to zupełnie inny model. A obok...

Obok w wizji stało jakieś urządzenie w kształcie sześcianu o boku około pół metra, z którego u góry wystawały dwa płaskie ekrany zwrócone do siebie.

— To coś, co tu stało — powiedział Jake. — To znaczy, co będzie tu stało. Wiesz, co to mogło być?

— Może zderzacz tachionowo-tardionowy?

Jake uniósł brwi.

— To mógł być...

Drzwi laboratorium się otworzyły i do środka wszedł postawny rdzenny Kanadyjczyk.

— O, przepraszam — rzucił. — Nie chciałem przeszkadzać.

— Ależ nie ma za co — stwierdziła Carly, a następnie uśmiechnęła się do Jake'a. — Wrócimy później.

— Chcesz dowodu? — spytała Michiko. — Chcesz mieć pewność, że powinniśmy się pobrać? Można to sprawdzić tylko w jeden sposób.

Lloyd siedział w swoim biurze w CERN-ie i przeglądał wydruki ze wszystkich przypadków użycia LHC z energią na poziomie 14 TeV w minionym roku, szukając jakichkolwiek oznak niestabilności przed pierwszym wykorzystaniem energii 1150 TeV... czyli przed przeniesieniem czasowym. Michiko właśnie weszła i to były jej pierwsze słowa.

Lloyd przeniósł na nią wzrok.

— Sposób na zdobycie dowodu? Niby jaki?

— Trzeba powtórzyć eksperyment. I zobaczymy, czy rezultat będzie taki sam.

— Nie możemy tego zrobić — odparł oszołomiony Lloyd. Pomyślał o wszystkich, którzy zginęli podczas pierwszej próby. Lloyd nigdy nie był zwolennikiem filozofii, według której pewnych rzeczy ludzkość nie powinna wiedzieć, ale jeśli kiedykolwiek istniało coś, czego nie należało powtarzać, bez wątplenia był to właśnie ten eksperyment.

— Naturalnie trzeba by to ogłosić z wyprzedzeniem — stwierdziła Michiko. — I wszystkich ostrzec, żeby nikt akurat nie leciał, nie jechał samochodem, nie pływał, ani nie stał na drabinie. Należałoby dopilnować, by wszyscy ludzie o danej godzinie siedzieli lub leżeli.

— To absolutnie niemożliwe.

— Pewnie, że możliwe — rzuciła. — CNN. HNK. BBC. CBC.

— Jeśli o to chodzi, to są miejsca, gdzie nadal nie ma telewizji, ani nawet radia. Nie da się ostrzec wszystkich.

— Nie powiedziałam, że będzie to proste — stwierdziła Michiko. — Ale to możliwe, pewnie w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach.

Lloyd zmarszczył brwi.

— W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, co? Na świecie żyje siedem miliardów ludzi. Jeśli ominiemy jeden procent, oznacza to, że siedemset milionów nie zostanie ostrzeżone.

— Myślę, że mogłoby nam pójść lepiej. A nawet jestem tego pewna. Moglibyśmy zmniejszyć tę liczbę do kilkuset tysięcy... i spójrzmy prawdzie w oczy, te kilkaset tysięcy i tak żyje w miejscach nietkniętych techniką. Raczej nie znajdą się w samochodzie, czy samolocie.

— Mogą ich pożreć zwierzęta.

Michiko nagle straciła impet.

— Czyżby? Ciekawy pomysł. Czyli zwierzęta nie straciły przytomności w trakcie Futurospekcji, prawda?

Lloyd podrapał się w głowę.

— Ziemia nie była usłana martwymi ptakami, które spadły z nieba. Poza tym, nigdzie nie podano, że znaleziono żyrafy z połamanymi podczas upadku nogami. Zjawisko najwyraźniej wiązało się ze świadomością; czytałem w „Tribune”, że pytane w języku migowym szympansy i goryle zgłaszały coś dziwnego... wiele mówiło, że znalazły się w innych miejscach, ale brakło im słów i psychologicznych ram odniesienia, by potwierdzić lub zaprzeczyć temu, że widziały własną przyszłość.

— To nie ma znaczenia. Większość dzikich zwierząt i tak nie tknie nieprzytomnej zdobyczy, bo pomyśli, że nie żyje, a naturalna selekcja już dawno wyeliminowała padlinożerstwo u większości gatunków. Nie, z pewnością dotarlibyśmy do niemal wszystkich, a ci, do których nie dotrzemy, raczej nie znajdą się w żadnym niebezpiecznym położeniu.

— No dobrze — rzucił Lloyd — ale nie możemy tak po prostu ogłosić, że zamierzamy powtórzyć eksperyment. Zabronią nam francuskie lub szwajcarskie władze albo ktoś inny.

— Nie, jeśli uzyskamy ich zgodę. Nie, jeśli wszyscy się zgodzą.

— Daj spokój! Naukowcy może i są ciekawi, czy wyniki są powtarzalne, ale niby czemu innych miałyby to obchodzić? Czemu świat miałyby wyrazić zgodę... no, chyba że chcieliby powtórki tylko po to, by móc uznać mnie lub CERN za winnych.

Michiko mrugnęła.

— W ogóle nie myślisz, Lloyd. Wszyscy chcą kolejnego wglądu w przyszłość. Nie jesteśmy jedynymi, których wizje pozostawiły z pytaniami bez odpowiedzi. Ludzie chcą wiedzieć, co przyniesie przyszłość. Jeśli się dowiedzą, że ponownie ją zobaczą, nikt nie stanie ci na drodze. Wręcz przeciwnie, poruszą niebo i ziemię, by ci to umożliwić.

Lloyd milczał, przyswajając jej słowa.

— Tak sądzisz? — spytał w końcu. — Spodziewałbym się raczej dużego oporu.

— Nie, wszyscy są ciekawi. A ty nie chciałbyś wiedzieć, kim była ta kobieta? — Przerwała na chwilę. — Nie chcesz wiedzieć, kto jest ojcem dziecka, z którym byłam? Poza tym, jeśli mylisz się w kwestii niezmienności przyszłości, wówczas może wszyscy ujrzymy zupełnie inne jutro, takie, w którym Theo nie ginie. A może nawet trafimy w inny czas — za pięć lat albo za pięćdziesiąt. Ale najważniejsze, że na świecie nie ma nikogo, kto nie chciałby przeżyć kolejnej wizji.

— No nie wiem — rzucił Lloyd.

— No to spójrz na to z tej strony: sam siebie torturujesz poczuciem winy. Jeśli spróbujesz powtórzyć Futurospekcję i ci się nie uda, będzie to oznaczało, że jednak nie miałeś z tym nic wspólnego. I wreszcie będziesz mógł odetchnąć z ulgą.

— Może masz rację — stwierdził Lloyd. — Ale jak mamy uzyskać zgodę na powtórny eksperyment? Kto mógłby taką zgodę wydać?

Michiko wzruszyła ramionami.

— Najbliżej znajduje się Genewa — stwierdziła. — Z czego jest najsłynniejsza?

Lloyd zmarszczył brwi, zastanawiając się nad szeregiem możliwych odpowiedzi. Aż wreszcie znalazł tę właściwą: w 1920 roku założono tu Ligę Narodów, poprzedniczkę ONZ. — Sugerujesz, byśmy z tym poszli do Organizacji Narodów Zjednoczonych?

— Oczywiście. Mógłbyś pojechać do Nowego Jorku i sam im to zaproponować.

— ONZ nigdy się na nic nie zgadza — powiedział Lloyd.

— Tym razem się zgodzi — oznajmiła Michiko. — To zbyt kusząca oferta, by można było ją odrzucić.

Theo rozmawiał z rodzicami i sąsiadami swojej rodziny, ale nikt nie miał żadnych istotnych informacji na temat jego śmierci. Dlatego też załapał się na lot samolotem Olympic Airlines i wrócił na lotnisko Cointrin w Genewie. Kiedy leciał do Grecji na lotnisko podrzucił go Franco della Robbia, ale teraz wziął taksówkę, za którą zapłacił aż trzydzieści franków szwajcarskich. Jako że w samolocie nie dostał nic do jedzenia, pierwsze kroki skierował do stołówki centrali LHC. Już w progu z zaskoczeniem zauważył Michiko Komurę, siedzącą samotnie przy stoliku z tyłu. Theo kupił sobie małą butelkę soku pomarańczowego i porcję kielbasy longeole i ruszył w kierunku Michiko, mijając po drodze kilka grup fizyków kłócących się przy posiłku o teorie wyjaśniające Futurospekcję. Zrozumiał, czemu Michiko siedzi sama; ostatnie na co miała ochotę to zastanawianie się, co było powodem śmierci jej córki.

— Cześć, Michiko — rzucił Theo.

Podniosła wzrok.

— Cześć, Theo. Witam z powrotem.

— Dzięki. Mogę się dosiąść?

Ręką wskazała mu wolne miejsce naprzeciwko.

— Jak podróż? — spytała.

— Niewiele się dowiedziałem. — Nie miał ochoty wchodzić w szczegóły, ale przecież sama spytała. — Mój brat Dimitrios twierdzi, że wizje odebrały mu marzenia. Chce zostać wielkim pisarzem, ale wygląda na to, że mu się nie uda.

— To smutne — stwierdziła Michiko.

— A co u ciebie? — spytał Theo. — Jak się trzymasz?

Michiko rozłożyła bezradnie ręce, jakby nie potrafiła odpowiedzieć.

— Jakoś sobie radzę. Czasem nawet przez kilka minut nie myślę o tym, co stało się z Tamiko.

— Tak mi przykro — powiedział Theo po raz setny i zamilkł na chwilę. — A co słyszeć prócz tego?

— Wszystko w porządku.

— Tylko w porządku?

Michiko jadła serowe quiche *au bleu de Gex*. Obok stała do połowy wypita herbata; upiła łyk, zbierając myśli.

— Nie wiem. Lloyd nie jest pewien, czy ślub powinien się odbyć.

— Serio? O Boże.

Rozejrzała się sprawdzając, czy nikt ich nie słyszy; cztery stoliki dzieliły ich od najbliższej siedzącej osoby, która pogrążona była w lekturze czegoś na datapadzie. Michiko westchnęła i wzruszyła ramionami.

— Kocham Lloyda i wiem, że on mnie kocha. Ale on nie potrafi poradzić sobie z myślą, że nasze małżeństwo może się rozpaść.

Theo uniósł brwi.

— No wiesz, pochodzi z rozbitej rodziny. I najwyraźniej rozstanie jego rodziców nie przebiegało ulgowo.

Michiko skinęła głową.

— Wiem. Próbuję go zrozumieć. Naprawdę. — Chwila ciszy. — A jak wygląda małżeństwo twoich rodziców?

Theo był zaskoczony tym pytaniem. Zamyślił się, szukając odpowiedzi.

— Chyba dobrze; nadal wydają się szczęśliwi. Tata nigdy nie był zbyt wylewny, ale mamie to chyba nie przeszkadza.

— Mój ojciec nie żyje — stwierdziła Michiko. — Ale był chyba typowym Japończykiem swojego pokolenia. Wszystko tłumił w sobie i praca była dla niego całym życiem. — Przerwała. — Zawał serca, miał czterdzieści siedem lat. Ja miałam dwadzieścia dwa.

Theo próbował znaleźć właściwe słowa.

— Jestem pewien, że byłby z ciebie bardzo dumny, gdyby wiedział, co osiągnęłaś.

Michiko zamyśliła się nad tym, co powiedział, wcale nie traktując tego jako frazes.

— Być może. Według jego tradycyjnych poglądów kobiety nie zajmują się inżynierią.

Theo zmarszczył brwi. Niewiele wiedział o japońskiej kulturze. W Japonii odbywały się konferencje, na które mógłby jechać, ale choć zwiedził całą Europę, raz był w Ameryce, a jako

nastolatek nawet w Hongkongu, nigdy nie czuł potrzeby wyjechania do Japonii. Ale Michiko była fascynująca... każdy jej gest, wyraz twarzy, to, jak mówiła, uśmiechała się i marszczyła przy tym nosek, jej doskonały, wysoki śmiech. Jak mogła go fascynować ona, a nie jej kultura? Czy nie powinien się dowiedzieć, jacy byli jej rodacy, jaki był jej kraj? Czy nie powinien poznać każdego szczegółu tygła, który ją ukształtował?

Czy też może po prostu powinien być szczery? Czy powinien przyznać, że jego zainteresowanie ma charakter czysto seksualny? Michiko bez wątpienia była piękna, ale w CERN-ie pracowały trzy tysiące osób, z których połowa to kobiety. Michiko z pewnością nie była tu jedyną pięknnością.

A jednak było w niej coś... egzotycznego. Poza tym najwyraźniej lubiła białych facetów...

Nie, to nie to. Nie dlatego była tak fascynująca. Nie kiedy się nad tym zastanowił i spojrział na wszystko wprost, nie szukając żadnych wymówek. Najbardziej fascynujące w niej było to, że wybrała Lloyda Simcoe, partnera Theo. Obaj byli wolni i dostępni. Lloyd był o dziesięć lat starszy od Michiko, a Theo o osiem lat młodszy.

Nie żeby Theo był pracoholikiem, a Lloyd rozkoszował się niespiesznie życiem. Theo często wynajmował zagłówek na Jeziorze Genewskim; Theo grał w krokieta i badmintona w lidze CERN-u; Theo znajdował czas, by posłuchać jazzu w Au Chat Noir w Genewie i oglądać przedstawienia alternatywne w L'Usine; zdarzało mu się nawet odwiedzać Grand Casino.



A jednak ta fascynująca, piękna, inteligentna kobieta wybrała statecznego, cichego Lloyd'a.

A teraz wyglądało na to, że Lloyd nie był gotowy się z nią związać.

Zapewne nie był to powód, by Theo sam jej pragnął. Ale serce to nie fizyka i jego reakcji nie można było przewidzieć. Pragnął jej, a jeśli, no cóż, Lloyd pozwoli, by mu się wymknęła...

— Ale — odezwał się Theo, w końcu odpowiadając na uwagę Michiko, że jej ojcu nie spodobałaby się jej kariera zawodowa — z pewnością podziwiał twój intelekt.

Michiko wzruszyła ramionami.

— O tyle, o ile przynosiło mu to jakąś chlubę. — Przerwała na chwilę. — Ale z pewnością nie pochwaliby małżeństwa z białym mężczyzną.

Serce Theo zabiło mocniej, ale nie potrafił stwierdzić, czy to z powodu Lloyd'a, czy siebie.

— Aha.

— Nie ufał Zachodowi. Nie wiem, czy słyszałeś, ale w Japonii młodzi ludzie często noszą ubrania z angielskimi napisami. Tak naprawdę nie ma znaczenia, co oznaczają... ważne, że ci, którzy je noszą postrzegani są jako zwolennicy amerykańskiej kultury. Najczęściej treść napisów jest dość zabawna dla tych, którzy dobrze znają angielski. „Tym końcem do góry”. „Data przydatności do spożycia na spodzie”. „Aby nadać cebuli doskonalszy kształt”. — Uśmiechnęła się tym pięknym, marszczącym nos uśmiechem. — Cebuli. Nie mogłam przestać się śmiać, gdy pierwszy raz to zobaczyłam. Ale pewnego dnia wróciłam do domu w koszulce z angielskimi słowami... nawet

nie zdaniami, tylko słowami w różnych kolorach na czarnym tle: „szczeniak”, „keczup”, „lodowisko”, „bardzo” i „cel”. Tata ukarał mnie za założenie tej koszulki.

Theo starał się okazać współczucie, jednocześnie zastanawiając się, jak mogła wyglądać taka kara. Zabranie kieszonkowego... czy może japońscy rodzice nie dają dzieciom kieszonkowego? Odesłanie do pokoju? Wolał nie pytać.

— Lloyd to dobry człowiek — stwierdził. Słowa te wyrwały mu się bez zastanowienia; być może były wynikiem jakiegoś wewnętrznego poczucia fair play. Ucieszył się, że znalazł w sobie coś takiego.

Michiko tę uwagę również wnikliwie rozważyła; miała w zwyczaju zastanawianie się nad wszystkim, co usłyszała w poszukiwaniu stojącej za słowami prawdy.

— O tak — stwierdziła. — To bardzo dobry człowiek. Martwi się tą głupią wizją, według której nasze małżeństwo nie przetrwa... a jest tyle rzeczy, o które będąc z nim, nigdy nie będę się musiała martwić. Nigdy mnie nie uderzy, tego jestem pewna. Nigdy mnie nie upokorzy, ani nie sprawi, że będę musiała się wstydzić. I ma niesamowity dar zapamiętywania szczegółów. Kiedyś podałam mu imiona moich bratanic, zupełnie mimochodem, kilka miesięcy temu. W zeszłym tygodniu rozmawialiśmy o nich i od razu przypomniał sobie, jak się nazywają. Mogę być więc pewna, że nigdy nie zapomni o rocznicy ślubu, czy moich urodzinach. Spotykałam się wcześniej z różnymi mężczyznami, zarówno z Japonii, jak i spoza niej, ale w przypadku żadnego nie miałam takiej pewności, że zawsze pozostaną uprzejmi i łagodni.

Theo poczuł się nieswojo. Też uważał się za dobrego człowieka i z pewnością nigdy nie podniósłby ręki na kobietę. Niemniej jednak, miał wybuchowy charakter swojego ojca; szczerze mówiąc, podczas kłótni mógł wykrzyknąć pewne rzeczy tylko po to, by kogoś zranić. No i pewnego dnia ktoś będzie nienawidził go na tyle, by chcieć go zabić. Czy Lloyd, Lloyd Dobrotliwy, mógłby kiedykolwiek wywołać w kimś takie uczucia?

Pokręcił nieznacznie głową, próbując odpędzić te myśli.

— Dobrze wybrałaś — stwierdził.

Michiko pochyliła głowę, przyjmując komplement, po czym oznajmiła:

— Tak jak i Lloyd. — Theo był zaskoczony; nieskromność nie pasowała do Michiko. Ale jej kolejne słowa wyjaśniły, co miała na myśli. — Nie mógłby wybrać sobie lepszego drużby.

Nie byłbym tego taki pewien, pomyślał Theo, ale nie powiedział tego na głos.

Naturalnie nie mógł zalecać się do Michiko. Była narzeczoną Lloyd'a.

Poza tym...

Poza tym, nie chodziło o jej śliczne, zniewalające japońskie oczy.

I nawet nie o zazdrość, czy fascynację zrodzoną z faktu, iż wybrała Lloyd'a, a nie jego.

W głębi duszy znał prawdziwy powód swego nagłego zainteresowania Michiko. Naturalnie, że go znał. Doszedł do wniosku, że jeśli wkroczy na jakąś nową, zupełnie szaloną ścieżkę życia, jeśli nagle coś diametralnie zmieni, wykona

absolutnie nieprzewidywalny ruch, taki jak ucieczka i ślub z narzeczoną partnera, uda mu się oszukać los i zmienić swą przyszłość na tyle drastycznie, że nigdy nie stanie w obliczu naładowanego pistoletu.

Michiko była niesamowicie inteligentna i niezwykle piękna. Ale nie zamierzał się do niej zalecać, to byłoby czyste szaleństwo.

Theo zaskoczył jego własny chichot, ale sytuacja była na swój sposób zabawna. Może Lloyd miał rację, może cały wszechświat jest bryłą, a czas jest niezmienny. Theo pomyślał o zrobieniu czegoś dzikiego i szalonego, ale potem, po spokojnym rozważeniu sprawy i wszystkich opcji oraz przemyśleniu własnych motywów, skończyło się tak, jak gdyby dana kwestia nigdy nie została poruszona.

Film jego życia toczył się dalej, klatka po z góry ustalonej klatce.

# 21.

Michiko i Lloyd nie planowali mieszkać razem przed ślubem, ale od śmierci Tamiko, poza czasem spędzonym w Tokio, Michiko praktycznie codziennie lądowała w jego mieszkaniu. W zasadzie od czasu Futurospekcji, do której doszło osiem dni wcześniej, w domu była tylko kilka razy i były to krótkie wizyty. Wszystko, co tam widziała, doprowadzało ją do łez: małe buciki Tamiko na dywaniku przy drzwiach; jej lalka Barbie siedząca na jednym z krzeseł w salonie (Tamiko zawsze zostawiała swoją Barbie wygodnie usadowioną); obrazki malowane jej palcami, przypięte magnesem do lodówki; a nawet ściana, na której Tamiko napisała swoje imię markerem i której nie udało się do końca wyczyścić.

Przenieśli się zatem do Lloyda, by uniknąć wspomnień.

Niemniej jednak Michiko nadal odpływała, wpatrując się w przestrzeń. Lloyd z ciężkim sercem patrzył na jej smutek, ale wiedział, że nic nie może zrobić. Że będzie tak rozpaczać prawdopodobnie już zawsze.

Poza tym naturalnie nie był ignorantem: miał za sobą lekturę stert artykułów o psychologii i związkach. Obejrzał nawet sporo programów Oprah i Giselle. Wiedział, że nie powinien mówić takich rzeczy, ale słowom zdarzało się po prostu wypsnąć, wyrwać nim zdążyło się je przemyśleć. A chciał po prostu wypełnić ciszę, jaka dzieliła go od Michiko.

— Wiesz — rzucił — będziesz miała jeszcze jedną córkę. W wizji...

Uciszyła go spojrzeniem.

Nie odezwała się, ale potrafił wyczytać odpowiedź w jej oczach. Nie da się zastąpić jednego dziecka drugim. Każde jest wyjątkowe.

Lloyd zdawał sobie z tego sprawę; choć nigdy jeszcze nie był rodzicem, wiedział o tym. Lata temu widział stary film z Mickeyem Rooneyem pod tytułem „Komedia ludzka”, ale nie dość, że nie wydał mu się śmieszny, to na dodatek mało ludzki. Rzecz działa się w trakcie drugiej wojny światowej. Rooney grał amerykańskiego żołnierza, który wyjechał za ocean. Sam nie miał rodziny, ale utrzymywał kontakt z ludźmi, za których walczył dzięki listom, które jego sąsiad z łóżka piętrowego otrzymywał od rodziny. Rooney poznał ich wszystkich... brata tego mężczyzny, jego matkę i ukochaną w Stanach z listów, które wspólnie czytali. Aż mężczyzna ten zginął i Rooney wrócił do miasta rodzinnego swego druha, zawożąc jego rodzinie jego rzeczy osobiste. W gospodarstwie rodzinnym natknął się na młodszego brata swego przyjaciela i miał wrażenie, jakby go znał całe życie. W końcu młodszy brat wszedł do domu, wołając:

— Mamo, żołnierz powrócił!

I w tym momencie pojawiały się napisy.

I widzowie mieli chyba zakładać, że Rooney w jakiś sposób zajmie miejsce zastrzelonego we Francji syna tej kobiety.

To oszustwo; nawet jako nastolatek — mógł mieć szesnaście lat, gdy widział ten film w telewizji — wiedział, że to oszustwo i

że nie da się zastąpić jednego człowieka drugim.

A teraz, przez krótką chwilę, głupio zasugerował, że przyszła córka Michiko mogłaby jakimś cudem zająć w jej sercu miejsce biednej, nieżyjącej Tamiko.

— Przepraszam — powiedział.

Michiko się nie uśmiechnęła, ale prawie niezauważalnie skinęła głową.

Lloyd nie wiedział, czy to właściwy moment... przez całe życie nękała go niezdolność do wycucia właściwego momentu na wykonanie kroku w stronę dziewczyny z liceum, właściwego momentu, by poprosić o podwyżkę, właściwego momentu, by przerwać rozmowę dwóch osób na przyjęciu i się przedstawić, właściwego momentu, by odejść, gdy inni wyraźnie woleli zostać sami. Niektórzy mieli wrodzony dar wyczuwania takich chwil, ale Lloyd się do nich nie zaliczał.

A jednak...

A jednak ta kwestia musiała zostać ostatecznie rozwiązana.

Świat już się otrząsnął; ludzie wracali do normalnego życia. Owszem, wielu z nich na tym ucierpiało; owszem, kilka firm ubezpieczeniowych złożyło wnioski o ogłoszenie upadłości; owszem, nie ustalono jeszcze dokładnej liczby ofiar. Ale życie musiało toczyć się dalej, ludzie chodzili do pracy, wracali do domu, jedli w restauracjach, oglądali filmy i z różnym szczęściem próbowali sobie radzić.

— Jeżeli chodzi o ślub... — powiedział i zamilkł, pozwalając by słowa te zawisły między nimi.

— Tak?

Lloyd westchnął.

— Nie wiem, kim jest ta kobieta... ta z mojej wizji. Nie mam pojęcia, kto to.

— Ale sądzisz, że mogłaby być lepsza ode mnie, o to chodzi?

— Nie, nie, nie. Oczywiście, że nie. Tylko...

Zamilkł. Ale Michiko za dobrze go znała.

— Sądzisz, że na świecie żyje siedem miliardów ludzi, tak? I że spotkaliśmy się tylko ślepym trafem.

Lloyd skinął głową; był winny zarzucanych mu czynów.

— Możliwe — rzuciła Michiko. — Ale jeśli wziąć pod uwagę szanse na to, że byśmy się nie spotkali, to sądzę, że to coś więcej. To nie jest tak, że byliśmy na siebie skazani. Ty mieszkałeś w Chicago, a ja w Tokio, a spotkaliśmy się tutaj, na szwajcarsko-francuskiej granicy. To przypadek, czy przeznaczenie?

— Nie jestem pewien, czy można wierzyć w przeznaczenie, jednocześnie wierząc w wolną wolę — stwierdził Lloyd łagodnie.

— Pewnie nie — spuściła wzrok. — Cóż, może po prostu nie jesteś gotowy na małżeństwo. Przez lata wielu z moich przyjaciół decydowało się na ślub sądząc, że to ich ostatnia szansa. No wiesz, osiągnęli pewien wiek i uznawali, że jeśli nie zdecydują się na małżeństwo teraz, to już nigdy. Jeśli twoja wizja czegokolwiek dowodzi to tego, że to nie jest twoja ostatnia szansa. To chyba powinno uwolnić cię od presji, prawda? Nie ma potrzeby się nigdzie spieszyć.

— Nie o to chodzi — odparł Lloyd drżącym głosem.

— Czyżby? — spytała Michiko. — Więc podejmij decyzję teraz. Zdecyduj się. Pobierzemy się?



Lloyd wiedział, że Michiko ma rację. Jego wiara w niezmiennność przyszłości faktycznie łagodziła poczucie winy za to, co się stało... niemniej jednak było to stanowisko, które zawsze zajmował jako fizyk: czasoprzestrzeń to niezmienna kostka Minkowskiego. To, co miał zamiar zrobić i tak już było dokonane; przyszłość była równie stała, jak przeszłość.

Z tego co wiedzieli, nikt nie miał wizji, która by potwierdzała, że Michiko Komura i Lloyd Simcoe kiedykolwiek byli małżeństwem; nikt nie zgłosił tego, że znalazł się w pokoju, w którym stało zdjęcie ślubne w ekskluzywnej ramce, przedstawiające wysokiego mężczyznę rasy kaukaskiej o niebieskich oczach i piękną, niższą i młodszą Azjatkę.

Niemniej jednak to, co miał powiedzieć, zostało już powiedziane i nic tego nie zmieni. Nie miał niestety żadnego wglądu w odpowiedź zapisaną w czasoprzestrzeni. Jego decyzja w tej chwili, w tym konkretnym fragmencie, na tej stronie, na tym ujęciu filmu pozostawała nieznana. Nie ułatwiało to jednak decyzji — jakakolwiek by miała być — choć wiedział, że to, co powie lub już powiedział jest nieuniknione.

— No i? — naciskała Michiko. — Jak będzie?

Pomimo późnego wieczoru Theo nadal był w pracy, przeprowadzając kolejną symulację eksperymentu LHC. Zadzwoił telefon.

Dimitrios nie żył.

Jego młodszy brat. Nie żył. Popełnił samobójstwo.

Powstrzymał łzy i gniew.

Wspomnienia o Dimie przebiegały Theo przez głowę. Chwile, gdy był dla niego dobry i chwile, gdy zachowywał się wobec

niego podle. I to, jak wiele lat temu cała rodzina była przerażona, gdy nagle Dim zgubił się podczas wycieczki do Hongkongu. Theo nigdy nie był równie szczęśliwy na czyjś widok, jak w chwili, gdy zobaczył policjanta z Dimem na rękach, idącego w ich stronę zatłoczoną ulicą.

A teraz Dim nie żył. Theo będzie musiał ponownie wybrać się do Aten, tym razem na pogrzeb.

Nie wiedział, co powinien czuć.

Jakaś jego część, bardzo znaczna, była niesamowicie zasmucona śmiercią brata.

Ale druga część...

Druga część była szczęśliwa.

Naturalnie nie z powodu śmierci Dima.

Ale fakt, iż nie żył, wszystko zmieniał.

Dimitrios miał przecież wizję i to potwierdzoną przez kogoś innego... a żeby mieć wizję, musiał żyć za dwadzieścia jeden lat.

A jeśli nie żył teraz, w 2009 roku, niemożliwe, by żył w 2030.

Teoria wszechświata blokowego legła w gruzach. To, co widzieli ludzie, mogło faktycznie tworzyć spójną wizję przyszłości... ale była to tylko jedna z możliwych wersji jutra, a skoro ta wersja uwzględniała Dimitriosa Procopidesa, nie była już aktualna, czy choćby możliwa.

Według teorii chaosu drobne zmiany w warunkach początkowych muszą mieć poważne konsekwencje w przyszłości. Zatem świat z roku 2030 nie może wyglądać tak, jak w miliardach krótkich wizji, których doświadczyli ludzie.

Theo szybko przemierzył korytarze centrali LHC, mijając dużą mozaikę, płytę z pełną pierwotną nazwą instytucji, biura i

laboratoria oraz łazienki.

Jeżeli przyszłość nie była już pewna... a z pewnością nie mogła się już potoczyć dokładnie tak, jak pokazywały wizje, wówczas Theo mógł przerwać swe poszukiwania. Tak, w jednej z niegdyś możliwych przyszłości, ktoś uznał, że Theo zasłużył na śmierć. Ale w przeciągu kolejnych dwóch dekad nastąpi tyle zmian, że z pewnością rezultaty będą zupełnie inne. W zasadzie może nawet nie spotkać osoby, która go zabiła, może nigdy się nie natknąć na tego człowieka, ktokolwiek to był. Albo nawet ten człowiek sam mógłby zginąć przed rokiem 2030. Tak czy owak, morderstwo Theo już niemal wcale nie było nieuniknione.

A jednak...

Jednak nadał mogło do niego dojść. Z pewnością pewne rzeczy potoczą się zgodnie z wizjami. Ci, których nie czekała śmierć z nienaturalnych przyczyn, dożyją tej chwili; ci na bezpiecznych posadach mogą je zachować przez ten czas; nie ma powodu, dla którego udane, solidne małżeństwa miałyby nie przetrwać.

Nie.

Dość tych wątpliwości i dość straty czasu.

Theo zdecydował się żyć dalej, zrezygnować ze swych głupich poszukiwań, wyjść naprzeciw dniu jutrzejszemu i temu, co miał mu przynieść. Naturalnie zachowa ostrożność... zdecydowanie nie chciał, by jednym z punktów łączących rok 2030 z wizji z tym faktycznym była właśnie jego śmierć. Będzie żył dalej, próbując jak najlepiej wykorzystać dany mu czas.

Gdyby tylko Dimitrios podjął taką samą decyzję...

Skierował kroki z powrotem do biura. Był ktoś, do kogo powinien zadzwonić; ktoś, kto powinien usłyszeć o tym od przyjaciela, nim wiadomość tę rozdmuchają media na całym świecie.

Słowa Michiko zawisły między nimi:

— Jak będzie?

Lloyd wiedział, że najwyższy czas się zdecydować. Czas, by przejść do właściwego kadru; czas na chwilę prawdy, moment ujawnienia decyzji, już zapisanej w czasoprzestrzeni. Spojrzał w oczy Michiko, otworzył usta i...

Dzwonek telefonu.

Lloyd zaklął i spojrzał w stronę aparatu. Według informacji wyświetlonej na ekranie, był to ktoś z CERN-u. Nikt nie zadzwoniłby o tej porze, gdyby nie chodziło o coś pilnego. Podniósł słuchawkę.

— Tak?

— Lloyd, tu Theo.

Chciał mu powiedzieć, że to nie najlepsza chwila i oddzwoni później, ale Theo nie pozwolił mu dojść do słowa.

— Lloyd, właśnie dostałem telefon. Mój brat Dimitrios nie żyje.

— O mój Boże — powiedział Lloyd. — O mój Boże.

— Co się stało? — spytała Michiko, a w jej oczach malowała się troska.

Lloyd zakrył słuchawkę.

— Brat Theo nie żyje.

Michiko uniosła dłoń do ust.

— Zabił się — oznajmił Theo przez telefon. — Przedawkował środki nasenne.

— Przykro mi, Theo — powiedział Lloyd. — Czy mogę... czy mogę ci jakoś pomóc?

— Nie. Nie. Ale pomyślałem, że muszę cię o tym natychmiast powiadomić.

Lloyd nie rozumiał, o co mu chodzi.

— Aha, dziękuję — powiedział, a jego głos zdradzał pewne zakłopotanie.

— Lloyd, Dimitrios miał wizję.

— Co? Aha. — Zamilkł na dłuższą chwilę. — *Aha.*

— Sam mi o tym powiedział.

— Musiał to zmyślić.

— Lloyd, to mój brat; nie zmyślił tego.

— Ale to niemożliwe...

— Wiesz, że nie jest jedyny; pojawiały się doniesienia o innych. Ale w tym przypadku... ten przypadek jest potwierdzony. Pracował w restauracji w Grecji, a jej właścicielem jest ten sam facet, co w 2030 roku. Widział Dima w swojej wizji, a Dim widział jego. Kiedy powiedzą o tym w telewizji...

— Ja... o cholera — rzucił Lloyd. Serce mu waliło. — Cholera.

— Przykro mi — powiedział Theo. — Prasa będzie miała używanie. — Chwila ciszy. — Jak mówiłem, pomyślałem, że powinieneś wiedzieć.

Lloyd próbował się uspokoić. Jak mógł się aż tak mylić?

— Dzięki — powiedział w końcu i dodał: — Spokojnie, to nie ma znaczenia. Jak się czujesz? Wszystko w porządku?

— Nic mi nie będzie.

— Jeśli nie chcesz zostać sam, przyjedziemy z Michiko.

— Nie, w porządku. Franco della Robbia jeszcze tu jest; posiedzę z nim trochę.

— OK — rzucił Lloyd. — OK. — Kolejna przerwa. — Słuchaj, muszę...

— Wiem — powiedział Theo. — Cześć.

— Cześć.

Lloyd odłożył słuchawkę.

Nie znał Dimitriosa Procopidesa, a Theo nie opowiadał o nim wiele. Nic dziwnego, sam rzadko wspominał w pracy o swojej siostrze Dolly. Jakby się nad tym zastanowić, to tylko jeszcze jedna śmierć pośród nieskończenie wielu innych, ale...

— Biedny Theo — stwierdziła Michiko, kręcąc głową. — A jego brat... biedactwo.

Spojrzał na nią. Straciła córkę, a w danej chwili potrafiła znaleźć w sercu żal z powodu człowieka, którego nigdy nie spotkała.

Serce Lloyda nie zwalniało. Nadal słyszał słowa, które miał wypowiedzieć tuż przed tym, jak zadzwonił telefon. A o czym myślał teraz? Że chce jeszcze poużywać życia? Że nie jest gotowy, by się ustatkować? Że musi poznać tamtą białą kobietę, odnaleźć ją i dokonać rozsądnego, obiektywnego wyboru między nią a Michiko?

Nie.

Nie, nie o tym. Nie mogło tak być.

W danej chwili myślał o tym, że jest idiotą.

I myślał też, że wykazała się ogromną cierpliwością.

Ponadto uważał, że być może ostrzeżenie, iż małżeństwo nie przetrwa samo z siebie było najlepszą rzeczą, jaka mogła się im przytrafić. Jak w przypadku każdej pary zakładali, iż będą ze sobą póki śmierć ich nie rozłączy. A teraz wiedział od samego początku, jak nikt inny dotychczas, nawet dzieci z rozbitych domów, że małżeństwo niekoniecznie musi trwać aż tyle. Że stanie się tak tylko, jeśli będą o to codziennie walczyć i wkładać wiele pracy w jego utrzymanie. Wiedział, że jeśli ma się ożenić, musi się to dla niego stać najważniejszą rzeczą na świecie. Ważniejszą od kariery, od cholernego, nieuchwytnego Nobla, od oceny środowiska i stypendiów.

Ona.

Michiko.

Michiko Komura.

Albo... Michiko Simcoe.

Kiedy był nastolatkiem, w latach siedemdziesiątych, wyglądało na to, że kobiety na zawsze zrezygnują z tego głupiego zwyczaju przyjmowania cudzego nazwiska. A jednak, aż do chwili obecnej, większość nadal przyjmowała nazwisko po mężu; zresztą rozmawiali już o tym i Michiko stwierdziła, że zamierza tak zrobić. Naturalnie Simcoe nie brzmiało tak melodyjnie, jak Komura, ale to niewielkie poświęcenie.

Choć nie.

Nie, nie powinna przyjmować jego nazwiska. Ile rozwiedzionych kobiet nosiło nie swoje nazwiska, ale nazwiska kogoś, kto od dawna należał do przeszłości, co tylko przypominało im o błędach młodości, nieudanych miłościach i bólu? Przecież Komura też nie było nazwiskiem panięńskim

Michiko... z domu nazywała się Okawa, a Komura to nazwisko Hiroshiego.

Powinna przy nim zostać. Powinna zostać Komurą, by każdego dnia przypominać Lloydowi, że nie należy do niego; że musi pracować nad ich małżeństwem i że przyszłość jest w jego rękach.

Spojrzał na nią... jej nieskazitelną cerę, urzekające oczy i niesamowicie ciemne włosy.

Naturalnie wszystko to z czasem ulegnie zmianie. Ale chciał być tego świadkiem, delektując się każdą chwilą i ciesząc się wraz z nią życiem.

Tak, właśnie z nią.

Lloyd Simcoe zrobił coś, czego nie zrobił za pierwszym razem... co prawda przyszło mu to wtedy do głowy, ale zrezygnował z tego pomysłu, uznając że jest głupi, staromodny i zupełnie zbędny.

Ale teraz chciał to zrobić i czuł, że powinien.

Uklęknął na jedno kolano.

Wziął dłoń Michiko.

I spojrzał w jej cierpliwą, uroczą twarz.

I spytał:

— Wyjdiesz za mnie?

I ta chwila się przeciągała, gdyż Michiko była najwyraźniej zaskoczona.

A potem jej twarz powoli rozpromienił uśmiech.

I odpowiedziała niemal szeptem:

— Tak.

Lloyd zamrugał gwałtownie czując, że wilgotnieją mu oczy.



Przyszłość zapowiadała się wspaniale.

# 22.

Dziesięć dni później: środa, 6 maja 2009 r.

Gaston Béranger zaskakująco łatwo dał się przekonać do powtórzenia eksperymentu LHC. W końcu wszyscy wiedzieli, że nie mają nic do stracenia, a wiele mogą zyskać w przypadku, gdyby próba się nie powiodła: niezwykle ciężko byłoby pociągnąć CERN do jakiegokolwiek odpowiedzialności za powstałe szkody, jeśli podczas drugiej próby nie doszłoby do przeniesienia czasowego.

A teraz nadchodził moment prawdy.

Lloyd wszedł na podium z wypolerowanego drewna. Za nim pojawił się wielki emblemat ONZ z Ziemią i wieńcem laurowym. Powietrze było suche; Lloyda złapał prąd, gdy dotknął metalowego wykończenia podium. Wziął głęboki oddech, próbując się uspokoić i pochylił się w stronę mikrofonu.

— Chciałbym podziękować...

Był zaskoczony tym, jak łamie mu się głos. Ale, do cholery, zwracał się do najpotężniejszych polityków świata. Przełknął głośno ślinę i zaczął jeszcze raz.

— Chciałbym podziękować sekretarzowi generalnemu, Stephenowi Lewisowi, za umożliwienie mi dzisiejszego wystąpienia. — Co najmniej połowa delegatów słuchała tłumaczeń przez słuchawki bezprzewodowe. — Szanowne

panie i szanowni panowie, nazywam się doktor Lloyd Simcoe. Jestem Kanadyjczykiem, ale obecnie mieszkam we Francji i pracuję w CERN-ie, czyli Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych. — Przerwał i ponownie przełknął ślinę. — Jak bez wątpienia państwo już słyszeli, wszystko wskazuje na to, że przyczyną przeniesienia świadomości ludzkiej w czasie był eksperyment przeprowadzony w CERN-ie. I choć wiem, że w pierwszej chwili wyda się to państwu szaleństwem, przyszedłem tu prosić was, jako przedstawicieli poszczególnych rządów, o pozwolenie na powtórzenie tego eksperymentu.

Wybuchła nagle wrzawa... kakofonia języków, jeszcze bardziej zróżnicowana od tej, jaką można usłyszeć w stołówkach CERN-u. Wszyscy delegaci oczywiście wiedzieli wcześniej, co mniej więcej usłyszą od Lloyda... nikomu nie pozwolono by zabrać głosu w ONZ bez szeregu rozmów wstępnych. Sala obrad Zgromadzenia Ogólnego była ogromna; wzrok Lloyda był za słaby, by dostrzec twarze wszystkich osób. Niemniej jednak widział złość na twarzy jednego z rosyjskich delegatów i coś, co wyglądało jak przerażenie u delegatów z Niemiec i Japonii. Lloyd odszukał wzrokiem Sekretarza Generalnego, przystojnego siedemdziesięciodwulatka. Lewis uśmiechnął się do niego pocrzepiająco i Simcoe mówił dalej.

— Być może nie jest to wcale konieczne — oznajmił. — Mamy już chyba wystarczające dowody na to, że przyszłość przedstawiona w pierwszych wizjach nie ziści się... a przynajmniej nie w stu procentach. Niemniej jednak, wiele osób bez wątpienia doświadczyło dzięki wizjom ważnych przemian.

Przerwał na chwilę.

— Przypomina mi się „Opowieść wigilijna”, brytyjskiego pisarza, Charlesa Dickensa. Główny bohater tej historii, Ebenezer Scrooge zobaczył wizję przyszłych świąt Bożego Narodzenia, podczas których, w wyniku jego działań, wiele osób jest nieszczęśliwych, a on sam jest po śmierci nienawidzony i wzgardzany. Naturalnie doświadczenie podobnej wizji byłoby czymś okropnym, gdyby dotyczyła jedynej prawdziwej i niezmiennej przyszłości. Jednak Scrooge dowiaduje się, że tak nie jest; że przyszłość, którą zobaczył to logiczne następstwo jego obecnego życia, jeśli nic w nim nie zmieni. Może jednak zmienić życie zarówno swoje, jak i osób mu bliskich na lepsze; taki wgląd w przyszłość okazał się czymś cudownym.

Lloyd wziął łyk wody i mówił dalej.

— Wizja Scrooge’a dotyczyła bardzo konkretnego dnia — Bożego Narodzenia. Nie wszyscy z nas jednak widzieli w swych wizjach znaczące chwile; wiele z nas ujrzało coś całkiem banalnego, frustrująco niejednoznacznego lub, w przypadku około jednej trzeciej ludzkości, swoje sny lub po prostu ciemność, gdyż za dwadzieścia lat w przeciągu tych dwóch minut osoby te spały. — Przerwał i wzruszył ramionami, jakby sam nie wiedział, co należałoby zrobić. — Wierzymy, że możemy powtórzyć wizje; możemy ofiarować ludzkości kolejny wgląd w przyszłość. — Uniósł dłoń. — Wiem, że niektóre z rządów nieufnie podchodzą do wizji, gdyż nie podobają im się pewne ujawnione fakty, ale skoro już wiemy, że przyszłość nie jest z góry ustalona, mam nadzieję, że pozwolą nam państwo po

prostu ponownie ofiarować ludziom ten dar i korzyści, jakie oferuje Efekt Ebenezero. Wierzmy, że dzięki współpracy z państwem i państwa rządami wszystko przebiegnie bezpiecznie. Decyzja należy do państwa.

Lloyd wyszedł przez wysokie, szklane drzwi budynku Zgromadzenia Ogólnego. Nowojorskie powietrze cholernie szczypało go w oczy, ale mieli się tym wkrótce zająć; według wizji do 2030 roku sytuacja znacznie się pogorszy. Niebo było szare, poznaczone smugami zostawionymi przez samoloty. Tłum reporterów, w sumie około pięćdziesięciu osób, pospieszył w jego stronę z wyciągniętymi przed siebie dyktafonami i mikrofonami.

— Doktorze Simcoe! — krzyknął jeden z nich, biały mężczyzna w średnim wieku. — Doktorze Simcoe! Co jeśli świadomość nie wróci na swoje miejsce? Co jeśli utkniemy wszyscy za dwadzieścia jeden lat?

Lloyd był zmęczony. Nie denerwował się tak przed wystąpieniem publicznym od ustnej obrony doktoratu. Naprawdę marzył tylko o tym, by wrócić do hotelu, nalać sobie szklaneczkę szkockiej i położyć się spać.

— Nie ma powodu sądzić, że coś takiego mogłoby nastąpić — stwierdził. — Wszystko wskazuje na to, iż to całkowicie tymczasowe zjawisko, które zaczęło się w chwili rozpoczęcia zderzania cząstek, a skończyło się wraz z końcem eksperymentu.

— Co z rodzinami osób, które mogą zginąć tym razem? Czy weźmie pan za nie osobistą odpowiedzialność?

— A co z tymi, którzy już zginęli? Nie sądzi pan, że jest im pan coś winien?

— Czy nie jest to po prostu chęć zaistnienia z pańskiej strony?

Lloyd wziął głęboki wdech. Naprawdę był zmęczony i pękała mu głowa.

— Szanowne panie i szanowni panowie... i używam tych określeń dość niezobowiązująco... najwyraźniej przywykliście do przeprowadzania wywiadów z politykami, którym nie wolno jest publicznie stracić nad sobą panowania, więc mogą państwo zadawać im pytania takim moralizatorskim tonem. Ja jednak nie jestem politykiem. Jestem, między innymi, profesorem uniwersyteckim i przywykłem do kulturalnych rozmów. Jeśli nie potrafią państwo zadać pytań w grzeczniejszy sposób, natychmiast kończę wywiad.

— Ale, doktorze Simcoe... czy prawdą jest, że wszystkie zgony i zniszczenia to wasza wina? Czy nie przeprowadził pan eksperymentu, który potoczył się nie tak, jak powinien?

Lloyd zachował spokojny ton.

— Ludzie, ja nie żartuję. Na dziś mam już dość kontaktów z mediami; jeszcze jedno takie pytanie i stąd idę.

Zapadła głucha cisza. Reporterzy wymieniali spojrzenia, co jakiś czas zerkając na Lloyd'a.

— Ale wszystkie ofiary... — odezwał się jeden z nich.

— Dość — warknął Lloyd. — Żegnam. — I odszedł.

— Proszę zaczekać! — krzyknął za nim jeden z dziennikarzy.  
— Stop! — krzyknął inny.

Lloyd się odwrócił.

— Tylko jeśli potraficie zadać inteligentne, kulturalne pytania.

Po chwili wahania, niemal potulnie rękę uniosła ciemnoskóra dziennikarka.

— Tak? — spytał Lloyd, unosząc brwi.

— Doktorze Simcoe, jaka będzie według pana decyzja ONZ?

Lloyd skinął w jej stronę, dając do zrozumienia, że takie pytanie jest do przyjęcia.

— Naprawdę nie mam pojęcia. Instynktownie wiem, że powinniśmy spróbować powtórzyć eksperyment, ale jestem naukowcem i tego typu potrzeba powtarzalności wpisana jest w mój zawód. Naprawdę sędzę, że wszyscy ludzie tego chcą, ale czy ich przywódcy zechcą spełnić ich oczekiwania? Tego nie jestem w stanie przewidzieć.

Theo również przyleciał do Nowego Jorku i wieczorem wraz z Lloydem trafił do ekstrawaganckiego baru z owocami morza w Ambassador Grill hotelu ONZ Plaza-Park Hyatt.

— Zbliżają się urodziny Michiko — stwierdził Theo, odłamując kleszcze homara.

Lloyd skinął głową.

— Wiem.

— Zamierzasz urządzić przyjęcie niespodziankę?

Lloyd myślał przez chwilę, po czym odparł:

— Nie.

Spojrzenie Theo wyraźnie mówiło, że według niego gdyby Lloyd ją kochał, przygotowałby przyjęcie. Lloyd nie miał ochoty się tłumaczyć. Nigdy wcześniej o tym tak naprawdę nie myślał, ale gdy tylko został poruszony ten temat, od razu był pewien

swojego zdania. Przyjęcia niespodzianki to oszustwo. Pozwala się komuś przez cały dzień myśleć, że zapomniało się o jego urodzinach. Celowo dołącza się daną osobę, by czuła się porzucona, zaniedbana, zapomniana i niedoceniona. Poza tym trzeba ją okłamywać całymi tygodniami przed danym dniem. I wszystko po to, by w chwili, gdy goście krzykną „niespodzianka” solenizant poczuł się kochany.

Lloyd postanowił, że w małżeństwie z Michiko nie będzie musiał doprowadzać do takich sytuacji, by Michiko poczuła się kochana. Będzie wiedziała o tym każdego dnia, w każdej chwili; jej pewność w tej kwestii pozostanie niezachwiana. Jego miłość będzie jej nieustannie towarzyszyć aż do śmierci.

No i naturalnie nigdy jej nie okłamię... nawet jeśli teoretycznie byłoby to dla jej dobra.

— Jesteś pewien? — spytał Theo. — Chętnie bym ci pomógł.

— Nie — odparł Lloyd, kręcąc nieznacznie głową. Theo był tak młody i tak naiwny. — Nie, dziękuję.



## 23.

Debaty w ONZ trwały. Podczas pobytu w Nowym Jorku Theo otrzymał kolejną odpowiedź na swoje ogłoszenie w sprawie informacji o morderstwie. Już miał wysłać krótką, grzeczną odpowiedź... przecież miał zaprzestać poszukiwań, naprawdę miał taki zamiar, ale, cholera, wiadomość była zbyt intrygująca. — Z początku się nie kontaktowałem — zaczynał się mail — ponieważ wierzyłem, że przyszłość jest niezmienna, a to, co ma się stać oraz moja w tym rola, są nieuniknione. Ale teraz podają, że jest inaczej, więc muszę zwrócić się do pana o pomoc.

Wiadomość przyszła z Toronto, a to tylko godzina lotu z Wielkiego Jabłka. Theo zdecydował się na tę podróż i spotkanie z autorem listu. Była to jego pierwsza wizyta w Kanadzie i zupełnie nie był przygotowany na letnie upały. Choć oczywiście nie było tam gorąco według standardów śródziemnomorskich, temperatura rzadko przekraczała trzydzieści pięć stopni. Ale i tak był zaskoczony.

Pobyt z noclegiem wychodził taniej niż lot w obie strony tego samego dnia. Dlatego też musiał sobie jakoś zorganizować wieczór w Toronto. Pracownik biura podróży zaproponował mu hotel przy Danforth — głównej magistrali wschód-zachód Toronto, gdzie też znajdowało się największe skupisko społeczności greckiej. Theo przyjął tę ofertę i z radością odkrył, że napisy na tablicach w tej części miasta są w dwóch językach — angielskim i greckim.

Spotkanie jednak nie miało się odbyć w Danforth, a w North Yorku, dzielnicy będącej niegdyś osobnym miastem, którą w końcu włączono do Toronto, a która obecnie liczyła trzy miliony mieszkańców. Na miejsce dojechał następnego dnia metrem. Rozbawił go fakt, iż komunikację miejską oznaczano skrótem TTC (od Toronto Transit Commission), czyli tym samym, jakim miano pewnego dnia określać zderzacz tachionowo-tardionowy.

Wagony metra były przestronne i czyste, choć słyszał, że w godzinach szczytu były bardzo zatłoczone. Był pod ogromnym wrażeniem jazdy metrem — choć akurat w tym przypadku nazwa ta była mało adekwatna — nad Don Valley Parkway pociąg musiał znajdować się jakieś sto metrów nad ziemią i poruszał się po specjalnych szynach. Widok był niesamowity, choć najbardziej zadziwiający był fakt, iż most nad Don Valley zbudowano dziesiątki lat przed wybudowaniem w Toronto pierwszej linii metra, a i tak plany uwzględniały dwa tory. Nieczęsto spotykało się w miastach tak dalekowzroczone planowanie.

Przesiadł się na stacji Yonge i pojechał do North York Centre. Z zaskoczeniem odkrył, że nie musi wychodzić na zewnątrz, by przejść do apartamentowca, w którym był umówiony; wchodziło się do niego bezpośrednio ze stacji. Ten sam kompleks mieścił księgarnię (należącą do sieci Indigo), kino i duży market spożywczy Loblaws, który najwyraźniej specjalizował się w produktach marki President's Choice. Theo był tym nieco zaskoczony; w kraju bez prezydenta spodziewałby się raczej produktów Prime Minister's Choice.

Przedstawił się konsjerżowi. Ten skierował go przez wyłożony marmurem hol do windy którą wjechał na trzydzieste piąte piętro. Tam już bez problemu znalazł mieszkanie, którego szukał i zapukał do drzwi.

Otworzył mu starszy Azjata.

— Witam — powiedział doskonałym angielskim.

— Witam, panie Cheung — odpowiedział Theo. — Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać.

— Zechce pan wejść?

Mężczyzna, który musiał być po sześćdziesiątce, odsunął się, by wpuścić Theo. Theo zdjął buty i wszedł do oszłamiającego apartamentu. Cheung zaprowadził go do salonu, którego okna wychodziły na południe. Theo widział w oddali centrum Toronto z jego drapaczami chmur, smukłą iglicą Wieży CN, a także jeziorem Ontario rozciągającym się aż po horyzont.

— Doceniam fakt, iż pan do mnie napisał — stwierdził Theo.

— Jak się pan domyśla, to dla mnie bardzo trudna sytuacja.

— Niewątpliwie — przyznał Cheung. — Czy napije się pan herbaty? Kawy?

— Nie, dziękuję.

— W takim razie — powiedział mężczyzna — proszę usiąść.

Theo usiadł na kanapie obitej pomarańczową skórą. Na ławie przed nią stała porcelanowa waza.

— Jest piękna — stwierdził Theo.

Cheung skinął głową.

— Z czasów dynastii Ming, naturalnie; ma niemal pięćset lat. Rzeźbiarstwo to najwspanialsza ze sztuk. Tekst pisany traci znaczenie w chwili, gdy język wychodzi z użycia, ale przedmiot,

który może przetrwać wieki... oto coś, czemu należy się szacunek. Każdy dziś może podziwiać piękno starożytnych wyrobów Chińczyków, Egipcjan bądź Azteków; ja je kolekcjonuję. Rzemieślnicy, którzy je wykonali, wciąż żyją dzięki swej pracy.

Theo wydał bliżej nieokreślony dźwięk i rozsiadł się na kanapie. Na ścianie naprzeciwko wisiał obraz przedstawiający Kowloon. Theo skinął w jego stronę.

— Hongkong — stwierdził.

— Tak. Zna pan to miejsce?

— W 1996 roku, kiedy miałem czternaście lat, rodzice zabrali nas tam na wakacje. Chcieli, żebyśmy... to znaczy ja i mój brat, zobaczyli je nim zostanie oddane komunistycznym Chinom.

— Tak, te ostatnie kilka lat to był niezwykły okres dla turystyki — rzucił Cheung. — Ale był to również okres emigracji; sam wtedy wyjechałem z Hongkongu do Kanady. Ponad dwieście tysięcy mieszkańców Hongkongu przeniosło się do Kanady, nim Brytyjczycy oddali ich kraj Chińczykom.

— Pewnie sam też bym wyjechał — stwierdził Theo ze współczuciem w głosie.

— Wyjechali ci, którzy mogli sobie na to pozwolić. A według wizji, które nawiedziły ludzi, w Chinach nic się nie zmieni w przeciągu najbliższych dwudziestu jeden lat, więc naprawdę się cieszę; że wyjechałem; nie mógłbym znieść utraty wolności. — Starszy mężczyzna przerwał. — Ale pan, mój młody przyjacielu, stoi w obliczu znacznie poważniejszej straty, nieprawdaż? Jeżeli o mnie chodzi, wcale nie zdziwiłoby mnie, gdybym się dowiedział, że za dwadzieścia jeden lat już mnie nie będzie;

byłem zachwycony informacją, że fakt wystąpienia wizji sugeruje, iż będę wówczas żył. A w zasadzie, jako że w wizji byłem raczej żwawy, zaczynam podejrzewać, że zostało mi więcej niż dwadzieścia jeden lat. Tymczasem pana życie może zostać znienacka ucięte... w swojej wizji, jak pisałem w mailu, słyszałem pana nazwisko. Proszę wybaczyć, nigdy wcześniej o panu nie słyszałem. Ale pana nazwisko, Theodosios Procopides, jest wystarczająco melodyjne, by utkwic mi w pamięci.

— Napisał pan, że w pańskiej wizji ktoś mówił o planach zabicia mnie.

— Brzmi to niewątpliwie złowieszczo. Ale, jak napisałem, niewiele więcej wiem na ten temat.

— Nie wątpię, panie Cheung. Ale gdyby udało mi się dotrzeć do mężczyzny, z którym pan rozmawiał w wizji, zapewne on wiedziałby więcej.

— Niestety, jak już pisałem, nie wiem, kto to.

— A czy mógłby go pan opisać?

— Naturalnie. Był biały. Jak Europejczyk z północy, nie miał oliwkowej skóry jak pan. W mojej wizji nie miał więcej niż pięćdziesiąt lat, co oznacza, że obecnie jest w pana wieku. Rozmawialiśmy po angielsku, miał amerykański akcent.

— Jest wiele amerykańskich akcentów — stwierdził Theo.

— Tak, naturalnie — przyznał Cheung. — Chodzi mi o akcent z Nowej Anglii... być może z Bostonu.

Wszystko wskazuje na to, że Lloyd w swojej wizji również znalazł się w Nowej Anglii; naturalnie Cheung nie mógł rozmawiać z Lloydem, gdyż w danej chwili Lloyd zaliczał tamtą staruchę...

— Co jeszcze mógłby mi pan powiedzieć o tym, jak mówił? Czy brzmiał jak ktoś dobrze wykształcony?

— Tak, gdy teraz o tym myślę, to chyba tak właśnie było. Użył słowa „zaniepokojony”, może nie jest to nazbyt wyszukany zwrot, ale nie użyłby go jakiś analfabeta.

— A co dokładnie powiedział? Czy mógłby mi pan powtórzyć tę rozmowę?

— Spróbuję. Znajdowaliśmy się w jakimś pomieszczeniu. W Ameryce Północnej. Tyle mogę wywnioskować na podstawie gniazdek elektrycznych; według mnie wyglądają tu jak zdziwione dzieci. W każdym bądź razie tamten mężczyzna powiedział: „On zabił Theo”.

— Zabił mnie mężczyzna, z którym pan rozmawiał?

— Nie. Nie, cytuję. Powiedział „on”, jakiś inny on, „zabił Theo”.

— Jest pan pewien, że powiedział „on”?

— Tak.

No, to już coś; za jednym zamachem można wyeliminować cztery miliardy potencjalnych podejrzanych.

Cheung mówił dalej.

— Powiedział „On zabił Theo”, a ja odpowiedziałem „Jakiego Theo?” I wtedy ten mężczyzna odpowiedział: „No wiesz, Theodosiosa Procopidesa”, na co zareagowałem: „A, tak”. Tak właśnie powiedziałem. „A, tak”. Obawiam się, że mój potoczny angielski nie osiągnął jeszcze tego stopnia nieformalności, ale wychodzi na to, że przez dwadzieścia jeden lat tak się stanie. W każdym bądź razie najwyraźniej pana poznam, albo przynajmniej o panu usłyszę do roku 2030.

— Proszę kontynuować.

— I wtedy mój rozmówca powiedział: „Ubiegł nas”.

— Słucham?

— Powiedział: „ubiegł nas”. — Cheung opuścił głowę.

— Tak, wiem jak to brzmi... jakbym wraz ze swoim wspólnikiem również planował zamach na pana życie. — Mężczyzna rozłożył ręce. — Doktorze Procopides, jestem zamożnym człowiekiem, a nawet bardzo zamożnym. Nie będę twierdził, że ludzie osiągają ten poziom bez pewnej dozy bezwzględności, gdyż obydwaj wiemy, że to nieprawda. Na przestrzeni lat zdarzało mi się szorstko postępować z konkurentami i być może nawet balansowałem na granicy prawa. Ale jestem nie tylko biznesmenem, ale i chrześcijaninem. — Uniósł dłoń. — Proszę się nie niepokoić, nie zamierzam panu prawić morałów... wiem, że w niektórych zachodnich kręgach otwarte przyznawanie się do przekonań religijnych wprowadza niezręczną atmosferę, jakby ktoś poruszył temat, jakiego nie należy poruszać w przyzwoitym towarzystwie. Wspominam o tym tylko dlatego, iż ma to znaczenie: może i jestem twardym człowiekiem, ale jestem też bogobożny... i nigdy nie zgodziłbym się na morderstwo. Jak sobie pan może wyobrazić, w tak zaawansowanym wieku mam już swoje przyzwyczajenia; trudno mi uwierzyć, bym pod koniec życia złamał kodeks moralny, którego przestrzegałem od dziecka. Wiem, co sobie pan myśli... oczywistą interpretacją słów „ubiegł nas” jest to, iż ktoś pana zabił nim zdążyli tego dokonać moi wspólnicy. Ale powtórzę jeszcze raz: nie jestem mordercą. Poza tym, wiem, że jest pan fizykiem, a ja raczej nie

prowadzę interesów w tej dziedzinie... zajmuję się przede wszystkim inwestycjami w badania biologiczne oraz nieruchomości, w które naturalnie wszyscy powinni inwestować. Tak więc zajmuję się farmaceutyką, inżynierią genetyczną i podobnymi sprawami. Proszę zrozumieć, sam nie jestem naukowcem tylko kapitalistą. Ale zgodzi się pan chyba, że fizyk nie mógłby stanowić przeszkody na drodze do rzeczy, którymi się zajmuję, a jak już mówiłem, nie jestem mordercą. Niemniej jednak, w trakcie wizji padły słowa, które przytaczam dosłownie: „Ubiegł nas”.

Theo spojrzał na swojego rozmówcę z namysłem.

— Jeśli tak — powiedział w końcu, ostrożnie dobierając słowa — to czemu mi pan o tym mówi?

Cheung skinął głową, jakby spodziewał się tego pytania.

— Naturalnie zazwyczaj nie omawia się planów morderstwa z ofiarą tegoż. Ale jak już powiedziałem, doktorze Procopides, jestem chrześcijaninem i dlatego wierzę, że na szali nie leży tylko pańskie życie, ale i moja dusza. Nie interesuje mnie angażowanie się, choćby marginalnie w coś tak grzesznego jak zabójstwo. A skoro przyszłość jednak może ulec zmianie, bardzo bym sobie tego życzył. Jest pan na tropie osoby, która ma pana zabić; jeśli uda się panu zapobiec śmierci z jej ręki, kimkolwiek by była, wówczas... no cóż, moich wspólników nikt nie ubiegnie. Ufam, iż nie tylko uniknie pan zastrzelenia — bo zginął pan od strzału z broni palnej, prawda? — nie tylko przez tamtą osobę, ale również przez wszystkich ludzi związanych ze mną. Nie chcę pańskiej, ani niczyjej krwi na swoich rękach.



Theo głośno wypuścił powietrze. Wystarczająco oszałamiała go myśl, że ktoś chciałby go kiedyś zabić... a wiadomość, że będą też inni chętni, by go zamordować, była prawdziwym szokiem.

Być może staruszek był szalony, choć na to nie wyglądał. Ale za dwadzieścia jeden lat miałby... no właśnie, ile?

— Proszę wybaczyć moją impertynencję — powiedział Theo — ale czy mógłbym wiedzieć, kiedy się pan urodził?

— Ależ oczywiście. Urodziłem się dwudziestego dziewiątego lutego 1932 roku. Czyli mam w sumie dziewiętnaście lat.

Oczy Theo rozszerzyły się ze zdumienia. A jednak to czubek... Cheung skwitował jego minę uśmiechem.

— To dlatego, że urodziłem się dwudziestego dziewiątego lutego, rozumie pan... ten dzień wypada tylko raz na cztery lata. Tak naprawdę mam siedemdziesiąt siedem lat.

Czyli znacznie więcej, niż Theo zakładał. Poza tym, mój Boże, w 2030 roku ten człowiek będzie miał dziewięćdziesiąt osiem lat.

Coś przyszło Theo do głowy. Rozmawiał z wieloma osobami, które w 2030 roku spały; zazwyczaj łatwo było odróżnić sen od rzeczywistości. Ale jeśli Cheung miał wówczas dziewięćdziesiąt osiem lat, to może miał Alzheimera? Jak wyglądają myśli tak schorowanego mózgu?

— Oszczędzę panu konieczności zadania tego pytania — rzucił Cheung. — Nie mam genu Alzheimera, jestem tak samo zaskoczony jak pan faktem, że za dwadzieścia jeden lat będę żyć i równie zszokowany tym, że mając całe życie za sobą, przeżyję kogoś tak młodego jak pan.

— Naprawdę urodził się pan dwudziestego dziewiątego lutego? — spytał Theo.

— Tak. Ale to nic nadzwyczajnego; na świecie żyje około pięciu milionów ludzi obchodzących urodziny w tym dniu.

Theo zastanowił się chwilę, po czym stwierdził:

— Więc ten mężczyzna powiedział do pana: „Ubiegł nas”. A co mu pan odpowiedział?

— Powiedziałem i jeszcze raz proszę wybaczyć mi te słowa: „Na jedno wychodzi”.

Theo zmarszczył brwi.

— A potem — kontynuował Cheung — dodałem: „Kto następny?”. Na co mój współnik odparł: „Korolow”. Korolow, pewnie to się pisze KOROLOW. To rosyjskie nazwisko, prawda? Czy coś panu mówi?

Theo pokręcił głową.

— Nie. — Chwila milczenia. — Więc panowie planowali również pozbycie się Korolowa?

— Wszystko na to wskazuje. Ale nie mam pojęcia, kim on lub ona jest.

— On.

— Przecież powiedział pan, że nie słyszał o nikim takim.

— Nie słyszałem, ale Korolow to męskie nazwisko. W Rosji żeńskie nazwiska kończą się na — owa, a męskie na — ow.

— Aha — rzucił Cheung. — W każdym bądź razie, po tym, jak tamten mężczyzna powiedział „Korolow”, odpowiedziałem: „Cóż, nie wyobrażam sobie, by ktoś inny go szukał”. A mój współnik powiedział: „Bez obaw, Ubu...”, Ubu to przezwisko, którego mogą używać moi najbliżsi przyjaciele, choć, jak już

mówiłem, nie poznałem jeszcze tego mężczyzny. „Bez obaw, Ubu”, tak powiedział. „Ten, który dopadł Procopidesa nie ma nic wspólnego z Korolowem”. A potem ja stwierdziłem: „To dobrze. Zajmij się tym, Darryl”, czyli tak właśnie ma na imię mężczyzna, z którym rozmawiałem. Otworzył usta, by coś odpowiedzieć, ale wtedy nagle wróciłem do roku 2009.

— Więc to wszystko, co pan wie? Że pan i mężczyzna o imieniu Darryl będą chcieli zlikwidować kilka osób, w tym mnie i jakiegoś Korolowa, ale że ktoś inny, mężczyzna, który nic nie ma do Korolowa, zabije mnie przed panami?

Cheung wzruszył przepraszająco ramionami, ale Theo nie potrafił stwierdzić, czy był to wyraz żalu z powodu irytujących luk w informacjach, czy też z powodu faktu, iż któregoś dnia będzie chciał go zabić.

— Dokładnie tak.

— A ten Darryl... nie wyglądał przypadkiem jak bokser? Wie pan, taki zawodowy?

— Nie. Powiedziałbym, że miał za duży brzuch jak na sportowca.

Theo oparł się plecami o oparcie kanapy, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Dziękuję za te informacje — rzucił w końcu.

— Tyle przynajmniej mogłem zrobić — stwierdził Cheung. Przerwał na chwilę, jakby rozważał, czy rozsądnie będzie jeszcze coś dodawać, aż w końcu oznajmił: — Dusze są nieśmiertelne, doktorze Procopides, a w religii chodzi o sprawiedliwe nagrody. Spodziewam się, że czekają pana wznioślejsze rzeczy i że w końcu zostanie pan wynagrodzony,

naturalnie jeśli uda się panu wystarczająco długo pozostać przy życiu. Proszę wyświadczyć sobie, a w zasadzie nam obu przysługę i nie przerywać swych poszukiwań.

# 24.

Theo wrócił do Nowego Jorku i opowiedział Lloydowi o spotkaniu z Cheungiem. Lloyd był równie zdumiony słowami starca, co Theo. Zostali w Nowym Jorku jeszcze osiem dni, podczas których Organizacja Narodów Zjednoczonych gorąco debatowała nad ich propozycją.

Chiny poparły wniosek o wydanie zgody na powtórny eksperyment. Nawet pomimo dowodów, że przyszłość jednak nie jest niezmienna, fakt, iż według pierwszych wizji totalitarny rząd Chin nadal trzymał kraj w żelaznym uścisku, ogromnie pomógł w walce z dysydentami. A w przypadku Chin była to kwestia kluczowa. Istniały tylko dwie możliwe wersje przyszłości: albo dyktatura komunistyczna przetrwa albo nie. Pierwsze wizje potwierdziły, że przetrwała. Jeśli drugie wizje pokazałyby to samo — że nawet pomimo wiedzy, iż przyszłość można zmienić, komunizmu nie udało się obalić — to duch w dysydentach zostałyby ostatecznie złamany. Byłby to idealny przykład czegoś, co „The New York Times” nazwał w wątpliwej jakości żarcie słownym „Dołującą i Mroczną wizją jutra”, na cześć Dimitriosa Procopidesa, który załamał się swoją wizją przyszłości i zrezygnował z prób jej zmienienia.

Co jednak by się stało, gdyby drugie wizje pokazały, że komunizm upadł? Wówczas Chiny nie znalazłyby się wcale w gorszej sytuacji niż przed Futurospekcją. Z punktu widzenia pekińskiego rządu, warto było zaryzykować.

Ambasadorzy z Unii Europejskiej najwyraźniej również zamierzali zagłosować za przyjęciem wniosku, z dwóch powodów. Jeśli powtórny eksperyment by się nie powiódł, położyłoby to zapewne kres nieprzerwanemu strumieniowi pozwów przeciwko CERN-owi i krajom członkowskim UE. A jeśli udałoby się go powtórzyć, wówczas drugi wgląd w przyszłość byłby jeszcze darmowy, ale każdy kolejny można by było sprzedać ludzkości za miliardy euro. Fakt, inne kraje mogłyby spróbować zbudować własne zderzacze, produkujące energię na poziomie tej w LHC, ale według pierwszych wizji świat był pełen zderzaczy tachionowo-tardionowych, a i tak nic nie wskazywało na to, by można było bez problemu wywołać wizje. Jeśli to CERN był za nie odpowiedzialny, musiał to być jedyny ośrodek będący w stanie do nich doprowadzić, być może za sprawą konkretnej kombinacji parametrów, nie do powtórzenia w innym akceleratorze.

Ponownemu eksperymentowi najostrzej sprzeciwiały się kraje półkuli zachodniej, gdzie ludzie najczęściej nie spali w chwili przeniesienia do roku 2030, czyli kraje, w których największa liczba osób odniosła obrażenia lub zmarła. Obiekcje te wynikały głównie z oburzenia z powodu szkód poniesionych za pierwszym razem oraz obawy, iż drugie wizje będą równie tragiczne w skutkach.

Na półkuli wschodniej odnotowano stosunkowo niewiele szkód; w wielu krajach ponad dziewięćdziesiąt procent ludności w chwili wystąpienia Futurospekcji spało lub przynajmniej znajdowało się w łóżku. Odnotowano niewiele ofiar i nieznaczne szkody materialne. Według nich dobrze

zorganizowana, ogłoszona z odpowiednim wyprzedzeniem powtórka nie stanowiłaby poważnego ryzyka. Oddalali argumenty przeciwko powtórzeniu eksperymentu jako bardziej emocjonalne niż racjonalne. Ponadto, według badań ankietowych przeprowadzonych na całym świecie osoby, które doświadczyły wizji były z nich ogromnie zadowolone, nawet pomimo dowodów, że przyszłość w nich ujawniona nie jest niezmienna. Co więcej, osoby, którym nie podobała się wizja ich przyszłości, wiedząc, iż przyszłość może ulec zmianie, były nawet bardziej zadowolone z wglądu w przyszłość od osób, które widziały pozytywne obrazy.

Choć formalnie nie mógł zabierać głosu w debacie ONZ, papież Benedykt XVI dorzucił swoje trzy grosze ogłaszając, iż wizje były w pełni zgodne z doktryną katolicką. Gwałtowny wzrost liczby wiernych na mszach po Futurospekcji z pewnością przyczynił się do zajęcia takiego stanowiska.

Premier Kanady również była zadowolona z wizji, gdyż według nich Quebec pozostał integralną częścią kraju. Prezydent Stanów Zjednoczonych już nie był tak entuzjastycznie nastawiony: co prawda za dwie dekady Ameryka miała utrzymać swoją pozycję światowego lidera, jednak doradcy prezydenta wyrażali poważne obawy, gdyż pierwsze wizje poważnie zaszkodziły narodowemu bezpieczeństwu. Wszystko za sprawą osób, w niektórych przypadkach jeszcze będących dziećmi, których póki co nie wiązał obowiązek zachowania tajemnicy, a które miały wgląd w różnego rodzaju zakulisowe informacje. Poza tym demokrate niewątpliwie bolał fakt, że w 2030 roku jego urząd piastować

będzie republikanin, Franklin Hapgood, który obecnie wykładał nauki polityczne na Purdue.

Delegacja amerykańska zatem sprzeciwiała się powtórce eksperymentu:

— Jeszcze nie pochowaliśmy wszystkich ofiar — powiedział jeden z ambasadorów. Z kolei delegacja japońska odparła ten argument twierdząc, że nawet jeśli wizje nie przedstawiały faktycznej przyszłości, najwyraźniej pokazały przyszłość roboczą. USA jako kraj, w którym znaczny odsetek osób doświadczył wizji pokazujących środek dnia, próbowało zagarnąć wszystkie nowinki technologiczne widziane w tych wizjach. Pierwsza Futurospekcja miała miejsce o jedenastej dwadzieścia jeden czasu Los Angeles i o czternastej dwadzieścia jeden czasu Nowego Jorku, ale w Tokio była wówczas trzecia dwadzieścia jeden nad ranem; większość japończyków nie zobaczyła w wizjach nic ponad swoje przyszłe sny. Ameryka wykorzystywała nowe technologie i wynalazki widziane w wizjach swoich obywateli, a Japonia i reszta półkuli wschodniej niesłusznie pozostawały w tyle.

Ten argument ponownie skłonił delegację chińską do zabrania głosu; Chińczycy wyraźnie czekali, aż ktoś inny poruszy tę kwestię. Futurospekcja zdarzyła się o drugiej dwadzieścia jeden nad ranem czasu pekińskiego; zatem większość Chińczyków również w swoich wizjach spała, jeśli Futurospekcja miała zostać wywołana ponownie, wówczas — jak tłumaczyli Chińczycy — powinna zostać przesunięta o dwanaście godzin. Dzięki temu, jeśli świadomość zostanie ponownie przeniesiona o dwadzieścia jeden lat, sześć miesięcy,



dwa dni i dwie godziny, skorzystaliby głównie ludzie na półkuli wschodniej, co wyrównałoby rachunki.

Rząd japoński natychmiast poparł Chiny w tej kwestii. Indie, Pakistan i obydwie Koree zgodziły się, uznając to za jedyne sprawiedliwe rozwiązanie.

Wschód prawdopodobnie nie mylił się co do tego, że Ameryka próbowała zyskać przewagę technologiczną. Stany upierały się, że jeśli ma dojść do powtórzenia eksperymentu, powinna zostać również zachowana pierwotna godzina. Argumentowali to w sposób naukowy: jeśli ma dojść do faktycznego powtórzenia eksperymentu, wówczas należy dołożyć wszelkich starań, by jak najwięcej parametrów było zgodne z pierwszą próbą.

W związku z tym ponownie wezwano przed Zgromadzenie Ogólne Lloyd Simcoe.

— Przestrzegałbym przed bezpodstawną zmianą któregokolwiek z parametrów — oznajmił Simcoe — ale jako że nie posiadamy jeszcze pełnego modelu tego zjawiska, nie potrafię w sposób kategoriyczny stwierdzić, czy przeprowadzenie eksperymentu w nocy, a nie w dzień miałyby jakieś znaczenie. Bądź co bądź tunel LHC jest dobrze ekranowany przed wyciekami promieniowania, a osłony te zatrzymują również promieniowanie słoneczne oraz inne rodzaje promieniowania zewnętrznego. Niemniej jednak odradzałbym zmianę pory dnia.

Delegat z Etiopii stwierdził, że Simcoe sam jest Amerykaninem, więc nic dziwnego, że broni amerykańskich interesów. Lloyd odparł, że jest Kanadyjczykiem, ale nie zrobiło

to na Afrykaninie żadnego wrażenia; w końcu Kanada również skorzystała aż nadto z wizji przyszłości swoich obywateli.

Tymczasem świat islamski twierdził, że wizje to *ilham* (boskie natchnienie zsyłane wprost do ludzkich umysłów i dusz), a nie *wahj* (boskie ujawnienie faktycznej przyszłości, jako że z definicji *wahj* mogli doświadczyć tylko prorocy). Fakt, iż przyszłość nie była jednak niezmienna, zdawał się potwierdzać islamski punkt widzenia i choć przywódcy islamscy nie powoływali się na metaforę ze Scrooge'em, koncepcja otrzymania wizji, dzięki której ludzie mogliby doskonalić swe życie religijne i duchowe interpretowana była w większości przypadków jako w pełni zgodna z Koranem.

Niektórzy z muzułmanów sprzeciwiali się temu pogładowi twierdząc, że wizje to dzieło demona i część postępującej zagłady świata. Niemniej jednak, przywódcy duchowi islamu zgodnie odrzucali pomysł, jakoby przyczyną był eksperyment fizyczny, uznając to za błędną, świecką, zachodnią interpretację. Według nich wizje miały zdecydowanie duchowy wymiar i żadne urządzenia nie mogły wywołać podobnych doświadczeń.

Lloyd obawiał się, że w związku z tym kraje arabskie sprzeciwią się powtórzeniu eksperymentu. Ale najpierw Wilayat al-Faqih z Iranu, następnie Shayk al-Azhar z Egiptu, a potem kolejni szejkwowie i imamowie świata muzułmańskiego poparli wniosek, głównie dlatego, iż porażka udowodniłaby niewiernym, że pierwsze wizje miały charakter duchowy, a nie świecki.

Naturalnie rządy krajów islamskich często nie zgadzały się z wiernymi. Dla rządów płaszczących się przed Zachodem, popieranie powtórzenia eksperymentu pod warunkiem dwunastogodzinnego przesunięcia, na które nalegali Azjaci, było podwójnie korzystne: jeśli powtórka by się nie powiodła, zachodni naukowcy wyszliby na durniów, a świecki pogląd na świat zostałby ośmieszony; w przypadku sukcesu, nastąpiłby rozwój gospodarczy w krajach muzułmańskich, gdyż ich obywatele mieliby podobny wgląd w technologie przyszłości, jakiego już doświadczyli Amerykanie.

Lloyd przewidywał, że ci, którzy nie mieli żadnych wizji, czyli ci, którzy rzekomo już nie żyli, również będą przeciwni powtórcie, a tymczasem większość z nich gorąco ją popierała. Młodsze osoby, które nie doświadczyły wizji, a których „Newsweek” określił mianem „ci kłopotliwi zmarli”, często powoływali się na chęć udowodnienia, że za brakiem wizji niekoniecznie stoi śmierć. Osoby starsze, których wizje nie dotyczyły, w większości przypadków już się pogodziły ze swoją śmiercią w przeciągu nadchodzących dwudziestu jeden lat, ale i tak chciały dowiedzieć się z relacji innych osób, jak będzie wyglądać przyszłość, której nie doczekają.

Niektóre kraje, w tym Portugalia i Polska, postulowały odłożenie powtórnego eksperymentu o co najmniej rok. Wysłunięto w związku z tym trzy ważne kontrargumenty. Po pierwsze, jak zauważył Lloyd, im więcej czasu upłynie, tym większe prawdopodobieństwo, iż któryś z czynników zewnętrznych ulegnie zmianie, uniemożliwiając powtórzenie eksperymentu. Po drugie, konieczność zapewnienia

bezpieczeństwa w trakcie eksperymentu póki co żyła w świadomości społecznej, a im bardziej powaga wypadków, do których doszło za pierwszym razem odeszłaby w niepamięć, tym większe prawdopodobieństwo, że ludzie zaniedbają istotne kwestie następnym razem. Po trzecie, ludzie pragnęli informacji, które by potwierdziły lub zaprzeczyły wydarzeniom widzianym w trakcie pierwszych wizji, dzięki czemu osoby zaniepokojone własną przyszłością mogłyby się upewnić, że są na właściwej ścieżce, by zmienić coś na lepsze. Jeśli kolejne wizje również pokazałyby przyszłość oddaloną o dwadzieścia jeden lat, sześć miesięcy, dwa dni i dwie godziny od chwili rozpoczęcia eksperymentu, każdy dzień zwłoki zmniejszałby szanse na to, by nowe wizje miały związek z pierwszymi, co z kolei utrudniałoby ich porównanie.

Istniały również dobre powody ekonomiczne do tego, by szybko powtórzyć eksperyment, jeśli w ogóle miałyby do tego dojść. Wiele z firm funkcjonowało w ograniczonym zakresie ze względu na uszkodzenie sprzętu lub ubytki personelu w wyniku pierwszej Futurospekcji. Przerwa w pracy w najbliższej przyszłości spowodowana drugą Futurospekcją nie skutkowałaby tak dużym spadkiem wydajności, jak Futurospekcja powtórzona za kilka miesięcy lub lat, kiedy to wszystkie firmy i fabryki działałyby już pełną parą.

Debaty dotyczyły szeregu tematów: gospodarki, bezpieczeństwa narodowego (co by się stało, gdyby któryś z krajów przypuścił atak nuklearny na inny kraj tuż przed przeniesieniem świadomości?), filozofii, religii, nauki i zasad rządzących demokracją. Czy decyzja dotycząca całej ludzkości

powinna być podejmowana poprzez głosowanie, w którym każdy z krajów ma jeden głos? Czy liczba głosów powinna być proporcjonalna do liczby ludności danego kraju, dzięki czemu zdanie Chin miałoby decydujące znaczenie? Czy też decyzję należałoby podjąć w ogólnoświatowym referendum?

W końcu, po wielu zajadłych dyskusjach i kłótniach, ONZ podjęło decyzję: eksperyment LHC zostanie powtórzony z dwunastogodzinnym przesunięciem w stosunku do pierwszej próby.

Ambasadorzy Unii Europejskiej zgodnie stwierdzili, że poprą wniosek CERN-u pod jednym warunkiem: nie zostaną wniesione żadne pozwy na poziomie rządowym przeciwko CERN-owi, państwom, na terenie których się znajdował, ani też żadnemu z jego pracowników. Przegłosowano uchwałę ONZ, zakazującą wnoszenia tego typu pozwów do Sądu Światowego. Naturalnie nijak nie można było zabronić pozwów cywilnych, choć rządy Szwajcarii i Francji zgodnie ogłosiły, że ich sądy nie będą rozpatrywać takich spraw, a trudno byłoby dowieść, że jakikolwiek inny sąd ma tam jurysdykcję.

Największym problemem pod względem logistycznym były kraje Trzeciego Świata: kraje nierozwinięte i rozwijające się, gdzie wiadomości docierały wolno, jeśli w ogóle. Zdecydowano, iż eksperyment zostanie odłożony jeszcze o sześć tygodni, gdyż uznano, że tyle czasu wystarczy, by powiadomić maksymalnie dużo osób.

I tak ludzkość zaczęła przygotowania do kolejnego wglądu w przyszłość.

Michiko określiła całą akcję mianem Operacji Klaatu. W filmie „Dzień, w którym zatrzymała się Ziemia” Klaatu, przybysz z kosmosu, pozbawił świat elektryczności na trzydzieści minut, liczone od południa czasu waszyngtońskiego. Chciał w ten sposób pokazać światu, iż konieczny jest pokój; dołożył również wszelkich starań, by nikomu nic się nie stało. Samoloty pozostały w powietrzu, nie odcięto też prądu w salach operacyjnych. Tym razem zamierzali być równie ostrożni co Klaatu, nawet jeśli, jak zauważył Lloyd, filmowy bohater zginął za swe czyny. Choć oczywiście jako obcy zdołał powrócić do życia...

Lloyd był sfrustrowany. Za pierwszym razem z niewiadomych przyczyn eksperyment nie doprowadził do uzyskania bozonu Higgsa; miał ochotę nieco skorygować parametry w nadziei, iż tym razem uda się stworzyć tę nieuchwytną cząstkę. Wiedział jednak, że wszystko musi wyglądać jak za pierwszym razem. I że zapewne nigdy nie będzie miał okazji udoskonalić eksperymentu, a co za tym idzie, nigdy nie uzyska Higgsa. A to naturalnie oznaczało, że pewnie nigdy nie otrzyma nagrody Nobla.

Chyba że...

Chyba że potrafili przedstawić wyjaśnienie fizycznego mechanizmu Futurospekcji. jednak choć wszystko wskazywało na to, że to jego eksperyment spowodował dwudziestojednoletni skok w przyszłość i choć wraz ze wszystkimi pracownikami CERN-u łamał sobie głowę w poszukiwaniu przyczyny zjawiska, nie potrafił ustalić, dlaczego

miało miejsce. Równie dobrze ktoś inny, nawet niekoniecznie fizyk cząstek mógł ustalić, co dokładnie się wydarzyło.

# 25.

## D-Day.

Niemal wszystko wyglądało tak samo. Choć naturalnie teraz eksperyment odbywał się o niehumanitarnej piątej nad ranem, zamiast siedemnastej, ale jako że w centrum sterowania LHC nie było okien, różnica była niezauważalna. Zgromadziło się tam też więcej osób. Eksperymenty związane z fizyką cząstek rzadko przyciągały tłumy dziennikarzy, ale tym razem centrum prasowe CERN-u zmuszone było wylosować dwunastu reporterów, którzy mieli wstęp do środka. Wydarzenie relacjonowały telewizje na całym świecie.

We wszystkich zakątkach świata ludzie kładli się na łóżkach, kanapach, podłodze, trawie lub na gołej ziemi. Nikt nie pił niczego gorącego. Nie latały samoloty pasażerskie, wojskowe, ani prywatne. Ruch uliczny we wszystkich miastach został zatrzymany, a w zasadzie stało się tak już kilka godzin wcześniej, by nie doszło do żadnych kolizji, które wymagałyby akcji ratowniczej w trakcie powtórnego eksperymentu. Drogi szybkiego ruchu i autostrady albo były puste, albo wyglądały jak gigantyczne parkingi.

Aktualnie wokół ziemi orbitowały dwa wahadłowce — amerykański i japoński, jednak nie było powodów sądzić, by coś im groziło. Astronaucci na czas trwania eksperymentu mieli



wejść do śpiworów, tak samo jak dziewięć osób na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

Nie odbywały się żadne operacje, nikt nie podrzucał pizzy, nie działały żadne urządzenia. W dowolnej chwili jedna trzecia ludzkości śpi... ale obecnie niemal nikt z siedmiu miliardów ludzi nie spał. Jak na ironię, towarzyszący temu poziom aktywności musiał być najniższy w historii planety.

Tak jak za pierwszym razem, zderzeniem cząstek sterował komputer. Lloyd w zasadzie nie miał nic do roboty. Reporterzy ustawili kamery na stojakach, a sami położyli się na podłodze lub stołach. Theo też już leżał, tak samo jak Michiko, która położyła się nieco za blisko Theo, jak na gust Lloyda. Na podłodze przed konsolą główną zostało trochę miejsca, które zajął Lloyd. Widział stamtąd jeden z zegarów i wraz z nim zaczął odliczanie:

— Czterdzieści sekund.

Czy znów trafi do Nowej Anglii? Z pewnością wizja nie będzie kontynuacją tej pierwszej. Na pewno nie znajdzie się znów w łóżku z... mój Boże, nawet nie wiedział, jak miała na imię. Słowem się nie odezwała; naturalnie mogła być Amerykanką, Kanadyjką, Australijką, Brytyjką, Skandynawką, Francuzką... ciężko powiedzieć.

— Trzydzieści sekund — rzucił Lloyd.

Gdzie się poznali? Jak długo byli po ślubie? Czy mieli dzieci?

— Dwadzieścia sekund.

Czy było to szczęśliwe małżeństwo? Niewątpliwie na takie wyglądało w trakcie krótkiej wizji. Ale z drugiej strony, był świadkiem tego, jak jego rodzice okazywali sobie czułość.

— Dziesięć sekund.

Możliwe, że w ogóle jej nie zobaczy w nowej wizji.

— Dziewięć sekund.

Zresztą za dwadzieścia jeden lat będzie najprawdopodobniej spał i wcale nie musi mu się nic śnić.

— Osiem sekund.

Szanse na to, że zobaczy się ponownie, że znajdzie się przed lustrem lub będzie się oglądał na obrazie z kamer przemysłowych, były niemal zerowe.

— Siedem.

Ale z pewnością zobaczy coś odkrywczego i znaczącego.

— Sześć.

Coś, co da mu odpowiedź na co najmniej kilka najbardziej palących pytań.

— Pięć.

Coś, co będzie uzupełnieniem wcześniejszej wizji.

— Cztery.

Kochał Michiko, oczywiście.

— Trzy.

I pobiorą się bez względu na to, co widzieli w pierwszych wizjach i co mogą zobaczyć w drugich.

— Dwa.

Co nie zmienia faktu, że miło by było poznać imię tamtej kobiety...

— Jeden.

Nic. Ciemność. Cholera, w przyszłości jednak śpi! To niesprawiedliwe, w końcu to jego eksperyment. Jeśli ktokolwiek zasłużył na drugą wizję, to właśnie on, a poza tym...

Otworzył oczy; nadal leżał na plecach. Nad głową widział sufit centrum sterowania LHC.

O, Chryste... Chryste.

Za dwadzieścia jeden lat miałby sześćdziesiąt sześć lat.

A w kilka miesięcy od czasu pierwszej wizji...

Już będzie martwy.

Zupełnie jak Theo.

Cholera. Niech to szlag.

Obrócił głowę i zatrzymał wzrok na zegarze.

Niebieskie cyfry zmieniały się w ciszy: 22:00:11, 22:00:12, 22:00:13...

Nie stracił przytomności.

Nic się nie stało.

Próba odtworzenia Futurspekcji się nie powiodła, a...

Zielone kontrolki.

Zielone kontrolki na konsoli ALICE.

Lloyd wstał. Theo też się podnosił.

— Co się stało? — spytał jeden z reporterów.

— Wielkie nic — odpowiedział mu inny.

— Proszę — odezwała się Michiko. — Proszę, by wszyscy zostali na podłodze... nie wiemy, czy jest już bezpiecznie.

Theo poklepał Lloyd'a po plecach. Lloyd uśmiechał się od ucha do ucha. Odwrócił się i uściskał Theo.

— Chłopaki — rzuciła Michiko, podpierając się na łokciu.

— Nic się nie stało.

Lloyd wypuścił Theo z objęć i energicznie przemierzył pomieszczenie. Dotknął dłoni Michiko i podniósł ją na nogi, a potem objął.

— Co się stało, kochanie? — spytała Michiko.

Lloyd wskazał ręką konsolę. Oczy Michiko rozszerzyły się ze zdumienia.

— *Sinjirarenai!* — krzyknęła. — Udało się!

Lloyd uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Udało się nam!

— Udało się? — spytał jeden z reporterów. — Nic się nie stało do cholery!

— Wręcz przeciwnie — odparł Lloyd.

Theo również się uśmiechał.

— Faktycznie!

— Co? — naciskał ten sam reporter.

— Higgs! — oznajmił Lloyd.

— Co?

— Bozon Higgsa — stwierdził Lloyd, obejmując Michiko w pasie. — Mamy Higgsa!

Inny z dziennikarzy stłumił ziewnięcie.

— Wielkie mi kurwa co — stwierdził.

Lloyd udzielał wywiadu jednemu z dziennikarzy.

— Co się stało? — spytał go szorstki mężczyzna w średnim wieku, korespondent londyńskiego „Timesa”. — Lub może konkretniej, czemu nic się nie stało?

— Jak może pan mówić, że nic się nie stało? Udało się nam uzyskać bozon Higgsa!

— Ale to nikogo nie obchodzi. Chcieliśmy...

— I tu się pan myli — odparł Lloyd zdecydowanie.

— To przełom; to ogromne odkrycie. W każdych innych okolicznościach trafiłoby na czołówki gazet na całym świecie.

— Ale wizje...

— Nie potrafię wyjaśnić, czemu nie zostały powtórzone. Ale dzisiejsze wydarzenie naprawdę trudno nazwać porażką. Naukowcy mieli nadzieję na odkrycie bozonu Higgsa od chwili, gdy Glashow, Salam i Weinberg przewidzieli jego istnienie pół wieku temu...

— Ale ludzie oczekiwali kolejnej podróży w przyszłość i...

— Naprawdę to rozumiem — przerwał Lloyd. — Ale to właśnie odkrycie Higgsa, a nie jakaś głupawa pogoń za wglądem w przyszłość, było powodem budowy Wielkiego Zderzacza Hadronów. Wiedzieliśmy, że do uzyskania Higgsa potrzebne będzie ponad dziesięć trylionów elektronowoltów. Dlatego właśnie dziewiętnaście krajów, do których należy CERN zbudowało LHC. Dlatego właśnie Stany Zjednoczone, Kanada, Japonia, Izrael i inne kraje przekazały miliardy na ten projekt. To dobra strona nauki, ważna strona...

— Mimo to — wtrącił reporter — „Wall Street Journal” oszacował globalny koszt przerwy w pracy w związku z dzisiejszym eksperymentem na ponad czternaście miliardów dolarów, a to oznacza, że Projekt Klaatu to najdroższe przedsięwzięcie w historii ludzkości.

— Ale mamy Higgsa! Nie rozumie pan? Nie tylko potwierdza to teorię oddziaływania elektroslabego, ale i istnienie pola Higgsa. Teraz wiemy, dzięki czemu obiekty... ja, pan, ten stół, cała planeta mają masę. Bozon Higgsa wiąże się z fundamentalnym polem, które obdarza cząstki elementarne masą, a my właśnie potwierdziliśmy jego istnienie!

— Nikogo nie obchodzi jakiś tam bozon — stwierdził reporter. — Ludzie nawet nie potrafią wymówić tej nazwy bez chichotu.

— Więc nazywajcie to cząstką Higgsa, tak jak wielu fizyków. Ale bez względu na nazwę, jest to póki co najważniejsze odkrycie fizyczne w dwudziestym pierwszym wieku. Wiem, że nie minęła jeszcze dekada nowego stulecia, ale założę się, że pod jego koniec ludzie nadal będą uznawać to za najważniejsze odkrycie fizyczne wieku.

— Co nie wyjaśnia, czemu nic się nie stało...

— Ależ stało się — rzucił poirytowany Lloyd.

— Chodzi mi o to, że nie wystąpiły wizje.

Lloyd wydał policzki i wypuścił powietrze.

— Proszę posłuchać, naprawdę zrobiliśmy co w naszej mocy. Może pierwsze zjawisko było jednorazowym, szczęśliwym przypadkiem. Może zależało w dużej mierze od warunków wstępnych, które uległy nieznacznej zmianie. Może...

— To ściema.

Lloyd był zaskoczony.

— Słucham?

— To ścierna. Celowo skopaliście eksperyment.

— W żadnym przypadku nie...

— Chcieliście mieć podstawy do oddalenia wszystkich pozwów; nawet pomimo szopki w Organizacji Narodów Zjednoczonych chcieliście mieć pewność, że nikt nie będzie miał szansy na wygranie procesu, a skoro można było udowodnić, że CERN nie miał nic wspólnego z pierwszą Futurospekcją...

— To nie był sfingowany eksperyment. Nie sfingowaliśmy Higgsa. Dokonaliśmy przełomu, na litość boską.

— Oszukaliście nas — stwierdził mężczyzna z „Timesa”.

— Oszukaliście całą planetę.

— To niedorzeczne — odparł Lloyd.

— Niech pan da spokój. Jeśli to nie była ściema, to czemu nie udało się po raz drugi zajrzeć w przyszłość?

— No... nie wiem. Próbowaliśmy do tego doprowadzić. Naprawdę.

— Wie pan, że będzie dochodzenie.

Lloyd przewrócił oczami, choć reporter zapewne miał rację.

— Proszę posłuchać — powiedział w końcu. — Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Logi naszych komputerów to udowodnią, gdyż potwierdzą, że wszystkie parametry eksperymentu były dokładnie takie same. Naturalnie dochodzi kwestia chaosu i czułości zależnej, ale naprawdę zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, a rezultat trudno nazwać porażką, wręcz przeciwnie. — Reporter wyglądał, jakby miał zamiar ponownie zaprotestować, prawdopodobnie twierdząc, że logi można sfałszować. Ale Lloyd podniósł rękę. — Choć może i ma pan rację; może to faktycznie dowód na to, że CERN nie miał nic wspólnego z wcześniejszymi wydarzeniami. A wówczas...

— Wówczas wreszcie dadzą wam święty spokój — stwierdził gorzko dziennikarz.

Lloyd zmarszczył brwi, rozważając tę myśl. Rzeczywiście, z prawnego punktu widzenia zapewne będzie miał już spokój w związku z tym, co się stało. Ale z moralnego? Bez rozgrzeszenia, jakie zapewniał blokowy model wszechświata, od samobójstwa

Dima prześladowała go myśl o wszystkich zgonach i zniszczeniach, jakie spowodował.

Lloyd uniósł brwi.

— Pewnie ma pan rację — stwierdził. — Pewnie teraz będę miał święty spokój.



## 26.

Jak każdy fizyk, Theo z niecierpliwością czekał na ogłoszenie nazwisk laureatów Nagrody Nobla, czyli informacji, kto dołączy do Bohra, Einsteina, Feynmana, Gell-Manna i Pauliego. Na przestrzeni lat naukowcy z CERN-u zebrali ponad dwadzieścia Nobli. Naturalnie, gdy zobaczył temat wiadomości w swojej skrzynce, nie musiał otwierać listu, by wiedzieć, że jego nazwisko nie znalazło się na tegorocznej liście laureatów. Niemniej jednak był ciekawy, który z jego przyjaciół lub znajomych dostąpił tego zaszczytu. Kliknął OTWÓRZ.

Laureatami nagrody zostali Perlmutter i Schmidt za swoje badania, w głównej mierze przeprowadzone przed dziesięciu laty, które udowodniły, że wszechświat będzie się rozszerzał wiecznie, nie zapadając się ostatecznie w Wielkim Kolapsie. To normalne, że nagrodę przyznawano za prace ukończone kilka lat wcześniej; musiał być przecież czas na powtórzenie rezultatów i rozważenie konsekwencji badań.

Cóż, pomyślał Theo, to dobry wybór. Bez wątpienia niektórzy w CERN-ie będą nieco rozgoryczeni; krążyły plotki, że McRaney już planował przyjęcie z okazji otrzymania nagrody, choć to zapewne tylko zwykłe pomówienia. Niemniej jednak Theo zastanawiał się jak co roku, czy kiedykolwiek ujrzy na tej liście swoje nazwisko.

Theo i Lloyd spędzili kilka następnych dni pracując nad artykułem na temat Higgosa. Choć prasa już (nieco bez

przekonania) ogłosiła światu uzyskanie tej cząstki, musieli przygotować opis rezultatów do publikacji w czasopiśmie branżowym. Lloyd, jak to miał w zwyczaju, bazgrał coś bez końca na swoim datapadzie, a Theo przemierzał nerwowo pokój.

— Skąd ta różnica? — spytał po raz setny Lloyd. — Dlaczego za pierwszym razem Higgs się nie pojawił, a teraz tak?

— Nie wiem — odparł Theo. — Niczego nie zmieniliśmy. Naturalnie nie można też było wszystkiego dokładnie powtórzyć. Od pierwszej próby minęło sporo czasu, więc Ziemia przebyła miliony kilometrów po swojej orbicie wokół Słońca, no i Słońce przesunęło się w przestrzeni, jak zawsze i...

— Słońce! — wrzasnął Lloyd. Theo spojrział na niego w osłupieniu. — Nie rozumiesz? Poprzednio był dzień, a przy powtórce słońce jeszcze nie wzeszło. Może za pierwszym razem na nasz sprzęt miał wpływ wiatr słoneczny?

— Tunel LHC znajduje się sto metrów pod ziemią i ma najlepszą osłonę przed promieniowaniem, jaką można obecnie dostać. Nie ma mowy, żeby jakaś większa ilość zjonizowanych cząstek się przez nią przedostała.

— Hmm... — zamyślił się Lloyd. — A co z cząsteczkami, przed którymi nie można się osłonić? Co z neutrinami?

Theo zmarszczył brwi.

— W tym przypadku nie ma znaczenia, czy jesteśmy zwrócenii w stronę Słońca, czy nie. — Tylko jedno z każdych stu milionów neutrin przechodzących przez Ziemię w coś trafia; reszta po prostu wychodzi drugą stroną.

Lloyd przygryzł wargi, myśląc.

— Ale może liczba neutrin była wyjątkowo wysoka przy pierwszym eksperymencie? — Coś mu zaczęło świtać; coś, co powiedział Gaston Béranger, gdy wymieniał wszystkie inne rzeczy, które wydarzyły się o siedemnastej dwudziestego pierwszego kwietnia. — Béranger mi powiedział, że Obserwatorium Neutrinowe w Sudbury zarejestrowało erupcję tuż przed naszym eksperymentem.

— Znam tam kogoś — stwierdził Theo. — Wendy Small. Studiowaliśmy razem. — Utworzone w 1998 roku Obserwatorium Neutrinowe w Sudbury znajdowało się pod dwoma kilometrami prekambryjskiej skały i posiadało najczulszy na świecie wykrywacz neutrin.

Lloyd wskazał ręką telefon, do którego podszedł Theo.

— Jaki jest kierunkowy?

— Do Sudbury? Pewnie 705, jak do większości północnego Ontario.

Theo wybrał numer, porozmawiał chwilę z operatorem, odłożył słuchawkę i wybrał numer ponownie.

— Witam — powiedział po angielsku. — Chciałbym rozmawiać z Wendy Small. — Chwila ciszy. — Cześć Wendy, tu Theo Procopides. Co? No tak, zabawne. Bardzo zabawne. — Theo zakrył słuchawkę i zwrócił się do Lloyda: — Powiedziała: „Myślałam, że nie żyjesz”. — Lloyd teatralnym gestem stłumił uśmiech.

— Dzwonię z CERN-u, Wendy i jest tu ze mną Lloyd Simcoe. Mogę włączyć głośnik?

— Ten Lloyd Simcoe? — zapytał głos Wendy z głośnika.

— Miło mi pana poznać.

— Witam — rzucił Lloyd słabym głosem.

— Słuchaj — kontynuował Theo — jak zapewne wiesz, próbowaliśmy powtórzyć wczoraj zjawisko przeniesienia czasowego, ale nam się nie udało.

— Tak, zauważyłam — stwierdziła Wendy. — Wiesz, w swojej wizji oglądałam telewizję i to trójwymiarową. Właśnie kończył się jakiś kryminał. I umieram z ciekawości, kto zabił.

Ja też, pomyślał Theo, ale na głos powiedział:

— Przykro mi, że nie zdołaliśmy pomóc.

— Z tego co wiem — wtrącił się Lloyd — Obserwatorium Neutrinowe w Sudbury zarejestrowało erupcję neutrin tuż przed naszym pierwszym eksperymentem dwudziestego pierwszego kwietnia. Czy miało to związek z plamami na słońcu?

— Nie, słońce było wtedy spokojne; wykryliśmy erupcję pozasłoneczną.

— Pozasłoneczną? To znaczy poza Układem Słonecznym?

— Zgadza się.

— A co było jej źródłem?

— Pamiętacie Supernową 1987A? — spytała Wendy.

Theo pokręcił głową.

Lloyd z uśmiechem stwierdził:

— Tak właśnie brzmiał Theo kręcący głową.

— Tak, słyszałam jakiś grzechot — powiedziała Wendy. — Więc tak: w 1987 roku wykryto największą supernową od trzystu osiemdziesięciu trzech lat. Była to błękitna gwiazda typu widmowego B3, nazwana Sanduleak — 69°202a, która wybuchła w Wielkim Obłoku Magellana.

— Wielki Obłok Magellana! — rzucił Lloyd. — To cholernie daleko.

— Dokładnie sto sześćdziesiąt sześć tysięcy lat świetlnych — wyjaśnił głos Wendy. — A to oczywiście oznacza, że Sanduleak tak naprawdę wybuchła w plejstocenie, ale eksplozję zobaczyliśmy dopiero dwadzieścia dwa lata temu. Ale przy braku zakłóceń neutrina mogą podróżować niemal bez końca. A w trakcie eksplozji w 1987 roku wykryliśmy erupcję neutrin trwającą około dziesięciu sekund.

— OK — rzucił Lloyd.

— Poza tym — mówiła dalej Wendy — Sanduleak była bardzo dziwną gwiazdą; zazwyczaj to czerwone nadolbrzemy wybuchają jako supernowe, a nie błękitne. Poza tym, po wybuchu jako supernowa, pozostałości gwiazdy zazwyczaj zapadają się, tworząc materię neutronową lub czarną dziurę. Gdyby Sanduleak zapadła się w czarną dziurę, nigdy byśmy nie wykryli neutrin, gdyż nie miałyby możliwości się z niej wydostać. Sądziliśmy, że przy dwudziestokrotnej masie Słońca Sanduleak jest za mała, by utworzyć czarną dziurę, przynajmniej zgodnie z wówczas uznawaną teorią.

— Mhm — przytaknął Lloyd.

— Jednak — mówiła Wendy — w 1993 roku Hans Bethe i Gerry Brown przedstawili teorię dotyczącą kondensatów kaonów, dzięki którym gwiazdy o mniejszej masie mogłyby tworzyć czarne dziury; kaony nie podlegają regule Pauliego. — Według tej reguły dwie cząstki danego typu nie mogą jednocześnie znajdować się w tym samym stanie kwantowym.

— Żeby gwiazda mogła się zapaść w gwiazdę neutronową — ciągnęła Wendy — wszystkie elektrony muszą się połączyć z protonami, tworząc neutrony, ale jako że elektrony podlegają regule Pauliego, im bardziej się do siebie zbliżają, tym większy jest poziom ich energii, co zapewnia opór przed dalszym zapadaniem się... częściowo dlatego do utworzenia czarnej dziury potrzebna jest gwiazda o odpowiedniej masie. Ale jeśli zamienić elektrony na kaony, mogłyby zająć najniższy poziom energii, stawiając znacznie mniejszy opór, przez co teoretycznie możliwe jest powstanie czarnej dziury z mniejszej gwiazdy. Gerry i Hans założyli, że to właśnie stało się z Sanduleak... założyli, że elektrony stały się kaonami, dzięki czemu mogła się zapaść, tworząc czarną dziurę. A ile czasu potrzeba na przemianę elektronów w kaony? Obliczyli, że zajęłoby to dziesięć sekund... co znaczy, że neutrina byłyby emitowane przez pierwszych dziesięć sekund wybuchu supernowej, ale potem pochłonęłaby je nowo powstała czarna dziura. W 1987 roku erupcja neutrin trwała właśnie dziesięć sekund.

— To fascynujące — stwierdził Lloyd. — Ale co to ma wspólnego z erupcją z dnia, w którym przeprowadziliśmy nasz eksperyment?

— Cóż, to co powstaje z kondensatów kaonów nie jest do końca czarną dziurą — oznajmił głos Wendy. — To raczej z natury niestabilna osobliwość. Obecnie, za Gerrym Brownem, nazywamy je brązowymi dziurami. W zasadzie w którejś chwili proces powinien zmienić kierunek, gdyż kaony spontanicznie przemienią się w elektrony. Gdy to się wydarzy, zacznie obowiązywać reguła Pauliego, co wywoła ogromne ciśnienie,

wymuszające niemal natychmiastowe rozszerzenie się tworów. I wtedy neutrino znów powinny być uwalniane, przynajmniej do kolejnego odwrócenia procesu, kiedy to elektrony znów zmieniają się w kaony. Proces zachodzący w Sanduleak również miał kiedyś zmienić kierunek i tak się składa, że pięćdziesiąt trzy sekundy przed waszym przesunięciem czasowym nasz detektor neutrin zarejestrował erupcję ze strony Sanduleaka; naturalnie nasz detektor, a konkretnie sprzęt rejestrujący, przestał działać w chwili przeniesienia czasowego, więc nie wiemy, jak długo trwała ta erupcja, ale teoretycznie powinna była trwać dłużej niż pierwsza... mogły to być nawet dwie lub trzy minuty. — Do jej głosu wkradła się tęskna nuta. — Prawdę mówiąc, najpierw sądziłam, że przyczyną Futurospekcji była właśnie ta erupcja. Już miałam rezerwować bilet do Sztokholmu, kiedy się ujawniliście twierdząc, że to wina waszego zderzacza.

— Może to jednak była erupcja — stwierdził Lloyd. — Może właśnie dlatego nie byliśmy w stanie powtórzyć rezultatu.

— Nie, nie — odparła Wendy. — To nie erupcja, a przynajmniej nie sama w sobie; pamiętajcie, że zaczęła się pięćdziesiąt trzy sekundy przed przeniesieniem czasowym, które zaczęło się dokładnie w chwili waszej kolizji. Niemniej jednak, może właśnie fakt, iż erupcja trwała w chwili przeprowadzania waszego eksperymentu doprowadził do powstania jakichś szczególnych okoliczności, które wywołały przeniesienie czasowe. I dlatego kiedy próbowaliście powtórzyć eksperyment bez erupcji, nic się nie stało.

— Więc zasadniczo — powiedział Lloyd — wytworzyliśmy na Ziemi warunki nieistniejące od chwili ułamek sekundy po Wielkim Wybuchu i jednocześnie zostaliśmy zbombardowani neutrinami z brązowej dziury

— Na to wygląda — potwierdził głos Wendy. — Można założyć, że szanse na taki zbieg okoliczności są nieskończenie małe... co może akurat lepiej.

— Czy Sanduleak ponownie zmieni kierunek? — spytał Lloyd. — Czy możemy się spodziewać kolejnej erupcji neutrin?

— Prawdopodobnie tak — odpowiedziała Wendy. — Teoretycznie stanie się to jeszcze kilka razy, przez co Sanduleak będzie oscylowała między brązową dziurą a gwiazdą neutronową, aż się ustabilizuje, ostatecznie zostając nieobrcającą się gwiazdą neutronową.

— Kiedy dojdzie do kolejnej zmiany kierunku?

— Nie mam pojęcia.

— Ale jeśli zaczekamy na kolejną erupcję — stwierdził Lloyd — i powtórzymy eksperyment dokładnie w tej samej chwili, może uda się powtórzyć przeniesienie czasowe.

— To niemożliwe — oznajmił głos Wendy.

— Czemu? — spytał Theo.

— Zastanówcie się. Przygotowania do próby powtórzenia eksperymentu trwały całe tygodnie; wszyscy musieli być przecież bezpieczni. A neutrina są prawie pozbawione masy. Podróżują niemal z prędkością światła. Nie ma sposobu, by dowiedzieć się o erupcji z wyprzedzeniem, a jako że ostatnia trwała nie dłużej niż trzy minuty... nim detektor wznowił rejestrowanie danych, już się skończyła. Nigdy zatem nie



będziemy mieć wcześniejszego ostrzeżenia o erupcji, a gdy się już zacznie, zostaną trzy minuty lub nawet mniej na uruchomienie akceleratora.

— Cholera — rzucił Theo. — Szlag by to.

— Przykro mi, że nie mam lepszych wieści — powiedziała Wendy. — Przepraszam, ale za pięć minut mam spotkanie, powinnam się zbierać.

— OK — rzucił Theo. — Cześć.

— Cześć.

Theo odłożył słuchawkę i spojrzał na Lloyda. — Nie do powtórzenia — stwierdził. — Światu się to nie spodoba. — Podszedł do krzesła i usiadł.

— Cholera — powiedział Lloyd.

— Mnie to mówisz... — odparł Theo. — Wiesz, kiedy już mamy dowody, że przyszłość nie jest niezmienna, już się tak chyba nie martwię morderstwem, ale i tak bardzo bym chciał coś zobaczyć. No wiesz, cokolwiek. Czuję się... Chryste, czuję się pominięty, wiesz? Jakby wszyscy na planecie widzieli statek matkę, kiedy ja akurat poszedłem się odlać.

# 27.

W LHC przeprowadzano teraz codziennie zderzenia jąder ołowiu o energii 1150 TeV. Niektóre z nich były od dawna planowanymi eksperymentami, do których powrócono; inne stanowiły część trwających cały czas prób znalezienia wiarygodnych podstaw teoretycznych dla przeniesienia czasowego. Theo przerwał na chwilę przeglądanie logów ALICE i CMS, by sprawdzić pocztę. Tytuł pierwszej z wiadomości brzmiał: „Ogłoszono nazwiska kolejnych laureatów nagrody Nobla”.

Naturalnie, nagród Nobla nie przyznawano wyłącznie w dziedzinie fizyki. Było również pięć innych nagród rocznie, a ich laureatów ujawniano na przestrzeni kilku dni: chemia, fizjologia lub medycyna, ekonomia, literatura oraz Pokojowa Nagroda Nobla. Theo interesowała głównie nagroda w dziedzinie fizyki, ale był również nieco ciekawy laureatów w dziedzinie chemii. Kliknął na wiadomość, by zobaczyć, czego dotyczy.

Nie był to Nobel w dziedzinie chemii, tylko literatury. Już miał wykasować maila, kiedy jego uwagę przykuło nazwisko laureata.

Anatolij Korolow. Rosyjski powieściopisarz.

Naturalnie, po spotkaniu w Toronto z Cheungiem, który opowiedział mu o swojej wizji i o tym, że była w niej mowa o

Korolowie, Theo sprawdził to nazwisko. Okazało się frustrująco popularne i wybitnie przeciętne. Nikt o tym nazwisku nie był szczególnie znany lub istotny.

Ale teraz Korolow otrzymał Nobla. Theo natychmiast zalogował się na stronie Britannica Online; CERN miał do niej nieograniczony dostęp. Wpis na temat Anatolija Korolowa był krótki:

Korolow, Anatolij Sergejewicz. Rosyjski powieściopisarz i polemista, urodzony 11 czerwca 1965 roku w Moskwie, wówczas leżącej w ZSRR.

Theo zmarszczył brwi. Facet był o rok młodszy od Lloyda, na litość boską. Ale przecież nikt nie musiał powtarzać rezultatów eksperymentów opisanych w książkach. Theo czytał dalej:

Pierwsza powieść Korolowa „Przed wschodem słońca”, opublikowana w 1992 roku, opowiada o czasach tuż po upadku Związku Radzieckiego; jej bohater, młody Siergiej Dolonow, rozczarowany zwolennik Partii Komunistycznej, doświadcza szeregu seriokomicznych rytuałów inicjacyjnych, próbując zrozumieć zmiany zachodzące w kraju, aż w końcu zostaje odnoszącym sukcesy biznesmenem w Moskwie. Inne powieści Korolowa to „Na krańcu świata”(1995), „Historia powszechna” (1999); „Moskwianin” (2006). W języku angielskim ukazała się powieść „Na krańcu świata”.

W następnej edycji encyklopedii na pewno napiszą o nim więcej, pomyślał Theo. Zastanowiło go, czy Dim czytał jego utwory, studiując literaturę europejską.

Czy to mógł być Korolow wspomniany w wizji Cheunga? Jeśli tak, jaki mógłby mieć związek z Theo? A raczej z Cheungiem,

którego interesy miały charakter bardziej handlowy niż literacki.

Michiko i Lloyd szli ulicami St. Genis, trzymając się za ręce i ciesząc się ciepłym, wieczornym wiatrem. Po kilkuset metrach, które przeszli w milczeniu, Michiko nagle się zatrzymała.

— Chyba wiem, co poszło nie tak.

Lloyd spojrział na nią z pytającym wyrazem twarzy.

— Pomyśl o tym, co się stało — stwierdziła. — Przygotowałeś eksperyment, dzięki któremu miałeś otrzymać bozon Higgsa. Ale za pierwszym razem się nie udało. Dlaczego?

— Przez napływ neutrin z gwiazdy Sanduleak — odparł Lloyd.

— Tak? To mogło faktycznie przyczynić się do wystąpienia przeniesienia czasowego, ale jak mogłoby zapobiec wytworzeniu bozonu?

Lloyd wzruszył ramionami.

— Cóż... no... to dobre pytanie.

Michiko pokręciła głową i ruszyła dalej.

— To nie mogło mieć wpływu. Nie wątpię, że w czasie pierwszego eksperymentu pojawiły się neutrina, ale nie powinny zapobiec wytworzeniu bozonu Higgsa. Bozon wręcz powinien zostać wytworzony.

— Ale tak się nie stało.

— No właśnie — stwierdziła Michiko. — Nie było nikogo, kto mógłby to zaobserwować. Niemal przez trzy minuty na całej Ziemi nie było nikogo przytomnego... nigdzie nie było nikogo, kto mógłby zaobserwować utworzenie bozonu Higgsa. Ale to nie wszystko. Nie było nikogo, kto mógłby cokolwiek

zaobserwować. Dlatego wszystkie nagrania wyglądają na puste. Wyglądają, jakby tylko śnieżyły. Ale założmy, że to nie śnieg, że zamiast tego kamery zarejestrowały to, co faktycznie wówczas istniało: nierozwiązany świat. Absolutnie wszystko, cała planeta była nierozwiązana. Bez odpowiednich obserwatorów, kiedy to cała świadomość została przeniesiona gdzie indziej, nie było możliwości kwantowo-mechanicznego rozwiązania tego, co się stało. Nie było jak dokonać wyboru ze wszystkich możliwości. Nagrania pokazują niezłamane czoła fal, pewnego rodzaju statyczny stan zawieszenia... nałożone na siebie wszystkie możliwe stany.

— Wątpię, by nałożenie czoła fal wyglądało jak śnieg.

— Może to nie jest faktyczny zapis, ale bez względu na to, czy jest, czy nie, wyraźnie widać, że wszystkie informacje o tym trzypięciominutowym okresie zostały w jakiś sposób wymazane; fizyka tego, co się działo, nie dopuściła do zarejestrowania żadnych danych z tego czasu. W przypadku braku świadomych istot, rzeczywistość się załamuje.

Lloyd zmarszczył brwi. Czy mógłby aż tak się mylić? Transakcyjna interpretacja Cramera tłumaczyła całą mechanikę kwantową bez uciekania się do obserwatorów... ale może obserwatorzy jednak odgrywali we wszystkim jakąś rolę.

— Być może — rzucił. — Ale... nie, to nie może tak wyglądać. Jeśli wszystko wówczas pozostawało nierozwiązane, jak w takim razie doszło do wypadków? Katastrofa samolotu to jest jakieś rozwiązanie, jedna z możliwości wcielona w życie.

— Naturalnie — zgodziła się Michiko. — To nie tak, że minęły trzy minuty, w trakcie których samoloty, pociągi, samochody i

linie produkcyjne działały bez ludzkiej interwencji, a raczej minęły trzy minuty, w trakcie których nie doszło do żadnych rozwiązań; istniały wszystkie możliwości, tkwiące w rozedrganej bieli. A gdy te trzy minuty minęły, powróciła świadomość i świat trafił ponownie w jeden ze stanów. I niestety, choć było to nie do uniknięcia, przybrał jedyny, najlogiczniejszy stan, jaki miał możliwość zaistnieć po trzech minutach braku świadomości: przyjął stan, w którym samoloty i samochody się rozbiły. Ale do katastrof nie doszło w trakcie tych trzech minut; w zasadzie nigdy do nich nie doszło. Po prostu przeskoczyliśmy z punktu przed utratą świadomości do rzeczywistości po niej.

— To... to szaleństwo — stwierdził Lloyd. — I pobożne życzenia.

Mijali właśnie pub. Przez ciężkie, zamknięte drzwi słychać było jakąś francuską piosenkę.

— Nieprawda. To fizyka kwantowa. A rezultat jest taki sam: wszystkie ofiary są tak samo martwe lub okaleczone, jak gdyby do wypadków doszło naprawdę. Nie sugeruję, że można było tego w jakiś sposób uniknąć, choć bardzo bym tego chciała.

Lloyd ścisnął dłoń Michiko i ruszyli dalej ulicą, prosto w przyszłość.

CZEŚĆ III  
DWADZIEŚCIA JEDEN LAT  
PÓŹNIEJ  
JESIEŃ 2030

*Utraconego czasu nie można odzyskać.*

*/John. H. Aughey/*

# 28.

Czas mija, wszystko się zmienia.

W 2017 roku zespół fizyków i badaczy mózgu, związany w głównej mierze ze Stanford, przedstawił pełny teoretyczny model przeniesienia czasowego. Kwantowo-mechaniczny model ludzkiego umysłu zaproponowany przez Rogera Penrose'a trzydzieści lat wcześniej okazał się zasadniczo zgodny z prawdą, choć Penrose mylił się na poziomie szczegółów; nikogo zatem nie zaskoczyło, że eksperymenty w ramach fizyki kwantowej o odpowiedniej mocy mogą mieć wpływ na postrzeganie.

Niemniej jednak, neutrina również odegrały kluczową rolę. Od lat sześćdziesiątych wiadomo było, że Słońce z jakiegoś powodu emituje o połowę mniej neutrin niż powinno — słynny problem neutrin słonecznych.

Słońce podgrzewane jest dzięki fuzji wodoru: cztery jądra wodoru, będące w istocie protonami, łączą się tworząc jądro helu, składające się z dwóch protonów i dwóch neutronów. W procesie przemiany dwóch protonów w neutrony powinny powstać dwa neutrina, ale jakimś trafem jedno z każdych dwóch neutrin, które powinny trafić na Ziemię znika, nim do niej dotrze, zupełnie jakby były celowo usuwane; tak jakby wszechświat wiedział, że proces kwantowo-mechaniczny leżący



u podstaw świadomości straci stabilność w przypadku nadmiaru neutrin.

Odkrycie w 1998 roku faktu, iż neutrina posiadają znikomą masę potwierdziło proponowane od wielu lat rozwiązanie problemu neutrin słonecznych: według teorii, skoro neutrina mają masę, możliwa jest zmiana ich typu, przez co w prymitywnych detektorach wyglądało, jakby znikają. Ale Obserwatorium Neutrinowe w Sudbury mogące wykrywać wszystkie typy neutrin, nadal wykazywało wyraźną różnicę między liczbą neutrin, jakie powinny powstać a tą, która docierała do Ziemi.

Według silnej zasady antropicznej wszechświat musiał umożliwiać powstanie życia, a według kopenhaskiej interpretacji fizyki kwantowej konieczni mu byli odpowiedni obserwatorzy; biorąc pod uwagę wiedzę na temat interakcji neutrin ze świadomością, problem neutrin słonecznych zdawał się stanowić dowód na to, że wszechświat faktycznie zadaje sobie trud i troszczy się o istnienie takich obserwatorów.

Naturalnie, od czasu do czasu miały miejsce pozasłoneczne erupcje neutrin, ale w normalnych warunkach nie przeszkadzały. Kiedy jednak okoliczności nie były normalne... kiedy strumień neutrin przepłynął przez Ziemię w warunkach, które nie wystąpiły od chwili tuż po Wielkim Wybuchu, doszło do przeniesienia czasowego.

W 2018 roku, Europejska Agencja Kosmiczna wystrzeliła w stronę gwiazdy Sanduleak — 69°202a sondę „Kasandra”. Naturalnie dotarcie do gwiazdy zajęłoby jej miliony lat, ale to bez znaczenia. Najważniejsze, że teraz, w 2030 roku „Kasandra”

znajdowała się dwa i pół biliona kilometrów od Ziemi, czyli dwa i pół biliona kilometrów bliżej pozostałości Supernowej 1987A, a była to odległość, na pokonanie której światło, a także neutrino potrzebowały trzech miesięcy

Na pokładzie „Kasandry” znajdowały się dwa przyrządy. Jednym z nich był detektor światła, skierowany prosto na gwiazdę Sanduleak, a drugim był świeży wynalazek — emiter tachionów, skierowany w stronę Ziemi. „Kasandra” nie mogła bezpośrednio wykrywać neutrin, ale wiadomo było, że gdy tylko Sanduleak wyoscyluje ze statusu brązowej dziury, wraz z neutrinami wyemituje światło, które akurat łatwo dostrzec.

W czerwcu 2030 roku „Kasandra” wykryła światło gwiazdy Sanduleak. Sonda natychmiast wysłała wiązkę tachionową o ultraniskim poziomie energii (a co za tym idzie, podróżującą z ultrawysoką prędkością). Czterdzieści trzy godziny później tachiony dotarły na miejsce, uruchamiając szereg alarmów.

Nagle, dwadzieścia jeden lat po pierwszym przemieszczeniu czasowym, ludzie otrzymali z trzymiesięcznym wyprzedzeniem informację, że jeśli chcą ponownie zajrzeć w przyszłość, istnieje duże prawdopodobieństwo, iż się to uda. Naturalnie kolejna próba musiałaby mieć miejsce dokładnie w chwili, gdy neutrino z Sanduleak zaczął przechodzić przez Ziemię, a z pewnością nie było przypadkiem, iż wypadło to o dziewiętnastej dwadzieścia jeden czasu Greenwich w środę, dwudziestego trzeciego października 2030 roku... czyli co do sekundy w chwili, gdy rozpoczęły się dwie minuty pokazywane przez wizje.

ONZ zaskakująco szybko przedyskutował tę kwestię. Niektórzy sądzili, że ze względu na fakt, iż teraźniejszość różniła się od tego, co pokazały pierwsze wizje, ludzie nie będą zainteresowani kolejnymi. Ale reakcje były zgoła inne — niemal wszyscy chcieli ponownie zerknąć na jutro. Efekt Ebenezera nadal mocno trzymał. Poza tym, pojawiło się całe pokolenie osób urodzonych po 2009 roku, które czuły się wykluczone i domagały się szansy na to, czego doświadczyli ich rodzice: wglądu w ich potencjalną przyszłość.

Jak poprzednio, CERN miał kluczowe znaczenie dla odblokowania jutra. Ale Lloyd Simcoe, który miał już sześćdziesiąt sześć lat, miał nie brać udziału w tym eksperymencie. Dwa lata wcześniej odszedł na emeryturę i odmówił powrotu do i CERN-u. Lloyd i Theo doczekali się jednak nagrody Nobla. Przyznano im ją w 2024 roku, jak się okazało nie za badania — związane z efektem przeniesienia czasowego, ani nie za bozon Higgosa, ale za wynalezienie Zderzacza Tachionowo-Taridionowego, niewielkich rozmiarów urządzenia, które wyparło wielkie akceleratory cząstek od tego w TRIUMF-ie, przez ten w Fermilabie, na tym w CERN-ie kończąc. Większość CERN-u była teraz opuszczona, choć na terenie kompleksu przechowywano pierwszy egzemplarz Zderzacza Tachionowo-Tardionowego.

— Być może Lloyd nie chciał brać udziału w kolejnej próbie odtworzenia eksperymentu ze względu na fakt, iż jego małżeństwo z Michiko rozpadło się po dziesięciu latach. Owszem, mieli córkę, ale Michiko gdzieś w głębi serca, nawet jeśli na początku nie zdawała sobie z tego sprawy, zawsze czuła,

że Lloyd był w jakiś sposób odpowiedzialny za śmierć jej pierwszego dziecka. Bez wątpienia sama była zaskoczona po raz pierwszy przytaczając ten argument podczas kłótni. Ale tak właśnie było.

Lloyd i Michiko niewątpliwie się kochali, ale w końcu zdecydowali, że po prostu nie mogą dłużej być razem. Nie kiedy ta świadomość towarzyszy wszystkiemu, co robią. Przynajmniej rozwód nie okazał się bolesny, jak w przypadku rodziców Lloyda. Michiko wróciła do Japonii, zabierając córkę Joan ze sobą; Lloyd odwiedzał ją tylko raz w roku, na Boże Narodzenie.

Obecność Lloyda nie była kluczowa podczas powtórnego eksperymentu, choć bez wątpienia byłby pomocny. Ale był teraz ponownie żonaty... i tak, jego żoną była Doreen — kobieta, którą widział w wizji i tak, mieszkali teraz w domku w Vermont.

Za to Jake Horowitz, który dawno już opuścił CERN i pracował w TRIUMF-ie ze swoją żoną Carly Tompkins, zgodził się wrócić na trzy miesiące. Carly przyleciała z nim i razem musieli znosić żartobliwe pytania, które laboratoria CERN-u zamierzają ochrzcić. Byli małżeństwem już od osiemnastu lat i mieli trójkę cudownych dzieciaków.

Theodosios Procopides, tak jak około trzystu innych osób, nadal pracował w CERN-ie, obsługując TTC. Theo, Jake, Carly i zredukowany do minimum personel rozpoczęli wyścig z czasem, próbując przygotować Wielki Zderzacz Hadronów do kolejnego uruchomienia po pięciu latach zastoju i zdążyć przed ponownym uderzeniem neutrin z Sanduleak.

# 29.

Theo, który miał teraz czterdzieści osiem lat, był zachwycony faktem, że rzeczywistość 2030 roku okazała się inna od tej pokazanej w wizjach z roku 2009. Sam zapuścił bujną brodę, która przykryła jego wystającą szczękę (i przy okazji sprawiła, że po południu nie wyglądał, jakby przydałoby mu się kolejne golenie). Młody Helmut Drescher stwierdził, że widział podbródek Theo w wizji, więc broda była dla Theo jednym z drobnych sposobów na zaakcentowanie wolnej woli.

Niemniej jednak, wraz ze zbliżającą się datą powtórnego eksperymentu, Theo nawiedzały coraz większe obawy. Próbował sam siebie przekonać, że denerwuje go tylko możliwość zawiedzenia po raz kolejny całego świata, ale LHC zdawał się działać bez zarzutu, więc Theo musiał przyznać, że jednak nie o to chodzi.

Nie, denerwował się tym, że wielkimi krokami zbliżał się dzień, kiedy to według wizji z 2009 roku miał zginąć.

Theo nie mógł jeść, ani spać. Gdyby udało mu się ustalić, kto chciał jego śmierci, zapewne byłoby mu łatwiej... wystarczyłoby unikać tej osoby. Ale nadal nie miał pojęcia, kto pociągnął, miał pociągnąć lub mógłby pociągnąć za spust.

W końcu nieubłaganie nadszedł poniedziałek, dwudziesty pierwszy października 2030 roku: data, która w przynajmniej jednej z wersji rzeczywistości miała zostać wyryta na jego

nagrobku. Theo obudził się tego ranka cały obłany zimnym potem.

W CERN-ie nadal było mnóstwo do zrobienia... do uderzenia sanduleakowych neutrin zostały tylko dwa dni. Próbował przestać o tym myśleć, ale nawet po dotarciu do biura nie potrafił się na niczym skoncentrować.

W końcu, parę minut po dziesiątej, nie wytrzymał. Założył swoją beżową czapkę i lustrzane okulary przeciwsłoneczne i wyszedł z centrali LHC. Nie było aż tak jasno; temperatura była dość niska i mniej więcej połowę nieba przesłaniały chmury. Ale nikt już nie wychodził na zewnątrz bez ochrony głowy i oczu. Niszczenie warstwy ozonowej zostało w końcu zatrzymane, ale niestety nie znaleziono jeszcze żadnego skutecznego sposobu na jej odbudowę.

Słońce błyszczało na skalistych szczytach gór Jura. Na parkingu stał autokar Globus Gateway; niemal opustoszały CERN nie był oczywiście cenioną atrakcją w przewodniku Michelin, a przez zamieszanie związane z powtórny eksperymentem i tak nie wpuszczano na teren kompleksu turystów. Autokar został wynajęty, by przywieźć z lotniska tłum dziennikarzy, którzy mieli relacjonować przygotowania do eksperymentu.

Theo podszedł do swojego samochodu, czerwonego forda octavii — porządnej, sprawdzonej maszyny. Całą młodość spędził bawiąc się akceleratorami wartymi miliardy dolarów, więc nie potrzebował szpanerskiego auta, by się dowartościować.

Samochód rozpoznał go, gdy tylko podszedł i Theo skinął głową potwierdzając, że chce wsiąść. Drzwi od strony kierowcy wsunęły się w dach. Nadal dostępne były samochody z normalnie otwieranymi drzwiami, ale w większości ośrodków miejskich przestrzeń parkingowa była tak ograniczona, że pojazdy z drzwiami chowanymi w dachu były po prostu wygodniejsze.

Theo wsiadł do auta i powiedział, gdzie chce jechać.

— O tej porze — odpowiedział samochód przyjemnym, męskim głosem — najszybciej można się tam dostać przez Rue Meynard.

— Dobrze — rzucił Theo. — Prowadź.

Samochód spełnił polecenie, unosząc się nad ziemię i ruszając.

— Muzyka czy wiadomości? — spytał.

— Muzyka — odparł Theo.

Wnętrze samochodu wypełnił utwór jednego z ulubionych zespołów Theo, popularnej koreańskiej grupy jag. Muzyka jednak nie pomogła mu się uspokoić. Cholera, wiedział, że nie powinno go nawet być w Szwajcarii, ale Wielki Zderzacz Hadronów nadal był największym tego typu urządzeniem na świecie; wszystkie próby sprzed wynalezienia TTC dążące do reaktywacji projektu superprzewodzącego superzderzacza, zarzuconego przez Kongres USA w 1993 roku, nie powiodły się. A obsługa i naprawa akceleratorów cząstek były umiejętnościami, które już niemal odeszły w zapomnienie. Większość osób budujących akcelerator LEP, który jako pierwszy zajmował gigantyczny tunel podziemny CERN-u albo

nie żyła, albo odeszła na emeryturę, a tylko kilka osób, które pracowało przy LHC, wprowadzonym do użytku ćwierć wieku wcześniej, nadal się nim zajmowało. Dlatego właśnie doświadczenie Theo potrzebne było w Szwajcarii. Nie zamierzał jednak być łatwym celem.

Samochód zatrzymał się w wyznaczonym przez Theo miejscu — przed komendą główną policji w Genewie. Był to stary, ponadstuletni budynek i choć zabronione było korzystanie z silników spalinowych we wszystkich samochodach wyprodukowanych po 2021 roku, na budynku widać było ślady osadzającego się przez dekady brudu; kiedyś będą go w końcu musieli wypiąskować.

— Otwórz — polecił Theo. Drzwi zniknęły w suficie.

— W promieniu pięciuset metrów brak wolnych miejsc parkingowych — oznajmił samochód.

— To zacznij jeździć w kółko — nakazał Theo. — Dam znać, gdy będzie mnie można odebrać.

Samochód zaćwierkał, potwierdzając przyjęcie polecenia. Theo założył czapkę i okulary i wysiadł. Przeszedł chodnik, dotarł po schodach do drzwi i wszedł do budynku.

— *Bonjour* — przywitał go postawny blondyn siedzący za biurkiem. — *Je peux vous aider?*

— *Oui* — odpowiedział Theo. — *Déetective Helmut Drescher, s'il vous plaît.* — Młody Helmut Drescher faktycznie był teraz detektywem; Theo sprawdził to kilka miesięcy wcześniej z czystej ciekawości.

— Moota nie ma — oznajmił mężczyzna, nadal po francusku. — Czy chciałby się pan widzieć z kimś innym?



Theo poczuł, że traci cały zapach. Drescher by go przynajmniej zrozumiał, ale tłumaczenie tego komuś całkiem obcemu...

— Szczerze mówiąc, chciałem się zobaczyć z detektywem Drescherem — stwierdził Theo. — A kiedy ma wrócić?

— Naprawdę nie wiem... o proszę, to pana szczęśliwy dzień. Oto i Moot.

Theo się odwrócił. Do budynku wchodziło właśnie dwóch mężczyzn w podobnym wieku; Theo nie miał pojęcia, który z nich to Drescher.

— Detektyw Drescher? — rzucił niepewnie.

— To ja — odparł ten z prawej. Helmut wyrósł na przystojnego mężczyznę o jasnobrązowych włosach, silnie zarysowanej, kwadratowej szczęce i jasnoniebieskich oczach.

— Jak mówiłem — odezwał się policjant zza biurka. — To pana szczęśliwy dzień.

Tylko jeśli go przeżyję, pomyślał Theo.

— Detektywie Drescher — powiedział. — Muszę z panem porozmawiać.

Drescher odwrócił się do mężczyzny, z którym przyszedł.

— Złapiemy się później, Fritz — powiedział. Fritz skinął głową i odszedł w głąb budynku.

Drescher najwyraźniej nie rozpoznał Theo. Naturalnie, od ich ostatniego spotkania minęło dwadzieścia jeden lat i choć w telewizji pojawiała się ostatnio wiele materiałów dotyczących powtórnego eksperymentu, Theo był zbyt zajęty, by móc udzielać wywiadów; tę część zostawił Jake'owi Horowitzowi.

Drescher zaprowadził Theo do jednych z drzwi; ubrany był po cywilnemu i Theo wręcz nie mógł nie zauważyć jego

wyjatkowo eleganckich butów. Drescher przycisnął dłoń do czytnika i podwójne drzwi się rozsunęły, wpuszczając ich do pokoju odpraw. Na niektórych biurkach leżały równiutkie stosy flatsów — komputerów o grubości kartki; na innych flatsy były porozrzucane w nieładzie. Jedną ze ścian w całości zajmowała mapa przedstawiająca sterowany komputerowo ruch uliczny Genewy, na której każdy z pojazdów śledzony był za pomocą indywidualnego transpondera. Theo spojrzął na mapę w poszukiwaniu swojego samochodu orbitującego wokół budynku; wyglądało na to, że był tylko jednym z wielu takich pojazdów.

— Proszę usiąść — powiedział Drescher, wskazując krzesło przed swoim biurkiem. Wziął jeden z flatsów ze stosu i położył go między nimi. — Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli będę rejestrował rozmowę? — spytał. Słowa te, w języku francuskim, natychmiast pojawiły się w formie tekstowej na flatsie, oznaczone etykietą „H. Drescher”.

Theo pokręcił głową. Drescher machnął ręką w stronę flatsa i Theo zrozumiał, że oczekuje ustnej odpowiedzi.

— *Non* — powiedział. Flats odpowiednio to odnotował, a w miejscu, gdzie powinno pojawić się nazwisko wyskoczył migający znak zapytania.

— Pana nazwisko?

— Theodosios Procopides — odpowiedział Theo spodziewając się, że Drescherowi coś to powie.

Flatsowi w końcu udało się je zarejestrować, a nawet, jak dostrzegł Theo, na ekranie pojawiło się okno z pisownią jego nazwiska w alfabecie greckim oraz kilka podstawowych

informacji na jego temat. Etykiety dla „Non” oraz tego, gdy podawał swoje nazwisko natychmiast zostały zmienione na „T. Procopides”.

— Co mógłbym dla pana zrobić? — spytał Drescher, nadal niczego sobie nie przypominając.

— Nie wie pan, kim jestem, prawda? — spytał Theo.

Drescher pokręcił głową.

— Hmm, ostatni raz, kiedy się widzieliśmy, nie miałem brody. Detektyw spojrzał badawczo na twarz Theo.

— No... och! O, Boże! To pan!

Theo zerknął na biurko. Flats doskonale się spisał, odnotowując wybuch policjanta. Kiedy Theo podniósł wzrok dostrzegł, że Drescher zbladł jak ściana.

— *Oui* — potwierdził Theo. — *C'est moi.*

— *Mon Dieu* — rzucił Drescher. — Nawet pan sobie nie wyobraża, jak mnie to prześladowało całymimi latami. — Pokręcił głową. — Wie pan, od tego czasu widziałem sporo autopsji i wiele ciał. Ale pan... zobaczyć coś takiego jako dziecko. — Wzruszył ramionami.

— Przykro mi — stwierdził Theo, a po chwili milczenia kontynuował: — Czy pamięta pan moje odwiedziny wkrótce po wizji? W domu pana rodziców... tym ze wspaniałymi schodami?

Drescher skinął głową.

— Pamiętam. Ale mnie pan wtedy wystraszył.

Theo nieznacznie uniósł ramiona.

— Za to też przepraszam.

— Próbowałem nie myśleć o tej wizji — powiedział Drescher.

— Przez wszystkie te lata próbowałem o niej nie myśleć. Ale i

tak wracała, wie pan. Nawet po tym, co w życiu widziałem, tamten obraz nadal mnie prześladowuje.

Theo uśmiechnął się przepraszająco.

— To nie pana wina — rzucił Drescher, machając ręką.

— A co pan widział w swojej wizji?

Theo był zaskoczony tym pytaniem; Drescher najwyraźniej nadal nie łączył nieboszczyka z wizji z siedzącym przed nim człowiekiem.

— Nic — odparł.

— A no tak, racja — powiedział Drescher lekko zakłopotany.  
— Przepraszam.

Przez kilka chwil panowała niezręczna cisza, aż w końcu odezwał się Drescher.

— Wie pan, ta wizja nie była taka zła. Dzięki niej zainteresowałem się pracą w policji. Nie wiem, czy wstąpiłbym do akademii, gdyby nie ona.

— A jak długo pan tu pracuje? — spytał Theo.

— Od siedmiu lat. A od dwóch jestem detektywem.

Theo nie miał pojęcia, czy to szybki awans, ale za to dokonał kilku obliczeń związanych z wiekiem Dreschera. Nie mógł skończyć studiów. Theo spędzał zdecydowanie za dużo czasu z wykładowcami akademickimi i naukowcami; rozmawiając z osobami zaledwie po szkole średniej zawsze się bał, że przez przypadek rzuci coś protekcyjnego.

— To dobrze — stwierdził w końcu.

Drescher wzruszył ramionami, po czym zmarszczył brwi i pokręcił głową.

— Nie powinno tu pana być. Na litość boską, w ogóle nie powinno pana być w Europie. Przecież musiał pan zginąć w Genewie albo gdzieś w pobliżu, inaczej nie prowadziłbym tego śledztwa. Gdyby z wizji wynikało, że zginę tu konkretnego dnia, to może się pan założyć, że byłbym gdzieś w Chinach albo na Hawajach.

Tym razem Theo wzruszył ramionami.

— Nie chciałem się tu znaleźć, ale nie miałem wyboru. Jak panu mówiłem, pracuję w CERN-ie. Wchodziłem w skład zespołu, który nadzorował eksperyment w Wielkim Zderzaczu Hadronów dwadzieścia jeden lat temu. Potrzebują mnie do powtórzenia go pojutrze. Proszę mi wierzyć, gdybym miał jakiś wybór, byłbym teraz gdzieś indziej.

— Nie zaczął pan trenować boksu, prawda?

— Nie.

— Bo w mojej wizji...

— Wiem, wiem. Mówił pan, że zginąłem podczas walki bokserskiej.

— Mój tata non stop oglądał boks w telewizji — stwierdził Helmut. — To pewnie dziwne zainteresowanie jak na sprzedawcę butów, ale lubił to. A ja oglądałem boks razem z nim, nawet kiedy byłem jeszcze bardzo mały.

— Proszę posłuchać — stwierdził Theo — wie pan, jak zapewne nikt inny na świecie, że naprawdę mi coś grozi. Dlatego przyszedłem się z panem spotkać. — Przełknął ślinę. — Potrzebuję pana pomocy. Potrzebuję ochrony policyjnej. Od teraz aż do eksperymentu, który rozpocznie się za... — Zerknął na zegar, flatsa przyczepionego taśmą do ściany, na którego

powierzchni świeciły piętnastocentymetrowe cyfry — ...za pięćdziesiąt dziewięć godzin.

Drescher wskazał ręką wszystkie pozostałe flatsy rozłożone na biurku.

— Mam mnóstwo pracy.

— Proszę. Wie pan, co się może stać. Przecież dla większości osób najbliższa środa to dzień wolny od pracy... żeby w chwili ponownego przeniesienia czasowego wszyscy byli bezpieczni w swoich domach. Głupio mi o to prosić, ale mógłby pan w tym czasie nadrobić ewentualne zaległości z najbliższych dwóch dni.

— W środę akurat pracuję. — Wskazał ręką pozostałych policjantów w pokoju. — Jak my wszyscy... na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. — Przerwał na chwilę. — Czy ma pan w ogóle jakiś pomysł, kto mógłby chcieć pana zastrzelić?

Theo pokręcił głową, ale spojrzał na flatsa i powiedział:

— Nie. Żadnego. Przez dwadzieścia lat łamałem sobie głowę, próbując rozwikłać tę zagadkę i dowiedzieć się, kogo wkurzyłem na tyle, by chciał mojej śmierci lub kto mógłby na niej skorzystać. Ale nie ma nikogo takiego.

— Nikogo?

— No wie pan, człowiek w końcu zaczyna wariować i popadać w paranoję. Szczególnie w takiej sytuacji... i zaczyna podejrzewać wszystkich. Przez pewien czas nawet sądziłem, że to mój partner naukowy, Lloyd Simcoe, mnie zabił. Ale rozmawiałem z nim wczoraj; jest w Vermont i nie wybiera się do Europy w najbliższym czasie.

— To tylko... ja wiem? Trzy godziny lotu samolotem naddźwiękowym — stwierdził Drescher.

— Wiem, wiem... ale naprawdę jestem pewien, że to nie on. Ale jest ktoś taki... jak wy to nazywacie? Jak brzmi ta formułka? Nieznana osoba bądź osoby, które naprawdę mogą podjąć próbę zamachu na moje życie. I proszę pana... błagam, by powstrzymał pan tę osobę lub osoby.

— Gdzie dziś pan będzie?

— W CERN-ie. U siebie, w centrali LHC lub pod ziemią, w tunelu.

— W tunelu?

— No tak. Musiał pan o nim słyszeć. W CERN-ie mamy tunel o obwodzie dwudziestu siedmiu kilometrów, na głębokości stu metrów; to taki wielki pierścień. I tam właśnie znajduje się LHC.

Drescher przez chwilę przygryzał dolną wargę.

— Porozmawiam z kapitan — stwierdził. Wstał, przeszedł przez pokój i zapukał do drzwi. Drzwi się rozsunęły i Theo zobaczył siedzącą w środku surową, ciemnowłosą kobietę. Drescher wszedł i drzwi się za nim zamknęły.

Theo miał wrażenie, że detektyw zniknął na całą wieczność. Zaczął się rozglądać nerwowo dookoła. Na biurku Dreschera stał hologram przedstawiający młodą kobietę, która mogła być jego żoną lub dziewczyną, oraz starszego mężczyznę i kobietę. Theo rozpoznał w kobiecie Frau Drescher. Zakładając, że było to aktualne zdjęcie — a musiało być, gdyż ceny holoaparatów dopiero od kilku lat były w zasięgu uczciwego gliniarza — czas

się z nią obszedł łagodnie. Nadal była atrakcyjną kobietą, która najwyraźniej nie wstydziła się swojej siwizny.

Wreszcie drzwi na drugim końcu pomieszczenia otworzyły się ponownie. Detektyw Drescher wyszedł, szybko przemierzył pokój i wrócił za swoje biurko.

— Niestety — powiedział, siadając. — Gdyby ktoś panu groził albo...

— Chciałbym porozmawiać z pana szefową.

Drescher prychnął.

— Nie zechce się z panem spotkać; najczęściej nawet ze mną nie chce się widzieć. — Ton jego głosu złagodniał. — Naprawdę jest mi przykro, panie Procopides. Proszę po prostu zachować ostrożność, to wystarczy.

— Myślałem, że pan... przede wszystkim pan mnie zrozumie.

— Jestem tylko policjantem — stwierdził Drescher. — Wykonuję rozkazy. — Przerwał, a do jego głosu wkradła się chytra nuta. — Poza tym, może przyjdzie tu było błędem? To znaczy, co jeśli to ja pana zastrzeliłem? Czy Agatha Christie nie napisała takiej historii, w której to detektyw był zabójcą? To byłaby dopiero ironia, gdyby sam pan do mnie przyszedł.

Theo uniósł brwi. Serce mu waliło i nie wiedział, co powiedzieć. Jezu Chryste, zastrzelili go z glocka, ulubionej broni policji na całym świecie...

— Proszę się nie martwić — rzucił Drescher z uśmiechem. — Żartuję tylko. Tak sobie pomyślałem, że mogę panu napędzić trochę stracha po tym, co przez pana przeszedłem. — Po czym kilkoma ruchami palca wskazującego wymazał z flatsa kilka ostatnich wierszy rozmowy.



— Powodzenia, panie Procopides. Jak mówiłem, proszę zachować ostrożność. W przypadku miliardów ludzi przyszłość okazała się inna od tej pokazanej przez wizje. Chyba nie muszę tego panu mówić, to pan jest przecież naukowcem, ale naprawdę nie ma powodu przypuszczać, by akurat wizje dotyczące pana się sprawdziły.

Theo przywołał samochód z telefonu komórkowego i wsiadł, gdy tylko pojazd się pojawił.

Drescher zapewne miał rację. Theo czuł się nieco zawstydzony swym napadem paniki; musiał się do niego przyczynić zły sen poprzedniej nocy oraz podenerwowanie spowodowane zbliżającym się eksperymentem. Próbował się odprężyć, podziwiając krajobraz w drodze powrotnej do centrali LHC. Autokar nadal stał na parkingu, wywołując u Theo przyływ nostalgii. Naturalnie autokary Globus Gateway można było spotkać w całej Zachodniej Europie, ale sam nigdy nie był na wycieczce takim autokarem. Za to jako napalony nastolatek wraz z kilkoma kumplami zawsze je obserwowali w czerwcu i sierpniu. Często przyjeżdżały nimi dziewczyny z Ameryki, szukające letnich rozrywek; jako nastolatek Theo spędził niejedną romantyczny wieczór z amerykańskimi uczennicami.

Jednak przyjemne wspomnienie wywołało smutek; pomyślał o domu, o Atenach. Od pogrzebu Dima był tam tylko dwa razy. Czemu nie znalazł więcej czasu dla rodziców? Theo pozwolił samochodowi znaleźć wolne miejsce. Wsiadł i skierował się w stronę centrali LHC.

— O, Theo — rzucił Jake Horowitz, idący w przeciwną stronę korytarzem z mozaikowymi ścianami. — Próbowałem cię znaleźć. Dzwoniłem do twojego auta, ale powiedziało, że cię aresztowali, czy coś takiego.

— Ma poczucie humoru — stwierdził Theo. — Tak naprawdę to tylko... odwiedzałem kogoś, kogo uważałem za starego przyjaciela.

— Jest jakiś problem z LHC, którego Jiggs nie potrafi naprawić.

— Och?

— Tak, w jednym z zespołów kriostatu, numer czterdzieści cztery, oktant trzeci.

Theo zmarszczył brwi. LHC już od lat nie uruchamiano z pełną mocą. Trzydziestoczteroletni Jiggs był szefem działu konserwacji; nigdy tak naprawdę nie widział zderzacza uruchomionego na poziomie 14-TeV.

Theo skinął głową; układ sterowania kriostatu zawsze był kapryśny.

— Pójdę to sprawdzić. — Niegdyś, gdy w CERN-ie zatrudniano trzy tysiące osób, Theo nigdy by nie zszedł sam do tunelu LHC, ale przy obecnej szczątkowej załodze, wydawało się to najlepszym rozwiązaniem, a poza tym, było to dla niego prawdopodobnie najbezpieczniejsze miejsce: jakiś szaleniec mógł się wdrzeć na teren CERN-u z zamiarem zastrzelenia Theo, ale bez wątplenia zostałby zatrzymany przed dotarciem do tunelu. Zresztą tylko Jake i Jiggs, którym w pełni ufał, mieli wiedzieć, że zszedł na dół.

Theo zjechał windą na głębokość stu metrów. Powietrze w tunelu akceleratora było wilgotne, ciepłe i pachniało olejem maszynowym i ozonem. Tunel oświetlało przyćmione, niebieskawobiałe światło z lamp fluorescencyjnych rozmieszczonych w równych odstępach na ścianach. Warkot sprzętu, szum pomp powietrza i stukot butów Theo na betonowej podłodze odbijały się głośnym echem. Gdyby nie płaska podłoga, tunel miałby przekrój okręgu o średnicy od 3,8 do 5,5 metra.

Jak to już nie raz robił, Theo Procopides najpierw spojrzął w jedną, a potem drugą stronę tunelu. Fragment, który widział nie był do końca prosty. W zasięgu wzroku pozostawał spory odcinek, ale w końcu ściany zakręcały.

Pod sufitem tunelu zawieszona była szyna kolei jednoszynowej i sama kolejka, którą musiał zostawić w tym miejscu Jiggs. Składała się na nią kabina mieszcząca jednego pasażera, trzy małe wagoniki do przewożenia ładunku oraz druga kabina, zwrócona w przeciwnym kierunku. Wagoniki były metalowymi koszami, pomalowanymi na niebiesko. Na każdą z kabin składała się otwarta, pomarańczowa rama z reflektorami zamontowanymi nad nachyloną pod ostrym kątem przednią szybą i szerokim gumowym zderzakiem pod nią.

Operator musiał siedzieć z nogami wyciągniętymi przed siebie, gdyż kabina nie była na tyle wysoka, by usiąść normalnie. Przód kabiny ozdabiała nazwa producenta kolei — ORNEX. Po obu stronach napisu zamontowane były niewielkie czerwone światła, a pod napisem znajdował się szeroki pas

czarno-żółtych znaków bezpieczeństwa; chcieli mieć absolutną pewność, że kolej będzie dobrze widoczna w słabo oświetlonym tunelu. W 2020 roku kolej przeszła modernizację; obecnie rozwijała prędkość około sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, a to znaczyło, że okrążenie tunelu zajmowało mniej niż pół godziny.

Z jednej z szafek na stacji Theo wyjął skrzynkę z narzędziami, po czym założył swój żółty kask — choć rzadko schodził do tunelu, zajmował wystarczająco wysokie stanowisko, by mieć własny kask. Umieścił skrzynkę z narzędziami w jednym z wagoników, wdrapał się do kabiny zwróconej w kierunku, w którym zamierzał się udać, czyli zgodnym z ruchem wskazówek zegara i ruszył, z warkotem niktą w ciemnościach.

Detektyw Helmut Drescher próbował wrócić do pracy; miał siedem otwartych spraw, którymi powinien się zająć, a kapitan Lavoisier domagała się nadrobienia zaległości. Ale myśli Moota cały czas wracały do losu Theo Procopidesa. Facet wydawał się być miły; żałował, że nie może mu pomóc. Poza tym, nieźle się trzymał jak na kogoś, kto musiał dobiegać pięćdziesiątki. Moot znalazł flatsa, który rejestrował ich rozmowę; nadal widniała tam notka biograficzna Theo. Urodzony drugiego marca 1982 roku, czyli miał teraz czterdzieści osiem lat. To raczej zaawansowany wiek, jak na boksera, poza tym, nie był odpowiednio zbudowany. Może w alternatywnej rzeczywistości, którą pokazały wizje, był trenerem lub sędzią, a nie zawodnikiem. Nie, to bez sensu. Moot nie miał przy sobie wizytówki, którą dostał od Theo dwie dekady wcześniej, choć

trzymał ją przez te wszystkie lata, od czasu do czasu na nią zerkając; wyraźnie pamiętał, że widniał na niej napis CERN. Więc jeśli już przed wystąpieniem wizji w 2009 roku był fizykiem, raczej mało prawdopodobne, by mógł się nagle zawodowo zająć sportem. A Moot bardzo wyraźnie pamiętał swoją wizję: mężczyzna w fartuchu, czyli lekarz sądowy, powiedział, że Procopides zginął w ringu i...

W ringu.

Co Procopides powiedział dzisiaj? „Musiał pan o nim słyszeć. W CERN-ie mamy tunel o obwodzie dwudziestu siedmiu kilometrów, na głębokości stu metrów; to taki wielki pierścień”.

Był tylko dzieckiem. Małym dzieckiem, które oglądało boks razem z ojcem; dzieckiem, które uwielbiało „Rocky’ego”. Założył więc, że „w ringu” oznaczało „podczas walki bokserskiej” i nigdy więcej się nad tym nie zastanawiał.

To taki wielki pierścień.

Cholera. Może Procopides jednak znajdował się w niebezpieczeństwie. Moot zerwał się na równe nogi i jeszcze raz poszedł do kapitan Lavoisier.

Od uszkodzonego zespołu kriostatu Theo dzieliło dziesięć kilometrów, czyli około dziesięciu minut jazdy. Reflektory kabiny przecinały ciemność. Na całej długości tunelu zamontowane były lampy fluorescencyjne, ale oświetlenie dwudziestu siedmiu kilometrów nie miałyby sensu.

W końcu kolej dotarła do miejsca awarii. Theo zatrzymał pociąg, wysiadł, znalazł panel sterowania oświetlenia i włączył światło na odcinku pięćdziesięciu metrów przed i za sobą.

Następnie zdjął narzędzia z wagonika i ruszył w stronę uszkodzonego zespołu.

Tym razem kapitan Lavoisier ustąpiła i pozwoliła Mootowi ochraniać Theo do końca dnia. Moot wziął swój nieoznakowany wóz i pojechał do CERN-u. Tak jak się spodziewał, było to miejsce jakich wiele: sygnał transpondera z samochodu pracownika automatycznie umożliwił przejechanie przez bramę, ale on musiał się zatrzymać, pokazać odznakę komputerowi pilnującemu i dopiero wtedy szlaban się uniósł. Zapytał też komputer o drogę; kompleks CERN-u składał się z dziesiątek, w większości opuszczonych budynków. Dotarcie do centrali LHC zabrało mu pięć minut. Poczekał, aż samochód dotknie ziemi i natychmiast wysiadł.

Korytarzem, którego ściany wyłożone były szeregiem mozaik szła atrakcyjna kobieta w średnim wieku, o twarzy pokrytej piegami. Moot pokazał jej swoją odznakę.

— Szukam Theo Procopidesa — rzucił.

Kobieta skinęła głową.

— Był tu dzisiaj, może uda się go znaleźć.

Kobieta poprowadziła go w głąb budynku, zaglądając do kilku pomieszczeń, ale w żadnym nie było Theo.

— Może w biurze mojego męża — stwierdziła. — Pracuje z Theo. — Skręcili w inny korytarz, który doprowadził ich do biura. — Jake, ten pan jest z policji. Szuka Theo.

— Jest w tunelu — stwierdził Jake. — Przez ten cholerny zespół kriostatu w oktancie trzecim.

— Może być w niebezpieczeństwie — oznajmił Moot. — Czy może mnie pan do niego zaprowadzić?

— W niebezpieczeństwie?

— Według jego wizji dzisiaj ma zginąć... i mam podstawy sądzić, że dojdzie do tego w tunelu.

— Mój Boże — rzucił Jake. — Hmm... oczywiście, zaprowadzę pana i... cholera! Niech to szlag, na pewno zabrał kolejkę.

— Kolejkę?

— Na dole jest kolej krążąca po pierścieniu. Musiał ją zabrać dziesięć kilometrów stąd.

— Jest tylko jedna?

— Kiedyś były jeszcze trzy, ale lata temu je sprzedaliśmy. Teraz została jedna.

— Moglibyście podlecieć do stacji dostępu — powiedziała kobieta. — Nie ma tam drogi, ale można bez problemu przelecieć nad polami uprawnymi.

— Racja! — krzyknął Jake i uśmiechnął się do żony. — Piękna i genialna! — Odwrócił się w stronę Moota. — Chodźmy!

Jake przebiegł z Mootem korytarze i hol, po czym wybiegli na parking.

— Weźmiemy moje auto — oznajmił Moot. Wsiedli i Moot uruchomił samochód, który uniósł się nad ziemię. Zgodnie z instrukcjami Jake'a opuścili kompleks CERN-u, po czym Jake wskazał otwarte pole.

Samochód poleciał w tamtym kierunku.

Theo spojrział na obudowę zespołu kriostatu. Nic dziwnego, że Jiggs miał problemy z naprawą — próbował się dostać do środka przez niewłaściwy port. Panel, przy którym majstrował, był nadal otwarty, ale potencjometry, którymi zajmował się Jiggs kryły się za innym.

Theo spróbował otworzyć drzwiczki, za którymi znajdowały się odpowiednie urządzenia, ale nawet nie drgnęły. Po latach nieużywania w ciemnym, wilgotnym tunelu drzwi musiały skorodować na amen. Theo pogrzebał w skrzynce z narzędziami, szukając czegoś, czym mógłby je podważyć, ale znalazł tylko kilka śrubokrętów, zupełnie nieprzydatnych w tej sytuacji. Potrzebował raczej łomu lub czegoś podobnego. Przeklął po grecku. Mógł wrócić kolejką do kompleksu po odpowiednie narzędzia, ale uznał to za stratę czasu. W tunelu musiało znajdować się coś, czego mógłby użyć. Obejrzał się za siebie na drogę, którą przeszedł; na odcinku kilkuset metrów nic takiego nie rzuciło mu się w oczy, choć oczywiście nie rozglądał się zbytnio. Niemniej jednak stwierdził, że rozsądniej będzie pójść dalej, przynajmniej jeszcze kawałek i sprawdzić, czy tam znajdzie odpowiednie narzędzie.

Stacją dostępu był stary betonowy bunkier na środku pola rzepaku. Samochód Moota opadł na niewielki podjazd — od drugiej strony do bunkra dochodziła droga — i wyłączył silnik, po czym razem z Jakiem wysiedli.

Było południe, ale jak to w październiku, słońce nie stało zbyt wysoko na niebie. Choć przynajmniej nie było już pszczoł, które mocno dawały się we znaki latem. Zbocza górskie porośnięte były głównie drzewami iglastymi, za to na dole było mnóstwo drzew liściastych. Na większości z nich liście już zmieniły kolor.

— Tędy — rzucił Jake.

Moot się zawahał.

— Nie ma tu żadnego promieniowania, prawda?



— Dopóki zderzacz jest wyłączony, jesteśmy całkowicie bezpieczni.

Podchodząc do bunkra wystraszyli jeża, który natychmiast ukrył się między wysokimi na dziewięćdziesiąt centymetrów pędami rzepaku. Jake zatrzymał się przed drzwiami. Były to drzwi starego typu, z zawiasami i zasuwą, którą ktoś wyłamał. W trawie nieopodal leżał łom.

Moot podszedł do drzwi.

— Nie ma rdzy — stwierdził, wskazując zadrapania metalu w miejscu, gdzie był zamek. — Ktoś to zrobił niedawno.

— Czubkiem swego eleganckiego buta trącił łom. — Trawa pod nim jest wciąż zielona; ktoś to musiał zrobić dzisiaj lub wczoraj. — Spojrzał w stronę Jake'a. — Jest tam coś cennego?

— Cennego? Owszem — odparł Jake. — Ale coś, co można sprzedać? Nie, chyba że słyszał pan o czarnym rynku przestarzałego sprzętu do eksperymentów z zakresu fizyki wysokoenergetycznej.

— I mówi pan, że ostatnio zderzacz był nieużywany?

— Przez kilka lat.

— To może dzicy lokatorzy — stwierdził Moot. — Czy ktoś mógłby tu zamieszkać?

— Chyba... tak sędzę. Jest tam zimno i ciemno, ale przynajmniej sucho. — Moot miał przypięty do paska futerał; otworzył go i wyjął niewielkie urządzenie elektroniczne, które skierował w stronę łomu. — Mnóstwo odcisków — stwierdził. Jake spojrzał w kierunku urządzenia; na ekranie faktycznie świeciły fluorescencyjne odciski palców. Po około trzydziestu sekundach przez ekran przewinął się jakiś napis. — Brak

pasujących odcisków w kartotece. Osoba ta nigdy nie była aresztowana w Szwajcarii, ani w Unii Europejskiej. — Przerwał na chwilę. — Jak daleko stąd jest Procopides?

Jake wskazał ręką kierunek.

— Około pięciu kilometrów w tamtą stronę. Powinno stać tam kilka poduszkowców; możemy wziąć jeden z nich.

— Czy ma przy sobie telefon komórkowy? Możemy się z nim skontaktować?

— Jest sto metrów pod ziemią — rzucił Jake. — Komórki nie mają tam zasięgu.

Nie zwlekając dłużej, weszli do bunkra.

Theo przeszedł kilkaset metrów tunelu, ale nie znalazł niczego, co pomogłoby mu otworzyć drzwiczki do zespołu kriostatu. Zerknął za siebie; sam zespół zniknął już za łagodnym łukiem. Już miał się poddać i wrócić do kolejki, gdy coś przed nim przykuło jego uwagę. Ktoś majstrował przy jednym z magnesów heksapolowych. Osoba ta nie miała na głowie kasku, co stanowiło naruszenie przepisów. Theo chciał w pierwszej chwili coś krzyknąć, ale akustyka w tunelu była kiepska i już dawno nauczył się, że próby porozumienia się na odległość nie mają sensu. Zresztą nieważne, kto to, jeśli tylko miał przy sobie więcej narzędzi niż Theo.

Dotarcie do mężczyzny zabrało Theo kolejną minutę. Tamten robił coś przy pompach powietrza; ich szum musiał zagłuszyć dźwięk kroków Theo. Obok stał poduszkowiec — dysk o średnicy około półtora metra z dwoma fotelami przesłoniętymi daszkiem. Poduszkowce stworzono z myślą o polach golfowych; znacznie mniej niszczyły trawę niż wcześniej używane wózki.

Niegdyś w CERN-ie były tysiące pracowników, których Theo nie rozpoznawał z twarzy, ale teraz, gdy pracowało tu zaledwie kilkaset osób, był zaskoczony, że natknął się na kogoś, kogo nie zna.

— Hej — rzucił Theo.

Szczupły, biały mężczyzna około pięćdziesiątki o siwych włosach i ciemnoszarych oczach odwrócił się gwałtownie, najwyraźniej zaskoczony. Faktycznie miał ze sobą skrzynkę z narzędziami, ale...

Zdjął dużą pokrywę dostępową z boku jednej z pomp i właśnie umieścił tam jakieś urządzenie.

Urządzenie to wyglądało jak niewielka, aluminiowa walizka z rzędem świecących błękitnych cyfr z boku.

Cyfry najwyraźniej coś odliczały.

# 30.

Pod jedną ze ścian bunkra stał rząd szafek. Jake wziął jeden z żółtych kasków i gestem nakazał Mootowi, by ten zrobił to samo. Dostępna była winda i schody. Jake wcisnął przycisk przywołujący windę; czas oczekiwania na pojawienie się kabiny ciągnął się w nieskończoność.

— Ten, kto się włamał, musi być wciąż na dole — stwierdził.  
— Inaczej winda byłaby tutaj.

— Nie mógł skorzystać ze schodów? — spytał Moot.

— Pewnie mógł, ale to sto metrów... czyli jakieś trzydzieści pięter w wieżowcu. Nawet schodzenie jest wyczerpujące.

Pojawiła się winda, do której wsiedli i Jake wybrał odpowiedni przycisk. Jazda niewiarygodnie się dłużyła; dotarcie do tunelu zabrało całą minutę. W końcu wysiedli. Obok zaparkowany był poduszkowiec i Jake ruszył w jego kierunku.

— Nie mówił pan, że powinny być dwa poduszkowce?

— Faktycznie, tego się spodziewałem — przyznał Jake.

Następnie usiadł na fotelu kierowcy, a Moot zajął miejsce obok. Jake włączył reflektory pojazdu i uruchomił wentylator. Pojazd uniósł się w powietrze i ruszył tunelem w lewo z maksymalną prędkością.

Co jakiś czas, w miejscach przeznaczonych na cztery duże detektory tunel się prostował, by uniknąć promieniowania synchrotronowego. Pośrodku prostego fragmentu, który mijali znajdowała się gigantyczna, pusta komora o wysokości

dwudziestu metrów, niegdyś mieszcząca detektor CMS z jego magnesem o wadze czternastu tysięcy ton. W chwili budowy CMS kosztował ponad sto milionów dolarów amerykańskich. Po wynalezieniu Zderzacza Tachionowo-Tardionowego, CERN wystawił CMS, a także ALICE, który zajmował podobną komorę w innym miejscu tunelu, na sprzedaż. Detektory zostały zakupione przez rząd japoński do zderzacza KEK w Tsukabie. Demontaż ogromnych maszyn oraz ich montaż na miejscu nadzorowała Michiko Komura. Dźwięk silników poduszkowca odbił się echem w wielkiej komorze, w której swobodnie zmieściłby się niewielki blok mieszkalny.

— Daleko jeszcze? — spytał Moot.

— Nie — odparł Jake.

Ruszyli dalej.

Theo spojrział na mężczyznę, który nadał kucal przed pompą powietrza.

— *Mein Gott* — rzucił mężczyzna miękko.

— Pan — odezwał się Theo po francusku. — Kim pan jest?

— Witam, doktorze Procopides — odpowiedział mężczyzna.

To uspokoiło Theo. Skoro facet wiedział, kim jest, nie mógł być intruzem. Poza tym wyglądał jakby znajomo.

Mężczyzna spojrział na tunel, skąd przyszedł, a następnie sięgnął do skórzanej kurtki, którą miał na sobie i wyciągnął pistolet.

Serce Theo забиło mocniej. Naturalnie lata temu, gdy młody Helmut wspominał o glocku 9 mm, Theo obejrzał sobie jego zdjęcia w Internecie. Kanciasta, półautomatyczna broń, która

właśnie była w niego wycelowana, wyglądała dokładnie tak samo; magazynek mógł pomieścić piętnaście nabojów.

Mężczyzna spojrział na pistolet, jakby sam był zaskoczony faktem, iż znalazł się w jego dłoni. Następnie wzruszył ramionami.

— Tę zabawkę kupiłem sobie w Stanach... o wiele łatwiej je tam dostać. — Przerwał. — I tak, wiem, o czym pan myśli. — Wskazał aluminiową walizkę z błękitnym zegarem. — Myśli pan, że to może być bomba. I tak właśnie jest. Pewnie mógłbym ją podłożyć gdziekolwiek indziej, ale przeszedłem spory kawałek tunelu w poszukiwaniu miejsca, w którym nikt by jej nie znalazł. Wnętrze tego urządzenia wydało mi się odpowiednie.

— Co... — Theo był zaskoczony brzmieniem własnego głosu. Przełknął ślinę, próbując nad nim zapanować. — Co pan próbuje osiągnąć?

Mężczyzna jeszcze raz wzruszył ramionami. — To chyba oczywiste. Próbuję uszkodzić wasz akcelerator.

— Ale dlaczego?

Mężczyzna machnął pistoletem w stronę Theo.

— Pan mnie nie poznaje, prawda?

— Faktycznie, wygląda pan znajomo, ale...

— Odwiedził mnie pan w Niemczech. Jedna z moich sąsiadek skontaktowała się z panem; w mojej wizji oglądałem wiadomości, w których mówiono o pańskiej śmierci.

— Fakt — przyznał Theo. — Pamiętam. — Nie mógł sobie przypomnieć nazwiska tego człowieka, ale pamiętał spotkanie.

— Ale czemu oglądałem te wiadomości? Czemu przewinałem program akurat do informacji o pańskiej śmierci? Bo chciałem się dowiedzieć, czy mają dowody, które mogłyby ich doprowadzić do mnie. Nigdy nie miałem zamiaru nikogo zabijać, ale to zrobię, jeśli będę musiał. Poza tym, to byłoby sprawiedliwe. Pan zabił moją żonę.

Theo zaczął protestować, że to nieprawda, ale potem wszystko mu się przypomniało. Tak, pamiętał wizytę u tego człowieka. Jego żona spadła ze schodów na stacji metra w trakcie przeniesienia czasowego; złamała sobie kark.

— Naprawdę nie było żadnej możliwości, by przewidzieć to, co się stało... i w żaden sposób nie można było temu zapobiec.

— Oczywiście, że można było temu zapobiec — warknął mężczyzna... Rusch, tak się nazywał. Theo przypomniał sobie jego nazwisko: Wolfgang Rusch. — Oczywiście, że można było. Nie mieliście żadnego interesu w tym, co robiliście. Próba odtworzenia warunków z chwili narodzin wszechświata! Próba obejrzenia na własne oczy boskiego dzieła. Ciekawość, jak to mówią, to pierwszy stopień do piekła. Z tym, że chodziło o waszą ciekawość, a tymczasem to moja żona nie żyje.

Theo nie wiedział, co powiedzieć. Jak objaśnić naukę... tę potrzebę, tę misję komuś, kto najwyraźniej jest fanatykiem?

— Proszę posłuchać — powiedział Theo — gdzie byśmy teraz byli, gdyby nie...

— Myśli pan, że jestem szalony? — przerwał mu Rusch. — Myśli pan, że jestem czubkiem? — Pokręcił głową. — Nie jestem czubkiem. — Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął z niej

portfel. Jedną ręką wyjął z niego zalaminowaną żółto-niebieską kartę i pokazał ją Theo.

Ten spojrział na kartonik. Była to legitymacja wydziałowa Uniwersytetu Humboldtów.

— Pracownik etatowy — oznajmił Rusch. — Wydział Chemii, doktorat na Sorbonie. — Faktycznie... w 2009 roku mężczyzna wspominał, że wykłada chemię. — Gdybym wówczas wiedział, jaką pan odegrał w tym wszystkim rolę, w ogóle bym z panem nie rozmawiał. Ale przyjechał pan, zanim CERN się przyznał do winy.

— Więc teraz chce mnie pan zabić? — spytał Theo. Serce waliło mu tak mocno, jakby miało zaraz pęknąć; Theo poczuł, że całe ciało oblewa mu pot. — To nie wróci życia pana żonie.

— Ależ wróci — stwierdził Rusch.

Więc jednak był szalony. Cholera, czemu Theo zszedł do tunelu sam?

— Naturalnie nie pańska śmierć — dodał Rusch. — Ale to, co robię. Tak, to zwróci mi moją Helenę. A wszystko dzięki regule Pauliego.

Theo nie wiedział, co powiedzieć; facet był kompletnie stuknięty.

— Co?

— Wolfganga Pauliego — oznajmił Rusch, kiwając głową. — Zawsze mówię studentom, że to po nim dostałem imię, choć to nieprawda... imię mam po wujku ojca. — Chwila ciszy. — Reguła Pauliego z początku odnosiła się tylko do elektronów i mówiła, że dwa elektrony nie mogą jednocześnie znajdować się



w tym samym stanie kwantowym. Później rozszerzono ją również na inne cząstki subatomowe.

Theo doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Starał się ukryć swą narastającą panikę.

— No i?

— No i wierzę, że zakaz Pauliego dotyczy również pojęcia terażniejszości. Wszystko na to wskazuje: może istnieć tylko jedna terażniejszość... w historii ludzkości zawsze wszyscy zgadzali się co do tego, która chwila jest tą obecną. Nigdy dotychczas nie zdarzyło się tak, by część ludzkości uważała tę chwilę za terażniejszość, podczas gdy inna uznawała ją za przeszłość, a jeszcze inna za przyszłość.

Theo wzruszył nieco ramionami, nie do końca wiedząc, dokąd prowadzi ten wywód.

— Nie rozumie pan? — spytał Rusch. — Nic panu nie świta? Gdy przenieśliście świadomość ludzkości o dwadzieścia jeden lat w przyszłość... kiedy przenieśliście „terażniejszość” z roku 2009 do 2030, „terażniejszość”, której powinni doświadczać ludzie w 2030 roku, musiała się gdzieś przenieść. Reguła Pauliego! Każda chwila stanowi „terażniejszość” dla osób w niej się znajdujących... nie można nałożyć „teraz” z 2009 roku na to z roku 2030; nie mogą istnieć dwie terażniejszości jednocześnie. Gdy przenieśliście terażniejszość z roku 2009 w przyszłość, terażniejszość z roku 2030 musiała zwolnić to miejsce. Kiedy usłyszałem, że zamierzacie powtórzyć eksperyment dokładnie w chwili, którą pokazywały pierwsze wizje, wszystko złożyło mi się w całość. — Przerwał na chwilę. — Supernowa Sanduleak będzie jeszcze tak oscylować przez wiele dekad lub stuleci...

jutrzejsza próba z pewnością nie będzie ostatnia. Sądzi pan, że apetyt ludzkości na poznanie przyszłości zaspokoi jeszcze tylko jeden rzut oka? Na pewno nie. Jesteśmy niezwykle zachłanni w naszych pragnieniach. Od najdawniejszych czasów żadne z marzeń nie było równie kuszące jak poznanie przyszłości. Wykorzystamy dosłownie każdą okazję do przesunięcia pojęcia „teraz”... zakładając, że wasz jutrzejszy eksperyment się uda.

Theo zerknął na bombę. Jeśli dobrze odczytywał wyświetlacz, do wybuchu zostało ponad pięćdziesiąt pięć godzin. Próbował myśleć trzeźwo; nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo deprymuje pistolet wymierzony prosto w serce.

— Więc... co próbuje mi pan powiedzieć? Że jeśli teraz, w 2030 roku nie pojawi się tutaj miejsce, w które będzie mogła wskoczyć świadomość z roku 2009, wówczas nie dojdzie do pierwszego przeniesienia?

— Dokładnie!

— Ale to szaleństwo. Do pierwszego przeniesienia już doszło. Wszyscy je przeżyliśmy dwadzieścia jeden lat temu.

— Nie wszyscy je przeżyliśmy — zauważył Rusch ostro.

— No nie, ale...

— Tak, zdarzyło się. A ja zamierzam je anulować. Zamierzam wstecznie zmienić ostatnie dwie dekady.

Theo nie chciał się z nim kłócić, ale i tak powiedział:

— To niemożliwe.

— Właśnie, że możliwe. Wiem, że tak jest. Nie rozumie pan? Już mi się udało.

— Słucham?

— Co miały ze sobą wspólnego pierwsze wizje? — spytał Rusch.

— Nie wiem...

— Przedstawiały czas wolny! Zdecydowana większość populacji najwyraźniej miała dzień wolny. Dlaczego? Bo wszystkim powiedziano, by zostali tego dnia w domu, gdzie jest bezpiecznie, gdyż CERN planował powtórzenie przeniesienia czasowego. Ale coś się stało... powtórny eksperyment z jakiegoś powodu został odwołany, ale było za późno, by ludzie jednak poszli do pracy. I tak oto ludzkość otrzymała niespodziewane wakacje.

— Bardziej prawdopodobne, że za pierwszym razem widzieliśmy wersję rzeczywistości, w której Futurospekcja nigdy się nie wydarzyła.

— Bzdura — rzucił Rusch. — Pewnie, niektórzy byli w pracy... sprzedawcy, handlarze uliczni, policja i tak dalej. Ale większość firm była zamknięta, prawda? Słyszał pan te spekulacje, że w środę, dwudziestego trzeciego października 2030 roku na całym świecie obchodzone będzie jakieś wielkie święto. Może powszechny dzień rozbrojenia albo obchody z okazji pierwszego kontaktu z obcymi. Ale teraz mamy rok 2030 i wie pan równie dobrze, jak ja, że nie ma takiego święta. Wszyscy mieli wolne, przygotowując się do przeniesienia czasowego, które nie nadeszło. Ale otrzymali z pewnym wyprzedzeniem informację, że tak będzie, a to znaczy, że wiadomość o uszkodzeniu Wielkiego Zderzacza Hadronów musiała się pojawić tego samego dnia. Tak więc bomba wybuchnie dwie godziny przed tym, jak dotrą tu sanduleakowe neutrino.

— Ale jeśli coś takiego podawano by w wiadomościach, ktoś z pewnością zobaczyłby to w wizji. I pewnie by to zgłosił.

— A kto by siedział w domu oglądając wiadomości dwie godziny po tym, jak otrzymał znienacka dzień wolny? — spytał Rusch. — Nie, jestem pewien, że przedstawiony przeze mnie scenariusz jest prawidłowy. Uda mi się przeszkodzić CERN-owi; świadomość z roku 2030 zostanie dokładnie tam, gdzie jej miejsce i nastąpią wsteczne zmiany na przestrzeni dwudziestu jeden lat, które napiszą historię od nowa. Moja ukochana Helena i wszyscy inni, którzy zginęli przez waszą arogancję, znów będą żyć.

— Nie może mnie pan zabić — stwierdził Theo. — I nie może mnie pan tu trzymać przez dwa dni. Ktoś zauważy, że mnie nie ma, przyjdą mnie szukać, znajdą bombę i ją rozbiją.

— Słuszna uwaga — przyznał Rusch. Nie przestając celować w Theo, wycofał się w stronę bomby, wyjął ją z pompy powietrza i podniósł za rączkę walizki. Musiał zauważyć przerażony wyraz twarzy Theo, bo powiedział: — Proszę się nie martwić, nie jest delikatna. — Następnie umieścił bombę na ziemi, pomajstrował chwilę przy mechanizmie zegarowym, po czym odwrócił walizkę dłuższym bokiem w stronę Theo, by ten mógł spojrzeć na licznik. Odliczanie trwało, ale zegar wyświetlał już tylko pięćdziesiąt dziewięć minut i pięćdziesiąt sześć sekund.

— Bomba wybuchnie za godzinę — oznajmił Rusch.

— Wcześniej niż planowałem, a przy takim wyprzedzeniu pewnie pozbawimy ludzi dnia wolnego, ale efekt końcowy będzie taki sam. Wystarczy, by tunelu nie udało się naprawić w

dwa dni, a *Der Zwischenfall* się nie powtórzy. — Przerwał. — A teraz chodźmy. Nie zamierzam się pakować z panem na poduszkowiec, ani do kolejki, którą pan zapewne przyjechał. Nie skorzystamy z niej. Ale w przeciągu godziny odejdziemy wystarczająco daleko, by żadnemu z nas się nic nie stało. — Machnął pistoletem. — Chodźmy.

Ruszyli w lewo, w stronę kolejki, ale zdążyli przejść ledwie kilkanaście metrów, gdy Theo usłyszał nieznaczny świst za plecami. Odwrócił się. Rusch zrobił to samo. Zza odległego zakrętu tunelu wyłonił się drugi poduszkowiec.

— Cholera — warknął Rusch. — Kto to?

Rudo-siwe włosy Jake'a Horowitza łatwo było rozpoznać nawet z tej odległości, ale drugi z mężczyzn...

Boże! Wyglądał jak...

Tak, to on. Detektyw Helmut Drescher z genewskiej policji.

— Nie wiem — odparł Theo udając, że mruży oczy.

Poduszkowiec zbliżał się szybko. Rusch rozejrzał się na boki. Wzdłuż ścian tunelu było tyle sprzętu, że gdyby tylko mieli więcej czasu, spokojnie zdążyliby się ukryć w jakimś zakamarku. Rusch odstawił bombę na bok i zaczął się wycofywać, z dala od zbliżającego się pojazdu. Ale było za późno. Jake wyraźnie na nich wskazywał. Rusch doskoczył do Theo i wbił mu pistolet między żebra. Serce Theo nigdy wcześniej nie biło tak szybko.

Gdy poduszkowiec wylądował na podłodze tunelu około pięciu metrów od Ruscha i Theo, Drescher już miał broń w ręce.

— Kim jesteś? — spytał Jake Ruscha.

— Uważaj! — krzyknął Theo. — On ma broń.

Rusch spanikował. Podłożenie niezbyt groźnej bomby to jedno, ale wzięcie zakładnika i ewentualne morderstwo to drugie. Niemniej jednak, ponownie wbił glocka w bok Theo.

— Zgadza się — rzucił. — Lepiej się odsunąć.

Moot stał na szeroko rozstawionych nogach, by zapewnić sobie jak najlepszą stabilność i mierzył z broni prosto w serce Ruscha. — Jestem z policji — oznajmił. — Rzuć broń.

— *Nein.*

Głos Moota był niezwykle spokojny.

— Rzuć broń, bo będę strzelać.

Rusch rozejrzał się nerwowo.

— Strzel, a doktor Procopides zginie.

Przez głowę Theo przebiegały miliony myśli. Czy tak to właśnie wyglądało za pierwszym razem? Żeby wszystko odbyło się zgodnie z wizją, Rusch musiałby strzelić trzy razy, a nie raz. W obecnej sytuacji mógłby go trafić raz — nie żeby trzeba było poprawiać — ale z pewnością, gdy tylko pociągnie za spust, Moot go sprzątnie.

— Odsunąć się! — krzyknął Rusch. — Odsunąć się!

Na twarzy Jake'a malowało się to samo przerażenie, które odczuwał Theo, ale Moot nawet nie drgnął.

— Rzuć broń. Jesteś aresztowany.

Panika Ruscha na chwilę przycichła, jak gdyby słowa Moota całkowicie go ogłuszyły. Jeśli naprawdę był wykładowcą uniwersyteckim, pewnie nigdy w życiu nie wszedł w konflikt z prawem. Ale potem jakby się rozpogodził.

— Nie może mnie pan aresztować.

— Niby dlaczego? — spytał Moot.

— W jakiej policji pan służy?

— Genewskiej.

Rusch wybuchnął śmiechem zdradzającym panikę, po czym kolejny raz szturchnął Theo pistoletem.

— Powiedz mu, gdzie jesteśmy.

Żołądek podszedł Theo do gardła. Nie zrozumiał pytania.

— W Wielkim Zderzaczku...

Kolejne szturchnięcie.

— Kraj.

Theo stracił resztki nadziei.

— Och. — Cholera. Szlag by to. — Jesteśmy we Francji — powiedział. — Granica przebiega przez tunel.

— Więc — oznajmił Rusch, patrząc na Moota — nie ma pan tu żadnej władzy; Szwajcaria nie jest członkiem Unii. Więc jeśli mnie pan zastrzeli, to będzie morderstwo.

Moot przez chwilę wyglądał, jakby się wahał; pistolet w jego dłoni nieco drgnął. Ale zaraz potem znów był wycelowany w serce Ruscha.

— Poniosę wszelkie tego konsekwencje — oznajmił. — Rzuć broń, bo będę strzelać.

Rusch stał tak blisko Theo, że ten czuł jego oddech... urywany, płytki. Facet był na dobrej drodze do hiperwentylacji.

— Dobrze — powiedział Rusch. — Dobrze. — Cofnął się o krok od Theo i...

*Kablam!*

Huk odbił się w tunelu echem.

Serce Theo zwolniło...

...ale tylko na sekundę.

Usta Ruscha otworzyły się w przerażeniu...

...gdy tylko uświadomił sobie, co zrobił...

...gdy Moot Drescher zatoczył się do tyłu i runął na ziemię, lądując na plecach; wypuścił przy tym z ręki broń, a na ramieniu zaczęła wykwitać mu plama krwi.

— O mój Boże! — krzyknął Jake. — O mój Boże! — Rzucił się do przodu, chcąc dopaść pistoletu Dreschera.

Rusch wyglądał na oszołomionego. Theo chwycił go od tyłu, oplatając ramieniem jego szyję i wbijając mu kolano w krzyż. Drugą ręką próbował mu wyrwać z ręki gorącą, dymiącą broń.

Jake trzymał już broń Dreschera. Próbował wycelować w kotłujących się Theo i Ruscha, ale dłonie trzęsły mu się jak oszalałe. Theo wykręcił Ruschowi rękę i ten upuścił broń. Theo rzucił się w bok i Jake wystrzelił. Ale przez jego brak doświadczenia i drzenie rąk, kula poszybowała daleko od celu i rozbiła jedną ze świetlówek, która eksplodowała deszczem iskier i szkła. Rusch rzucił się po swoją broń. Ani on, ani Theo nie byli w stanie jej dosięgnąć, aż w końcu Theo zdołał kopnąć ją z dala od ręki Ruscha. Pistolet przeleciał kilkanaście metrów w lewo.

Teraz ani Theo, ani Rusch nie mieli broni. Drescher leżał w kałuży krwi, ale wyglądało na to, że jeszcze żyje; jego klatka piersiowa nadal się unosiła i opadała. Jake strzelił ponownie, ale znów nie trafił.

Rusch na kolanach ruszył w stronę glocka. Theo wiedział, że go nie dogoni, więc zaczął biec w przeciwnym kierunku. — On ma bombę — krzyknął, mijając Jake'a. — Pomóż Mootowi!



Jake skinął głową. Rusch dotarł już do swojej broni, zawrócił i pobiegł w kierunku Jake'a, Moota i wycofującego się Theo, celując w ich stronę.

Theo biegł z całych sił, a jego ciężkie kroki odbijały się głośnie echem w tunelu. Przed nim znajdowała się walizka z bombą. Zerknął za siebie przez ramię. Jake, nadal z bronią Moota w ręku, uklęknął przy policjancie. Rusch minął ich, mierząc w Jake'a, przez co tamten nie zdecydował się na kolejny strzał. Rusch odwrócił się i biegł teraz tyłem, cały czas trzymając Jake'a na muszce, aż wreszcie oddalił się poza zasięg jego niepewnego strzału. Wtedy odwrócił się do Jake'a tyłem i pobiegł za Theo.

Theo dotarł do bomby, podniósł ją jedną ręką, a następnie...

Wskoczył do poduszkowca Ruscha i do oporu wcisnął pedał gazu, a gdy wózek ruszył w prawą stronę tunelu, obejrzał się za siebie.

Rusch zawrócił. Jake, najwyraźniej zakładając, że Rusch już nie wróci, odłożył pistolet Moota i zdejmował przez głowę koszulę, której kilka guzików jeszcze było zapiętych... najwyraźniej chciał jej użyć jako bandaża, by zatamować krwawienie Moota. Rusch bez problemu dotarł do poduszkowca, którym przybyli na miejsce Jake i Moot, po czym ruszył za Theo.

Theo miał sporą przewagę, jednak nie mógł lecieć prosto, gdyż musiał brać poprawkę nie tylko na krzywiznę tunelu, ale i na wszystkie sprzęty porozstawiane na całej jego długości.

Theo spojrzał na wyświetlacz bomby: czterdzieści jeden minut, osiemnaście sekund. Miał nadzieję, że Rusch nie kłamał

mówiąc, że ładunek nie jest wrażliwy na wstrząsy. Przy wyświetlaczu znajdował się szereg niepodpisanych przycisków... trudno było zgadnąć, które służyły do przestawiania wartości na wyświetlaczu, a które powodowały natychmiastową detonację. Ale gdyby tylko dotarł do stacji dostępu i wydostał się na powierzchnię, miałby mnóstwo czasu, by porzucić bombę na środku jednego z pól.

Jego wózek był wyjątkowo niestabilny... niewątpliwie jechał za szybko jak na możliwości żyroskopów. Theo ponownie obejrzał się za siebie. W pierwszej chwili chciał odetchnąć z ulgą, gdyż Ruscha nie było w zasięgu wzroku, ale sekundę później ścigający go pojazd wyłonił się zza zakrętu.

Przed nim panowała całkowita ciemność; Theo włączył światła tylko na niewielkim odcinku tunelu. Miał nadzieję, że Jake'owi udało się opatrzyć Moota. Cholera... nie powinien był brać poduszkowca; konieczność zabrania Moota na powierzchnię była bez wątpienia ważniejsza niż chronienie sprzętu w tunelu. Oby tylko Jake się domyślił, że kolejka musi stać niedaleko.

Cholera! Wózek Theo uderzył w zewnętrzną ścianę tunelu i zaczął się obracać, a jego reflektory cięły bezlitośnie ciemność. Theo walczył z dźwignią sterowania, próbując uniknąć kolejnych zderzeń. W końcu udało mu się wrócić na właściwy tor, ale wózek Ruscha dzieliło od niego już tylko pół długości widocznej części tunelu.

Poduszkowiec nie poruszał się na tyle szybko, by czuć prawdziwy pęd powietrza, ale niewątpliwie można było odnieść wrażenie, iż pędzi się na złamanie karku. Rusch nadal

miał glocka, ale na szczęście w poduszkowcu nie można było przestrzelić opon, by zatrzymać pojazd, jak w przypadku samochodu. Jedynym pewnym sposobem na jego zatrzymanie było zabicie kierowcy, gdyż ten musiał przytrzymywać cały czas pedał gazu.

Theo nieustannie manewrował w lewo i w prawo, a także w górę i w dół, na ile tylko pozwalał mu ciasny tunel; jeśli Rusch próbowałby go zastrzelić, to chciał być jak najtrudniejszym celem.

Spojrzał na oznaczenia na łagodnie zakręcającej ścianie; tunel był podzielony na osiem oktantów, z których każdy mierzył około trzech i pół kilometra i dzielił się na trzydzieści kilka części o długości stu metrów każda. Zgodnie ze znacznikami, znajdował się w oktancie trzecim, w części dwudziestej drugiej. Stacja dostępu znajdowała się w oktancie czwartym, w części trzydziestej trzeciej. Miał szansę tam dotrzeć...

Uderzenie!

Snop iskier.

Dźwięk rozrywanego metalu.

Cholera, był nieostrożny; poduszkowiec zderzył się z jednym z zespołów kriogenicznych. Gdyby się wywrócił, Theo wraz z bombą zapewne wypadliby z pojazdu. Theo wrócił do dźwigni sterowania, próbując wyrównać lot wózka. Szybkie spojrzenie w tył potwierdziło jego obawy; kolizja zwolniła go na tyle, że Rusch zbliżył się na zaledwie pięćdziesiąt metrów. Musiałby być piekielnie dobrym strzelcem, by trafić go po ciemku z tej odległości, ale jeśli tylko znalazłby się jeszcze trochę bliżej...

Tunel przed nimi był wyjątkowo zagracony sprzętem; Theo musiał opuścić wózek na wysokość zaledwie kilku centymetrów nad ziemię, ale przy obecnej szybkości kontrola nad pojazdem była bardzo ograniczona... wózek sunął nad podłogą niczym kamień rzucony tuż nad taflą jeziora.

Kolejne zerknięcie na zegar bomby — bez problemu odczytał jaskrawe niebieskie cyfry. Trzydzieści siedem minut.

Blam!

Kula przemknęła tuż obok Theo, który instynktownie się schylił. Pocisk trafił w coś metalowego, oświetlając tunel deszczem iskier.

Theo miał nadzieję, że Jake i Moot zjechali do tunelu windą, bo jeśli kabina byłaby teraz na górze, Theo nie mógłby na nią czekać i musiałby wbiec na górę po schodach z nadzieją, że Rusch nie zdąży go kropnąć.

Kolejny gwałtowny skręt tym razem po to, by ominąć wspornik linii eksperymentalnej. Theo zerknął za siebie. Szlag by to, wózek Ruscha musiał mieć lepiej naładowane akumulatory, bo był już całkiem blisko.

Sunął dalej wzdłuż zakręcającej ściany tunelu i... tak, na Boga, wreszcie! Stacja dostępu. Ale...

Ale Rusch był już o wiele za blisko. Jeśli tylko Theo zatrzyma tu wózek, Rusch go zastrzeli. Szlag by to.

Theo minął stację i poczuł, że opuszcza go nadzieja. Obrócił się w fotelu i patrzył, jak stacja znika w oddali. Rusch, najwyraźniej stwierdzając, że nie ma sensu ścigać Theo dookoła tunelu w nieskończoność, po raz kolejny wystrzelił. Tym razem

trafił w poduszkowiec, wprawiając w drżenie metalową konstrukcję pojazdu.

Theo przyspieszył. Przypomniały mu się wózki golfowe, których CERN kiedyś używał do przemieszczania się po tunelu. Żałował, że już ich nie ma; one przynajmniej nie groziły wywróceniem przy większych prędkościach.

Jechali coraz dalej, kołyszając się po całym tunelu i...

Nagły huk za plecami. Theo obejrzał się. Wózek Ruscha uderzył o zewnętrzną ścianę i stanął. Z piersi Theo wyrwał się cichy okrzyk radości.

Obliczył, że przejechali około siedemnastu kilometrów, czyli wkrótce w zasięgu wzroku powinna pojawić się stacja kolejki. Może uda mu się tam dotrzeć i wjechać windą prosto do centrali LHC. Miał nadzieję, że zastanie tam też kolejkę, bo to by znaczyło, że Jake i Moot są już bezpieczni i...

Cholera jasna! Jego poduszkowiec zwalniał; akumulator się wyczerpał. Prawdopodobnie wcześniej ostrzegął o tym sygnał dźwiękowy, którego Theo nie usłyszał przez hałas przeciążonych silników. Wózek opadł na podłogę tunelu, sunąc jeszcze chwilę po betonowej nawierzchni, aż w końcu się zatrzymał. Theo chwycił bombę i zaczął biec. Jako nastolatek brał raz udział w rekonstrukcji biegu z Maratonu do Aten, który odbył się w 490 r. p. n. e., by ogłosić zwycięstwo Greków nad Persami... ale był wtedy trzydzieści lat młodszy. Teraz serce zaczynało mu walić, gdy tylko próbował przyspieszyć.

Blam!

Kolejny strzał. Ruschowi musiało się udać uruchomić wózek. Theo biegł dalej i miał wrażenie, że jego nogi łomoczą jak tłoki.

Przed nim znajdowała się główna stacja kompleksu z sześcioma poduszkowcami pod ścianą. Jeszcze dwadzieścia metrów...

Zerknął za siebie. Rusch zbliżał się z ogromną szybkością. Chryste, tu też nie mógł się zatrzymać... Rusch zdjąłby go jak siedzącą kaczkę.

Theo zmusił swoje ciało do przebycia ostatnich kilku metrów i...

Wyścig trwał.

Wskoczył do nowego poduszkowca i ponownie ruszył tunelem, cały czas w prawą stronę. Obejrzał się. Rusch porzucił swój poduszkowiec, prawdopodobnie z obawy przed wyczerpaniem się akumulatora, wsiadł do nowego pojazdu i ruszył w pościg.

Theo spojrział na zegar bomby. Zostało tylko dwadzieścia minut, ale teraz przynajmniej Theo miał przyzwoitą przewagę. I w związku z tym mógł chwilę spokojnie pomyśleć. Czy Rusch mógł mieć rację? Czy możliwe było naprawienie wszystkich szkód, przywrócenie do życia wszystkich ofiar sprzed dwudziestu jeden lat? Gdyby wizje nie nastąpiły, żona Ruscha mogłaby jeszcze żyć; córka Michiko również; tak jak i brat Theo — Dimitrios.

Ale z drugiej strony, nikt poczęty po wizjach... nikt urodzony w przeciągu ostatnich dwudziestu lat nie byłby taki sam. To, który plemnik dostanie się do jajeczka zależało od tysięcy czynników; jeśli losy świata potoczyłyby się inaczej, jeśli kobiety zaszłyby w ciążę innego dnia lub choćby w innej sekundzie, ich dzieci byłyby inne. W przeciągu ostatnich dwóch dekad urodziło się... ile? Jakies cztery miliardy ludzi. Nawet

jeśli można by było zmienić bieg historii, czy miałyby do tego prawo? Czy te miliardy nie zasłużyły na siedemdziesiąt lat życia, które im pozostały? Czy można było je tak po prostu usunąć, nawet nie zabijając ich, ale zwyczajnie wymazując z historii?

Wózek Theo jechał dalej tunelem. Zerknięcie za siebie; Rusch wyłaniał się właśnie zza zakrętu.

Nie. Nie zmieniliby przeszłości, nawet gdyby mógł. Poza tym, wcale nie wierzył Ruschowi. Owszem, przyszłość można było zmienić. Ale przeszłość? Nie, przeszłość musiała być stała. Przynajmniej co do tego zawsze zgadzał się z Lloydem Simcoe. To, co sugerował Rusch było czystym szaleństwem.

Kolejny strzał! Pocisk minął go, trafiając w ścianę tunelu przed nim. Ale z pewnością będą kolejne strzały, jeśli tylko Rusch domyśli się, dokąd zmierza Theo...

Kolejny kilometr za nimi. Zegar bomby wyświetlał już tylko jedenaście minut. Theo spojrzął na ścianę, próbując odczytać znaczniki w przyćmionym świetle reflektorów poduszkowca. Musi być tuż przed nim i...

Jest! Tam, gdzie ją zostawił!

Kolejka podwieszona pod sufitem. Gdyby tylko udało mu się do niej dostać...

Jeszcze jeden strzał. Tym razem pocisk trafił w poduszkowiec i Theo niemal stracił kontrolę nad pojazdem. Od kolejki dzieliło go jeszcze sto metrów. Znow walczył z dźwignią sterowania, przeklinając wózek i błagając go, by poruszał się szybciej...

Na kolejkę składało się pięć elementów... kabiny z obu stron i trzy wagoniki pośrodku. Musiał dotrzeć do dalszej z kabin;

kolejka mogła poruszać się tylko do przodu.

Już prawie...

Nie zwalniał stopniowo, po prostu nagle wcisnął pedał hamulca. Poduszkowcem zarzuciło, Theo poleciał do przodu. Wózek z hukiem opadł na podłogę tunelu i sunął po niej jeszcze przez chwilę, krzesząc snopy iskier. Theo wysiadł, chwycił bombę i...

Kolejny strzał i...

Boże!

Na twarz Theo trysnął strumień jego własnej krwi...

Nigdy w życiu nie czuł takiego bólu...

Pocisk rozorał mu prawe ramię...

Boże...

Upuścił bombę, sięgnął po nią lewą ręką i chwiejnym krokiem wszedł do kabiny kolejki.

Ból... niewyobrażalny ból...

Uruchomił kolejkę.

Rozbłysły reflektory zamontowane nad ukośną przednią szybą, oświetlając tunel. Po półmroku ostatnich trzydziestu minut, światło okazało się boleśnie jaskrawe.

Kolejka ruszyła z jękiem. Theo przesunął dźwignię gazu, pojazd zaczął nabierać prędkości.

Theo miał wrażenie, że zaraz zemdleje z bólu. Obejrzał się. Rusch próbował minąć porzucony przez Theo poduszkowiec. Kolejka magnetyczna mogła rozwijać wysokie prędkości. Naturalnie nikt nie testował jej maksymalnej prędkości w tunelu...

Aż do dziś.



Zegar bomby wyświetlał osiem minut.

Rozległ się kolejny strzał, ale tym razem był niecelny. Theo zerknął za siebie dokładnie w chwili, gdy poduszkowiec Ruscha zniknął za zakretem tunelu.

Theo wychylił głowę z kabiny, poczuł na twarzy pęd powietrza. — No dalej — rzucił. — Dalej...

Ściany tunelu szybko przesuwały się obok. Generatory kolejki warczały głośno.

Tam są: Jake i Moot, a także lekarz opatrujący policjanta, który siedział, na szczęście żywy. Theo pomachał im, gdy kolejka przemykała obok nich.

Pokonywał kolejne kilometry, aż...

Zostało sześćdziesiąt sekund.

Nie uda mu się dotrzeć do stacji dostępu, a tym bardziej nie uda mu się wyjechać na powierzchnię. Może powinien po prostu zostawić gdzieś bombę; unieruchomi LHC bez względu na to, gdzie wybuchnie, ale...

Nie.

Nie, udało mu się dotrzeć już tak daleko... i nie był naznaczony winą tragiczną; jego upadek nie był z góry przesądzony.

Gdyby tylko...

Znów spojrzął na zegar, a potem na znaczniki na ścianach.

Tak!

Tak! Może się uda!

Przyspieszył.

A potem...

Tunel się wyprostował.

Uruchomił hamulec bezpieczeństwa.  
Kolejny snop iskier.  
Metal trący o metal.  
Głowa lecąca do przodu...  
Porażający ból w ramieniu...  
Wygramolił się z ciasnej kabiny i chwiejnym krokiem oddalił się od kolejki.  
Czterdzieści pięć sekund...  
Kolejne kilka metrów tunelu za nim...  
Wejście do ogromnej, pustej, wysokiej na sześć pięter komory, która niegdyś mieściła detektor CMS.  
Zmusił się do tego, by iść dalej, wejść do komory i umieścić bombę na samym środku tej ogromnej, pustej przestrzeni.  
Trzydzieści sekund.  
Odwrócił się i zaczął biec z całych sił, przerażony ciągnącą się za nim rzeką krwi...  
Z powrotem do kolejki...  
Piętnaście sekund.  
Wspinaczka do kabiny, uruchomienie kolejki...  
Dziesięć sekund.  
Kolejka rusza wzdłuż podwieszanej pod sufitem szyny... Pięć sekund.  
Mija zakręt tunelu...  
Cztery sekundy.  
Theo niemal traci przytomność z bólu...  
Trzy sekundy.  
Kolejka przyspiesza.  
Dwie sekundy.

Theo zakrywa głowę dłońmi, choć ramię gwałtownie protestuje przed uniesieniem prawej ręki.

Sekunda.

Krótką chwilą zastanowienia, co przyniesie przyszłość...  
Zero!

Ka-bum!

Eksplozja poniosła się echem po tunelu.

W krótkim rozbłysku światła za plecami na ścianie tunelu pojawił się ogromny cień kolejki.

A potem...

Jadąca dalej kolejka i cudowna, kojąca ciemność, gdy Theo runął na niewielką deskę rozdzielczą.

Dwa dni później.

Theo znajdował się w centrum sterowania LHC. Pomieszczenie było zatłoczone, ale nie naukowcami i inżynierami... niemal cały proces był zautomatyzowany. Obecnych było za to wielu dziennikarzy leżących teraz na ziemi. Naturalnie był tam też Jake Horowitz, a także goście specjalni Theo: detektyw Helmut Drescher z ręką na temblaku i jego młoda żona.

Theo uruchomił odliczanie, po czym sam położył się na ziemi, czekając na to, co się stanie.

# 31.

Lloyd Simcoe często myślał o swojej siedmioletniej córce, Joan, która teraz mieszkała w Japonii. Naturalnie rozmawiali ze sobą co kilka dni przez wideotelefon, a Lloyd usiłował sobie wmówić, że oglądanie i słuchanie jej było równie dobre jak przytulanie, bujanie na kolanach, trzymanie za rękę podczas spaceru w parku i ocieranie jej łez, gdy upadła i potłukła sobie kolano.

Ogromnie ją kochał i był z niej niezmiernie dumny. Fakt, pomimo swego okcydentalnego imienia, w ogóle nie była do niego podobna; jej rysy były w pełni azjatyckie. W zasadzie wyglądała zupełnie jak biedna Tamiko, przyrodnia siostra, której miała nigdy nie poznać. Ale wygląd nie miał znaczenia; Joan w połowie należała do niego. To ona, bardziej niż nagroda Nobla, bardziej niż wszystkie prace, których był autorem lub współautorem, bardziej niż cokolwiek innego była jego nieśmiertelnością.

I choć była owocem małżeństwa, które nie przetrwało, Joan świetnie sobie radziła. Lloyd nie miał wątpliwości, że czasem by chciała, żeby mamusia i tatuś nadal byli razem. Niemniej jednak była na ślubie Lloyda i Doreen, podbijając serca wszystkich gości w roli dziewczynki rozsypującej kwiaty przed kobietą, która miała być jej macochą.

Macocha. Przyrodnia siostra. Była żona. Były mąż. Nowa żona. Różne kombinacje; cały szereg ludzkich interakcji i

sposobów na utworzenie rodziny. Rzadko kto brał teraz ślub z wielką pompą, ale Lloyd na to nalegał. Prawo większości stanów i prowincji w Ameryce Północnej stanowiło, że jeśli dwie dorosłe osoby mieszkają ze sobą wystarczająco długo, były małżeństwem, a jeśli przestawały ze sobą mieszkać, przestawały być też małżeństwem. To takie proste i bezproblemowe, bez bałaganu i zamieszania... i trudności, przez które przechodzili rodzice Lloyd'a, scen i cierpienia, które oglądał ze swoją siostrą Dolly z niedowierzaniem, zszokowany tym, jak rozsypuje się ich świat.

Lloyd jednak nalegał na uroczystość; z tak wielu rzeczy rezygnował w obawie przed tym, że stworzy kolejną rozbitą rodzinę... które to określenie według ostatniego słownika Merriam-Webster było archaiczne. Obiecał sobie, że przeszłość już nigdy nie będzie go ograniczać. Dlatego wiążąc się z Doreen wyprawił wielkie przyjęcie, które wszyscy uznali za pamiętny wieczór pełen tańca, muzyki, śmiechu i miłości.

Wiążąc się z Lloydem Doreen miała już za sobą okres menopauzy. Naturalnie istniały teraz różnego rodzaju zabiegi i techniki, dzięki którym mogłaby mieć dziecko, gdyby tylko chciała. Lloyd był jak najbardziej za; sam był już ojcem i nie chciał odmawiać jej możliwości zostania matką. Ale Doreen się nie zgodziła. Była zadowolona z życia zanim poznała Lloyd'a, a odkąd byli razem, podobało jej się jeszcze bardziej... i nie pragnęła mieć dzieci, nie szukała nieśmiertelności.

Po tym, jak Lloyd przeszedł na emeryturę, spędzali sporo czasu w domku w Vermont. Naturalnie tam właśnie widzieli się w swoich wizjach. Z radością umeblowali sypialnię tak, by

wyglądała dokładnie jak w wizjach — ze starym stolikiem z płyty wiórowej i lustrem w ramie z sosny sękatej.

A teraz leżeli obok siebie w łóżku; Doreen miała nawet na sobie granatową koszulę marki Tilley. Przez okno widać było drzewa pokryte przepięknymi kolorami jesieni. Trzymali się za ręce i słuchali radia, w którym odliczano czas do przybycia neutrin z Sanduleak.

Lloyd uśmiechnął się do Doreen. Byli małżeństwem już od pięciu lat. Sądził, że jako dziecko z rozbitej rodziny oraz rozwodnik, nie powinien naiwnie zakładać, że będą z Doreen razem na zawsze, ale i tak cały czas miał takie właśnie wrażenie. Z Michiko byli dobraną parą, ale związek z Doreen był wręcz idealny. Doreen miała już wcześniej męża, ale tamto małżeństwo zakończyło się ponad dwadzieścia lat temu. Sądziła, że nigdy ponownie nie wyjdzie za mąż i prowadziła samotne życie.

Aż poznała Lloyda. On był fizykiem i laureatem Nagrody Nobla, a ona malarką. Pochodzili z dwóch całkiem odmiennych światów, pod wieloma względami o wiele bardziej różniących się od siebie niż Japonia Michiko i Ameryka Północna Lloyda, a jednak bez problemu się zaprzyjaźnili, a potem narodziła się między nimi miłość i teraz Lloyd dzielił swoje życie na dwa okresy — przed i po spotkaniu Doreen.

Głos w radio odliczał czas.

— Dziesięć sekund. Dziewięć. Osiem.

Lloyd spojrział na Doreen i uśmiechnął się, a ona odwzajemniła uśmiech.

— Sześć. Pięć. Cztery.

Lloyd zastanawiał się, jaką przyszłość zobaczy, choć jednej rzeczy był absolutnie pewien.

— Dwa! Jeden!

Bez względu na to, co przyniesie mu przyszłość, zawsze będzie z Doreen.

Zero!

Lloyd zobaczył krótką wizję siebie i Doreen, o wiele starszych niżby kiedykolwiek przypuszczał, a potem...

Z pewnością nie umarli. Gdyby jego świadomość już zgasła, z pewnością niczego by nie zobaczył.

Jego ciało mogło zniknąć, ale... krótkie mignięcie, przebłysk obrazu...

Nowe ciało, całe srebrno-złote, gładkie i lśniące...

Ciało androida? Robot obdarzony jego ludzką świadomością?

Lub ciało wirtualne, nic więcej... zaledwie odwzorowanie tego, kim był, znajdujące się w komputerze.

Punkt widzenia Lloyda uległ zmianie.

Patrzył teraz na Ziemię z wysokości setek kilometrów. Nad planetą kłębiły się białe chmury, a bezkresne oceany odbijały światło słoneczne...

Chociaż....

Chociaż przez ten ułamek sekundy, gdy to widział, przyszło mu do głowy, że to nie oceany, a Ameryka Północna tak błyszczący, gdyż jej powierzchnia pokryta jest siatką metalowej maszynerii, a cała planeta została dosłownie zamieniona w ogólnoswiatową sieć.

I wtedy ponownie zmienił mu się punkt widzenia, choć nadal widział Ziemię lub to, co mogło być Ziemią. Tak, to z pewnością

ona, gdyż widział wschodzący księżyc. Ale Pacyfik był jakby mniejszy i pokrywał tylko jedną trzecią widocznego obszaru, a zachodnie wybrzeże Ameryki Północnej wyglądało całkiem inaczej.

Czas płynął; kontynenty miały całe milenia na to, by zmienić pozycję...

A on nadal leciał...

Widział Księżyc oddalający się coraz bardziej od Ziemi, aż w końcu...

Miał wrażenie, że trwało to chwilę, ale być może zajęło tysiące lat...

Księżyc rozpadł się w pył.

Kolejne przejście...

I sama Ziemia się zmniejsza, kurczy, karleje, jest wielkości kamyczka, a potem...

Widać słońce, ale...

Niewiarygodne...

Słońce niemal całkowicie zamknięte jest w metalowej osłonie, wychwytyjącej każdy foton energii, jaki do niej dociera. Księżyc i Ziemia nie rozpadły się... zostały rozebrane. Na surowce.

Lloyd kontynuował swą podróż przed siebie. Zobaczył...

Tak, to było nieuniknione; owszem, czytał o tym dziesiątki lat wcześniej, ale nigdy nie sądził, że dane mu będzie to zobaczyć.

Droga Mleczna, spirala gwiazd, którą ludzkość nazywała domem, zderzyła się z Andromedą, swym największym sąsiadem, dwie spirale skrzyżowały się, zapłonął pył międzygwiazdny.



A on nadal podróżował przed siebie, w przyszłość.

Ta wizja w niczym nie przypominała pierwszej... ale czy cokolwiek w życiu zdarza się dwa razy?

Gdy wystąpiły pierwsze wizje przeskok z teraźniejszości do przyszłości wydawał się natychmiastowy. Ale jeśli trwał setną tysięczną sekundy, czy ktoś mógł to zauważyć? A gdyby ustalić, że ułamek ten wynosił 0,00005 sekundy na każdy rok skoku w przyszłość, czy ktoś mógłby to sobie uświadomić? Ale 0,00005 sekundy razy osiem miliardów lat składało się już na ponad godzinę... godzinę szybowania ponad różnymi czasami, w żadnym się nie zatrzymując, nigdy się w pełni nie materializując, nigdy do końca nie zastępując świadomości przynależnej do danej chwili, a jednak czując, odbierając, widząc co się dzieje, obserwując wszechświat, który się rozszerza i zmienia, doświadczając krok po kroku ewolucji człowieka od dzieciństwa po...

...po to, co mu pisane.

Naturalnie Lloyd tak naprawdę nigdzie nie podróżował. Nadal znajdował się w Nowej Anglii i nie miał większej kontroli nad tym, co widzi lub robi jego przyszłe ciało niż podczas pierwszej wizji. Zmiany punktu widzenia wynikały niewątpliwie z przemieszczania się tego, czym się stał wraz z upływającymi mileniami. Musiała istnieć pewnego rodzaju bezwładność pamięci, podobna do bezwładności wzroku, dzięki której możliwe było oglądanie filmów. Z pewnością spotykał się z każdym z tych czasów zaledwie na chwilę; jego świadomość sprawdzała, czy dany fragment kostki był zajęty, a gdy odkrywała, że tak, wówczas coś na kształt reguły Pauliego

— Theo napisał mu w mailu o Ruschu i jego szalonym pomysle — uniemożliwiało jej zajęcie tego miejsca, więc szukała dalej, później, coraz bardziej wybiegając w przyszłość.

Lloyd był zaskoczony, iż nadal zachował odrębność; spodziewał się raczej, że jeśli ludzkość w ogóle miała przetrwać miliony lat, wytworzyłyby coś w rodzaju połączonej, zbiorczej świadomości. Ale nie słyszał żadnych głosów; z tego, co zdążył zauważyć, był odrębną całością, nawet jeśli słabe ciało, które niegdyś zajmował, już dawno przestało istnieć.

Widział Sferę Dysona, otaczającą słońce, a to znaczy, że pewnego dnia ludzkość osiągnie fantastyczny stopień zaawansowania technologicznego, ale nie widział żadnych dowodów na istnienie jakiegokolwiek pozaludzkiej inteligencji.

I wtedy, w przebłysku zrozumienia, dotarła do niego prawda. To, co się działo oznaczało, że nigdy nie istniała inna inteligencja... ani na żadnej z planet dwustu miliardów gwiazd, które wchodziły w skład Drogi Mlecznej, czy raczej, poprawił się, sześciuset miliardów gwiazd, składających się na supergalaktykę powstałą w wyniku połączenia Drogi Mlecznej z Andromedą. Ani na żadnej z planet którejkolwiek z gwiazd w jednej z niezliczonych miliardów innych galaktyk wszechświata.

Niewątpliwie wszelka świadomość musiała się zgodzić, co było „teraźniejszością”. Jeśli świadomość ludzka przeskakiwała z miejsca na miejsce, czy nie znaczyło to, że nie istnieje żadna inna świadomość, czy też grupa roszcząca sobie prawo do stwierdzenia, która chwila stanowi tę obecną?

W takim wypadku ludzkość była zdumiewająco, niezwykle, nieubłagane sama w całym niezmiernym, ciemnym kosmosie; była jedyną iskierką świadomości, która kiedykolwiek miała powstać. Życie toczyło się na Ziemi radośnie przez cztery miliardy lat nim pojawiły się pierwsze przejawy samoświadomości, a i tak, do 2030 roku nikomu nie udało się wytworzyć podobnej świadomości w maszynie. Bycie świadomym faktu, iż to zdarzyło się wtedy, to dzieje się teraz, a jutro jest innym dniem, było niesamowitym farterem, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, niebywałym wydarzeniem, które nigdy wcześniej, ani potem w historii wszechświata nie zostało powtórzone.

I być może to wyjaśniało ten niewiarygodny brak odwagi, który Lloyd napotykał na każdym kroku. Do 2030 roku ludzkość jeszcze nie wybrała się dalej niż na Księżyc; nikt nie poleciał na Marsa pomimo tego, że upłynęło sześćdziesiąt jeden lat od małego kroku Armstronga; co więcej, nikt tego nawet nie planował. Naturalnie, Mars mógł oddalić się aż o trzysta siedemdziesiąt siedem milionów kilometrów od Ziemi, gdy planety znajdowały się po przeciwnych stronach Słońca. W takich okolicznościach świadomość ludzi na Marsie dzieliłoby dwadzieścia jeden minut świetlnych od świadomości ludzi na Ziemi. Nawet ludzi stojących obok siebie dzielił pewien czas... patrząc na siebie widzieli nie to, jak aktualnie wyglądają, ale to, jak wyglądali bilionową część sekundy wcześniej. Owszem, pewien stopień desynchronizacji był do przyjęcia, ale musiała istnieć jakaś górna granica. Być może szesnaście minut świetlnych było do przyjęcia... a to odległość, jaka dzieliłaby

dwie osoby po przeciwnych stronach Sfery Dysona zbudowanej na promieniu orbity ziemskiej, ale dwadzieścia jeden minut świetlnych to mogło już być za wiele. A może już nawet szesnaście przekraczało limit dopuszczalny dla istot ludzkich. Sferę Dysona, którą widział Lloyd, niewątpliwie zbudowała ludzkość... odgradzając się w ten sposób od pustej, samotnej przestrzeni na zewnątrz, ale możliwe, że niecałe jej wnętrze było zamieszkane. Ludzie mogli zajmować tylko część jej powierzchni. W końcu Sfera Dysona miała powierzchnię miliony razy większą od Ziemi; wykorzystanie nawet jednej dziesiątej oferowanego przez nią obszaru zapewniłoby ludziom teren o kilka rzędów wielkości większy, niż kiedykolwiek wcześniej w historii. Sfera mogła zbierać każdy foton emitowany przez gwiazdę, ale ludzkość nie musiała zajmować całej jej powierzchni.

Lloyd... lub to, czym Lloyd się stał... przemieszczał się coraz dalej w przyszłość. Obrazy ulegały zmianie.

Pomyślał o tym, co powiedziała Michiko: o Franku Tiplerze i jego teorii, że wszyscy, którzy kiedykolwiek żyli zostaną wskrzeszeni w punkcie Omega i będą żyć wiecznie. Fizyka nieśmiertelności.

Ale teoria Tiplera opierała się na założeniu, że wszechświat był zamknięty, że miał wystarczającą masę, by jego własne przyciąganie grawitacyjne w końcu doprowadziło do zapadnięcia się wszystkiego z powrotem w jedność. Wraz z upływem eonów stawało się oczywiste, że tak się nie stanie. Owszem, Droga Mleczna zderzyła się ze swym najbliższym sąsiadem, ale nawet całe galaktyki były drobnostką w skali

wiecznie rozszerzającego się wszechświata. Prędkość rozszerzania mogła znacznie zmaleć, asymptotycznie dążąc do zera, ale nigdy nie mogłoby dojść do całkowitego zatrzymania tego procesu. Nigdy nie mogłoby dojść do punktu omega. I nigdy nie będzie istniał inny wszechświat. Ten był jedyną iteracją czasu i przestrzeni.

Naturalnie do tego czasu nawet gwiazda zamknięta w Sferze Dysona bez wątpienia wyzionęłaby ducha; jeśli astronomowie w dwudziestym pierwszym wieku mieli rację, słońce Ziemi stanie się czerwonym olbrzymem i pochłonie powłokę wokół siebie. Ludzkość z pewnością dowie się o tym miliardy lat wcześniej i bez wątpienia masowo przeniesie się — jeśli tego wymaga fizyka świadomości — gdzieś indziej.

A przynajmniej Lloyd miał taką nadzieję. Nadal odczuwał niezadowolenie z powodu tego, co widział na poszczególnych obrazach. Może ludzkość przestała istnieć wraz ze śmiercią swojego słońca?

Ale on... to coś, czym się stał, nadal jakoś żył, nadal myślał i odczuwał.

Musiał być ktoś jeszcze, z kim mógłby to wszystko dzielić.

Chyba że...

Chyba że w ten właśnie sposób wszechświat wypełnił tę niespodziewaną lukę, jaką wytworzyły neutrina z Sanduleak, bombardujące odtworzenie pierwszych chwil jego istnienia.

Usunął wszelkie zewnętrzne formy życia. Zostawił jednego obserwatora... jedną wszechwiedzącą formę spoglądającą na...

...na wszystko, tworzącą rzeczywistość poprzez swoją obserwację, wymuszającą jedną, stabilną terażniejszość,

pędzącą niepohamowanie przed siebie z prędkością sekundy na sekundę.

Boga...

Towarzyszącego pustemu, pozbawionemu życia, bezmyślnemu wszechświatowi.

W końcu lot w czasie dobiegł końca. Dotarł do celu, do początku; świadomość tego odległego roku — jeśli słowo „rok” miało jeszcze jakiegokolwiek znaczenie w chwili, gdy planeta wyznaczająca je swoją orbitą dawno przestała istnieć — przeniosła się do jeszcze odleglejszych światów, zostawiając mu lukę, którą mógł wypełnić.

Wszechświat naturalnie był otwarty. Naturalnie trwał wiecznie. Świadomość z przeszłości mogła przeskakiwać w przyszłość wyłącznie jeśli istniał jeszcze odleglejszy punkt, do którego mogła się przenieść bieżąca teraźniejszość; jeśli wszechświat byłby zamknięty, do przeniesienia czasowego nigdy by nie doszło. To musiał być niekończący się łańcuch.

A teraz miał przed sobą...

Miał przed sobą bardzo odległą przyszłość.

Lloyd w młodości czytał „Wehikuł czasu” Wellsa, która to książka prześladowała go przez lata. Nie ze względu na świat Ełojów i Morloków; nawet jako nastolatek rozumiał go jako alegorię, moralitet na temat struktury klasowej wiktoriańskiej Anglii. Nie, świat z roku 802 701 nie zrobił na nim wrażenia. Ale podróżnik w czasie Wellsa odbył w tej książce jeszcze jedną podróż, przeskakując miliony lat w przyszłość do zmięczenia świata, kiedy to siły pływowe spowalniają obroty Ziemi tak, że zawsze jest zwrócona tą samą stroną do rozdętego, czerwonego

Słońca, przypominającego nienawistne oko nad horyzontem, a po plaży wolno przemieszczają się istoty podobne do krabów.

Ale to, co miał w tej chwili przed sobą było jeszcze bardziej ponure. Niebo pogrążone było w półmroku... gwiazdy oddalone były od siebie tak bardzo, że widać ich było tylko kilka. Jedyne ich urok wynikał z faktu, iż zawierały mnóstwo metali utworzonych przez generacje słońc, które nadeszły i zniknęły na długo przed nimi, dzięki czemu lśniły kolorami niespotykanymi w młodym wszechświecie, który niegdyś znał Lloyd: szmaragdowe, fioletowe i turkusowe gwiazdy rozsiane były niczym klejnoty na aksamitnym firmamencie.

Teraz, będąc wreszcie u celu, Lloyd nadal nie miał kontroli nad swoim syntetycznym ciałem; był pasażerem za szklanymi oczami.

Tak, nadal miał ciało, formę fizyczną. Co jakiś czas widział swoje ramię, idealne, nieskazitelne, przypominające raczej ciekły metal niż cokolwiek biologicznego, które to pojawiało się, to znikało z pola widzenia. Znajdował się na powierzchni planety, niezmierzonej równiny białego pyłu, który mógł być śniegiem, sproszkowaną skałą lub czymś zupełnie nieznanym nieudolnej nauce minionych miliardów lat. Nigdzie nie widział budynków; być może mając niezniszczalne ciało już nie potrzebuje się schronienia. Planeta nie mogła być Ziemią, gdyż ta od dawna nie istniała, ale grawitacja była taka sama. Nie czuł żadnego zapachu, ale słyszał dźwięki... dziwne, eteryczne dźwięki przypominające coś pomiędzy westchnieniem zefiru a muzyką drewnianych instrumentów dętych.

Jego pole widzenia zmieniło się, gdy się odwrócił. Nie, to nie tak... nie odwrócił się fizycznie; raczej przeniósł swoją uwagę na inny zestaw bodźców, jakby miał oczy z tyłu głowy. Zresztą czemu nie? Jeśli już produkuje się ciało, to czemu by go nie udoskonalić w porównaniu z oryginałem?

W nowym polu widzenia znajdowała się druga postać, inna świadomość ludzka zamknięta w kapsule. Z zaskoczeniem stwierdził, że jej twarz nie była stylizowana, ale też nie była całkiem gładka. Miała misternie uformowane rysy i gdy ciało Lloyda wyglądało, jakby zrobiono je z płynnego metalu, druga postać zbudowana była z ciekłego zielonego marmuru, żyłkowanego, wypolerowanego i pięknego, przez co wyglądała niczym ożywiony posąg.

Forma nie zdradzała żadnych cech żeńskich, ani męskich, ale od razu wiedział, kto to. Naturalnie musiała to być Doreen, jego żona, jego ukochana, z którą chciał spędzić wieczność.

Ale wtedy przyjrzał się uważnie twarzy, wyrzeźbionym rysom, oczom...

Oczom w kształcie migdałów...

I wtedy...

W trakcie powtórnego eksperymentu Lloyd leżał w łóżku razem z żoną, by w żaden sposób nie mogło im się nic stać po utracie przytomności.

— To było niesamowite — stwierdził Lloyd, gdy wizja dobiegła końca. — Absolutnie niesamowite.

Odwrócił głowę, odnalazł dłoń Doreen i spojrzał na nią.

— Co widziałaś? — spytał.



Doreen drugą ręką wyłączyła radio i Lloyd zauważył, że jej dłoń drży.

— Nic — odparła.

Serce zamarło mu w piersi.

— Nic? Nie miałaś wizji?

Pokręciła głową.

— Och, kochanie — rzucił. — Tak mi przykro.

— Jak odległa była twoja wizja? — spytała. Musiała się zastanawiać, ile czasu jej zostało.

Lloyd nie wiedział, jak ubrać to w słowa.

— Nie jestem pewien — stwierdził. To była niesamowita podróż... ale był zdruzgotany myślą, że Doreen nie dożyje tego czasu.

Próbowała zabrzmieć dzielnie.

— Jestem już stara — stwierdziła. — Sądziłam, że mam jeszcze przed sobą ze dwadzieścia lub trzydzieści lat, ale... — Umilkła.

— Z pewnością masz — powiedział Lloyd, próbując zabrzmieć, jakby był tego pewien. — Z pewnością.

— Ale ty miałaś wizję... — powiedziała.

Lloyd skinął głową.

— Ale pokazywała... bardzo odległy czas.

— Włącz telewizor — powiedziała Doreen w przestrzeń; jej głos zdradzał zaniepokojenie. — ABC.

Jeden z obrazów na ścianie zmienił się w ekran telewizyjny. Doreen uniosła głowę, by lepiej widzieć.

— ...wielkim rozczarowaniem — powiedziała prezenterka, biała kobieta około czterdziestki. — Póki co nikt jeszcze nie

zgłosił wystąpienia wizji. Powtórny eksperyment w CERN-ie co prawda się powiódł, ale nikt z ABC News, ani nikt kto się z nami do tej pory skontaktował, nie doświadczył wizji. Wszyscy najwyraźniej po prostu stracili przytomność na... według pierwszych danych szacunkowych mogła minąć aż godzina. Tak jak wcześniej, jest z nami Jacob Horowitz z CERN-u; doktor Horowitz wchodził w skład zespołu, który przyczynił się do wystąpienia pierwszego przeniesienia czasowego dwadzieścia lat temu. Doktorze, co pan o tym sądzi?

Jake wzruszył ramionami.

— Cóż, zakładając, że przeniesienie czasowe wystąpiło, a tego naturalnie nie możemy stwierdzić na pewno, musiało dotyczyć przyszłości na tyle odległej, że wszyscy obecnie żyjący ludzie... nie da się tego jakoś ładniej ująć, prawda? Po prostu wszyscy obecnie żyjący ludzie będą już wówczas martwi. Jeśli przeniesienie dotyczyło, powiedzmy, czasów za sto pięćdziesiąt lat, to pewnie nikogo by nie dziwił brak wizji, ale...

— Wyłącz głos — powiedziała Doreen z łóżka. — Ale ty miałaś wizję — zwróciła się do męża. — Czy dotyczyła czasów aż za sto pięćdziesiąt lat?

Lloyd pokręcił głową.

— Więcej — odpowiedział miękko. — O wiele więcej.

— Ile?

— Miliony — stwierdził. — Miliardy.

Doreen roześmiała się niepewnie.

— Daj spokój, kochanie! To musiał być sen... Z pewnością będziesz wtedy żyć i coś ci się akurat śniło.

Lloyd zastanowił się nad jej słowami. Czy mogła mieć rację? Czy mógł to być tylko sen? Ale był tak żywy... tak realistyczny...

Zresztą, na litość boską, miał sześćdziesiąt sześć lat. Nieważne, o ile lat przeskoczyli w przyszłość, skoro on miał wizję, młodszy ludzie również powinni je mieć. Jake Horowitz był o ćwierć wieku młodszy, a w ABC News z pewnością pracowało mnóstwo dwudziesto— i trzydziestolatków.

A żadna z tych osób nie miała wizji.

— Nie wiem — stwierdził w końcu. — Nie wyglądało to jak sen.

## 32.

Przyszłość nie jest niezmienna. Potwierdził to fakt, iż rzeczywistość różniła się od tej pokazanej w pierwszych wizjach. Tak więc i tę przyszłość można było zmienić.

W stosunkowo bliskiej przyszłości wynaleziony zostanie jakiś proces unieśmiertelniania... lub czegoś podobnego, a Lloyd Simcoe się mu podda. Nie będzie się on sprowadzał do zaledwie zabezpieczenia telomerów, ale jakkolwiek by miał wyglądać, był skuteczny, przynajmniej na setki lat. Później jego biologiczne ciało miało zostać zastąpione trwalszym ciałem robota i miał żyć wystarczająco długo, by zobaczyć pocałunek Drogi Mlecznej z Andromedą.

Wystarczyło zatem znaleźć sposób, by Doreen również przeszła kurację nieśmiertelnościową... bez względu na koszt, bez względu na kryteria doboru musiał dopilnować tego, by jego żona również tego doświadczyła.

Niewątpliwie byli również inni ludzie, którzy tak jak on mieli się stać nieśmiertelni. Nie mógł być jedynym, który miał wizję; przecież nie był tam sam.

Ale, tak jak on, woleli milczeć, próbując pojąć, co widzieli. Być może kiedyś wszyscy będą żyć wiecznie, ale w przypadku obecnych pokoleń, osób żyjących w 2030 roku, najwyraźniej tylko garstka miała nigdy nie zaznać śmierci.

Lloyd postanowił ich odnaleźć. Być może za pomocą ogłoszenia w sieci. Może nie takiego wprost, w którym prosiłby

o kontakt wszystkich, którzy mieli wizję. Nie, nie... to musiałyby być coś subtelne. Może poprosi o kontakt osoby zainteresowane Sferą Dysona. Nawet ci, którzy w trakcie wizji nie zdawali sobie sprawy z tego, co widzą, od czasu, gdy ich świadomość powróciła do terażniejszości z pewnością wyszukali już odpowiednie obrazy i natknęli się na ten termin.

Tak, odnajdzie ich... odnajdzie innych nieśmiertelnych.

Lub oni odnajdą jego.

Myślał, że postacią, którą widział na białej równinie w przyszłości była Michiko.

Tymczasem otrzymał list z zaproszeniem do Toronto. E-mail był krótki: „Jestem nefrytowym człowiekiem z końca pańskiej wizji”.

Nefryt. Naturalnie. Nie zielony marmur, a nefryt. Nikomu nie wspominał o tej części wizji. W końcu jak mógłby powiedzieć Doreen, że widział Michiko, a nie ją?

Ale to nie była Michiko.

Lloyd poleciał z Montpelier na lotnisko Pearson International i wyszedł rękawem lotniczym. Był to lot międzynarodowy, ale dzięki kanadyjskiemu paszportowi Lloyd szybko przeszedł odprawę. Tuż przy bramie czekał na niego kierowca z flatsem wyświetlającym napis SIMCOE. Limuzyna poleciała — dosłownie — drogą 407 na Yonge Street, a potem na południe do wieżowca mieszkalnego, który mieścił również księgarnię, supermarket i kino.

— Gdyby mógł pan ocalić bardzo niewielką część ludzkości od śmierci, kogo by pan wybrał? — spytał pan Cheung Lloyd,

siedzącego na pomarańczowej skórzanej kanapie w jego salonie.

— Jak mógłby pan uzyskać pewność, że wybrani ludzie to najwięksi myśliciele, najpotężniejsze umysły? Niewątpliwie jest na to wiele sposobów; ja postanowiłem wybrać laureatów Nagrody Nobla. Najlepszych lekarzy! Najwybitniejszych naukowców! Najlepszych pisarzy! I owszem, również najwspanialszych humanitarystów... czyli laureatów Pokojowej Nagrody Nobla. Naturalnie, można dyskutować z niektórymi wyborami kapituły, ale ogólnie rzecz biorąc, wybory te są słuszne. Zaczęliśmy więc kontaktować się z noblistami. Oczywiście robiliśmy to w tajemnicy; czy potrafi pan sobie wyobrazić to powszechne oburzenie na wieść, iż nieśmiertelność jest w zasięgu ręki, ale masy nie mają do niej dostępu? Nie zrozumieliby... nie zrozumieliby, że proces ten jest niewyobrażalnie kosztowny i najprawdopodobniej takim pozostanie jeszcze przez dekady. Och, kiedyś być może uda się znaleźć tańszy sposób, ale póki co stać nas na zapewnienie nieśmiertelności zaledwie kilkuset osobom.

— W tym panu?

Cheung wzruszył ramionami.

— Kiedyś mieszkałem w Hongkongu, doktorze Simcoe, ale opuściłem go nie bez przyczyny. Jestem kapitalistą, a kapitaliści wierzą, że ci, którzy w pocie czoła wykonują swoją robotę powinni prosperować. Proces osiągnięcia nieśmiertelności w ogóle by nie powstał bez miliardów, które moje firmy zainwestowały w jego utworzenie. Owszem, sam poddałem się temu zabiegowi, mam do tego pełne prawo.

— Jeśli zdecydował się pan na noblistów, to co z moim partnerem, Theodosiosem Procopidesem?

— A tak. Wydało się rozsądnym przeprowadzać proces, poczynając od najstarszych. Ale, tak, on jest następny w kolejce, pomimo wieku; w przypadku zespołów noblistów, wszyscy zostaną przetworzeni w tym samym czasie. — Zamilkł na chwilę. — Już raz spotkałem się z Theo, wie pan... dwadzieścia jeden lat temu. Moja pierwsza wizja dotyczyła właśnie jego, więc odwiedził mnie w poszukiwaniu informacji o swojej śmierci.

— Pamiętam; byliśmy razem w Nowym Jorku i przyleciał tutaj. Opowiadał mi o tym spotkaniu.

— Powiedział panu, co ode mnie usłyszał? Powiedziałem mu, że dusze są nieśmiertelne, a w religii chodzi o sprawiedliwe nagrody. Powiedziałem mu, że według mnie czekają na niego wznioślejsze rzeczy i że w końcu zostanie wynagrodzony. Już wtedy podejrzewałem, jaka jest prawda; w końcu właściwie to nie powinienem mieć żadnej wizji... już teraz powinienem nie żyć albo przynajmniej nie chodzić takim dziarskim krokiem. Naturalnie nie mogłem mieć pewności, że moi pracownicy któregoś dnia opracują technikę osiągnięcia nieśmiertelności, ale od bardzo dawna się tym interesowałem, a istnienia takiej techniki dowodziła wizja, w której cieszyłem się dobrym zdrowiem pomimo podeszłego wieku. Chciałem, by pana przyjaciel wiedział, oczywiście nie poznając wszystkich moich sekretów, że jeśli będzie żył wystarczająco długo, otrzyma największą z nagród: życie wieczne. — Zawiesił głos. — Często się pan z nim widuje?

— Już nie.

— Niemniej jednak cieszę się... i to bardziej, niż może pan sobie wyobrazić, że udało mu się uniknąć śmierci.

— Jeśli to pana martwiło, a miał pan dostęp do nieśmiertelności, czemu nie poddał go pan temu procesowi przed dniem, w którym według pierwszych wizji miał zginąć?

— Proces ten hamuje biologiczne starzenie się, ale nie sprawia, że jest się niezniszczalnym... choć, jak pan zapewne widział w swojej wizji, ciała zastępcze w końcu i z tym sobie poradzą. Jeśli mielibyśmy zainwestować w Theo miliony, a on zostałby wkrótce zastrzelony, tylko byśmy zmarnowali bardzo ograniczone środki.

Lloyd chwilę się nad tym zastanawiał.

— Wspomniał pan, że Theo jest ode mnie młodszy, zgadza się. Ja jestem już stary.

Cheung się roześmiał.

— Pan jest jeszcze dzieckiem! Sam jestem o ponad trzydzieści lat starszy.

— Chodzi mi o to — kontynuował Lloyd — że gdyby zaproponowano mi to, kiedy byłem młodszy, zdrowszy...

— Doktorze Simcoe, fakt, ma pan sześćdziesiąt sześć lat, ale przeżył je pan pod opieką nieustannie rozwijającej się współczesnej medycyny. Widziałem pana dokumentację medyczną...

— Słucham?

— Bez urazy... ja tu oferuję życie wieczne; czy naprawdę sądzi pan, że kilka zabezpieczeń danych osobowych stanowi dla osoby o mojej pozycji jakąś przeszkodę? Jak mówiłem,



widziałem pana dokumentację medyczną: pana serce jest w doskonałym stanie, ma pan ciśnienie w normie, tak jak i poziom cholesterolu. Szczerze mówiąc, doktorze Simcoe, cieszy się pan teraz lepszym zdrowiem niż jakikolwiek dwudziestopięcioletek urodzony ponad sto lat temu.

— Jestem żonaty. Co z moją żoną?

— Przykro mi, doktorze Simcoe. Moja oferta dotyczy tylko pana.

— Ale Doreen...

— Doreen przeżyje resztę przeznaczzonego jej życia... pewnie jeszcze dwadzieścia kilka lat. Niczego jej nie pozbawimy; będzie pan mógł spędzić z nią wszystkie pozostałe jej dni. W którymś momencie odejdzie. Jestem chrześcijaninem, doktorze Simcoe... wierzę, że czeka na nas lepszy świat... no, przynajmniej na większość z nas. Bywałem w życiu bezwzględny, więc spodziewam się, że zostanę surowo osądzony, dlatego też nie spieszy mi się do swej nagrody. Ale pańska żona... wiele o niej wiem i podejrzewam, że ma zapewnione miejsce w niebie.

— Nie jestem pewien, czy chcę żyć bez niej.

— Ona bez wątpienia chciałaby, by żył pan dalej, nawet gdy jej już nie będzie. I, proszę wybaczyć mą bezpośredniość, nie jest to pana pierwsza żona, a pan nie jest jej pierwszym mężem. Nie próbuję umniejszać miłości, jaka was łączy, ale jesteście dla siebie, bardzo dosłownie, tylko etapami w życiu.

— A jeśli nie zdecyduję się na wzięcie w tym udziału?

— Specjalizuję się w farmaceutykach, doktorze Simcoe. Jeśli nie zdecyduje się pan na wzięcie w tym udziału lub jeśli uda pan zgodę, ale będziemy mieli podstawy wątpić w pana

szczeróść, zostanie panu podana mnemonaza; środek ten zniszczy pana pamięć krótkotrwałą. Zapomni pan o całym tym spotkaniu. Jeśli naprawdę nie pragnie pan nieśmiertelności, proszę wybrać tę opcję... jest bezbolesna i nie ma trwałych skutków ubocznych. A teraz, doktorze Simcoe, muszę otrzymać ostateczną odpowiedź. Jaka jest pana decyzja?

Doreen odebrała Lloyd'a z lotniska w Montpelier.

— Dzięki Bogu wróciłeś! — rzuciła, gdy tylko Lloyd pojawił się ze swoim bagażem. — Co się stało? Czemu nie wróciłeś wcześniejszym lotem?

Lloyd uściskał żonę; Boże, jak on ją kochał... i jak nienawidził się z nią rozstawać. Pokręcił głową.

— Przytrafiło mi się coś niebywałego. Zupełnie zapomniałem, że lot powrotny jest o czwartej. — Wzruszył ramionami i uśmiechnął się niepewnie. — Pewnie po prostu się starzeję.

# 33.

Theo siedział w swoim biurze. Kiedyś należało ono do Gastona Bérangera, ale jego pięcioletnia kadencja dawno się skończyła, a obecnie CERN nie był na tyle duży, by konieczny był dyrektor generalny. Dlatego też Theo zajął to biuro jako szef TTC. Stary Gaston nadal się kręcił w pobliżu, był profesorem emerytowanym fizyki na Uniwersytecie w Paryżu. Nadal był szczęśliwie żonaty z Marie-Claire. Mieli cudownego syna, który był wzorowym studentem oraz córkę.

Theo gapił się przez okno. Minął miesiąc od wielkiej utraty przytomności... Futurospekji, w trakcie której ludzkość straciła przytomność na godzinę. Kłaa tu byłby z nich dumny... na całym świecie nie odnotowano ani jednej ofiary śmiertelnej.

Theo też jeszcze żył; uniknął własnego morderstwa. I miał jeszcze żyć... cóż, kto wie, jak długo? Pewnie kilkadziesiąt lat. Zupełnie, jakby go ktoś wskrzesił.

Nagle uświadomił sobie, że nie wie, co robi z czasem, który mu pozostał.

Była jesień; za późno, by dosłownie rozkoszować się bez pośpiechu zapachem kwiatów. Ale metaforycznie?

Wstał, poczekał aż otworzą się wewnętrzne, a potem zewnętrzne drzwi biura, podszedł do windy, zjechał na parter, przeszedł przez korytarz, minął hol i wyszedł z budynku.

Niebo było zachmurzone, ale i tak założył okulary przeciwsłoneczne.

Jako nastolatek przebiegł z Maratonu do Aten. Na mecie miał wrażenie, że jego serce nigdy nie przestanie walić, a on nigdy nie złapie oddechu. Wyraźnie pamiętał ten moment... przekroczenie linii mety i ukończenie historycznego biegu.

Naturalnie były też inne chwile, które pamiętał równie wyraźnie. Pierwszy pocałunek; swój pierwszy raz; konkretne obrazy niczym umysłowe pocztówki z wycieczki do Hongkongu; ukończenie studiów; dzień, w którym poznał Lloyda; złamanie ręki podczas gry w lacrosse. I pierwszy eksperyment LHC, przeskok...

Ale...

Ale te najważniejsze chwile, najżywsze wspomnienia, wszystkie pochodziły sprzed co najmniej dwóch dekad.

Co działo się później? Jakie niezwykle doświadczenia, dotkliwe zmartwienia, szczytowe osiągnięcia go spotkały?

Theo szedł dalej; powietrze było chłodne i rześkie. Nadawało wszystkiemu kształt, definicję, formę, jasność, której brakowało mu od dawna...

Od chwili, gdy zaczął badać własną śmierć.

Przez dwadzieścia jeden lat owładnięty był obsesją na jednym punkcie.

Czy Ahab miał jakieś szczególne wspomnienia? No tak, bez wątplenia te dotyczące utraty nogi. Ale już po tym, jak rozpoczął swą misję? Czy też wszystko było niewyraźne, miesiąc po miesiącu, rok po roku, wszystko i wszyscy byli podporządkowani tylko jednemu?

Ale nie... nie. Theo nie był Ahabem; nie był tak zdeterminowany. Między rokiem 2009 a 2030 znalazł czas na

wiele różnych rzeczy.

A jednak...

A jednak nigdy nie pozwolił sobie snuć planów na przyszłość. Och, naturalnie, nadal pracował i kilka razy dostał awans, ale...

Czytał kiedyś książkę o mężczyźnie, który w wieku dziewiętnastu lat dowiedział się, że jest zagrożony płasawicą Huntingtona — dziedziczną chorobą, która miała pozbawić go panowania nad sobą nim osiągnie wiek średni. Człowiek ten postawił sobie za cel dokonanie czegoś wielkiego nim skończy mu się czas. Ale Theo nic takiego nie zrobił. Owszem, poczynił znaczne postępy w fizyce, no i naturalnie otrzymał Nobla. Ale nawet wspomnienie tamtej chwili, gdy odbierał nagrodę, było jakby rozmyte.

Dwadzieścia jeden lat przesłonięte cieniem. Nawet pomimo świadomości, że przyszłość można zmienić, nawet pomimo obietnic, że nie dopuści do tego, by poszukiwania potencjalnego mordercy zawładnęły jego życiem, umknęły mu dwie dekady, które zostały w większości utracone, jeśli w ogóle nie pominięte, a z pewnością były przytłumione, okrojone i niewyraźne.

Nie ma winy tragicznej? Śmiechu warte.

Theo szedł dalej. W tle słychać było świergot ptaków.

Nie ma winy tragicznej? To właśnie najbardziej arogancka myśl ze wszystkich. Naturalnie, że był naznaczony winą tragiczną; naturalnie, że miał swoją hamartię. Jednak było to odbicie lustrzane winy Edypa, który sądził, że może uciec przed swym przeznaczeniem. Theo, choć wiedział, że przyszłość można zmienić i tak bał się, że nie przechytry losu.

I dlatego...

I właśnie dlatego się nie ożenił, ani nie miał dzieci; pod tym względem był nawet gorszy od Ahaba.

Nigdy też nie przeczytał „Wojny i pokoju”. Ani Biblii. Prawdę mówiąc Theo nie czytał żadnej powieści od... ilu? Jakichś dziesięciu lat.

Nie podróżował po świecie, no chyba że w poszukiwaniu informacji o swojej śmierci.

Nie nauczył się gotować.

Nie nauczył się grać w brydża.

Nie zdobył Mont Blanc, a nawet nie zaczął wspinaczki.

A teraz... niewiarygodne. Nagle miał... no może nie cały czas świata, ale przynajmniej nieco więcej czasu.

Miał wolną wolę i przyszłość, którą musiał zbudować.

Taka świadomość mogła zawrócić w głowie. Kim chcesz zostać, kiedy dorośniesz? Koszulki z postaciami z kreskówek faktycznie zniknęły. Tak jak i jego młodość; miał czterdzieści osiem lat. Dla większości fizyków to bardzo zaawansowany wiek. Najprawdopodobniej był za stary, by dokonać kolejnego wielkiego przełomu.

Musiał stworzyć przyszłość. Ale jak ją zdefiniować?

Jako same jasne chwile; twarde niczym diament wspomnienia; będzie jasna i wyraźna. Przyszłość pełna życia i smaku; przyszłość chwil tak wyraźnych i znaczących, że czasem będą ciąć, a czasem błyszczeć tak jasno, iż ciężko będzie je podziwiać, ale czasem będą również radosne absolutną, czystą, niezmaconą radością; taką, jakiej nie czuł zbyt często w przeciągu ostatnich dwudziestu jeden lat.

Ale od tej chwili...

Od tej chwili zacznie naprawdę żyć.

Tylko od czego zacząć?

Z przeszłości, z podświadomości wyłoniło się imię.

Michiko.

Fakt, była teraz w Tokio. Dostawał od niej kartki elektroniczne na Boże Narodzenie i urodziny.

Rozwiodła się z Lloydem, swoim drugim mężem. Ale nie wyszła już więcej za mąż.

Wiadomo, mógł pojechać do Tokio i ją znaleźć. To z pewnością byłaby cudowna chwila.

Ale, mój Boże, minęło tyle lat. Wiele wody już upłynęło...

Niemniej jednak...

Niemniej jednak zawsze bardzo mu się podobała. Była taka inteligentna. Tak, właśnie to przyszło mu do głowy w pierwszej kolejności; cudowny umysł, wyostrzone poczucie humoru. Nie twierdził, że nie była też ładna. Może nawet bardziej niż ładna; z pewnością pełna wdzięku i szyku, zawsze nienagannie ubrana zgodnie z najnowszą modą.

Ale...

Minęło dwadzieścia jeden lat. Przez ten czas musiał się pojawić ktoś nowy, prawda?

Nie. Nie było nikogo takiego; dotarłyby do niego jakieś plotki. Pewnie, był od niej młodszy, ale to nie miało przecież znaczenia. Miała teraz... ile? Pięćdziesiąt sześć lat.

Nie mógł tak po prostu wstać i polecieć do Tokio.

A może mógł?

Czekało życie do przeżycia...

Co miał do stracenia?

Zupełnie nic, stwierdził. Zupełnie nic.

Skierował się z powrotem do budynku, nie wsiadł do windy, ale wbiegł na górę po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz, a odgłos jego kroków niósł się po budynku głośno i wyraźnie.

Naturalnie najpierw zadzwoni. Która była teraz w Tokio? Zadał to pytanie na głos. — Która jest teraz w Tokio?

— Dwudziesta osiemnaście — odparło jedno z niezliczonych skomputeryzowanych urządzeń, którymi naszpikowane było całe biuro.

— Zadzwoń do Komury w Tokio — powiedział.

Z głośnika dobiegł dźwięk dzwonka. Serce zaczęło mu głośno walić. Z biurka wyskoczył monitor, wyświetlający logo Nippon Telecom.

A potem...

Pojawiła się ona. Michiko.

Nadal wyglądała prześlicznie, zestarzała się z wdziękiem; spokojnie można było jej dać ze dwanaście lat mniej niż faktycznie miała. No i oczywiście nadal była stylowo ubrana... Theo nie widział jeszcze czegoś takiego w Europie, ale w Japonii musiał to być ostatni krzyk mody Michiko miała na sobie krótką marynarkę w tęczowe pasy.

— No nie, Theo, to ty? — spytała po angielsku.

Kartki elektroniczne to tylko tekst i grafika; Theo od lat nie słyszał jej pięknego, wysokiego głosu przypominającego plusk wody. Poczul, że usta same rozciągają mu się w uśmiechu.

— Witaj, Michiko.



— Myślałam o tobie — powiedziała — gdy zbliżała się data, którą pokazały wizje. Ale bałam się zadzwonić. Nie chciałam, żebyś pomyślał, że chcę się pożegnać.

Z radością usłyszałby jej głos wcześniej. Uśmiechnął się.

— W zasadzie człowiek, który zabił mnie w wizjach, jest teraz w areszcie. Próbował wysadzić w powietrze LHC.

Michiko skinęła głową.

— Czytałam w sieci.

— Chyba żadne z wizji się nie sprawdziły.

Michiko wzruszyła ramionami.

— Może nie dokładnie. Ale moja cudowna córeczka wygląda dokładnie tak, jak ją widziałam. No i wiesz, poznałam nową żonę Lloyd'a. Według niego ona również wygląda dokładnie tak, jak w wizji. A współczesny świat w dużej mierze jest taki, jak wynikało z Projektu Mozaikowego.

— Chyba tak. Ale cieszę się, że fragment dotyczący mnie się nie sprawdził.

Michiko się uśmiechnęła.

— Ja też.

Zapadła cisza; jedną z zalet wideorozmów był fakt, iż cisza w niczym nie przeszkadzała. Można się było po prostu sobie przyglądać, upajać się swoim widokiem, bez zbędnych słów.

Naprawdę była piękna...

— Michiko — powiedział miękko.

— Hmm?

— Ja... dużo o tobie myślałem.

Uśmiechnęła się.

Przełknął ślinę, próbując zebrać w sobie odwagę.

— I tak się zastanawiałem, co byś powiedziała, gdybym przyjechał na trochę do Japonii. — Uniósł dłoń, jakby czuł, że potrzebna jest im obojgu ewentualna droga ucieczki, gdyby chciała celowo go źle zrozumieć i delikatnie dać mu kosza.

— Na uniwersytecie w Tokio jest TTC; prosili mnie, bym przyjechał i wygłosił referat na temat rozwoju tej technologii.

Ale ona nie szukała drogi ucieczki.

— Z przyjemnością znów się z tobą spotkam, Theo.

Naturalnie, nie sposób było przewidzieć, czy do czegokolwiek między nimi dojdzie. Mogła po prostu szukać odrobiny nostalgii, rozpamiętywania przeszłości, czasów sprzed wielu lat, kiedy to pracowali razem w CERN-ie.

Ale być może, tylko być może, nadawali na tych samych falach. Może by się między nimi ułożyło. Może po tych wszystkich latach jednak mogłoby do czegoś dojść.

Niewątpliwie miał na to nadzieję.

Jednak jak będzie w rzeczywistości?

Czas pokaże.

## Przypisy

[1] Amerykańskie Towarzystwo Fizyczne (American Physical Society) (przyp. tłum.)

[2] Fragmenty filmu „Casablanca” przetłumaczono w oparciu o przekład Piotra Zielińskiego (przyp. tłum.).

[3] Od angielskiego „tipple”, czyli „popijać” (przyp. tłum.).